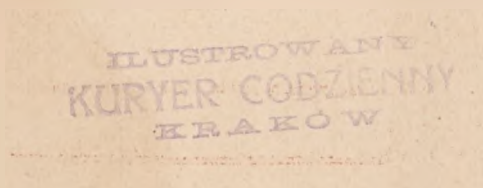


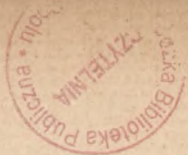


MAŁY PIESUDCZYK

TM Nittman

MAŁY PIŁSUDCZYK





CM 313595

M
ALY
P
RESUDCZYK
Dr. J. M. Nittman

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 110 /2011/ CM



J. B. S. J.

ILUSTROWANY
KURIER CODZIENNY
KRAKÓW

Nakładem
Głównej Księgarni
Wojskowej
Warszawa, ul. Nowy
Świat 69

Opracowanie graficzne
oraz opracowanie portretów
Atelier Girs-Barcz
Rysunki w tekście
i plansze kolorowe
St. Haykowskiego
Warszawa
1 9 3 5



DROGI MAŁY PIŁSUDCZYKU...

...Wychodzisz na ulicę. Śpieszysz się, bo jest już dość późno. Na rogu mijasz granatowego policjanta, który pilnuje porządku. Ani ci przez myśl nie przejdzie nawet, że to jest polski policjant!



To jest wojsko
polskie!

...Dźwięk złocistych trąb i warkot bębnow wabi cię ku otwartemu oknu w czasie wielkiej pauzy. Naturalnie, wychylasz się przez to okno, by ujrzeć maszerujące wojsko z orkiestrą na czele. Niema przecie ni chłopca, ni dziewczyny, którzyby się tej pokusie oparli. Z zadowoleniem patrzysz na zwarte szeregi i las karabinów. Idą kompanje, bataljony, pułki. Nie myślisz jednak wcale o tem, że to jest wojsko polskie!

...Mija cię pędem, z obliczem szarem od kurzu, motocyklista pocztowy, wybierający listy ze skrzynek. Czyż jest w tem coś uderzającego? A jednak — tak! Orzełek na czapce wskazuje, że to jest polski pocztowiec!

...Codzień, co godzina, nieomal co chwila, ocierasz się o tę nową, polską rzeczywistość! Polskie koleje, polskie urzędy, polskie szkoły — to przecież takie zwyczajne, że nie budzi w tobie, młody przyjacielu, żadnych refleksyj. Wiesz że tak jest i na tem koniec. W porządku, kochanie! Boś ty urodził się i wychował już w Wolnej Ojczyźnie! Nie pojmujesz, co znaczy żyć

w niewoli! Ciebie to nie wzrusza, nie roztkliwia, jak nas, starsze pokolenie, którzyśmy o tę Polskę walczyli!

Ty idziesz w jutro, ty patrzysz tylko przed siebie. A jednak — wyrosłeś z krwi i kości tego wczoraj, które już dla ciebie nie istnieje. Nie wolno ci o tem zapomnieć! Boś jest jednym z ogniw tego łańcucha, któremu na imię Ojczyzna!

Związać przeszłość z przyszłością, ukazać ci teraźniejszość, taką, jaka ona jest — oto jedno z zadań tej książki!

Chcemy ci to wszystko opowiedzieć »bez bujania«, a jednak tak, by cię zająć! Nakreślimy ci ten obraz, który — jeśli zastanowisz się choć chwilę — wprowadzi cię w świat czarów fantastycznej bajki!

Zrozumiesz może wtedy, że »Polska dzisiejsza« mieści się w jednym wielkiem słowie: Piłsudski!

Bo z mocy Jego ducha i hartu Jego woli, męki samotnej i lat ciężkiej walki zrodziło się plemię, noszące dumne miano: Piłsudczycy!

On i Jego ludzie nauczyli nas wszystkich (i ciebie także!) — Niepodległości, o którejśmy w ugodach z zaborcami powoli zaczynali zapominać.

Jego i ich wysiłkiem rośnie i krzepnie państwo nowe na karcie Europy, państwo mocarstwowe, twoje też państwo, Mały Piłsudczyku!



Piłsudski.

Tak jest, uwierz w tę prawdę jasną i codzienną, choć tak niezwykłą, a będziesz wiedział już wszystko, jak żyć i działać teraz i kiedyś, gdy dorośniesz...

Ty jesteś bowiem tym, który objąć będzie musiał świętą spuściznę.

»Małym« zwiemy cię, kochanie, nie dlatego, że jeszcze nie wyrosłeś latami, wiedzą, doświadczeniem — ale tylko w przeciwstawieniu do tych »Dużych«!

Oni też kiedyś byli tacy, jak ty! Jak żyli, jak czuli wtedy — czy to cię nie ciekawi? Chcemy ci więc opowiedzieć bodaj kilka epizodów z ich przeszłości; słyszysz o nich ciągle — to nazwiska głośne! Bliżsi ci się staną, gdy dowiesz się jednego bodaj ciekawego szczegółu z ich życia, gdy mieli tyle lat, co ty, lub niewiele więcej. Jeśli ich nie kochasz, to tylko dlatego, że ich nie znasz!

I oto drugie tej książki zadanie!

...A jeśli nie jesteś jeszcze »Małym Piłsudczykiem«, jeśli tego nie czujesz, jeśli sączą w ciebie niektórzy jady zabójcze — to po przeczytaniu tej książki pomyśl samodzielnie, odrzuciwszy precz cudze »mądrości«! Pomyśl głową i sercem o Tym, który dał wszystko z siebie Ojczyźnie, a dla siebie nie wziął nic, prócz szarej maciejówki — wtedy i ty napewno sam się dumnie nazwiesz »Małym Piłsudczykiem«.

Bo to nie partja, ani jeden z wielu »panów ministrów«, ani tem bardziej »srogi dyktator«, który strachem trzyma w uległości, a sam dla siebie zdobywa majątkości, zaszczyty! Nie, chyba sam wiesz, że to żywy Symbol Odrodzonej Polski! Byliśmy źle rządni i skłóceni, bez Ojczyzny, bez wiary w nią nawet, szukaliśmy pomocy u obcych, zapominając o własnych siłach.

Umieliśmy — a i to tylko niektórzy — dla Ojczyzny umierać.

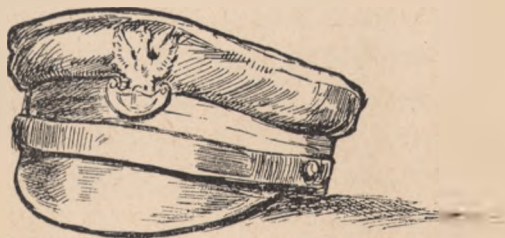
On nauczył nas zgody, dał mocny rząd i mocne wojsko — postrach wrogów, wskrzesił w nas wiarę, stworzył państwo własne — to wszystko polskie, co widzisz koło siebie. Kazał nam dla Polski nie umierać — ale dla Niej żyć!

I ty tego musisz się nauczyć. To trzeci i ostatni cel tej książki!

Dziś nami rządzi On — Wódz, nad przeszło trzydziestu milionami. Kochamy Go. Tego jednego się na Ojczyźnie dorobił!

O Polsce dzisiejszej, a więc o Nim, opowie ci ta książka. Przez jej karty przewija się to wielkie Nazwisko, niby strumień życiodajnej krwi.

Czyżby two młode, gorące serce mogło Go nie ukochać, Drogi Mały Piłsudczyku?



...Dla siebie nie wziął nic, prócz szarej maciejówki...



POLSKA W NIEWOLI.

I. CIOCIA — BABCIA.

Ani ja, ani Jędrak — nie przepadaliliśmy za nimi.
I nie pomagały słowa mamusi:

— Krewnych trzeba szanować i kochać! Są starsi od was, przeszli wiele w życiu i życzą wam jak najlepiej!

A mamy ich mnóstwo. Trudno wprost doliczyć się tych wszystkich wujków i ciotek, babek i dziadków oraz licznych kuzynów. Każdy zosobna, to jeszcze jako tako. Ale wszyscy razem — ciężko wytrzymać. Jak się porozsiadają w pluszowych fotelach w naszym wielkim salonie — to robi się nudno, jak na lekcji niemieckiego.

A tu kłaniaj się, człowieku, każdemu, wszyscy zaś strofują cię pokolei.

— Tramwaj rodzinny! — wzdycha Jasia, nasza siostra cioteczna, bardzo dorosła, studentka.

Jasię kochamy ogromnie i ją jedną ze wszystkich dziewcząt dopuszczamy do zabawy. Nie śmieje się z nas i nie zadziera nosa do góry. Jednem słowem — morowa dziewczyna!

Ale niestety — Jasia rzadko kiedy ma czas dla nas. Wiecznie lata na jakieś tam zebrania lub siedzi z nosem w książce.

A poza tem lubimy też bardzo ciocię Helenę. Musi być chyba bardzo stara, bo ma śliczne siwe włosy, niby srebrny wianek. A skóra jej jest delikatna i biała, jak filiżanki od kawy w ślubnym serwisie mamy.

Jasia mówi o niej, że świetnie się trzyma na swoich 50 lat.

Lubimy ją i boimy się troszkę. Mówimy do niej: »ciociu-babciu«.

Jasia powiedziała o niej kiedyś, że jest »niesamowita«. Ogromnie się nam to wyrażenie podoba!

Ale mimo swego surowego nieco wyglądu, jest niezmiernie dla nas dobra.

Nigdy nam nie prawi kazań, uśmiecha się do nas jak taka pani z kina oraz przywozi zawsze cudowne prezenty: prawdziwe wierzbowe witki na łuki i strzały!

Nie mieszka bowiem w naszym mieście, tylko na wsi, gdzie jest kierowniczką szkoły.

Jej stary domek tonie w gęstych drzewach. Przez zieloną furtkę ogrodu wychodzi się na szosę, a po drugiej stronie, tuż, bieleją parterowe ściany szkoły.

Przepadamy za wizytami u ciotki Heleny. Nigdzie nam chyba tak dobrze nie jest! Pozwala nam robić przez cały dzień, co się nam żywnie podoba.

— Niech się chłopaki wyhasają! — mówi zawsze,



Mówimy do niej:
„ciociu-babciu!“

gdy jej na rodzinnych zebraniach robią wymówki, że nas rozpuszcza. I zawsze nas bierze w obronę.

Koło jej osoby krążą rozmaite legendy. Gdy wchodzi do salonu, wszyscy milkną i spuszczają oczy.

Nie, oni, starsi, stanowczo jej nie lubią, z wyjątkiem naturalnie naszych rodziców.

II. SZKARLATYNA.

W październiku wybuchła w naszej szkole szkarlatyna. Ach, cóż to za cudowna choroba! Naszą klasę zamknęli i mieliśmy wolne.

Ojczyk rzekł do mamy przy obiedzie:

— Niech chłopcy jadą do Basiówki! Lepiej im tam będzie, niż tu, a przede wszystkim bezpieczniej!

Mamusia spojrzała na nas z czułością, aż nam się serca rozplynęły. Takie spojrzenie — to słodsze, niż ciastko z kremem! Wtedy dopiero spostrzegliśmy, że ma oczy zaczerwienione. Czyżby płakała? Nie wiedzieliśmy tego napewno, bo nikt z nas nigdy nie widział mamy płaczącej, nawet wtedy, jak umarł jej tatuś, a nasz dziadzio.

— Ach, tak się o nich boję! — szepnęła mama ciutko nad talerzem, zamiast odpowiedzi.

A czego to się o nas bać? Nie rozumiem! Przecież zdrowi jesteśmy jak rydze! (Ukochane powiedzenie ojczyka. Zapewne rydze nigdy nie chorują).

Jędrak, bardziej porywczy, objął mamę zaraz za szyję i zawołał głupio, jak to on:

— Bo mamusia się martwi zawsze na zapas!

Mama uśmiechnęła się do nas znów smutnymi oczy-

ma i ucałowała Jędrka aż dwa razy. Szczęściarz! Jego zawsze częściej pieszczą, niż mnie, ale niech mu tam! Przecież młodszy jest ode mnie, więc mu nie zazdroszczę.

Trzeba tu wyjaśnić, że choć jesteśmy bliźniakami i obaj liczymy po 14 lat, po długim i krwawym sporze (do dziś dnia mam z tego powodu złamaną chrząstkę w nosie!), ustaliliśmy u źródła, to jest u mamy i babci, że ja o dwie godziny wcześniej przyszedłem na świat, wobec czego Jędrak ma mnie słuchać! Niestety, nie zawsze chce...

— A więc niech jadą i to jeszcze dziś najlepiej, szkarlatyna szerzy się w mieście z niebywałą gwałtownością! — rozstrzygnął ojczyk tę ważną sprawę.

W dwie godziny potem siedzieliśmy w czerwonym tramwaju, który dzwoniąc, jak u nas na wielkiej pauzie, wiózł mnie i Jędrka, szczęśliwych i przejętych, na dworzec!

III. PODRÓŻ.

Niestety, trwała ona raptem godzinę, a może i mniej, a ja przepadam za jazdą koleją. Sam zapach dymu z lokomotywy już mnie upaja i pozwala marzyć o dalekich, nieznanych krajach.

Czemuż niema u nas takich szklanych wagonów, jakie są podobno w Ameryce? Wszystko na wszystkie strony możnaby widzieć. A tak — lataj od okna do okna, a tu pełno pasażerów z takimi strasznie długimi nogami, którzy się na nas irytują, że im przeszkadzamy.

— Skaranie boskie z chłopakamy! — gderze jakaś jejmość w kolorowej chustce — nie możecie spokojnie usiedzieć?

Spoglądamy z pogardą na jej tłustą twarz.



Jejmość w kolorowej chustce.

— Siedzieć spokojnie, kiedy tu tyle cudów za oknami? Nie, nie możemy!

Chociaż znamy tę krótką drogę nieomal napamięć, ale to przecie tak cudownie patrzeć! Migają za oknami domki podmiejskie w zwiędniętych ogródkach, rzędy słupów telegraficznych — plotkarek podają sobie po miedzianym drucie ostatnie nowinki od jednego porcelanowego dzwonka do drugiego! Druty biegną to wyżej, to niżej. Za nami pastwiska, już szronem ścięte, zadymione mgłą jesienną, z pośród

której czerwienieją pasące się krasule. Rżyska opustoszały, lasy rozziściły się krwawymi liśćmi, jakby je kto pokropił malinowym sokiem. A w oczy, a w twarz bije rozkoszny pęd chłodnego powietrza. W zapadającym mroku lecą, lecą iskry, niby rozżarzone robaczki

świętojańskie. Jak się wychylić na skraj, widać pędzącą lokomotywę, nakrytą pióropuszem dymu.

— Czy paniczom nie za gorąco? — pyta nagle z pasją skulony, trzęsący się Żydek, siedzący najbliżej otwartego przez nas okna.

Ale owa gderliwa jejmość, znać kłótniwa z usposobienia, bierze niespodzianie naszą stronę.

— Cóż ty myślisz, pudlu starozakonny! — wybuch gniewnie. — Śmierdzi cybulą, że skonać można, a biednym dzieckom okna otworzyć nie pozwala? Jak chtoś ma ekstra¹ grymasy, niech se salonkie fundnie!

Ale inni pasażerowie zaprotestowali. Jedni drugim zaczęli przygadywać, a nad wszystkimi górował krzykliwy dyszkant wsiowej przekupki:

— Ciarachy miastowe, delikatesy z morskiej pianki, naski wiater im szkodzi. Otwierajta chłopaki wszyćkie okna, niech zaduch wyńdzie!

Jędrak uszczypnął mnie, ja uszczypnąłem Jędrka. Bawiliśmy się bosko! Staraliśmy się nie uронić ani słówka z tej arcyciekawej dyskusji. Niema to jak podróże! Niech żyje szkarlatyna! Gdyby nie ona — męczylibyśmy się teraz nad słówkami czy też algebrą.

Nagle rzuciłem okiem na Żydka. Skulił się, przycichł i dygoce z zimna w tej podnieconej, wrogiej mu atmosferze wagonu. Jest sam jeden, tu wszyscy na niego »huzia«!

Trącam Jędrka.

— Ty, popatrz na niego, biedak cały siny, a ta baba wciąż mu ubliża. Trzeba natychmiast zamknąć

¹ Ekstra = specjalne.

okno, może się jeszcze przeziębi? Jesteśmy harcerze i kochamy wszystkich ludzi!

Jędrak z trzaskiem podnosi szybę. Wywołuje to nowy gwałt.

Wołam oburzony:

— Wszyscy są równi obywatele Polski, czy Polak, czy Żyd, czy jaki tam inny!

Milczenie, a potem śmiech. Wejście konduktora kończy zajście. My już grzecznie i cichutko siedzimy na ławce obok Żyda, który patrzy na nas z wdzięcznością.

Myślimy sobie: jak postąpiłby w tym wypadku Zawisza Czarny,² patron harcerzy? Ale prawda, wtedy jeszcze nie było kolei...

Pociąg z hukiem przelatuje zwrotnice i zwalnia. Oto jesteśmy już na miejscu.

IV. BASIÓWKA.

Basiówka jest cudna! Zaraz po spóźnionym podwieczorku (ciocia-babcia czekała na nas z herbatą i pysznym, pachnącym miodem) wydobyliśmy z za szafy nasze drewniane szable z jesionowego drzewa i hajda na pole! Szable te zrobił nam stary cieśla, żyjący u ciotki Heleny na łaskawym chlebie. Ach, cóż to za szable! Przy fechtunku,³ tną powietrze, aż śwista!

Za domem i za ogrodem jest ogromna, wilgotna

² Zawisza Czarny = znakomity rycerz polski z XV wieku, który walczył po całym świecie w obronie wiary i stał się wzorem cnót rycerskich.

³ Fechtunek = szermierka.



ST. ILLY-OWEN
39.

DWOREK BABCI

łąka, wznosząca się łagodnie ku wzgórzu. Łąka to bezkresna. To nasz step.

Tam to ja, jako Bohun,⁴ goniłem Jędrka-Skrzetuskiego,⁴ albo naodwrot.

Nazajutrz, niestety, od rana padał deszcz. To straszne!

Włóczyliśmy się skwaszeni z kąta w kąt, jak muchy w mazi; tak przynajmniej twierdziła stara Agata, kucharka ciocina.

Kręcąc się po pustym domu (ciotka — jak zwykle — była w szkole), zawędrowaliśmy aż do biblioteki.

— Słuchaj Kazik, tu jest ktoś obcy! — rzekł Jędrak z tajemniczą miną, węsząc w powietrzu, jak wyżeł. Ale trzeba mu przyznać — ma znakomite powonienie, niczem prawdziwy Indjanin!⁵

W istocie, ogromny stół zawalony był książkami, jakby dopiero co z półek zdjętymi. Poczuliśmy myszkować po nim.

— O, o, popatrz, nie mówiłem? — wołał Jędrak z triumfem, potrząsając grubym zeszytem, nawpół zapisanym.

W kącie stała stara, wygnieciona sofa z połamanymi sprężynami. Skoczyliśmy na nią z nogami, ściskając mocno tajemniczy zeszyt.

Przytuleni, głowa do głowy, poczęliśmy zrazu z trudem, potem coraz łatwiej sylabizować duże, wyraziste litery, ledwo co obeschłe z atramentu, kreślone nerwowym pismem.

⁴ Bohaterowie „Trylogji“ H. Sienkiewicza.

⁵ Indjanie = pierwotna tubylcza ludność Ameryki, odznaczają się silnie rozwiniętymi „my-ł-mi.

Tytuł brzmiał uroczyście, coś jak wypracowanie szkolne:

»Polska w niewoli«.

Czuliśmy przez skórę, że właściwie nie powinniśmy ruszać tych obcych zapisków, że to niewolno, i może właśnie dlatego paliła nas ciekawość.

Za mętnymi szybami monotonnie pluskał deszcz. Ze ścian patrzyły na nas stare, poczerniałe portrety. A na półkach drzemały grube, mądre tomy w zapyłonych oprawach.

Zatonęliśmy w lekturze, zapominając o nudzie...

V. TAJEMNICZY RĘKOPIS.

„...Ani bogowie, ani papierowe wycinanki. Nie, ludzie, jak i wy, z krwi i kości. Mieli swoje smutki i swoje radości. Swoje wzloty i swoje upadki... Nie byli tylko bohaterami, wyobrażonymi w bronzie lub kamieniu, na pomnikach. Gdyby ich tak wtedy nazwano, gdy walczyli i ginęli z imieniem Polski na ustach, srodzeby ich to zakłopotało!...”

— O kimże to mowa? — zapytałem, skrobiąc się w głowę.

— Ależ ty jesteś idjota! Że też takiego przepuścili do gimnazjum i to ma być mój brat? Kompromitujesz mnie! Spójrz na tytuł: Polska w niewoli! To przecież mowa o nich, Bojownikach Niepodległości!

Milczałem zawstydzony. W istocie, w II klasie gimnazjalnej nie wypada tego nie wiedzieć. Ale człowiek tak czasem głupieje...

— Szkarlatyna rzuciła ci się na mózg. Czytamy dalej! — zawyrokował Jędrzek z wyższością.

W rękopisie była mowa o rozbiorach Polski, o nie-
dołączonych rządach Rzeczypospolitej szlacheckiej, o ze-
psuciu obyczajów szlachty, będącej często na żołdzie
obcym przeciw własnej Ojczyźnie. Jak to źli a mocni
sąsiedzi: Rosja, Austria, Prusy, skorzystali z nierządu
i słabości naszej i rozgrabili państwo polskie.

A dalej omawiano wielką rewolucję w dalekiej Fran-
cji, absolutne rządy królów z Bożej łaski w państwach
ościennych i warcholstwo jedynej w Polsce warstwy,
która miała wówczas coś do powiedzenia: szlachty!

„...Majestat Rzeczypospolitej, majestat króla, majestat
władzy leżał w prochu zdeptany u schyłku XVIII wieku...
Wszystkiego było poddostatkiem w tej ówczesnej Polsce, za-
brakło tylko — charakterów!”

czytaliśmy na głos.

— To bardzo zajmujące! — zapalaliśmy się coraz
bardziej do tej przypadkowej lektury.

W dalszym ciągu była mowa o tem, jak ta szlachta
ocknęła się wreszcie i założyła związek dla ratowania
Ojczyzny, znany jako »konfederacja barska« z Kazi-
mierzem Pułaskim na czele. Ale niestety, było już
zapóźno, wróg triumfował, Polska przestała istnieć
jako państwo. Nie pomogły spóźnione reformy kon-
stytucji 3-go maja, ani powstanie naczelnika Kościuszki,
który po raz pierwszy odwołał się do chłopów, wzywając
ich do wspólnej ze szlachtą obrony Matki-Ojczyzny.
Warszawę wzięto szturmem, żołnierz poszedł na tu-
łaczkę.

A potem była mowa o wielkim Napoleonie i utwo-
rzonych przy jego armji we Włoszech Legjonach gene-
rała Dąbrowskiego, gdzie narodziła się owa sławna pio-



Polska z r. 1773.

senka, która dziś hymnem naszym się stała: »Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi włoskiej do polskiej...«

Czytaliśmy dalej o kongresie wiedeńskim i utworzeniu Królestwa Polskiego pod berłem cara. O spiskach wśród oficerów i patriotycznej młodzieży i o wielkim męczenniku sprawy narodowej — majorze Walerjanie Łukasińskim. A wreszcie — o powstaniu listopadowym...

„...Znak do boju — widniało w tajemniczym manuskrypcie — daje pożar szopy na Solcu,⁶ nad Wisłą. Podchorążowie i studenci-spiskowcy wypędzają z pałacu belwederskiego znienawidzonego namiestnika cara — wielkiego księcia Konstantego.

Powstaje ofiarny lud Warszawy. Zbroi się kraj cały i domaga, by natychmiast rozpocząć walkę.

Lecz niema wodza. Łukasiński — zapomniany, do działań rosyjskiego przykuty, idzie na dalszą mękę z ustępującymi w panice wojskami rosyjskimi. W twierdzy szlisselburskiej⁷ żyć będzie jeszcze długo, samotny a niezłomny.

Jest generał Chłopicki, sławny napoleończyk. Generał doświadczony, popularny, wódz w sztuce wojennej wypróbowany.

Ale on — nie wierzy w zwycięstwo. Nie ufa w siły własne i w siły narodu. Waha się, zwleka, czas drogi traci, pozwala się opamiętać przerażonemu wrogowi, pozwala mu zebrać siły i ruszyć ponownie na podbój Polski... Aż pada ranny na polach Grochowa...“⁸

— Chłopicki... — szepcze Jędrak w zamyśleniu — pamiętasz go? Grali u nas w szkole »Warszawiankę«,⁹

⁶ Solec = dzielnica na Powiślu w Warszawie, dziś ulica tej nazwy.

⁷ Twierdza szlisselburska = dawne więzienie stanu w Rosji.

⁸ Grochów = dziś podmiejska dzielnica Warszawy.

⁹ Warszawianka = sztuka teatralna St. Wy-piańskiego o powstaniu listopadowym.

takie amatorskie przedstawienie. Ty robiłeś starego wiarusa!

— Tak, pamiętam, miałem takie siwe wąsy z waty i cały byłem obszarpany, pan nauczyciel powiedział, że tak trzeba, bo ten wiarus idzie z meldunkiem z pola walki... Czytaj dalej!

„...Z Chłopickim pada i sprawa polska. Jeszcze kilka zwycięskich bitew tego najbitniejszego wówczas w Europie wojska polskiego i oto niepodległa Ojczyzna kurczy się do rogatki Warszawy.

Ginie na szanłach Woli jednonogi bohater, generał Sowiński.¹⁰ Warszawa dostaje się w ręce wroga.

Moskal triumfuje, w potokach krwi utopiwszy powstanie listopadowe“.

Milczeliśmy chwilę, by niebawem zagłębić się znów w lekturze. Czytaliśmy o emigracji Polaków zagranicę po upadku powstania, o skupieniu się jej we Francji, o narodzinach wielkiej poezji romantycznej z wieszczem Adamem Mickiewiczem na czele, niosącej hetmański sztandar przed narodem, i o nieustających próbach spiskowców wyswobodzenia Ojczyzny. Przesunął się przed naszą wyobraźnią rok 1846 — potworna rzeź ziemian przez chłopów galicyjskich za szatańskim podjudzeniem austriackich starostów i rok 1848 — »wiosna ludów«, która zachodniej Europie dała swobody konstytucyjne i wyzwolenie włościan z hańbiącego poddaństwa.

„A sprawa polska żyła wciąż. Wróg sam czuł, że stąpa jakby po wulkanie“¹¹ — widniały ostatnie słowa rękopisu...

¹⁰ Gen. Sowiński, inwalida, stracił nogę w wojnach napoleońskich.

¹¹ Wulkan = góra, wyrzucająca z wnętrza ziemi ogień.

VI. PAN ZYGMUNT.

Zaczytaliśmy się, zasluchali w te dziwne, stare historie tak całkowicie, że nie słyszeliśmy ani otwarcia drzwi, ani kroków, ani gniewnego sapania.

Myśleliśmy o tym groźnym wulkanie, po którym stapał zaborca po stłumieniu powstania 1831 i rewolucji 48 r.... A tu tymczasem my sami też znaleźliśmy się prawie jak na wulkanie.

Nad moją głową i Jędrka zagrzemiał nagle głos jakiś srogi:

— A kto wam pozwolił buszować po cudzych papierach? Co wy za jedni? Skąd przychodzicie? Pewno macie brudne paluchy i poplamiliście już moje notatki! Zaraz się o tem przekonamy!

Struchleliśmy i podnieśliśmy oczy. Tuż przy starej kanapie stał jakiś duży pan ze zmoczoną od deszczu czupryną i wymachiwał nad naszymi głowami wyrwanym z rąk Jędrka zeszytem.



Na starej kanapie...

Usłyszałem jeszcze trwożny szept mego brata:

— Przepadliśmy, to ten jakiś obcy! — i siedzieliśmy cichutko, przytuleni do siebie, jak zające na miedzy.

A srogi pan pokrzykiwał nad nami grubym głosem

i opowiadał nam, co też on wszystko z nami zrobi za karygodny czyn zakradnięcia się do biblioteki.

Więc dałem kuksa Jędrkowi i mówię pocichutku:

— Jędreku! Gadaj ty, taki wymowny!

A Jędreku odpowiada mi tak samo:

— Nie, za nic w świecie, ty jesteś przecie starszy!

Wkońcu zaczęliśmy gadać obaj naraz:

— My, proszę pana, siostrzeńcy cioci-babci i nic złego z pana zeszytem nie robiliśmy!

— Jakiej cioci-babci, do licha?

— Cioci-babci Heleny!

— Pani Heleny Skolimoskiej?

— Tak jest, a że deszcz padał i nudziliśmy się, więc jak znaleźliśmy ten zeszyt, zaczęliśmy czytać i czytaliśmy tak dalej i dalej, bo nam się bardzo podobało!

— Podobało się wam, smyki? — rzucił obcy, jakoś już mniej srogo.

— O, jeszcze jak! — wykrzyknęliśmy z zapalem. — Bardziej, niż jakaś fantastyczna bajka...

— Ha, jak tak... — zawołał obcy pan i zanim mogliśmy się spostrzec, usiadł między nami na kanapie i posadził nas obok siebie, mnie z jednej, Jędrka z drugiej strony. Zrobił to jakoś tak zwinnie i lekko, że odrazu nabraliśmy do niego zaufania.

A w otwartych drzwiach mrocznej biblioteki stała ciocia Helena w ociekającym wodą płaszczu gumowym i śmiejąc się w głos udawała zagniewaną:

— Panie Zygmuncie, panie Zygmuncie! Jest pan niepoprawny! Najprzód krzyczy pan na chłopaków, niby Herod srogi, za niewinne przeglądanie pańskich

bazgrot, a zaraz potem przyjaźni się pan z nimi i rozpuszcza jeszcze gorzej, niż ja!

Obcy pan zerwał się na te słowa z kanapy i rzekł usprawiedliwiającym się głosem:

— Pani dobrodziejko łaskawa, ja już taki jestem! Złąkłem się bardzo o moje notatki, boć to mój odczyt niedzielny w Domu Ludowym!

Wszystko to się nam bardzo podobało po chwilowym przestרחu. Czuliśmy, że zyskujemy nowego przyjaciela.

— O ile mi pan przyrzeknie, że mi pan chłopców nie zje, to pójde przygotować coś bardziej odpowiedniego na kolację, a wy tymczasem bawcie gościa!

— Więc ten pan, to gość cioci! — pomyśleliśmy, już całkiem uspokojeni, że jednak będzie wolał ciociną jajecznicę, niż nas.

Po wyjściu ciotki, usadowiliśmy się we trzech na kanapie, przyglądając się sobie nawzajem z zajęciem.

Pan Zygmunt miał dużą czarną czuprynę, długi ostry nos i coś dziwnie pociągającego w twarzy. Usta mu się śmiały, ukazując dwa rzędy mocnych zębów, jak u ciocinego dobermana Rolfa.

W klapie jego marynarki widniała kolorowa wstążeczka i złota P. O. S.¹² — cel marzeń wszystkich chłopców. Musiał być nielada z niego sportowiec, zresztą miał całe ciało w istocie giętkie i silne, jak lekkoatleta.

— A ta wstążeczka? — zapytałem po chwili nieśmiało.

¹² P. O. S. = państwowa odznaka sportowa,

— To »krzyż niepodległości«, piękny order, mogą go dostać tylko ci, którzy w czasie zaborów z bronią w ręku walczyli o Polskę.

Umilkłem. Zaimponowało nam to.

VII. GAWĘDA WIECZORNA.

Jajecznicza z kielbasą u cioci-babci, to chyba najlepsza potrawa na świecie!

Zajadaliśmy ją, że aż się nam uszy trzęsły.

A potem wróciliśmy do biblioteki, gdzie już na nowo podsycony palił się wesoło ogień na kominku; staroświecka lampa naftowa z kloszem z mlecznego szkła, przedstawiającą kulę ziemską, rzucała wokoło łagodne, żółte blaski.

Rozsiedliśmy się we czworo na starej kanapie.

Dowiedzieliśmy się w międzyczasie, że pan Zygmunt jest instruktorem strzeleckim i zapalonym działaczem ludowym.

— Jak to się wszystko zmieniło! — mówiła dalej nasza kochana ciocia-babcia, patrząc w ogień z zadumą.

— Pamiętam, przed wojną, za takie rzeczy szło się na Sybir!¹³ Gdy przychodziłam na świat — było to

¹³ Sybir = azjatyckie posiadłości Rosji, dawniej miejsce zsyłania przestępców.

niedługo po powstaniu styczniowym — ludzie bali się mówić głośno z sobą! A dziś? Jaka różnica! Ile zmian!

— A dlaczego pan przerwał swój odczyt w najciekawszym miejscu? — zabrzmiał nagle głos Jędrka.

— A no, bo widiecie musiałem wyjść i rozłożony zeszyt zostawiłem na stole, nie przypuszczając, iż bawi tu na wsi dwóch takich wścibskich kawalerów, którzy wszędzie nieproszeni nosy muszą wsadzić!

— Zato nam pan opowie, co tam jeszcze dalej miało być! — wtrąciłem swoje trzy grosze.

— A no dobrze, opowiem. To właśnie to, o czym wspomniała wasza ciotka: ostatni bohaterski poryw zbrojny staro-ego pokolenia, świadczący o wielkości narodu. To rok 1863...

— Uczyliśmy się o tem w szkole, ale niech pan opowie! — powiedzieliśmy obaj naraz.



Podchorąży
z r. 1830.

VIII. ROK 1863.

— Spotykacie zapewne czasem na ulicy — rozpoczął pan Zygmunt — miłych staruszków w granatowych mundurach, krojem czamary ¹⁴ czy też długiego surduta...

— Jeden nawet mieszka obok nas! — wpadłem

¹⁴ Czamara = strój staropolski.

w słowa opowiadającemu — ma amarantowe wypustki i cyfrę »1863« na ramionach...

— Gdy go spotykam — dodał Jędrak — patrzę na niego, jak urzeczony, bo mi ojczyk powiedział, że to już ostatni z tamtego pokolenia!

— Tak jest, drogi chłopcze, ostatni! — potwierdził pan Zygmunt.

— Oni to w siódmym dziesiątku minionego stulecia chwycili za broń, jaka była pod ręką, by zaprotestować przeciw hańbie niewoli. Margrabia Wielopolski, ówczesny namiestnik cara w Królestwie Polskiem, zarządził na własną rękę brankę¹⁵ do wojska rosyjskiego, by w ten sposób stłumić wrzenie rewolucyjne, które wstrząsało Warszawą i całym krajem. Chciał przeszkodzić wybuchowi powstania, które uważał za zgubne dla Polski. Zarządzeniami swemi tylko je przyspieszył. Młodzieńcy poborowi i ich towarzysze uszli w lasy na tajny rozkaz Rządu Narodowego. Na

Ostatni z tamtego pokolenia (1863 r.)...

miejscach zbiórki czekali naczelnicy partyj, starzy rewolucyoniści, oficerowie bądź to ze szkół rosyjskich, bądź też z polskiej szkoły wojskowej z Cuneo we Włoszech, gdzie emigranci polityczni przygotowywali się do walki zbrojnej o wolność.

¹⁵ Branka = pobór wojskowy.

— Z początku był to ruch wybitnie szlachecki. Nie umiano poruszyć mas chłopskich ani robotniczych. Panował u nas pod tym względem niesłychanie zacofany ustrój. W granicach państwa rosyjskiego wieśniak pozostawał wciąż jeszcze w stosunkach pańszczyźnianych do dworu, podczas gdy w całej już Europie uwłaszczono go. Ale »Wiosna ludów« 1848 r. zatrzymała się na słupach granicznych carskich włości. Rosja nie przeszła przez wstrząs wolnościowy reszty Europy. Wielkie przemiany społeczne Zachodu były jej obce i nieznane.

— Ziemie polskie, pozostające w jarzmie cara, dzieliły ten sam los. Sprawa chłopska czekała na rozwiązanie. Ostatni sejm polski z powstania listopadowego 1830-31 roku, choć wziął ją pod obrady, wniosku o uwłaszczenie nie przeprowadził. Próżno potem Towarzystwo Demokratyczne w Paryżu przez lata emigracji nawoływało z zagranicy, by ziemianie nasi dobrowolnie uwłaszczenie w majątkach swych przeprowadzili. Krótkowzroczność warstwy ziemian i opór władz rosyjskich, siejących nienawiść między wsią a dworem, sprawiły, iż masy chłopskie rok 1863 powitały przeważnie biernie. Nieliczna tylko służba dworska, gajowi po lasach i trochę bardziej uświadomionej młodzieży wiejskiej przyłączyło się do partyj zbrojnych. Udział większych mas chłopskich zaznaczył się dopiero pod koniec powstania.

— W czasie trwania walk, rząd rosyjski zrozumiał grozę położenia i dał chłopom swobodę, wygrywając tem samem zasadniczy wyścig o ich duszę. Bo choć ta »wielkoduszność« carska, dokonana kosztem polskich

ziemian, była tylko sprytną grą polityczną, w oczach mas ludowych panujący wówczas Aleksander II zyskał przydomek »oswobodziciela«; r. 1864 złączył się w umysłach ludu wiejskiego ze świadomością oswobodzenia z poniżającej pańszczyzny z łaski Rosji, a nie z walką narodu o wolność!

Umilkliśmy, wpatrując się w tlejące na kominku głównie...

— A jednak — podjął znów nasz nowy przyjaciel — były widoki powodzenia. Ochotników do walki nie brakło: przez szeregi wojska powstańczego przeszło ponad 100.000 ludzi. Gdyby byli wystąpili równocześnie, zgodnie — siła to byłaby wystarczająca na pobicie źle rządzonej i wstrząsanej również ruchami rewolucyjnymi Rosji. Mimo to aż osiemnaście miesięcy trwało bohaterskie zmaganie się partyzantów, źle uzbrojonych i licho odzianych, głodnych i niewyćwiczonych, ale idących z zapalem, z wesołą piosenką i impetem do boju — z całą miljonową potęgą cara. Płynęły pieniądze i ofiary w naturze. Broń i ochotnicy napływali przez pilnie strzeżone kordony. Wszyscy spełniali ochocho i skwapliwie rozkazy tajemniczego Rządu Narodowego z Warszawy, który był postrachem Moskali. Po dwóch latach tropienia, aresztowano jego członków. Naczelnik Romuald Traugutt zginął śmiercią męczeńską na stokach cytadeli warszawskiej. Na stryczek poszło wielu jego najbliższych towarzyszy. Więzienia i Sybir wypełniły się znów polskimi skazańcami. Powstanie stłumiono bezlitośnie...

— To przetrwać i nie ulec potrafi jedynie wielki naród! — ozwał się z mroku drżący głos cioci.

— Gdzież leży tajemnica tak długiego oporu, tajemnica tej wielkości narodu? — rzekł pan Zygmunt wstając i sięgając na półkę po jakiś tom w czerwonej oprawie.

— Sięgnijmy po wyjaśnienie tej zagadki — mówił dalej, otwierając książkę — do najbardziej miarodajnego źródła, do pism Józefa Piłsudskiego, najwnikliwszego badacza epoki...

„Chcę, żeby groby przemówiły“, pisze Piłsudski, szukając w wielkim ruchu wielkości narodu. „Wielkości, gdzie twoje imię?“ tragiczne stawia pytanie i tak na nie odpowiada: „Nie ludzie, nie zwalczające się partie polityczne „Białych“ i „Czerwonych“, ani nawet wielki Margrabia. Gdym czytał, gdym szukał, gdym badał, natrafiałem powoli na to, co ruch cały trzymało tak długo. Nie mogłem się pogodzić, by małość wielkich rzeczy dokonać mogła, by samo szaleństwo, sama śmieszność zdołała zmusić, aby wielkie państwo cara, mające na swe usługi tysiące żołnierza, olbrzymią technikę pracy państwowej, więzienia i baty, rok cały, całe 365 dni, toczyło z wysiłkiem wojnę ze słabością i z szaleństwem. Silnym być trzeba, by się nie poddać w takiej walce, by walkę tak długo toczyć. Wielkości, gdzie twoje imię?“

„Wielka epoka wielkich ludzi nie dała lub większym z tej doby niezwalczone przez nich przeszkody na drodze postawiła. Gdzie wielkich w podobnych czasach zabraknie, ludzie szukają symbolu siły, symbolu swej wartości, w instytucjach, w symbolicznych nieraz dziwolągach“.

„W r. 1863 istniał taki symbol, który silnie, ba — nieraz wszechwładnie panował nad ludźmi. Była nim pieczęć — pieczęć Rządu Narodowego“.



Pieczęć Rządu
Narodowego.

„Widywałem ją w różnych muzeach — kawałeczek bibułki z drobnem pismem, u spodu pieczęć. To symbol siły...”

„....I gdy raz jeszcze rzucam pytanie: wielkości, gdzie twoje imię? znajduję odpowiedź: wielkość naszego narodu w wielkiej epoce 1863 roku istniała, a polegała ona na jedynym może w dziejach naszych rządzie, który nieznany z imienia, był tak szanowany i tak słuchany, że zazdrość wzbudzić może we wszystkich krajach i u wszystkich narodów...”

Pan Zygmunt zamknął książkę i zamilkł. Wypatrywaliśmy w ogniu płomiennych cyfr: 1 8 6 3..., którym na imię: »wielkość narodu«!

— Po upadku powstania — odezwał się pan Zygmunt po długiej chwili — został już tylko »Kraj Prywiślański«,¹⁶ który zamarł w swym bólu na lata całe. W tych najsmutniejszych latach niewoli narodziła się i opanowała większość umysłów oświeconych trzeźwa myśl t. zw. pracy pozytywnej nad gospodarczem podniesieniem kraju z ruiny. Lecz niebawem przerodziła się ona w ideał bogacenia się za wszelką cenę. Rosja carów z niezmierzonym swym bogactwem, obszarami i milionami ludności, dawała ku temu nieobliczalne wprost możliwości dla ludzi sprytnych a energicznych, co jednak samo w sobie celem narodowym być nie mogło.

— Krew Polaków poczęła się chemicznie mieszać z krwią zaborców, jak pisze o tem marszałek Piłsudski. Dało to w wyniku pogodzenie się z niewolą i wyrzeczenie wogóle idei niepodległości przez owe wzbogacone warstwy. Narodził się lojalizm państwowy w zaborze austriackim, obdarzonym pewnemi swobodami autonomicznemi, co gorzej — lojalizm nawet do rzą-

¹⁶ Kraj Prywiślański = rosyjska nazwa Królestwa Polskiego.

dów carskich w Petersburgu, w imię jakiejś mglistej koncepcji oparcia się na zawsze o Rosję. I gdy przyszła w 50 lat potem wojna światowa, Polacy z każdego zaboru dobrowolnie i bez sprzeciwów poszli krew swą przelewać dla obcych...

Słuchaliśmy tego, zaciskając pięści. Biły nas po twarzach te słowa okrutne!

— Choć straciliśmy przez te lata prześladowań tysiące najlepszych serc i najtęższych umysłów, choć tyle ponieśliśmy szkód — to słuchajcie chłopcy: jeśli ktoś wam jeszcze, kiedyś wspomni, jak nam za młodu mówili, że to wszystko było jedynie niepotrzebnem szaleństwem — wtedy wskażcie na cień wielkości narodu, unoszący się nad powstańcami mogiłami, który tym słowom zadaje kłam! Bo gdyby nie zastęp wciąż odradzających się Bojowników Niepodległości, kto wie, czy moglibyśmy odbudować państwo nasze, takie — jakie jest obecnie!

— Krew z ran tych bohaterów, wsiąkająca w ziemię polskie i niepolskie, miała jakieś cudowne właściwości: rodziła nowy czyn i nowych ofiarników. Rozum ludzki tego nie pojmie!

— Bo oto w dobie największego upadku ducha i śmiertelnego przygnębienia narodu rodził się na Wileńszczyźnie, w owej krainie mogił i krzyżów, najsrożej może uciskanej, mąż, w którego żyłach drgały wszystkie bóle i wszystkie pragnienia stuletniej walki o niepodległość.

— Imię jego, wówczas jeszcze nieznane, rosło i rośnie i rósć będzie jeszcze przez lata...

— W roku 1867 urodził się w Zułowie, w powiecie święciańskim, Wódz Narodu — Józef Piłsudski...

JÓZEF PIŁSUDSKI.

Urodzony 1867 w Żuławie na Wileńszczyźnie, gimnazjum ukończył w Wilnie, wydany z uniwersytetu w Charkowie za działalność antyrosyjską, zesłany 1888 administracyjnie na Syberję jako podejrzany o udział w zamachu na cara, wraca do kraju 1892. Za przynależność do Polskiej Partji Socjalistycznej i tajne wydawanie pisma „Robotnik“, aresztowany ponownie, ucieka z więzienia i przenosi się do Krakowa. W r. 1904 przebywa w Japonji w związku z rozgrywiącą się wojną rosyjsko-japońską. W r. 1905 bierze udział w rewolucji i organizuje oddziały bojowe. Po złamaniu przez carat ruchów rewolucyjnych w Królestwie, wyjeżdża do b. Galicji, gdzie w r. 1908 tworzy „Związek Walki Czynnej“ i przygotowuje naród do wybuchu wojny. W sierpniu 1914 r. wraz ze zmobilizowanymi „strzelcami“ przekracza kordon graniczny i rozpoczyna bój o Polskę. Do r. 1916 walczy bohatersko na czele swych legjonistów, którzy będą później zaczątkiem wojska polskiego. W r. 1916 podaje się do dymisji, przebywa w Warszawie, rozwiązuje Legjony, wzmacnia szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej, aresztowany przez Niemców, wraca z Magdeburga 11. XI. 1918 i staje na czele tworzącego się państwa polskiego. Obrany naczelnikiem państwa i wodzem naczelnym, wygrywa wojnę z Rosją. W 1922 r. usuwa się w zacisze domowe. W maju 1926 r. wkrocza z wiernem mu wojskiem do Warszawy i ustanawia nowy ład w państwie, który trwa do dziś dnia. Obierany kilkakrotnie prezydentem, wyboru nie przyjmuje, ograniczając swą działalność do polityki i wojska, jako najstarszy stopniem oficer — pierwszy marszałek Polski.



EPIZOD Z DZIECIŃSTWA MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

WOJOWNICZY „ZIUK”¹⁷

W roku 1877 dzisiejszy marszałek Piłsudski był małym, dziesięcioletnim chłopcem, hasającym po rodzinnej wsi Zułowie, położonej na Wileńszczyźnie.

Nikt jeszcze wówczas nie przeczuwał w nim genjuszu Wodza Narodu.

Dzieci bowiem są tylko dziećmi, choćby przeznaczone były do odegrania w wieku dojrzałym najbardziej doniosłej roli. Biegają, bawią się, skaczą podobnie jak i te, z których później wyrasta szary, nic nie znaczący tłum. Ale w małym Ziuku kiełkowało coś nawet wówczas, gdy nosił krótkie spodeńki i przepadał za konfiturami. Wyrażało się to w snuciu dziwnych, jak na małego chłopca, marzeń. Wzrastał w atmosferze powstaniowej, gdy w dworach polskich trwała żywa jeszcze, bo jakby wczorajsza, tradycja poniesionej klęski, tradycja nienawiści do moskiewskich ciemieżców. Nic więc dziwnego, że żywy jego umysł zwrócił się właśnie ku owym czasom i sprawom. One to były przedmiotem Jego dziecinnych planów, one wypełniały Jego myśli między bieganiem po polach i lekcjami języków z boną.

Pewnego razu takie nawiązał do tych czasów wspomnienie:

— Mając lat dziewięć albo dziesięć — mówił — postanowiłem sobie, że gdy tylko skończę lat piętna-

¹⁷ Tak nazywano w dzieciństwie marszałka Piłsudskiego.

ście, a więc osiągnę, według swego ówczesnego mniemania, szczyt dojrzałości męskiej, to zrobię powstanie i wyrzucę Moskali z Podbrzezia...¹⁸

Marzenia dziecinne, nierealne, przyoblekły się w rzeczywistość. Dzisiaj istotnie w Podbrzeziu Moskali już niema i napewno nigdy nie będzie.

Może dlatego, aby przysposobić się do późniejszego »wyrzucenia Moskali«, mały Ziuk był chłopcem bardzo wojowniczym.

— W domu — wspomina o tem — panowało bardzo często ogromne zamieszanie. Do organizacji »armji« trzeba było bowiem używać nietylko wszystkich znanych chłopców, ale także krzesel, stołów, stołków, foteli, szaf, a nawet doniczek z kwiatami. Sąsiedzi nasi i urządzenie mieszkania bardzo na tem cierpiało; ale matka pozwalała na wszelkie harce bez najmniejszego szemrania. Dla niej nigdy nie było dokuczliwe to, co my, małe smyki, robiliśmy.¹⁹

Myśl o walce za Polskę, zrodzona tak wcześnie w marszałku Piłsudskim, nurtowała w nim nieustannie. Od najmłodszych klas gimnazjalnych, gdy snuł buntownicze plany, poprzez lata studjów uniwersyteckich, gdy począł je wcielać w życie, poprzez cały ciąg długich dziesiątków lat, dzielących Jego dzieciństwo od chwili, gdy stał się tem, czem jest dziś: głową swej Ojczyzny i Jej pierwszym obywatelem — myśl ta przyświecała Mu zawsze. Ona to pozwoliła Mu znieść więzienia, zesłanie na Sybir i ciężkie, pełne niebezpie-

¹⁸ Miasteczko leżące w pobliżu majątku rodziców Pana Marszałka.

¹⁹ Było to już podczas pobytu w Wilnie.

czeństw i trudów życie z uśmiechem na ustach i z żarliwą wiarą w niezłomnem sercu.

Na podstawie wspomnień osobistych marszałka Piłsudskiego — napisał

kpt. Mieczysław B. Lepecki

PRZED ŚWITANIEM

I. KAZANIE.

W sobotę wieczór przyszła depesza, że nazajutrz przyjeżdża Jasia. Co za radość! Naturalnie, że poszliśmy po nią na kolej.



...Malutka stacyjka... z napisem: „Witajcie“.

Obaj w naszych nowych mundurkach wygląda-
liśmy dostojnie. Tak nas przynajmniej określił nasz
nowy przyjaciel, pan Zygmunt, obejrzawszy i uści-
skawszy na »dzień dobry«. Potem prędiutko poleciał
do Domu Ludowego, którego poświęcenie ma się dziś
odbyć.

Malutka stacyjka z czerwonej cegły, pusta zazwy-
czaj i jakby zaspana, była w dniu tym pełna ludzi.
Ozdobiono ją biało-czerwonemi flagami i napisem
z sośniny: »Witajcie«!

Zajechał wreszcie długi, zasapany pociąg. Wysz-
pało się z niego istne mrowie.

Z trudem odszukaliśmy Jasię i uczepiliśmy się ra-
dośnie jej ramion.

— Ależ tu gwarno dzisiaj — rzekła nam na po-
witanie.

— No, myślę — odpowiedziałem z dumą, jakbym
był co najmniej wójtem w tej gminie. — Toż to nie
byle jakie święto! Ale świetny miałaś pomysł z tym
przyjazdem!

— Cieszyć się? — zapytała nasza kuzyneczka.

— Jeszcze jak! — zakrzyknęliśmy obaj. — A co tam
słyszać z kochaną szkarlatyną?

— Ach wy nic dobrego! Chcielibyście leniucho-
wać rok cały?

— No, nie — odparł Jędrak zakłopotany. — Ale
z miesiąc by się przydało, tu tak przyjemnie, zwłaszcza
odkąd poznaliśmy pana Zygmunta! Byczy chłop, mó-
wię ci! I ty go też polubisz...

— Ale kto to jest?

— Gość cioci, będzie miał dziś śliczny odczyt

w Domu Ludowym. Myśmy go już czytali — dodał Jędrak niedbale, ze źle ukrywaną dumą.

Ten Jędrak musi się zawsze czemś pochwalić!

Jeden przez drugiego opowiadaliśmy Jasi o znalezionym w bibliotece rękopisie i o poznaniu autora.

Tak wesoło rozmawiając, szliśmy skrajem drogi, wysadżanej starem topolami. Prowadzi ona ze stacji aż do wsi. Obok nas waliła cała »okolica«, jak to tutaj mówią, na piechotę lub na wozach.

Dzień był pogodny i rześki. Droga niedaleka.

Na placu przed kościołem ludzi zebrało się jeszcze więcej. Obok Urzędu Gminnego białął świeżo wykonczony dom piętrowy, ubrany zielenią i chorągiewkami. Z balkonu zwisały piękne dywany. Na nich widniały portrety Pana Prezydenta i Pana Marszałka, otoczone girlandami. Dołem czerwony napis na białej wstędze głosił: »Niech żyje Polska Niepodległa«!

Weszliśmy do kościoła, z trudem przepychając się przez ciżbę. Wszyscy nas tu znali i uśmiechali się do nas przyjaźnie.

— To panicze od naszej nauczycielki! — szeptali wokół nas.

Ciotka nasza cieszyła się miłością i poważaniem wszystkich. Widzieliśmy ją zdaleka, jak siedziała w pierwszej ławce obok pana starosty i innych panów z miasta. Czarno ubrana, jak zwykle, jakaś taka uroczysta, modliła się z dużej książki do nabożeństwa. Wpadające przez witraże¹ promienie słoneczne igrały na jej siwych włosach, na licznych kolorowych chorągwiach i na złocistym ornacie księdza proboszcza.

¹ Witraże = okna z kolorowego szkła.

Stał on właśnie na ambonie i przemawiał. Kazanie widać było piękne. Ludzie wzdychali, pokasływali i głośno wycierali nosy.

Usłyszeliśmy tubalny,² też jakby wzruszony, głos kochanego naszego proboszcza:

— ...I ten Dom Ludowy, który dziś wam otworzy swe podwoje, powstał z waszych groszowych składek, zacni oracze; od ust sobie odejmowaliście, niejedyn nie dojadł i nie dospał, siebie i szkapę swoją zmitrężył, byleby tylko zbożne dzieło doprowadzić do końca! »Błogosławieni maluczcy«! mówi Pan...

Wiedzieliśmy dobrze, że nie mało do tego dzieła przyczyniła się nasza ciocia — babcia. I namową i własnym przykładem. Tak nam powiedział pan Zygmunt.

A ksiądz mówił dalej:

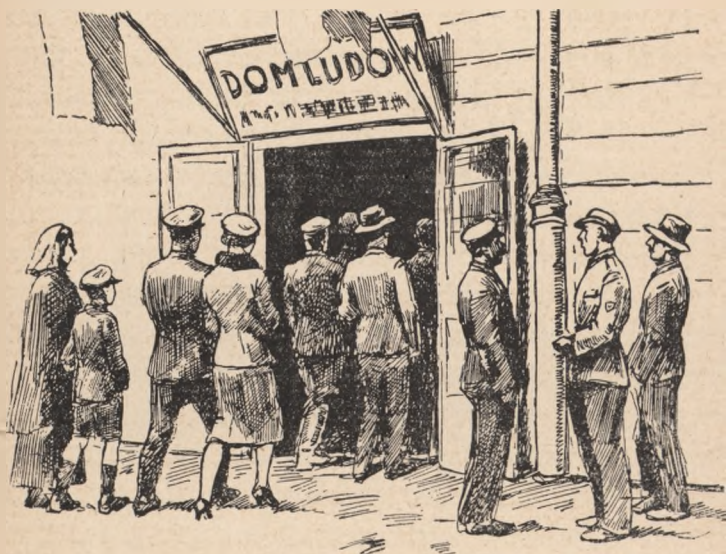
— ...Nie tak dawne to czasy niewoli... Starsi z pośród was jeszcze je pamiętają: wojnę na Dalekim Wschodzie z małymi, ale bitnymi Japończykami; rewolucję 1905 r... Wówczas przestraszyć ogarnął zaborców, bo w sercach polskiego ludu nie tylko po miastach, na fabrykach, ale i po wsiach także, budziły się nowe pragnienia i nowe tęsknoty. Już to nie byli ci sami pańszczyźniani chłopci, jak za powstania styczniowego, którzy za rubla własnych braci wydawali na męki. Tajne nauczanie, zabronione przez Moskali, książki, z rąk do rąk podawane, zrobiły swoje. Co światlejszym włościanom otwierały się oczy. Poczuli się synami jednej Matki-Ojczyzny. Aż wreszcie Bóg dał, iż wyszła z mroków niewoli, z podziemi tajnych spisków

² Tubalny = donośny.

i przygotowań — Wolna, Zjednoczona, Niepodległa...
Polska! Ten Dom Ludowy, który dziś poświęcamy,
ma właśnie tej Jasnej Pani naszej służyć...

II. DOM LUDOWY.

Bielona sala Domu Ludowego zastawiona była
sosnowymi ławami. Świeże drzewo pachniało jeszcze
żywicą.



...Bielał świeżo wykończony dom ludowy...

Okazała się jeszcze za mała, by pomieścić wszystkich; masa ludzi tłoczyła się u drzwi i u okien, w sieni
i na drodze przed domem.

Wsunęliśmy się w kącik, mocno ściskając Jasię za
ręce.

— Popatrz! To jest pan Zygmunt! — zakrzyknę-

liśmy obaj. — Zaraz będzie przemawiał, tylko pan starosta skończy!

Kuzynka nasza, zamiast powiedzieć coś mądrego, rzekła cicho, nachylając się ku nam:

— Przystojny! Oczy ma śliczne... I poczęła mu się mocno przyglądać.

— Babskie gadanie! — mruknął Jędrak. — I co z tego, że przystojny? Ale żebyś wiedziała jaki mądry...

A że takie śliczne oczy ma mieć, tego dalibóg jakoś nie zauważyliśmy.

— Bardzo dobry i bardzo miły! — dodałem, złożąc się w duchu na Jędrka, że on chce mieć zawsze ostatnie słowo.

Tymczasem musieliśmy się uciszyć, bo przeszkadzaliśmy innym. Uroczystości i przemówienia trwały dalej. Mówiono o miłości Ojczyzny i o obowiązkach obywatela i o innych takich pięknych rzeczach.

A potem cała sala zatrzęsała się od okrzyków.

Staliśmy tuż koło otwartego okna i widzieliśmy na placu przed domem w sznur wyciągnięte kompanje strzeleckie i straż pożarną i przysposobienie wojskowe.

Orkiestra grała »Jeszcze Polska...« Błysnęły szable strzeleckich oficerów, zabrzmiały ostre słowa komendy, szcęknęły karabiny. Kompanje zamaryły w bezruchu, prezentując broń.

Było bardzo ładnie. Wszyscy byli wzruszeni. Czułem, że i mnie coś ściska za gardło. Nogi same chciały skakać pode mną w takt radosnego »Mazurka Dąbrowskiego«, ale stałem cichutko, wyprostowany jak należy w czasie hymnu narodowego. Chyba żaden naród na świecie niema takiego pięknego!

Zaraz potem stanął za pulpitem pan Zygmunt, blady trochę, ale rezolutny.

Wstrzymaliśmy oddech w piersi.

»...Ani bogowie, ani papierowe wycinanki...« — brzmiały jego pierwsze słowa. Zналиśmy je, zналиśmy dobrze!

A on mówił z coraz większym ogniem w głosie. Rozpalał się widocznie sam tem, co mówił.

Nie wytrzymałem i pociągnąłem Jasię za suknię: — A co Jaśka, jak ci się zdaje?

Ona miała też wypieki na twarzy i szepnęła tylko, wpatrzona w mówiącego:

— Nie przeszkadzaj!

Węc wzruszyłem ramionami i słuchałem.

Gdy wreszcie skończył, cała sala zatrzęsa się od oklasków. Gratulowali mu wszyscy. I pan starosta i pan wójt i nasza ciocia-babcia i różni chłopci.

Ale on dojrzał nas i podbiegł, wołając wesoło:

— No, jak tam, zadowoleni jesteście ze mnie?

— Bardzo było ślicznie, gadał pan, jak ksiądz w kościele — krzyknęliśmy obaj z entuzjazmem. Ucieszyło go to widocznie, bo mnie i Jędrka pogłaskał po twarzy.

Obróciłem się i ujrzałem, że nasza Jasia stoi tuż obok i gapi się wciąż na niego. Węc pociągnąłem ją za rękę i rzekłem:

— Proszę pana, a to nasza kuzynka Jasia!

— Chciałam i ja także serdecznie panu podziękować za ten śliczny odczyt!

— Bardzo mi miło — odparł pan Zygmunt, jakby czegoś zakłopotany — mnie to samego zawsze wzrusza, ta historia Polski w niewoli...

Ale potem zwracając się do mnie dodał:

— Wiesz, mój kawalerze, na mistrza ceremonji³ się nie nadajesz. Nie jest to w zwyczaju przedstawiać mężczyznom kobiety, lecz naodwrot!

Bardzo się tem speszyłem. Ale widocznie Jasia też, dlaczego — nie wiem, bo to przecież tylko moja wina! A mimo to zarumieniała się aż po uszy.

Pan Zygmunt tymczasem skłonił się przed nią pięknie, aż zwichrzyła mu się czupryna, i wymienił swoje nazwisko. Jasia znów spiekła raka, dygnęła jakoś tak śmiesznie i wyciągnęła swoją wąską rękę ponad naszymi głowami. Pan Zygmunt długo tę Jasiną rękę trzymał w swojej, potem nachylił się i ucałował ją.

Jasia znów się zawstydzila i spuściła oczy.

III. STARY KOWAL

Co tam dalej gadali z sobą — nie wiem, bo na podwyższenie wszedł stary kowal Kasprzak, stukając swoją drewnianą nogą. Stracił ją na wojnie.

Ubrany był poważnie, na czarno, wąsy miał sztywno wykręcone do góry.

Uklonił się wszystkim pięknie i rzekł:

— Wszystkich szanownych państwa przepraszam

³ Mistrz ceremonji = urzędnik dworski w dawnych czasach.



...Na podwyższenie wszedł stary kowal...

za moją śmiałość, iż w takiej uroczystej chwili głos zabieram. Ale jakem tu już przykuszytykał na tej mojej drewnianej nodze, tom sobie umyślił przecie parę słów wam powiedzieć.

— W pierwszym słowie mojem niech mi wolno będzie pięknie podziękować panu instruktorowi w swoim i wszystkich ludzi wsioowych imieniu za tę piękną pogadankę o tej naszej ukochanej Matce-Ojczyźnie. Jak to Ona w niewoli jęczała i jak to raz po raz do bitki się zrywała o swoją niepodległość. Tak to nam pan ślicznie pokolei wyszczególnił, że się aż jaśniej we łbach zrobiło.

— Oj, żeby ludzie częściej takie mądre słowo słyszeli, toby naród chętniejszy był w robocie, a mniej skory w narzekaniu. Ale teraz, jak my tu we wsi mamy już nasz Dom, to spodziewam się, że różnych takich odczytów nie zbraknie.

— Ja specjalnie się tem raduję, bom wiele w życiu przeszedł i wiele przecierpiał.

— Długo ja już żyję i niejedno widziałem. Jako chłopak jeszcze, gdym na fabryce pracował, zapisałem się do Polskiej Partji Socjalistycznej,⁴ którą to u nas dzisiejszy pan marszałek Piłsudski zakładał. Czytywałem wieczorami ukradkiem tę naszą robotniczą gazetę, co się tajnie w mieście Łodzi drukowała. Nazywała się ona »Robotnik«. I w istocie trafiała ci ona w serca robotnicze. Nierazem też później po paręset sztuk tej gazetki na grzbiecie przenosił tuż pod nosem szpiclów⁵ rosyjskich. Aż mnie i złapali raz i srodze pobili, a potem

⁴ Polska Partja Socjalistyczna pierwsza rozpoczęła walkę o niepodległość oraz poprawę bytu robotników.

⁵ Szpicel = tyle co szpieg.

zesłali na Sybir. Tam do taczki przykuty, niejednemu gorzką chwilę przeżył. Wreszcie uciekłem stamtąd do swoich. Ale do roboty już mi nijak było iść, bo wszędzie tropili i węszyli. Więc pod zmyślonem nazwiskiem znów się za politykę wziął. Jak ruchawka w kraju wybuchła w 1905 r.,⁶ tak my bomby rzucali, z brauningami⁷ na żandarmów chodzili. Nielada zuchów tam było trzeba i kawalerskiej determinacji.

— I znów wreszcie złapali mnie i do tuiurmy⁸ zaszadzi. Tym razem gorzej było: stryczek groził i śmierć zagładała w oczy. No, ale Bóg jakoś nie opuścił nas i zwiąłem Mochom⁹ z Pawiaka.¹⁰

— Tak i potem uciekłem do Galicji przez zieloną granicę. Bo ci wtedy kordon był i choć to niby jedna Polska, to przecie bez paszportu z Warszawy do Krakowa nie puszczali!

— Dzięki zacnym ludziom, dostałem się na kopalnię nafty w Borysławiu. Ale mnie tam też wnet do roboty partyjnej wciągnęli i z założonemi rękoma siedzieć nie pozwolili. Bo tam wtedy pod Austriakiem większa wolność była i mógł naród i po swojemu się uczyć w szkole i porozumieć się w urzędzie, nie tak jak u nas, kiedy to gwałtem z nas Moskali zrobić chcieli. Tylko, że bieda była w Galicji i też żandarm cesarski sumienia pilnował na każdym kroku.

— Ale jak nasz komendant Piłsudski »Związek

⁶ W r. 1905 wybuchła w Królestwie rewolucja przeciw rządowi cara.

⁷ Brauning = pistolet automatyczny.

⁸ Tuiurma = więzienie (z ros.).

⁹ Mochy = pogardliwa nazwa Moskali.

¹⁰ Pawiak = potoczna nazwa jednego z więzień warszawskich, mieszczącego się przy ul. Pawiej.

Walki Czynnej»¹¹ stworzył, tak zaraz i my, stare rewolucjonisty, wciągnęli się do tej roboty. A z tego potem powstał »Strzelec«, który się wojskowo ćwiczył, aby znów się kiedyś o tę Polskę bić.

— Austriak karabiny wojskowe pożyczał, bo się zaborcy wtedy raz wreszcie pokłócili i do wzajemnej wojny szykowali.

— I jakem zaczął służbę w »Strzelcu«, tak jużem jej nie rzucił, tylkom z Legionami na wielką wojnę poszedł, póki mi kula nogi nie urwała. Dziś mi za to państwo polskie płaci,¹² a ja na swoim kawałku ziemi siedzę, com po ojcach dostał i Pana Boga chwałę i Panu Marszałkowi dziękuję, żem mógł dzięki niemu krajowi się też na coś przysłużyć. Bo on sprawił, że we wolności żyjemy!

— A choć dziś stary ja i kaleka, to gdyby miało przyjść raz jeszcze do czegoś i krzepkich rąk było trzeba, to i ja i synkowie moi i kumy i somsiady wsiowe staniem i zrobim, co trza będzie, ino niech Pan Marszałek rozkażą!

— Ta gotowość w sercu mojem jest i w sercach całej gromady naszej. Wszyscy się też tym »Domem Ludowym« cieszymy i dumni jesteśmy, że on się zwie imieniem marszałka Piłsudskiego! Oby żył i rządził nami jak najdłużej!

Znów posypały się oklaski i zagrała pięknie muzyka.

A już pan starosta szedł i dalej starego kowala ścisnąć, a cała sala »wiwat« krzyczała.

¹¹ Związek Walki Czynnej = organizacja wojskowa przed wojną światową w b. Galicji.

¹² Inwalidzi wojenni otrzymują ze skarbu państwa rentę.

Zrobił się krzyk ogólny. Ten wołał: »Zuch kowal«! Tamten: »Niech żyje Pan Marszałek!« Trzeci: »Niech żyje Polska niepodległa!« »Niech żyje pan starosta!«

Słuchaliśmy wszystkiego z zapartym oddechem. Gdy kowal skończył wreszcie, przecisnęliśmy się do niego i ucałowaliśmy jego pomarszczone, spracowane dla Polski ręce.

On się zawstydził okropnie i wyściskał nas i znów wiwatowali wszyscy.

A gdyśmy wrócili pod okno, gdzie pan Zygmunt z Jasią stał, spojrzął na nas z zadowoleniem i rzekł do niej:

— Zaczne chłopaki i gorące w nich biją serca!

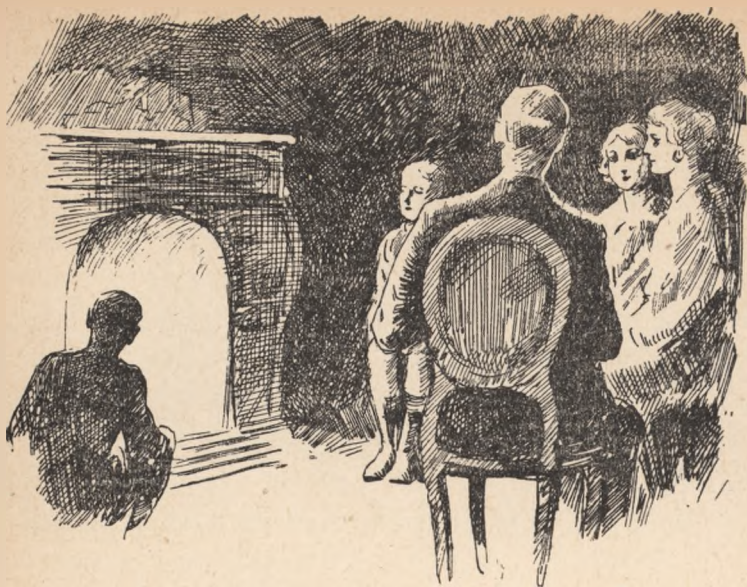
IV. ZNOW W TEJ SAMEJ BIBLIJOTECE.

Obiad był paradny. A legumina starej Agaty — palce lizać! Agata — kucharka cioci — patrzyła też z zadowoleniem przez niedomknięte drzwi kuchni jakieśmy pałaszowali i jeszcze nam kremu na dokładkę przyniosła.

Po obiedzie zebraliśmy się wszyscy znów w tej samej, mrocznej biblijotece. Ciotka kazała rozpaścić na kominku i było ślicznie.

Tam to pan Zygmunt dopowiedział nam jeszcze to i owo do tej ciekawej mowy kowala.

Dowiedzieliśmy się więc o gorączkowych przygotowaniach w ostatnich latach przedwojennych. Szkolono w służbie żołnierskiej garść młodzieży, skupionej w stowarzyszeniach wojskowych, na wypadek wojny Austrii z Rosją. A wojna ta wisiała już w powietrzu.



...Ciotka kazała rozpalić na kominku...

Z jednej strony Austriacy zawarli ścisłe przymierze z Niemcami i Turcją, z drugiej powstała potężna koalicja Francji z Rosją. Tak się mściła zbrodnia rozbiórów Polski na skłóconej Europie. Miljony ludzi krwią swoją miało zapłacić za niesprawiedliwe gnębienie narodów.

W tym samym czasie z dalekiej Anglii przyszła do nas piękna idea t. zw. »Boy-Scouts« to znaczy chłop-ców-zwiadowców. Narodziła się ona w czasie wojny w południowej Afryce, gdzie generał angielski Baden-Powell użył zastępu młodzików do służby pomocniczej dla wojsk angielskich, oblężonych w twierdzy, do której nie było dostępu.

W Polsce powstał jakby zakon młodych; za wzór wzięli sobie cnoty rycerza Zawiszy Czarnego, który

słynął niegdyś przed wiekami z męstwa i szlachetności. Zrzeszeni przyjęli nazwę dawnych rycerzy-harcowników i zobowiązali się do służby Ojczyźnie i społeczeństwu, do przestrzegania cnót wstrzemięźliwości i ofiarności w każdej chwili, kształcili wolę, charakter i sprawność fizyczną.

Także dawniej już istniejące towarzystwo gimnastyczne »Sokół« poczęło formować »Drużyny Polowe« do walki zbrojnej o Polskę.

Po wsiach małopolskich działały znów »Drużyny Bartoszwowe«.

Lecz najbardziej rozwijał się »Strzelec«. Nietylko w kraju, ale nawet zagranicą, wszędzie tam, gdzie skupiała się młodzież polska. Zwłaszcza krzewił się wśród studjujących na wyższych uczelniach zagranicznych.

Usiłowano też tworzyć tajne związki wojskowe i pod zaborem rosyjskim, naprzekór wszystkiemu utrudnieniom i nagonce¹³ policji rosyjskiej, która nie pozwalała na żaden ruch narodowy. Mimo ospałości własnego społeczeństwa, w podziemiach wrzało. Młodzi szykowali się do rozprawy ze znienawidzonym ciemieżcą.

Duszą tych przygotowań od pierwszej chwili stał się Józef Piłsudski. Imię jego poczynąło być w kraju coraz głośniejsze.

Były rewolucjonista, twórca i reorganizator Polskiej Partji Socjalistycznej, wydawca tajnego pisma »Robotnik«, był komendantem walki czynnej w czasie rewolucji 1905 r. Wielekroć razy więziony i skazywany przez Moskali, poznał i kazamaty¹⁴ i zesłanie i samotną tajgę¹⁵

¹³ Nagonka = tyle co pościg.

¹⁴ Kazamaty = więzienia podziemne.

¹⁵ Tajga = puszcza syberyjska.

sybirską i mękę gorszego jeszcze osamotnienia wśród własnych rodaków, nie rozumiejących Jego szlachetnej i zapalnej duszy.

Lecz nic nie mogło ugiąć Jego żelaznej woli. On to sprawił, że gdy wybuchła mordercza rzeź światowa 1914 r. — nie zabrakło też żołnierza polskiego, który pod własną komendą i z orzełkiem na czapce poszedł przypomnieć światu, że »jeszcze Polska nie zginęła«.

Słuchaliśmy tego wszystkiego w rozmarzeniu. Takie niedawne dzieje, a tak się wydają zamierzchłe!

Zrozumieliśmy wiele i pojęliśmy niejedno.

Już był późny wieczór, gdy wyszliśmy, aby odprowadzić Jasię na kolej.

Ani ona, ani my nie byliśmy usposobieni do paplania. Dzień przeżyty wywarł na nas duże wrażenie.

W pewnej chwili tylko Jasia zrobiła uwagę:

— A zauważyliście, jaką smutną minę miała ciocia-babcia?

Naturalnie zauważyliśmy, jak osowiała siedziała przed kominkiem, patrząc w ogień.

— Bo widzicie chłopcy — powiedziała nam Jasia ze wzruszeniem w głosie — jej najmilszego człowieka, który był dla niej wszystkim na ziemi, powiesili Moskale za udział w rewolucji 1905 r. na stokach cytadeli warszawskiej.¹⁶ W tem samym miejscu, gdzie umarł Traugutt! Rozumiecie, jak ją musi boleć wspomnienie tych lat, a mimo wszystko wciąż do tych czasów wraca!

Oczywiście, zrozumieliśmy! I dlatego jest zawsze taka jakaś dziwna, taka inna, niż wszyscy...

¹⁶ Cytadela warszawska była za czasów rosyjskich najcięższem więzieniem politycznem.

EPIZOD Z MŁODOŚCI MARSZAŁKOWEJ ALEKSANDRY PIŁSUDSKIEJ.

ROZSYPAŃE NABOJE.

Rodzina Szczerbińskich, zdawien dawna znana w Suwalszczyźnie, osiadła od pokoleń w północnym kącie Rzeczypospolitej, kędy wrzosa kwitną na jałowych pastwiskach wokół zadumanych jezior.

Panna Aleksandra Szczerbińska urodziła się w Suwałkach, w domu istniejącym do dnia dzisiejszego.

Była jeszcze całkiem młodziutką, gdy ją odumarli rodzice. Sierotą zaopiekowała się babka, zacna pani Zahorska.

Lata spędzone w sennych Suwałkach zbiegły jej dość monotonnie. Dopiero przyjazd do Warszawy na dalsze studia wprowadził ją na teren gorący — rewolucji 1905 roku...

* * *

Na Dalekim Wschodzie bój toczyły zawzięty: potężna Rosja i bohaterska, mała obszarem w stosunku do niej, lecz wielka duchem, Japonja.

A wewnątrz ogromnego imperjum rosyjskiego wstrząsało podziemne wrzenie.

W najbardziej zachodniej jego części — Królestwie Polskiem, czyli oficjalnie, według nomenklatury moskiewskiej, »Prywiślinju«, do boju z caratem wystąpiła Frakcja Rewolucyjna Polskiej Partji Socjalistycznej z Józefem Piłsudskim na czele.

Partja ta, pierwsza po wielu latach, odważyła się znów podnieść hasło Polski niepodległej. Nic też dziw-

ALEKSANDRA ZE SZCZERBIŃSKICH PIŁSUDSKA.

Urodziła się w Suwałkach, tamże ukończyła gimnazjum, pracując równocześnie w tajnych kółkach samokształceniowych.

Po przeniesieniu się na dalsze studia do Warszawy, wstępuje w szeregi Polskiej Partji Socjalistycznej i pod pseudonimem: „Towarzyszka Ola“, poświęca się pracy konspiracyjnej. Naraża się wielokrotnie na śmierć i więzienie, jako kurjerka Organizacji Bojowej.

W r. 1912 wstępuje do tworzącego się Oddziału Żeńskiego „Strzelca“, w r. 1914 wyrusza na bój o Polskę wraz z legionistami. Staje na czele oddziału kurjerek, prowadzi akcję wywiadowczą i propagandową. Pracuje wydatnie w Polskiej Organizacji Wojskowej; aresztowana przez Niemców i wywieziona do Szczybrny, a potem do Niemiec, wraca po roku do Warszawy i dalej rozwija energiczną akcję niepodległościową.

W oswobodzonej Ojczyźnie skupia swą działalność społeczną na opiece nad dziećmi, dla których tworzy „Nasz Dom“ i „Osiedle“ dla najbiedniejszych i pozbawionych opieki.

Odznaczona orderem wojennym „virtuti militari“ i „krzyżem niepodległości“, marszałkowa Piłsudska, matka dwóch córek Józefa Piłsudskiego, jest jedną z najbardziej dla Ojczyzny zasłużonych kobiet polskich.



nego, że co gorętsza i bardziej zapalna młodzież ówczesna garnęła się pod jej czerwone sztandary! Wśród tych ofiarnych bojowników nie brakło i kobiet polskich.

Dwie studentki kursów handlowych pani Siemiradzkiej, mimo swej młodości wypróbowane już towarzyski akcji bojowej, dostały od organizacji rozkaz przeniesienia partji naboju rewolwerowych do pewnego konspiracyjnego mieszkania.

Do tego rodzaju niebezpiecznych zadań nadawały się najlepiej przystojne i rezolutne panny, jako mniej narażone na szykany władz rosyjskich.

Szły sobie pozornie najswobodniej ulicą Marszałkowską. Nikt nie mógł przypuścić, że może je coś łączyć z garścią bezdomnej, politycznie wobec Rosjan skompromitowanej inteligencji czy też grupą zdecydowanych na wszystko robociarzy.

W mieście panował stan wyjątkowy. Wszystkie ulice i place zalane były wojskiem i policją. Patrole, uzbrojone aż po zęby, gęsto krążyły po Warszawie.

Panienki, poprzywiązawszy sobie pod ubraniem paczki z amunicją, szły przed siebie z beztroskimi minami.

Koło Dworca Głównego, który zwano wówczas »Wiedeńskim«, natknęły się na oddział żołnierzy rosyjskich, przeprowadzających rewizję przechodniów. Na przechodzące dziewczęta nie zwróciliby może nawet uwagi.

— Takie młode — myślał zapewne prowadzący patrol oficer — cóż mogą mieć wspólnego z »buntem«?

I patrzył z uśmiechem zadowolenia na szykowne

warszawianeczki, do których wzdychał napróżno cały rosyjski korpus oficerski.

Studentki, licząc na swą bezkarność, chciały przejść obok z pewną minką.

I wtedy ... stało się coś strasznego!

Z pod żakietu jednej z nich, Hanki Paschalskiej, sygnęły się widocznie źle przymocowane naboje i potoczyły prosto pod but jednego z żołnierzy.

Obie panienki zdrętwiały na moment z przerażenia. W głowie zamęt, pustka. Zdrętwieli też żołnierze w burych »szynelach«.¹⁷ Lecz trwało to tylko chwilę.

Towarzyszka Hanki, opanowana jak zawsze, krzyknęła nakazująco:

— Uciekaj!

I sama pędem puściła się przed siebie.

A wokół żołnierskiego buta, na chodniku, utworzył się jakby ołowiany wianuszek z rozsypanych śmiercionośnych pocisków.

Tłum uliczny zafalował, momentalnie utworzyło się zbiegowisko.

Komendant patrolu, wściekły na siebie, że tak dał się podejść i pozwolił »rewolucjonistkom« umknąć, krzyczał w pasji:

— Łapaj! Trzymaj!

Lecz obie »przestępczynie« przepadły w tłumie.

Towarzyszka sprawczyni tej nieszczęsnej przygody wpadła w jakąś bramę i skryła się w znajomym ogródku, skąd napróżno usiłowała dojrzeć, co też się stało z jej koleżanką.

¹⁷ „Szynel“ = płaszcz.

Słyszając okrzyki pogoni, przekonana, że Paschalska wpadła w ręce wroga, przemknęła się podwórzami i odniosła swoją część naboju, gdzie należało. Po drodze zamartwiała się na śmierć losem Hanki.

Lecz Opatrzność czuwała i nad nią. Może młodość dzielnej dziewczyny i sprawa, dla której już tyle krwi polskiej wyciekło, zdołały zmiękczyć srogie przeznaczenie?

Dość, że i Hance, siejącej wokół siebie zdradliwe pociski, udało się wreszcie skryć w jakimś domu w Al. Jerozolimskiej. Tam doprowadziła do porządku swój nieszczęsny bagaż i ochłonawszy z trwogi spełniła swe zadanie do końca.

Wieczorem tego dnia, który łatwo stać się mógł ostatnim dniem ich młodego życia, uściskały się uradowane wzajemnem ocaleniem przyjaciółki i bez wielkich słów, na które wówczas nie było czasu, zgłosiły się nazajutrz do dalszej niebezpiecznej służby w Organizacji Bojowej.

Dziś obie te bohaterki ozdobiła wdzięczna Ojczyzna »krzyżem niepodległości«.

Towarzyszka Hanki Paschalskiej, kurjerka bojowa rewolucji 1905 r., opanowana i przytomna w najniebezpieczniejszych chwilach — to dzisiejsza Aleksandra ze Szczerbińskich marszałkowa Piłsudska.

Gdyż lew szuka zawsze lwicy na małżonkę!

Na podstawie materiałów dostarczonych przez kpt. M. B. Lepeckiego — napisał

T. M. Nittman



WIELKA WOJNA

I. GRANAT NA POLU.

Stało się nieszczęście: pastuszkowie pasący bydło na łąkach gminnych pod lasem, znaleźli na polu granat, jeszcze z czasów wojny.



...Nastąpił straszliwy wybuch...

Tamtędy bowiem przechodził front.¹

Granat ten nieostrożni chłopcy wrzucili w ogień, przy którym piekli kartofle. Nastąpił straszliwy wybuch. Staśka Miętusa rozerwało na miejscu, a dwóch innych poraniło.

Więc starego cieślę posłali z apteczką domową, aby chłopaków opatrzył. Ciotka zaś pobiegła telefonować po pogotowie ratunkowe.²

Cieśla Szymon, na nasze prośby, wziął nas z sobą. Jakżeżby też mogło nas przy tem zabraknąć?

Poszliśmy więc ku owym łąkom, niosąc apteczkę ciociną. Był wietrzny zmierzch. Wicher mgły spędził z pastwiska. Niebo było pogodne. Z za lasu wychylała się już pomarszczona twarz księżycy.

Na miejscu wypadku, w bruździe, leżał jakiś podłużny kształt, nakryty zgrzebną płachtą.

Szymon lekko ją odkrył, spojrzał i przeżegnał się.

— Temu już nic nie pomogę!

— Biedny Stasiek — pomyśleliśmy obaj i zrobiło nam się bardzo, bardzo żal.

Znaliśmy tego chłopca dobrze, bawiliśmy się z nim nieraz.

Cieśla zwrócił się ku dwóm innym. Kuba Organiściak leżał bez ruchu na wilgotnej trawie. Na bladym czole czerwieniły się kropelki świeżej krwi.

Obok siedział Waluś, najmłodszy syn kowala, monotonnie zawodząc:

— O la Boga! Moja ręka! Boli me! Tatulu!

¹ Front = linja bojowa.

² Pogotowie ratunkowe obowiązane jest śpieszyć każdemu z pomocą lekarską.

Matki nie miał, umarła przy jego urodzeniu, całym domem opiekowała się starsza siostra, Marta.

Serca nam zamarły na ten widok. Ale wnet otrząsnęliśmy się z przykrego wrażenia, sfukani przez staro Szymona:

— Cóżta stoicie kiejby słupki? Pomóżta chłopcy, na gapienie jam was ze sobą nie przywiódł!

Więc przypomnieliśmy sobie o naszych samarytańskich obowiązkach i jak prawdziwi harcerze wzięliśmy się rażno do roboty.

Cieśla delikatnie uniósł w górę Kubę spracowanemi rękoma i pokiwał smutnie głową.

Potem szybko począł opatrywać okropnie poranionego chłopaka.

Patrzyliśmy na zwinne, a jednak ostrożne ruchy Szymona, podając na komendę, co potrzeba: jodynę, gazę, watę, bandaż.

Jędrak nie mógł się powstrzymać i rzekł z podziwem:

— Ale pan Szymon to zgrabnie robi, jak prawdziwy doktor.

A on uniósł wzrok z nad starych, sznurkiem powiązanych okularów i odparł:

— A cóżta myśleli panicze? Ja przecie cały dochtór, u felczera za pomocnika byłem bez trzy roki. Na wielkiej wojnie, u Ruskich! To się człek przecie czegoś przyuczył...

Znaliśmy gadatliwość starego. Więc odezwałem się, by go wyciągnąć na zwierzenia:

— Ależ go paskudnie dostało, co?

— Iii! — odparł Szymon, nie przerywając roboty — to jeszcze fraszka. Nie takich ja opatrywał!

Jak wielkie bitwy były, co noc i dzień trwały, to na nic chłopów ozrywały harmaty. A harmat tych było tyśiące i z jednej i z drugiej strony. Byli tacy ranni, co to i jednego zdrowego miejsca na ciele nie mieli! Jak go granat nie pokancerował,³ to szrapnelowe kulki pokaleczyły, albo też kulomioty⁴ postrzelały na durch,⁵ jak sito! Najgorsze to były te miny.⁶ Niektóre to i po półtora puda⁷ ważyły. Rzucali je z nieprzyjacielskich okopów, jak z procy, całkiem zbliska. Jak taka bestja w szaniec wyrznięła, to i zbierać nie było czego. A było — trafiła w ziemiankę⁸ — to przebijiała dach, na metr gruby. Żeby nie wiem co dla ochrony położyć, blachę i ziemię i darń i belki grube — to ci taka mina przewierciła nawylot. Mówię wam, szła jak przez masło! Nijakiej przed nią nie było ochrony. Chyba bardzo głęboko zakopać się w ziemię. A owe moździerze⁹ znów — krótkie, grube, lufa na pół metra szeroka, podwozili toto koleją, albo samochodami. Strzelały ostro w górę, z hukiem przerażającym. A potem ci się z nieba na łeb walił taki kuferek, że nie daj Boże! Jak trafiło w okop, to już po okopie, po drutach, po zastawach żelaznych. Jak w chałupę — to już po chałupie. Jak w dom murowany — to ci jeno kupa gruzów zostawała. A znów potem Niemcy gazy wymyślili i puszczać zaczęli na Ruskich z powietrza, z samolotów bombami

³ Pokancerował = pokaleczył.

⁴ Kulomioty = karabiny maszynowe.

⁵ Na durch = nawylot.

⁶ Miny = rodzaj pocisków.

⁷ Pud = rosyjska miara ciężaru = ok. 16 k.

⁸ Ziemianka = schron ziemny w okopach.

⁹ Moździerze = rodzaj armat.

walili. Do niszczenia ludziska spekulanty som wymyślne!

— I Szymon to wszystko widział? — pytaliśmy przerażeni.

— Na własne oczy! Naginęło też narodu coniemiarą, na tej ziemi naszej, tej polskiej. Co miast, co wsi, co dróg, co mostów, co kolei, co fabryk, kościołów Bożych, szkół i domów w gruz się rozpadło i jakie to miliony z ogniem poszły — tego wy dziś, panicze, ani sobie nawet wyobrazić nie możecie!

— Pewno — wtrąciliśmy z przekonaniem.

— Z jednej strony ruskie wojska cara, z drugiej Prusoki, a z trzeciej awstryjski cesarz następował. Miało się skończyć we trzy miesiące, a tymczasem lata całe trwała ta niedola. Najlepiej stawali Niemce, mocne chłopcy, spasio i ubrane, jak na paradę. Butne to, pewne siebie, do Paryża szli i mówili, że cały świat zdobędą... Bóg dał jednak inaczej...

— A Moskale? — spytał Jędrrek.

— Walili hurmą, ze śpiewaniem kozackiem, ot, tak głupio, po chłopsku. Myśleli, że samą liczbą wszystkich nastraszą. A techniki u nich nie było i amunicja kiepska, bo kradli wszystko starsi, jak kruki, nim do żołnierza doszło: ubranie, jedzenie, broń. Dorobili się też niektórzy majątków na ludzkiej krwi, ale cóż? Nic im z tego nie przyszło.

— A Austriacy? — dowiadywaliśmy się dalej.

— To największe były biedaki, bez butów nieraz i w pokrzywianych mundurach. Najczęściej też zmykali, albo w niewolę szli, całe nieraz pułki. Lecz naj-

więcej wyginęło carskich, zwłaszcza pod Przemyślem,¹⁰ jak twierdzą zdobywali. Pchali ich, tych muzyków,¹¹ poprostu jak bydło do jatki...

— A nasi? — pytaliśmy nieśmiało.

— Cóż nasi? Garstka ich poszła z panem Piłsudskim w Legjony. Inni szli potulnie, gdzie kazano; nie pytał ich nikt, czy chcą, czy nie chcą; ginęli za cudzą sprawę, choć na własnej ziemi. Obcy mundur krył jedno i to samo serce.

— Bywało jeden drugiego bagnetem bodzie — a tu ten w ruskim „szynelu“ krzyczy do swego mordercy w pruskim hełmie po swojacku: »Jezus Marja!« — bo oba byli Polaki!

— Taką to karę straszliwą Pan Bóg zesłał za nasze grzechy, że brat musiał brata na cudzy rozkaz zabijać! Żaden naród chyba tego nie przeżywał...

Przykucnięci obok, słuchaliśmy z otwartymi ustami tej prostej opowieści o wielkiej wojnie.

Tymczasem Szymon skończył swą robotę.

— No, leż sobie nieboże spokojnie, połatałem cię jak mogłem — rzekł i zabrał się do Walusia, który ciągle jeszcze płakał.

Obejrzał porwane ramię, przetaił jodyną, przewiązał. Potem po jasnych włosach pogładził, mówiąc niby to szorstko:

— No, już nie bucz, mały, zagoi ci się niedługo, a jak na dochtora dobrego trafisz, to ci i rękę zdatną do pracy uratuje. Tera cię do taty odprowadzim, aby ci solidnie wskórę dał za tę głupią zabawę granatem.

¹⁰ Przemyśl = najsilniejsza twierdza w b. Galicji.

¹¹ Muzyk = chłop (z ros.).

— To nie ja! — chlipał Waluś — to Stasiek go znalazł i w ogień włożył, bo mówił, że piękniej strzeli, niż na rezurekcji pod kościołem!

— Oj, wystrzeliło to wam, wystrzeliło i Stasiek, nieborak, ma już za swoje, świeć Panie nad jego duszą!

II. W STAREJ KUŹNI.

Tymczasem na pobliskiej szosie zabrzmiała trąbka samochodowa.

Przez łąki szła ku nam kupa ludzi z kagankami i pochodniami, bo noc się w międzyczasie zrobiła.

Sanitarjusze przynieśli nosze i ostrożnie złożyli na nich wciąż nieprzytomnego Kubusia. Lekarz go zbadał i rzekł:

— Widzę, że mnie tu ktoś wyręczył i to wcale zrécznie.

Sklonił się Szymon panu doktorowi, widocznie rad z pochwały.

— Ten — wskazał na Walusia — ma się jako tako, z tamtym gorsza bieda.

Doktór kazał Kubę nieść do karetki i szedł za noszami, powtarzając: — Wolno tam! Ostrożnie!

Chłopi ułożyli na gałęziach martwe ciało Staśka, a my z Szymonem prowadziliśmy zbeczanego Walka.

Nosze z rannym wstawiono do budy, drugiego posadzili wygodnie na ławeczce, by go do kuźni ojcowskiej podwieźć.

— My z nim pojedziemy, panie doktorze — poczęliśmy prosić — może się na coś przydamy...

Szymon nas poparł, więc szybko wleźliśmy do środka, uszczęśliwieni z nowej przygody.

Smutny orszak z małym trupkiem ruszył w stronę cmentarnej kostnicy.¹²

Chłopi z uznaniem podnosili, że pogotowie przyjechało tak szybko.



...Przy szosie warszawskiej jest kuźnia...

Wreszcie drzwiczki zatrzaśnięto i wóz ostrożnie ruszył z miejsca.

Przy szosie warszawskiej jest kuźnia Walkowego ojca. Poznać ją zdaleka, bo światło bije od niej przez cały dzień, a nieraz i długo w nocy. Zawsze kilka fornalek¹³

¹² Kostnica = miejsce przechowywania nieboszczyków.

¹³ Fornalki = wozy wiejskie.

przed nią czeka. Solidność starego Kasprzaka szeroko jest znana w całej okolicy.

Mieści się ona w wielkiej szopie. Przez sień w głębi przechodzi się do mieszkalnego domu.

Gdyśmy tam zajechali, Kasprzak był jeszcze przy robocie. Donośnie rozlegały się ciężkie uderzenia młotów o kowadło.

Stary wysłał chłopaka, by zobaczył, co też to za samochód zajechał.

Nie przeczuwał biedak, jaką mu przykrą przywózimy niespodziankę.

Wyszedł do nas Antoś, najstarszy syn kowala.

Wyskoczyłem pierwszy z wozu i schwyciłem go za rękę.

— To ty, Kaziu? — zawołał ze zdumieniem.

Znaliśmy się z dawnych lat i bawili nieraz. Antoś, duży i silny, brał nas w obronę przed innymi chłopcami w niejednej bójce.

— Przywieźliśmy Walusia, zdarzył mu się wypadek, tylko się nie przerażaj, Antoś, nic strasznego znowu, tylko ręka skaleczona, ale Kubuś Organiściak gorzej wyszedł na tej zabawie!

I pokrótce opowiedziałem mu o całym wypadku.

Pokazało się, że Waluś w międzyczasie osłabł. Trzeba go było prawie na rękach wynosić.

Obarczeni tym ciężarem, stanęliśmy w progu kuźni. Kowal zmrużył oczy, bo go raził blask, padający od ogniska i zawołał:

— A co to tam? Kto taki?

Gdy się wyjaśniło wszystko, przyskoczył zwinnie na swojej sztucznej nodze.

Odebrał z rąk naszych wątłe ciało syna, ostrożnie go przeniósł do izby i ułożył troskliwie na szerokim łóżku.

Doktór, sanitariusz z narzędziami i my szliśmy za nim.

Rychło przyniesiono światło i lekarz wziął się do rozwijania skrwawionego bandaża. Zbadał puls i opatrzył rannego.

Kowal niespokojnie śledził jego ruchy.

— Nic mu nie będzie! — oświadczył wreszcie. — Powinno się szybko wygoić. Proszę się nie niepokoić. Ja tu jutro znów przyjadę. Do tego czasu niech leży spokojnie. Ma teraz temperaturę podniesioną, jutro powinna spaść. Chłopak przestraszył się i płaczem zmęczył, teraz zasnął, lepiej go nie budzić!

To mówiąc, począł zbierać się do drogi. Kowal dziękował mu serdecznie i nam także. Wyszedł z doktorem na dwór i wnet głos trąbki i warkot motoru oznajmiły nam, że pogotowie ratunkowe odjechało do miasta, do szpitala, z nieszczęsnym Kubusiem.

III. URZĘDOWA WIZYTA.

Kowal wrócił po chwili i siadł ciężko na stołku, wpatrując się w bledziutką twarzyczkę swego chłopca. Po chwili rzekł:

— Nie mogło się to mnie przytrafić? Ja bardziej do cierpienia zwyczajny. Biedne dziecko! A panicze — dodał zwracając się do nas — zacne, żeście go aż tu odwieźli.

Wtem za drzwiami rozległo się szurganie nóg, a zaraz potem mocne pukanie.

Do izby wszedł przodownik, komendant miejscowego posterunku policji państwowej.

— Dobry wieczór panie Kasprzak! — rzekł od progu. — Ja tu służbowo, wedle tego wypadku z granatem.

— Dobry wieczór panie komendancie — odparł kowal, rozkładając bezradnie ręce. — Cóż ja wiem? Niebożątko ledwo zipie i gadać nie może. Ci dwaj — wskazał na nas — byli tam z Szymonem pierwsi po wypadku z granatem, może coś wiedzą.

— Z Szymonem jużem się widział. Jednakowoż tu też protokół spisany być musi,¹⁴ taki przepis.

— Jak mus, to chyba z paniczami spiszecie! Bo chłopca kazał doktor zostawić w spokoju narazie.

Przodownik popatrzył chwilę, pomyślał i rzekł:

— Ano trudno, to się mówi »vis maior« czyli siła wyższa. Zmuszony będę do jutra zaczekać. A kawalerowie, coby mogli mi w tej materji powiedzieć?

Zeznaliśmy więc rzetelnie, co zastaliśmy na łące.

¹⁴ Przy każdym wypadku, policja obowiązana jest opisać dokładnie zajście i donieść swojej władzy.



...Do izby wszedł
przodownik...

— Tak, to się zgadza z relacją Szymona! — rzekł pan przodownik patrząc w akta; potem usiadł koło starej komody i spisał wszystko na arkuszu papieru.

— No, to na dziś moja służba skończona — powiedział, gotując się do odejścia. Równocześnie odjął z pod brody służbową podpinkę i zasunął ją na daszek czapki. — Dowidzenia, idę na kolację do domu.

— Już mi tego, panie Janie, nie zrobicie — odezwał się kowal wstając — abyście ode mnie odejść mieli bez poczęstunku! Przecież my starzy przyjaciele, no i kumem¹⁵ tego chłopca jesteście!

Przodownik się wymawiał, Kasprzak nalegał. Wreszcie zgodzili się.

Kowal zawołał do starszego syna:

— Biegaj Antoś do kuchni i Marcie powiedz, że gości będziem mieli na wieczerzy, niech zaraz stół nakryje. Mam nadzieję, że i panicze moją prostą strawą nie pogardzą!

— Mybyśmy zostali — rzekł Jędrak — ale tam ciocia na nas czeka!

— Nie czeka — odezwał się niespodzianie głos cioci-babci w otwartych drzwiach — bom przyszła zobaczyć, jak się tam mój miły uczeń miewa. Ale widzę, że tu całe zebranie, proszę sobie tylko nie przeszkadzać, dobry wieczór panie komendancie, ja tak na chwilę.

Wszyscy zerwaliśmy się z miejsc. Kowal rękawem stołek wytarł i skwapliwie wchodzącej ciotce podsuwał.

— Co za honor! — powtarzał widocznie przejęty. — Co za honor dla mej skromnej chaty! Jaki gość! Witam panią dyrektorkę serdecznie! Dobra pani zawsze

¹⁵ Kum = ojciec chrzestny.

o nas, gdy bieda, pamięta. Złote serce! Niech Bóg zapłaci! Chłopak zasnął.

— Jak śpi, to go nie będę budzić. Doktor był?

— Był, opatrzył, mówił, że niezadługo się wygoi...
Zacny doktor!

— No to i dobrze! Szymon mówił to samo. A ja tu przyniosłam świeże bandażę, może się przydadzą i flaszkę starego wina, można mu dać troszkę z herbatą, to go wzmocni!

— Bóg zapłaci! Bóg zapłaci! — dziękował wzruszony kował. — Ale już nam szanowna pani dobrodziejka tej krzywdy nie robi, by z nami nie posiedzieć troszkę. Zaraz będzie wieczerza, właśnie się już szykuje w kuchni. Czem chata bogata, tem rada!

— Zostanę z przyjemnością! — odparła ciotka prosto.

— Dziękuję pięknie! Ja tylko na chwilę do kuźni skoczę, zamknę i duchem wracam. Proszę zdjąć okrycie, bo tu ciepło! Moje kochane państwo, rozgośćcie się jak możecie! Antek, Piotruś, Marta — wołał na swoje dzieci — stołki dawajcie!

IV. WSPOMNIENIA WOJENNE PANA PRZODOWNIKA.

Zasiedliśmy wszyscy wokół stołu, który w międzyczasie nakryto do kolacji. Rozmawialiśmy półgłosem, żeby nie budzić Walusia.

— Oj, ta wojna, — westchnęła ciotka — tyle lat już od niej minęło, a jeszcze wciąż zniszczenie sieje!

— Wina to głupoty lekkomyślnych chłopców —

rzekł pan przodownik — ale także trochę i moja, żem bardziej nie dopilnował wyzbierania tych starych pocisków. Od jutra wydám nowe zarządzenia w tej sprawie. Myślałem jednak, że tam już niczego takiego niema...

— Tymczasem pokazało się inaczej — odparła moja ciotka. — Młode to i głupie. Waluś, to zdaje się jeszcze nic. Z tamtymi dwoma gorzej. Żal mi zwłaszcza Stacha. To było takie dobre dziecko. I uczył się pilnie...

— Pamiętam, jak dziś, ten piękny miesiąc lipiec 1914 r. — rozpoczął zwolna pan przodownik, jakby wydobywając wspomnienia z przeszłości. — Właśnie nadeszły wakacje, mój brat Józek zaprosił mnie do Zakopanego, gdzie był na posadzie, a w wolnych chwilach malarstwem się bawił. Talent podobno do tego malowania miał i piękną przyszłość mu wróżyli. Chciał się też do Krakowa przenieść i w Akademji Sztuk Pięknych¹⁶ studjować. Cóż, kiedy poległ we Francji...

— Nie on jeden, nie on jeden... — wtrąciła głucho ciotka.

Lampa z nadtłuczonym szkiełkiem paliła się spokojnie, zawieszona na ścianie koło okna. A za oknem świstał posępnie jesienny wiatr, jakby bolejąc też nad ofiarami wojny.

— Przyjechałem tedy do Zakopanego — rozległ się znów głos pana przodownika — i zachwyciłem się temi górami, których dotąd nie widziałem.

Zaczynałem dziewiętnasty rok życia, cały świat śmiał się do mnie, a już tych widoków, którem tam ujrzał, chyba nigdy nie zapomnę.

¹⁶ Akademia Sztuk Pięknych kształci artystów-malarzy.

Po paru dniach, mówi brat do mnie, że zaczyna urlop i pójdziemy na wycieczkę. Tam dopiero miałem zobaczyć, co to są Tatry.

— Jak to dawno — westchnęła ciocia-babcia — ten rok 1914-ty, a zdaje mi się wciąż jakby wczoraj!

— Tam w Bośni¹⁷ gdzieś, w Sarajewie, serbscy spiskowcy zabili na ulicy austriackiego następcę tronu na znak protestu przeciw okupacji słowiańskiego kraju. Państwa groźne wzajem do siebie posyłały noty. Niemiec pocichu kończył zbrojenia i szykował swe potężne wojsko. Ale nam to wcale nie było w głowie...

— Cóż dziwnego — dodała ciocia — nie tylko wam, młodym wówczas, ale nam starszym też i wogóle nikomu nie śniło się nawet, co to wszystko wyniknie z tego politycznego mordu. Wojną straszili nas od paru lat i przestaliśmy wreszcie w to wierzyć. Uczni zaczęli udowadniać, że przy nowoczesnych wynalazkach wojna taka wogóle jest niemożliwa. Tuż, tuż byliśmy od tej okropnej rzezi, a nikt nie myślał o niczym innym, jak o wakacjach; i życie się toczyło zwyczajnie, jak codzień. Świat cały był pogrążony w pełni pokoju. Chyba może w tajnych gabinetach ministrów przeczuwali niektórzy... Ale u nas, w Polsce? Nie, nie było takiego!

— A jednak był paniusiu — wtrącił kowal, który w międzyczasie wrócił niepostrzeżenie i słuchał ciekawie, o czym mowa. — Był taki jeden: nasz Komendant!

— Macie rację... Piłsudski... On na nią czekał! Spodziewał się, że prochy nagromadzone wybuchną, że trzech nasi oprawcy wezmą się wreszcie za łby... •

¹⁷ Bośnia = dziś prowincja Jugosławji, wówczas należała do Austrii.

— Tylko gryzł się tem — ciągnął kowal dalej — że nikt prawie w kraju o tem nie myślał, prócz nas chyba, garstki strzelców, szaleńców, jak nas nazywano...

— Już od paru lat gotowało się w Europie — odparła ciotka. — Miljonowe wojska wielkich mocarstw czekały z bronią u nogi.



...Ruszyliśmy w góry...

Kowal siadł na brzegu łóżka i troskliwie otulał swego syna własną kapotą. A pan przodownik opowiadał dalej:

— W podkutych butach, z żywnością w plecakach, ruszyliśmy o brzasku dnia w góry! Brat je znał, jakby się w nich urodził.

Wiódł mnie więc przez zielone lasy i łąki soczyste,

przez potoki i siklawy¹⁸. Na noc schodziliśmy do szałasów góralskich, tam zaopatrywaliśmy się w placki owsiane, serki owcze, mleko. Pogoda była piękna, dnie upalne, noce chłodne.

I tak mijał nam czas niepostrzeżenie. Brat szkicował sobie po drodze to i owo. Wreszcie nastał gwiaździsty sierpień. Jeśli pani zna Tatry, to wie pani, że jest tam taka jedna góra, co zwie się Kościelec.

— Znam ją — odparła ciotka. — Widać ją z przełęczy Zawratu.

— Oto właśnie ta sama. Pod tym Kościelcem jest łączka, gdzie potok płynie między kosodrzewiem i rosną wonne kwiaty górskie. Nad potokiem znaleźliśmy opuszczoną kolibę,¹⁹ którąśmy zajęli na parę dni. Mieliśmy już za sobą szmat drogi. Postanowiliśmy więc nieco w tej zacisznej kotlinie wypocząć.

Drugiego dnia pobytu mieliśmy właśnie zabrać się do wieczery. Leżeliśmy na trawie, nucąc tęskną piosenkę zbójnicką o Janosiku. W kociołku gotowała się woda na herbatę. Przed oczyma mieliśmy panoramę Tatr, ozłoconą zachodzącym słońcem. Brat przerwał śpiewanie i rzekł:

— Spójrz Janek na te kolory! Gdybym to je tak namalować umiał!

Słowa jego przerwały jakieś głośnie krzyki.

Niechętnie unieśliśmy głowy. Skrajem łączki, po ścieżce wydeptanej przez owce, śpiesznie schodziło z gór całe jakieś towarzystwo. Było ono czegoś dziwnie podniecone i głośno o czymś rozmawiało.

¹⁸ Siklawy = wodospady górskie.

¹⁹ Koliba = szałas pasterzy.

Wyraźnie coś do nas wołali, wymachując gwałtownie rękoma. Ale my udawaliśmy, że tego nie widzimy i leżeliśmy dalej na trawie, nie zwracając na nich uwagi.

— Jak przyszli, tak pójdą! — szepnął niechętnie brat.

Ale nie, podeszli całkiem blisko i coś znów w naszą stronę krzyczeli.

Śmieszny przedstawiali widok. Śmieszny zwłaszcza dla dzisiejszego oka. Bo proszę sobie wyobrazić — panie na wysokich obcasach, w długich spódnicach, popodpinanych, z rozwianemi woalkami na okrągłych kapeluszach słomkowych. W rękach eleganckie laseczki spacerowe, ręce w rękawiczkach i parasolki, żeby się broń Boże nie opalić! I to wszystko wysoko w górach, gdzie orzeł swobodnie krąży i gdzie blisko już nieba. Panowie też wyglądali jak dziwadła: zapięci pod szyję, w sztywnych kołnierzykach i krawatach, w długich spodniach, jeden był nawet w jakimś ciemnym tużurku...

Wydało nam się to z Jędrkiem takie śmieszne, żeśmy chichotali pod stołem.

A ciocia-babcia rzekła, uśmiechając się też:

— Cóż chcecie? Taka była wówczas moda! To się zmienia, to się zmienia ciągle!

— Otóż jeden starszy pan z brodą — ciągnął dalej pan przodownik — podszedł ku nam i zawołał, dziwnie wzburzony:

— Cóż panowie tak tu leżą?

— Alboż nam nie wolno — odpowiedzieliśmy. — Mamy przecież konstytucję...

W Austrii wtedy, jak wiadomo, obowiązywała od lat 50-ciu ustawa konstytucyjna, dająca wszystkim obywa-

telom wcale szeroki zakres swobód i uprawnień na wzór zachodnio-europejski, nieznany naprzykład w zaborze rosyjskim...

— Jakto nie wiecie, co się stało? — indyczył²⁰ się dalej ów brodac.

— Cóżby takiego mogło się stać — z flegmą odpowiedział mój brat — coby ważniejszem było nad piękno tych gór?

— Nie czytujecie gazet? — wołał dalej nieznajomy, z widocznem zgorszeniem w głosie. Równocześnie wymachiwał przed nami jakąś zadrukowaną płachtą.

— Nie, nie czytujemy! — odparł krótko mój brat.

— Jakto? — krzyknął nieznajomy.

— A no tak, jesteśmy na urlopie od kilkunastu dni — rzekł brat, nie zmieniając tonu. — Niech pan głowy nam nie zawraca!

Obcy tak był zdenerwowany, że nawet nie zdążył się obrazić na nas.

— Więc naprawdę nic nie wiecie jeszcze o wojnie?

Unieśliśmy głowy i jakby na komendę usiedliśmy obaj na trawie.

— O wojnie? O jakiej wojnie znów, do diabła? — zawołał Józek, wytrącony wreszcie z równowagi.

— O wojnie Austrii z Serbią, Rosji z Niemcami i Austrią, Niemiec z Francją i Anglią. Bóg wie zresztą, kogo z kim jeszcze!

— O wojnie? — wrzasnęliśmy zdumieni, nie wierząc własnym uszom.

— O, czytajcie tu! My śpieszymy do Zakopanego. Co to będzie, co to będzie z tego wszystkiego! — za-

²⁰ Indyczył = irytował.

wodził obcy pan i kucnąwszy przed nami, podsuwał nam gazetę.

Brat rzucił się na ten skrawek zadrukowanego papieru i począł pochłaniać go oczyma.

Było tam opisane wszystko to, o czem mówił nam przed chwilą nieznajomy turysta. I jeszcze wiele innych szczegółów.

Brat spojrzał półprzytomnie na mnie, potem znów na tego pana, który wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że on temu nie winien, i szybko pobiegł wdół za towarzystwem. Gazetę nam zostawił.

Siedzieliśmy bez ruchu. Blaski słoneczne przygasały zwolna. Nastawał mrok. Cisza panowała wokół niezmacona.

Brat przysunął się do ognia, wskazał mi ręką tłustym drukiem wybite orędzie²¹ cesarskie i rzekł:

— Koniec naszych pięknych dni!

Spuściłem oczy na leżącą na trawie gazetę i przesyłabizowałem z trudem odezwe monarchy Austro-Węgier, zaczynającą się od pamiętnych słów:

»Do moich wiernych ludów!«

V. »ŻAŁOSNY GWIZD LOKOMOTYW...«

— »Do moich wiernych ludów...« — rzekł kowal, tak jakoś dziwnie. — Jakie to dziś zabawne! Wierne ludy rozsypały się cesarzom zaborczym, niby wiązka chrustu. Habsburgi²² poszły na wygnanie, ze wspaniałej monarchji nie zostało ani śladu. Ten sam los spotkał

²¹ Orędzie = odezwa.

²² Habsburgowie = rodzina cesarska w dawnej Austrii.

i Hohenzollernów²³ w Berlinie i Romanowów²⁴ w Petersburgu...

— Sprawiedliwość Boża dopełniła się! — rzekła uroczyście ciocia-babcia. — Wszystkich trzech gnębiących nas mocarzy dotknął palec losu.

W tej chwili wniesiono wieczerzę i dalsza rozmowa przerwała się.

Zjedliśmy z apetytem prostą, ale smaczną strawę.

— Marteczka to już cała gospodyni, jak widzę! — rzekła ciotka z uznaniem, choć, jak zwykle, jadła niewiele, mimo bardzo gorącego zapraszania gospodarzy.

— To moja pociecha starości! — odparł kowal z dumą, rad z ciotczynej pochwały i gładził córkę po włosach. — Gdy mi Bóg żonę do swej chwały powołał, zajęła się całym domem i młodszymi sierotami, jak prawdziwa matka, choć sama ledwo od ziemi odrosła!

Marta zapłoniła się jak burak i prędko poczęła zbierać ze stołu, mówiąc:

— Niechno pan przodownik zaczekają chwilkę z dalszą opowieścią, tylko statki odstawię i herbatę podam, bo strasznie ciekawam tych wojennych historyj. Tamto, o tej wycieczce w góry, słyszałam tylko przez pół, bo musiałam jedzenie szykować.

— Ano dobrze, zaczekam! — odpowiedział pan przodownik, obcierając usta po smacznych kluskach. Spojrzał przytem wdzięcznie na roślą dziewczynę.

— Dobrze jej z oczu patrzy! — mówiła ciotka do kowala, gdy Marta wyszła do kuchni.

— Złoto nie dziewczyna! — dodał pan przodownik.

²³ Hohenzollernowie panowali nad Niemcami.

²⁴ Romanowowie = rodzina carska.

Gospodarna i pocziwa. Kto ją za żonę dostanie, to jakby na loterii wygrał!

Tu westchnął jakoś osobliwie, a stary Kasprzak uśmiechnął się pod wąsem.

Tymczasem wjechała na stół herbata w pięknych kubkach porcelanowych. Marta, już bez kuchennego fartuszka, zasiadła przy nas i poczęła nalegać:

— No i co dalej było z wami?

— Gdyśmy ochłonęli trochę po tej niespodzianej wiadomości — podjął dalej pan przodownik — spakowaliśmy manatki i ruszyli szybko wdół. Brat przez całą drogę mówił o tem, jakie to poważne idą wypadki, no ale do Bożego Narodzenia cała ta zawierucha powinna się skończyć chyba.

— Tak, tak, na gody²⁵ mieliśmy już w domu być — wtrącił kowal — ludziska zawsze lubią się łądzić. Tymczasem cztery lata zgórą to trwało, a w Polsce to i dłużej jeszcze...

— Ja tam nie bardzo się tem przejmowałem — mówił znów pan przodownik — trochę bratu zazdrościłem, głupi, że wojnę zobaczy, a ja pewno już nie zdążę!

— Zdążyliśmy wszyscy! — mruknął kowal gorzko.

— Nie bardzo wiedziałem, co to jest wojna, pókiśmy z gór nie wyszli. Taka cisza, taka słodycz była w tej nocy sierpniowej, że mi się wprost wierzyć nie chciało, aby tamto okropne, o którym mi Józek opowiadał, mogło naprawdę nam grozić. Dopiero, jakeśmy idąc skrótami wprost na tory kolejowe trafili, dreszcz zgrozy mnie przejął. Bo to, co się działo na dworcu zakopiań-

²⁵ Gody — tak na wsi nazywają święta Bożego Narodzenia.

skim, nie da się wprost opisać! Stały tam długie pociągi towarowe, zapchane żołnierskim ludem, a tłum góralskich kobiet kłębił się w nikłym świetle naftowych lamp stacyjnych.

— Nieszczęsne kobiety! — westchnęła ciotka — co one przecierpiały!



...Na dworcu zakopiańskim...

— Żandarmi z bagnetami na karabinach tworzyli kordon, oddzielający rezerwistów od ich rodzin. Wymieniano ostatnie pożegnania.

Żołnierzyska nadrabiali miną. Widać było jednak, że im serca ściskają się boleśnie.

Na wagonach kredą wypisane były zuchowate hasła: »Na Moskale!«, »Śmierć Serbom!« i tym podobne, a obok widniały naiwne rysunczki, przedstawiające

pogrom przyszłych wrogów. Ani przypuszczali biedacy, co ich jeszcze czeka!

Panowało niebywałe zamieszanie. Mnóstwo letników z całej Polski, siedząc na tobołkach, wyczekiwało godzinami pociągów.

W tym rozgardjaszu słyhać było i płacz dzieci i zawodzenie kobiet i chóralne śpiewy odjeżdżających na wojnę górali i ostre słowa komendy niemieckiej i Bóg wie co jeszcze.

Lecz nad wszystkim górował żałosny gwizd lokomotyw, manewrujących po torach.

I od tej pory ten gwizd prześladował mnie ciągle, aż po ostatni dzień wojennej zawieruchy!...

Umilkł pan przodownik. Zapadła cisza.

Widać było, że starsi toną w ponurych wspomnieniach.

Nagle odezwała się ciocia-babcia:

— To dziwne! Przecież chyba w mechanizmie tych lokomotyw nic się nie zmieniło. A jednak i żalność i trwogę słyszało się w ich sygnałach na całym świecie. Pamiętam dobrze... I tu w Królestwie, i tam w głębi Rosji i w byłej Galicji i nawet w dalekiej Francji czy Włoszech...

— Tak jest, moi państwo — rzekł pan przodownik — dopiero widok tego dworca w Zakopanem uświadomił mnie, młodego wówczas chłopca, że to naprawdę zaczyna się coś strasznego!

— W tem piekle, które mi do dziś stoi przed oczyma, pamiętam jeszcze jeden szczegół: oto na ulicy prowadzącej na dworzec stał zwarty oddział strzelców

w pełnym ekwipunku bojowym; wyciągnięci w sznur koło magazynów, czekali na zawagonowanie.

Było w nich coś osobliwego: odbijali się od całego otoczenia spokojem i karnością. Skupioną, świadomą było od nich tężyzną, radością, że oto ziszczają się ich młodzieńcze sny — bo tak zdecydował ich Wódz!

Jechali do Krakowa, na zbiórkę strzelecką, wezwani rozkazem mobilizacyjnym komendanta Józefa Piłsudskiego...

VI. W OBCEJ SŁUŻBIE.

Zasłuchaliśmy się wszyscy w te stare dzieje. Zdało nam się, że słyszymy jeszcze ten żałosny gwizd lokomotyw. Pan przodownik sam był widać temi wspomnieniami poruszony.

Mówił dalej:

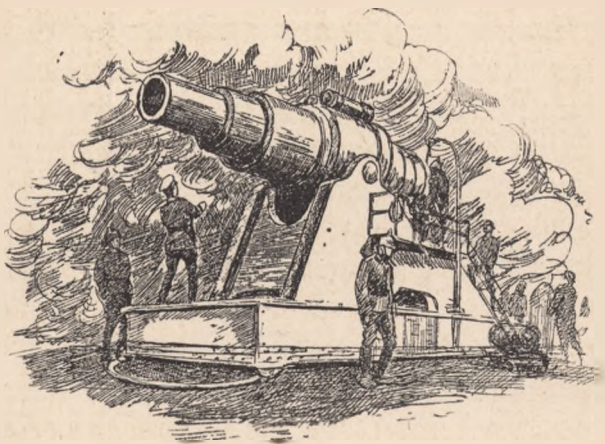
— Nie wiem nawet, jak znaleźliśmy się nazajutrz w Krakowie. Czekąco już tam na Józka wezwanie do pułku, na Śląsk. Brat był bowiem rezerwowym oficerem ciężkiej artylerji austriackiej.

Nie chcieliśmy się rozłączać, bo było nas tylko dwóch na świecie. Więc Józek mówi do mnie, że i tak mnie niedługo wezmą z poboru: »Masz iść na rekrucką ponieważ sam jeden, między obcych, zgłoś się lepiej na ochotnika w moim pułku. Zawsze ci tam mniej przykro będzie, niż gdzie indziej! A przynajmniej będziemy razem!«

Posłuchałem go i tak trzymaliśmy się w kupie długi czas. Gdzieś pod koniec 14-tego roku przydzielono mnie do baterji marszowej dział zmotoryzowanych.

Załadowano do wagonów i wysłano na zachód, do Francji.

Tam dopiero wojna potworna, technicznie udoskonalona, wydała mi się jakąś ogromną fabryką masowego zabijania ludzi. Tam też objawiła się siła burząca naszych morderczy. Przeważano je »grube Berty«; przeszło



„Gruba Berta“.

półmetrowej szerokości, długie na wzrost ludzki, przyniatająco ciężkie pociski — maszyna podnosiła z ziemi i wkładała w lufę. Wystrzelone, długo leciały z przerażliwym warczeniem w powietrzu i wreszcie wybuchwały z oszałamiającym hukiem. One to kruszyły na miazgę łańcuch potężnych fortów obronnych Belgji i Francji...

Tam też ujrzeliśmy bohaterstwo tego nadzwyczajnego narodu. Choć gorzej do wojny przygotowani, okazali się Francuzi groźnymi przeciwnikami Niemców. Ze wszystkich narodów świata największe ponieśli ofia-

ry. Walczyli nieustraszenie, podobnie, jak i ich sąsiedzi — Belgowie. Niemcy nie uszanowali neutralności tego małego kraju. Wtargnęli gwałtem na jego terytorjum i mimo rozpaczliwego oporu, zmusili waleczne wojsko belgijskie, z dzielnym królem Albertem na czele, do wycofania się na terytorjum Francji. Zawładnąwszy całą Belgią, dopuszczali się szeregu okrucieństw na bezbronnej a patriotycznej ludności. Oburzyło to przeciw germańskim najeźdźcom świat cały, spowodowało zbrojną interwencję²⁶ Anglii, a potem też i Ameryki. Tak to buta niemiecka sama na swą głowę ściągnęła gniew tylu groźnych przeciwników!

— Znamy ją dobrze — odezwała się naraz ciocia-babcia. — Przecież okupowali²⁷ nasz kraj przez trzy lata...

— To jedno trzeba Niemcom przyznać — podjął znów pan przodownik — że bili się doskonale. A co za karność przytem i porządek! Patrzyliśmy na to z podziwem przez szereg miesięcy, jako niby ich »sprzymierzeńcy«! Ale o piersi francuskie rozbiły się i pociski działowe i siła organizacyjna wojska niemieckiego. I rozpoczęła się długa wojna pozycyjna...

— Byłam w czasie wojny we Francji — uzupełniła to ciekawe opowiadanie ciotka — i widziałam ten wielki naród, broniący się do upadłego. Tam też powstał u stóp gór Pirenejskich, daleko na granicy hiszpańskiej, w małym miasteczku Bayonne, pierwszy polski bataljon Legji Cudzoziemskiej, który walczył potem przeciw Niemcom u boku Francji.

²⁶ Interwencja = w tym wypadku udział w wojnie.

²⁷ Okupowali = zajmowali.

— Więc i tam ciociu — spytałem — Polak bić się musiał z Polakami? Przecież u Prusaków były też polskie pułki z Poznańskiego?

— Tak, kochanku — odparła ciotka z przejęciem — niestety, tak! Wszędzie, wszędzie, na wszystkich frontach szedł brat przeciw bratu. Ich polskie ciała okrywał inny mundur, lecz serca były wspólnym rytmem... Oto jeszcze jedna tragedia narodu niewolników!

Czułem, że oczy mam wilgotne. A siedząca obok mnie Marta rozplakała się w głos.

VII. ŻOŁNIERSKIM KROKIEM DO POLSKI.

— Pod Verdun²⁸ poległ mój brat — rozpoczął dalszą opowieść pan przodownik smutnym, jakby ściszoneym



Pod Verdun poległ mój brat...

²⁸ Verdun = potężna twierdza francuska.

głosem. — Było to w r. 1915. Zdawało mi się zrazu, że tego nie przeżyję!

— Człowiek zniesie wszystko, więcej niż niejedno zwierzę! — rzekł kowal, patrząc w ziemię.

— Tak — zgodził się pan przodownik — więcej! Tylko, że wtedy byłem bardzo młody i jeszcze tego nie wiedziałem... Wojna wciągnęła mnie już w swój kierat.²⁹ Awansowałem w międzyczasie na kaprała i niebawem wraz z moją baterją pojechałem na front włoski. Tam na południu rozpałała się nowa wojna. Była sroga zima; namęczyliśmy się niemało, by nasze ciężkie moździerze wciągnąć na alpejskie przełęcze. I jak mnie zachwyciły kiedyś Tatry, tak teraz znienawidziłem Alpy po rocznym w nich pobycie.

Mijały dni, tygodnie, miesiące — w monotonii codziennego rzemiosła, a my, garść Polaków, zagnanych w obce strony, chciwie chwytailiśmy wieści z Polski.

I do nas doszła bowiem sława wojenna polskich legionistów w Królestwie, w Karpatach i na Wołyniu. Gryźliśmy nieraz zmarznięte palce z wściekłości, że z nimi razem być nie możemy. Przeklinaliśmy naszą podłą i bezduszną służbę pod obcym znakiem, wrogą komendą, znienawidzony mundur z pokrzyw i czarno-żółte chorągwie...

Tak wędrowaliśmy od pozycji do pozycji, po różnych frontach i po różnych krajach. Poznałem i kamienistą Serbję i niedostępne góry Bułgarji i Karpaty Siedmiogrodzkie frontu rumuńskiego.

Wojna się nie kończyła. Trwała miesiące, trwała lata i już przestaliśmy wierzyć, że może być inaczej. Ludy

²⁹ Kierat = maszyna gospodarska, tu — użyte obrazowo.

świata opanowywała coraz to większa zjadłość. Miliony ludzi rzucono w bój, miliony pieniędzy topiono we krwi. Mózgi ludzkie wysilały się na coraz to straszliwsze wynalazki wojenne. Walczono na ziemi i pod ziemią, na morzu, pod morzem, w powietrzu. Niemieckie łodzie podwodne topiły bez litości statki już nietylko wojenne i transportujące materiał wojenny, ale nawet czysto pasażerskie państw nie biorących udziału w wojnie. Tak było i ze statkiem amerykańskim »Lusitanią«, którego zatopienie stało się bezpośrednią przyczyną wystąpienia Stanów Zjednoczonych przeciw Niemcom. Od tej chwili los ich został przypieczętowany. Ich klęska zbliżała się nieuchronnie.

Aż w 1918 r. rzucono nas znów na najcięższe pozycje — na Kras,³⁰ nad Soczą,³¹ zwaną po włosku Isonzo. Tam braliśmy udział w olbrzymiej, kilkudniowej bitwie i tam poznaliśmy piekło na ziemi.

Na froncie włoskim spotkałem się po raz pierwszy z legionistami, których przysłano tam za karę, po kryzysie³² przysięgowym i rozwiązaniu Legionów. Byli wśród nich zdegradowani oficerowie: pułkownicy, kapitanowie, porucznicy, chorążowie — jako austriaccy sierżanci, kaprale, szeregowcy. Poznaliśmy się z nimi i zaprzyjaźnili. Złote to były chłopaki! A jaką mieli fantazję, jaki humor! Jaką ślepą wiarę w Polskę i w Komentanta! Oni to nauczyl nas kochać swego uwielbianego wodza, dzisiejszego marszałka Piłsudskiego. Gardzili

³⁰ Kras = pasmo wielkich gór na granicy włosko-austriackiej.

³¹ Socza = mała rzeczka w okolicach Triestu.

³² Kryzys = przesilenie, objaśnienie w rozdz. IV.

całą duszą »trepami«, jak nazywali Austriaków, i wróżyli im rychłą klęskę.

Z tymi legionistami przybyła do nas, na daleki front włoski, tajna organizacja żołnierska, zwana »Wolność«. Szerzyła się ona po pułkach polskich, zwłaszcza wśród oficerów i co inteligentniejszych podoficerów-Polaków w austriackich mundurach.

Poczuliśmy i my tam, nad Soczą i nad Pjawą,³³ gdzie tyle polskiej krwi połało się bezużytecznie dla całkiem nam obcej sprawy, że wreszcie ponury dramat wojny światowej zbliża się ku końcowi.

Raniony odłamkiem kamienia, dostałem się w lecie 1918 r. do niewoli włoskiej. Tam doszła mnie niebawem wieść o pogromie mocarstw centralnych.

Wykurowany we włoskim szpitalu, zgłosiłem się zaraz do formacyj polskich we Włoszech. Wkrótce przeniesiono nas do Francji, do armii generała Hallera. Tak więc znów znalazłem się na tej samej ziemi francuskiej, gdzie poległ mój brat, ale już z drugiej strony frontu tym razem...

W Rosji w 1917 r. wybuchła wreszcie oddawna przygotowywana rewolucja. Przyśpieszyły ją klęski wojenne, nieład i zdrada w najwyższych władzach państwa rosyjskiego. Niebawem przyszli do rządu bolszewicy, t. zn. stronnictwo komunistyczne, głoszące najbardziej wywrotowe hasła. Cara pozbawiono tronu, a potem go wraz z całą rodziną rozstrzelano. Powstały rady robotniczo-włościańskie i zapanował krwawy terror, mszczący krzywdy ludu na dawnych carskich zausznikach.³⁴ Ro-

³³ Pjawa = rzeka włoska, nad którą toczyły się krwawe boje.

³⁴ Zausznik = zaufany.

sja zawarła w Brześciu odrębny pokój z Niemcami i całkowicie wycofała swe wojska z frontu.

Wojna jednak trwała dalej, tylko już bez Rosji. Genjalny wódz Koalicji ³⁵ marszałek Francji Foch począł gromić państwa centralne, jedne po drugich. Zaczęło się to od przełamania frontu na Bałkanach i klęski wojska bułgarskiego. Car Bułgarji Ferdynand abdykował ³⁶ na rzecz syna i uciekł z kraju. Maszerujące niepowstrzymanie naprzód z południa ku północy armje koalicyjne oswobodziły Serbję i Rumunję. Potem runęła linja obrony Pjawy. Armje austriackie, rozbite i zdemoralizowane, poczęły cofać się i uciekać w nieładzie. Wreszcie przyszła kolej na front zachodni. Niemcy, niezwyciężeni dotąd mimo wszystko, nie wytrzymali naporu. Wyczerpani do ostatka, zagrożeni na tyłach wojną domową wskutek wzmagającego się głodu i nędzy wewnątrz kraju, poczęli się też cofać.

Aż wreszcie zagrały przeciągle trąby parlamentarzy.³⁷ Upokorzona Germanja wywiesiła białe chorągwie i poddała się aljantom ³⁸ na łaskę i niełaskę dnia 11 listopada 1918 r.

Świat cały, a zwłaszcza do kresu sił wyczerpaną Francję, ogarnął szal radości. Zabrzmiały wszystkie dzwony od Renu po Pireneje:

— Wojna skończona!

Armje koalicyjne w zwycięskim pochodzie defilowały pod łukiem triumfalnym Napoleona ³⁹ na oczach

³⁵ Koalicja = związek państw walczących przeciw Niemcom.

³⁶ Abdykować = zrzec się tronu.

³⁷ Parlamentarze = w tym wypadku wysłannicy wojska proszącego o pokój.

³⁸ Aljanci = sprzymierzeni.

³⁹ Łuk triumfalny Napoleona = wspinała budowla w Paryżu.

rozentuzjasmowanego Paryża. Nie brakło tam też i nas, Polaków, ze srebrnymi orłami na chorągwiach, w niebieskich rogatywkach.⁴⁰ Duma piersi nam rozsadzała! A tłum szalał, kwiaty rzucał nam pod nogi i krzyczał: »Vive les Polonais! Vive les braves! (Niech żyją Polacy! Niech żyją dzielni!).

W pół roku później, po długich targach politycznych, pozwolono nam wreszcie na powrót do kraju.

Ledwośmy stanęli w Ojczyźnie, nieomal prosto z wagonów rzucono nas w bój. Poszliśmy ochotnie my, weterani wojny światowej, wykuwać bagnetem granice Polski Niepodległej!...

 Armja polska we Francji nosiła niebieskie mundury.

4

WÓDZ I JEGO LEGJONY.

I. WYBLAKŁE FOTOGRAFJE.

Waluś szybko przychodził do zdrowia. Odwiedzaliśmy go często.

Bawiliśmy się rozmaicie: tośmy przynosili naszą plastelinę, by lepić rozmaite figurki; to znów z patyczków i kasztanów budowaliśmy domki, koleje, samochody.

Waluś był tem wszystkim zachwycony. Czasem tylko syknął z bólu, gdy się przez zapomnienie uraził w rękę.

Pewnego popołudnia zastaliśmy go w kącie kuźni. Siedział cichutko na pustej pace od gwoździ i z zajęciem oglądał jakiś album.

— Co to takiego? — zapytaliśmy ciekawie.

— To fotografie tatuli z Legionów! — objaśnił nas — Antoś to wszystko pozbierał i ślicznie powklejał



Siedział cichutko
na pustej pace...

do albumu. Patrzcie tu, macie oddział strzelców w marszu, ten drugi z prawej strony to mój tatuś! Nie poznalibyście go, co? Zmienił się od tego czasu. Ale ja poznaję! — dodał z dumą.

Nachyliliśmy się nad wyblakłymi fotografjami. Jakie to dziwne, że ludzie mogą się tak zmieniać! Ojciec Walusia w siwym mundurze, z karabinem i tornistrem, szczupły, młodzieńczy prawie — wcale nie wyglądał na starego, przygarbionego nieco kowala, z brzuszkiem i drewnianą nogą.

— Czy my tak też kiedyś się zmienimy? — pomyślałem niedowierzająco.

Fotografij tych było dużo. Oglądaliśmy je ciekawie, wierząc Walusiowi na słowo, że na każdej jest też jego ojciec. Jedne przedstawiały legionistę Kasprzaka opartego o karabin, inne — grupę strzelców w okopach. Tamci też byli jacyś tacy strasznie młodzi. Strzelcy w marszu, strzelcy na postoju, ułani Beliny w wysokich czapach i ze srogimi szabliskami, to znów sceny z obozu i z okopów. Jedna fotografia przedstawiała długi szereg wyciągniętych w marszu legionistów na szosie. Z trudem odszukaliśmy na niej Walkowego ojca, którego głowa nie była wiele większa, niż skrzydełko muchy.

— A to co? — zapytaliśmy obaj naraz, odwracając nową kartę albumu.

Do szarej tektury przyklejony był pożółkły wycinek z gazety. Wpatrzyliśmy się pilnie w skrawek starego dziennika. U góry widać było zamazany rysunek, przedstawiający kompanje strzeleckie na tle murów jakiegoś miasta. Przed frontem stał wojskowy z ręką wyciąg-

niętą ku górze: był to komendant Piłsudski! Poniżej tłustym drukiem widniał tekst. Poczuliśmy czytać na głos:

„Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przekroczycie granice rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny!...”

Stary Kasprzak, majstrujący coś w kuźni, przerwał robotę i spojrzał dziwnymi jakimiś oczyma na pole. Przez szeroko otwarte odrzwia widać było zapyloną szosę, drzewa przydrożne i pożółkłe ścierniska.

Było coś tak osobliwego w twarzy kowala, iż zamilkliśmy raptownie. Wpatrzeni w tęgą postać w skórzanym fartuchu, czekaliśmy, co nam powie!

— Jest to historyczny rozkaz Komendanta z dnia 6-go sierpnia 1914 r. do pierwszej kompanji kadrowej na Błoniach krakowskich. Pamiętam jak dziś tę chwilę...

I my, urodzeni już w wolnej Polsce, uczuliśmy się nagle przeniesieni w ową przeszłość, nieznaną nam a przecież niezbyt odległą...

— Tak, chłopaki — zabrzmiał znów głos kowala — Wy już nie możecie sobie zapewne tego wyobrazić! Tyle, tyle zmian, tyle doniosłych wydarzeń dzieli wasz świat i wasze młode czasy od tamtego, przedwojennego świata i od tamtych chwil...

Jednak — wyobraziliśmy sobie. I idąc za spojrzeniem kowala, ujrzeliliśmy nagle przed wrotami kuźni już nie pustą drogę, lecz zieleń murawy podkrakowskiego parku, stłoczone szeregi strzeleckie, a dalej jeszcze

gród królewski z Wawelem¹ i czerwonymi wieżycami kościoła Panny Marji.

— Czytaj do końca! — rozkazał ojciec Walusiowi. Chłopak drżącym głosem czytał:

„...Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż, każę tylko doświadczeńszym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarżę uzyskacie w bitwach. Każdy z was może zostać oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowca, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma w przyszłości armja polska i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanję...”

— Tym pamiętnym rozkazem — mówił Kasprzak zwolna, lecz dobitnie, — rozpoczął nasz Wódz bój o nową Polskę.

A potem wyjął z paleniska kawał rozżarzonego żelaza i położywszy na kowadle, uderzył weń ciężkim młotem z takim rozmachem, że aż skry poszły wokoło.

II. CIENIE PRZESZŁOŚCI.

Siedzieliśmy cichutko nad starymi fotografjami, rozważając słowa kowala. Nie wszystko rozumieliśmy.

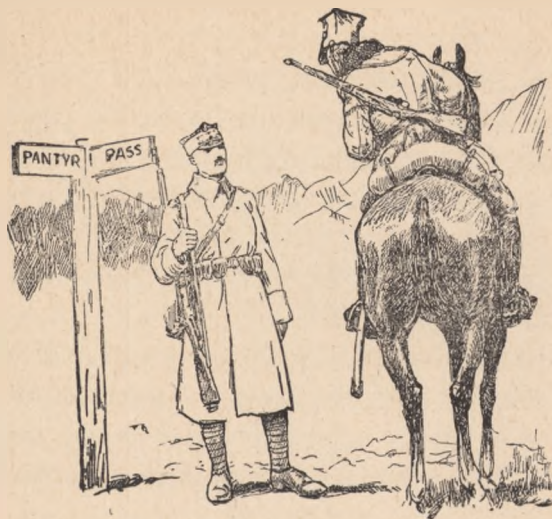
Kasprzak kuł zapamiętale. Gdy wreszcie przerwał na chwilę robotę, by obetrzeć spocone czoło, opadliśmy go ze wszystkich stron, przymilając się:

— Prosimy bardzo opowiedzieć, jak to było z temi Legjonami?

Spojrzał na nas i rzekł niby to groźnie, lecz pod wąsem się uśmiechał:

¹ Wawel = stary zamek królewski w Krakowie.

— A idźcież do licha, bąki uprzykrzone! Starych bajd im się zachciało. Właśnie nie mam nic innego do roboty, jak tracić czas z wami na niemądre gawędy!



Cienie przeszłości.

Lecz nie dawaliśmy za wygraną. Waluś zdrową ręką ciągnął ojca za fartuch i nalegał:

— Niech tatulo opowiedzą im, bo ja już i tak to znam! — dodał chępliwie. — Ale chętnie posłucham raz jeszcze!

Zrobił przy tem z twarzy długi ryjek i począł kwiczeć, jak prosiątko.

Na ten widok kowal zmiękł i roześmiał się szeroko. To też, gdy wszedł do kuźni Antek, kazał mu stanąć przy kowadle:

— Skończ synku za mnie te hufnale, bom się już umęczył srodze, a tym smykom i tak się nie wymigam!

Potem wziął z kąta drewniane koło i wyszedł z niem przed kuźnię. Tu usiadł na ławce, zdrową nogą przycisnął koło do piersi i nałożył na nie przygotowaną już obręcz. Wyjął z kieszeni paczkę gwoździ i dał nam do trzymania, mówiąc:

— Będziecie mi podawać w miarę potrzeby. A przy tej robocie, żeby się wam nie nudziło, pogwarzyśmy sobie o tamtych czasach, skoro was to tak ciekawi!

Zachwyceni obietnicą, przykucnęliśmy obok. Było pięknie, ciepło jeszcze południe. Cisza panowała wokoło. Tylko z kuźni dochodziły regularne uderzenia Antkowego młota.

— Były to czasy osobliwe! — rozpoczął Kasprzak swe opowiadanie. — Świat cały stanął w ogniu wojennym. Zdawało się, że od huku dział zawali się ziemia. Wszyscy małoduszni ludzie potracili głowy. Ale On czuwał!

Nie chciał dopuścić do tego, by w tem śmiertelnem zmaganiu zabrakło imienia Polski.

— Jeżeli się już i tak leje polska krew pod przymusem — mówił — to niech się leje przynajmniej pod własną chorągwią i w polskim mundurze. Trzeba światu przypomnieć o naszym istnieniu!

Słuchaliśmy słów Komendanta i wierzyliśmy mu ślepo. Gdy z początkiem sierpnia 1914 r. zarządził mobilizację² i zbiórkę wszystkich oddziałów strzeleckich w Krakowie, stawiliśmy się i my, borysławska kompanja.

Niestety, nie wszyscy tak dopisali. Wielu wzięto zaraz pierwszego dnia mobilizacji do wojska austriac-

² Mobilizacja = ogólne powołanie pod broń.

kiego, inni czekali z trwogą, co jutro przyniesie. Część znów zebrała się we Lwowie, już zagrożonym wtedy posuwaniem się wojsk rosyjskich. Tam to z rozmaitych formacyj — drużyniaków, sokołów, harcerzy, drużyn bartoszewych i napływających licznie ochotników — utworzono wcale okazały, kilkotysięczny oddział. Był to ów smutnej pamięci Legjon Wschodni. Żołnierz tego Legjonu też płonął zapałem, też chciał czem prędzej iść w pole, jak i my. Ale na czoło Legjonu Wschodniego wysunęli się prowodyrzy polityczni, którzy wogóle w możliwość zdobycia niepodległości z bronią w rękę nie wierzyli. Obawiali się Piłsudskiego i byli jego zamiarom przeciwni. Lecz nie śmieli wystąpić z tem jawnie. Z początku tumanili ludzi, że i oni także chcą walczyć z Rosją we własnych szeregach. Jednak zamiary mieli nieszczerze. Legjon Wschodni wyprowadzili ze Lwowa długim i męczącym marszem na zachód. Po drodze szerzono panikę i nikczemnymi plotkami starano się ostudzić zapał młodych ochotników. To wszystko doprowadziło niebawem do haniebnego rozwiązania tych lwowskich formacyj, niby to w imię oszczędzania krwi polskiej na jakieś nieokreślone... »potem«! Rwący się do boju Legjon Wschodni, zdemoralizowany, roztopił się, jak śnieg na wiosnę. A ludzie jego poszli w większości do austriackich szeregów na... mięso armatnie dla cesarsko-królewskiej »ojczyzny«. Tak to »ocalono« ich dla sprawy polskiej! Garść najzaciętszych, a wśród nich wielu ludzi prostych: chłopów, rzemieślników, robociarzy — wytrwała. Ci stali się zawiązkiem II brygady Legjonów Polskich, t. zw. »karpackiej«... Oto smutne cienie przeszłości!

III. PIERWSZA KADROWA...

Umilkł kowal. Milczeliśmy i my, przypatrując się jego pilnej pracy.

Wreszcie Kasprzak wbił jeszcze jeden gwóźdź, uniósł głowę i rzekł:



...Kompanja kadrowa przeszła kordon graniczny...

— Tak oto zmarnowało się kilka tysięcy dzielnych chłopców. A tymczasem ci, którzy pośpieszyli do Krakowa na zew Komendanta, zebrali się w sporej gromadzie. Umieszczono nas w pawilonie parkowym, zwanym »Oleandry«. To były nasze pierwsze koszary. Brakowało nam wszystkiego: mundurów, butów, broni... Mieliśmy zato gorącą wiarę w Wodza i świętość sprawy. On nas też nie zawiódł. Zebrał kompanje nasze na Błoniach krakowskich i zapowiedział, iż od tej chwili stają się wszyscy żołnierzami polskimi.

Radość ogarnęła szeregi. Mieliśmy łzy w oczach. Następnie wybrał z pośród nas najlepiej wyćwiczonych i postawił na ich czele obywatela »Zbigniewa«-Kasprzyckiego, dziś generała.

Tak powstała pierwsza kompanja kadrowa. Najbardziej zaszczytna kompanja, jaka kiedykolwiek w Polsce istniała!

Kompanja ta dnia 6 sierpnia 1914 r. wymaszerowała z Krakowa i zgodnie z zapowiedzią Komendanta przeszła z bijącym ze wzruszenia sercem kordon graniczny. Nieprzebyta ta zaporą, dzielącą Polskę do owej chwili na trzy prowincje, rozpadła się w proch, by nigdy więcej nie wskrzesnąć!...

Z dalszych słów Kasprzaka dowiedzieliśmy się jeszcze, jak to za kompanją kadrową poszły do Królestwa niebawem dalsze oddziały strzeleckie, jak stworzono pierwszy patrol ułanów sławnego Beliny-Prażmowskiego, który się szybko rozrósł we wspaniały pułk konny zuchowatych »Beliniaków«.

...Jak zajęto Miechów, Jędrzejów, opuszczone w połochu przez Moskali; jak zdobyto Kielce, gdzie w pałacu carskiego gubernatora stanął sztab Piłsudskiego z jego najbliższym pomocnikiem i swoim szefem — Kazimierzem Sosnkowskim, dziś generałem.

— Pod Kielcami — mówił dalej kowal — przeszliśmy chrzest bojowy. Sława naszego zwycięskiego pochodu w granice »Prywiślańskiego kraju« rozeszła się szerokiem echem po całym świecie... Stworzyło to fakt dokonany. Rękawica do boju została rzucona w imieniu całego narodu przez drobną i słabą garstkę naszą. Wszystkich, którzy jeszcze nie spodleli w niewoli,

ogarnął zapal. Pod naciskiem opinii publicznej 16 sierpnia utworzono organizację polityczną wszystkich stronnictw w Krakowie pod nazwą »Naczelny Komitet Narodowy«. Stało się to jednak wbrew woli Piłsudskiego, który chciał mieć Rząd Narodowy, ale w... Warszawie, niezależny od Austrii. Słusznie przewidywał, że polityka austriacka będzie wobec nas tchórzliwa i połowiczna. Monarchja Habsburgów przestraszyła się polskich sukcesów. Poczęto ograniczać prawa Legjonów. Wy-myślano coraz nowe trudności. Przedewszystkiem rozdzielono nas! Bo dalsze oddziały, które nie zdążyły wejść do Królestwa i formowały się dopiero w Krakowie, wysłano daleko, w Karpaty węgierskie, aby tylko nie wzmacniać sił Piłsudskiego. Na każdym kroku krzywdzono nas. Dostaliśmy stare karabiny jednostrzałowe. Targowano się z nami o każdy mundur i każdą parę butów, choć my o krew naszą w bojach z Rosją nie targowaliśmy się wcale! Lecz mimo wszystko hasło padło: »Polska walczy też o swoje prawa do życia«! Choć było nas tak mało w porównaniu z innemi miljonowemi wojskami, ożył znów po tylu latach widomy symbol polskiego żołnierza!

Słuchaliśmy zapatrzeni w te jesienne pola, które zaroily się w naszej wyobraźni kolumnami maszerujących w bój legionistów...

— Niestety — ciągnął Kasprzak dalej nić swych wspomnień. — Królestwo nie przyjęło nas tak, jakieśmy się spodziewali. Lud polski pokornie poszedł w bój... za cara! A inteligencja uwierzyła we wspaniałomyślność zaborcy — po wygranej wojnie! Miast wybuchu powstania przeciw ciemieżcy — odmawiano nam wszel-

kiej pomocy i odżegnywano się od współdziałania z nami. Tak to przez czas długiej niewoli zdemoralizował wróg polską duszę...

Lecz nasz Wódz — jeden z najgenialniejszych ludzi naszego pokolenia — ani na chwilę rąk bezradnie nie opuszczał... My, starzy bojowcy z 1905 r., znaliśmy go dobrze. On znał nas też. Wiedział, że wszędzie i zawsze na nas liczyć może. Czy też i na was tak samo będzie mógł liczyć On i Jego w Polsce spadkobiercy? — zapytał nagle stary wiarus, patrząc nam pilnie w oczy.

— Tak jest, tatulu! — zawołał Waluś z mocą. — Będziemy szli waszemi śladami. Twoim i Jego. Dajemy ci na to nasze słowo!

I ja i Jędrak byliśmy zbyt przejęci, by móc mówić. Kiwaliśmy tylko gorąco głowami.

— Słowo żołnierskie? — pytał kowal dalej.

— Tak jest, żołnierskie! — brzmiała nasza odpowiedź.

— Pamiętajcie o tem! I dziś i jutro i kiedyś po latach, »mali Piłsudczycy«! A teraz czas wracać do izby, koło już gotowe i ciemno się robi...



Odznaka I Brygady Legionów Polskich
„Za wierną służbę“.

IV. NIESPODZIEWANY GOŚĆ.

Wróciliśmy do domu z gorącemi głowami.

— Co z wami jest, chłopcy? — pytała zaniepokojona ciocia-babcia, widząc, że ulubione przez nas potrawy zabierano ze stołu prawie nietknięte.



Ciotka przerwała granie...

Ale nam roily się dziwy. Maszerowaliśmy wraz z legionistami przez piaski kieleckie, strzelaliśmy z ciężkich »Werndli«³ do uwijających się kozaków, to znów przy ognisku obozowem śpiewaliśmy żołnierskie piosenki.

Beżładnie, jeden przez drugiego, opowiedzieliśmy przy herbacie o popołudniowej wizycie w kuźni.

³ „Werndle“ = jednostrzałowe karabiny austriackie starego typu.

— Kował pasował nas na Piłsudczyków! — zawołałem z dumą.

Ciotka Helena uśmiechnęła się nieznacznie i rzekła:

— Zaszczytne to pasowanie i mało kto ma do tego większe prawo, jak stary Kasprzak. To zacny człowiek. Choć twardy, ale czysty i szlachetny.

Ciotka przeszła do salonu i zasiadła przy długim, lśniącym fortepianie.

Uderzyła w tajemnicze klawisze. W czarnem pudle coś jęknęło i popłynęła przez otwarte okna smętna a mocna zarazem pieśń: »Marsz Pierwszej Brygady«.

Staliśmy tuż obok z otwartymi ustami, zasłuchani. Nagle ktoś z ogrodu wsadził głowę przez okno i krzyknął:

— Hallo! Chłopyszek! Czemuż nie śpiewacie?

Poznaliśmy głos pana Zygmunta. Co za radość! Poskoczyliśmy więc ku niemu i wciągnawszy do środka, uściskali, jak się patrzy.

Ciotka przerwała granie.

— Jaki gość niespodziany! — rzekła, witając go serdecznie. — Ale, że też pan zawsze niepoprawny! Czy to niema już u mnie drzwi, że pan oknem wchodzi?

— Droga pani Heleno! Dalibóg, chłopcy mnie wciągnęli! — usprawiedliwiał się, błyskając wspaniałymi zębami.

— Czy przez okno, czy przez drzwi — zawsze jest pan mile widziany pod tym dachem! — odparła ciotka.

— No to i dobrze, no to i dobrze! — powtarzał pan Zygmunt, obcałowując ręce cioci-babci — ale niechże pani nie przerywa grania, zaraz sobie zaśpiewamy z chłopakami!

Pokazało się jednak, że znamy słowa tej pieśni za-
ledwie piąte przez dziesiąte.

Zgorszył się tem bardzo nasz drogi przyjaciel. Zapow-
iedział nam, że je napisze na kartce, a my musimy na-
uczyć się ich napamięć. Przyrzekliśmy mu to ochotnie.

— To jest najdumniejsza pieśń — dodał — jaka
powstała w niewoli.

A potem zaczęła się wesoła gadanina o wszystkim,
co się przez ten czas wydarzyło. Pokazało się, że pan
Zygmunt wpadł tylko na nocleg, bo rankiem jedzie
na jakąś odległą wieś.

— Naturalnie z odczytem? — zapytała ciotka.

— Jakżeby inaczej? — odparł roześmiany pan Zyg-
munt.

A potem zaczął dopytywać się o rannych w wypadku
z granatem.

— Kubuś wciąż jeszcze w szpitalu, biedak bodajże
kaleką zostanie na całe życie, zato Waluś już prawie
całkiem zdrów! — objaśniał uprzedzając mnie Jędrak,
jak zawsze pyskaty.

Dało to okazję, by się podzielić z panem Zygmuntem
przeżyciami dnia minionego. To już ja opowiedziałem!

— Cóż nam z tego? — kończyłem z żalem w gło-
sie — w najciekawszym miejscu Kasprzak urwał, bo
się ściemniło i czas było wracać.

— Ale zato zostaliśmy Piłsudczykami! — wpadł mi
w słowa Jędrak, jak to on, nie mogąc w gębie języka
utrzymać.

— Lecz dalszych dziejów Legionów nie usłysze-
liśmy — upierałem się przy swoim.

— Jeśli o to chodzi, moi „mali Piłsudzycy“, to je wam

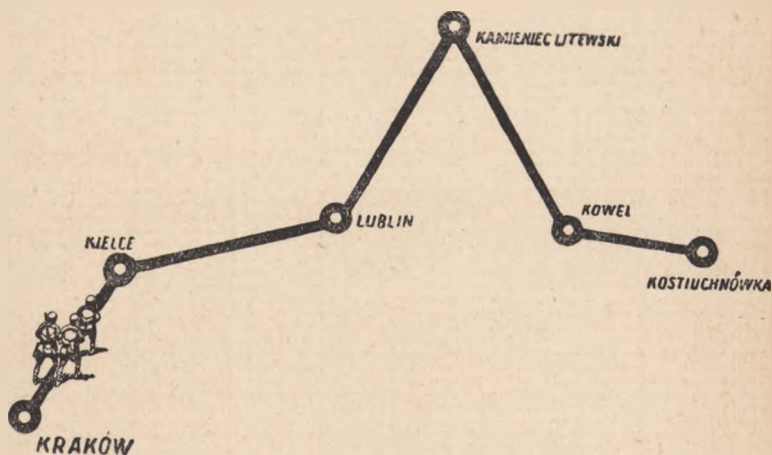
chętnie w krótkości opowiem! — pocieszył nas nasz przyjaciel (on naturalnie zna to wszystko doskonale; czyż wogóle jest coś, o czemby nie wiedział?).

— Świetnie! — krzyknęliśmy obaj naraz. — Ale chodźmy do biblioteki!

— Tak jest! Koniecznie! Tylko tam słucha się takich historyj z prawdziwem namaszczeniem. Można także i w kuźni, ale to już jest co innego!

V. SZLAKIEM LEGJONÓW.

Z bijącym sercem przeszliśmy do biblioteki i zasiędliliśmy na starej kanapie.



Szlakiem Legjonów.

Pan Zygmunt zapalił światło i stanął przed półkami biblioteki, jakby czegoś szukał. Pogwizdywał sobie przytem cichutko przez zęby.

Wreszcie zawołał:

— Mam!

I wyciągnął gruby, zakurzony tom. Rozłożył przed nami mapę Polski i rzekł, siadając wśród nas:

— Oto te czerwone linijki znaczą krwawy pochód legionistów ku sławie i wolności z zachodu na wschód. Jedna idzie od Nidy i Dunajca. Druga — od czeskiego Podkarpacia przez góry, ku Polsce! Jeśli nie macie nic przeciw temu — to i my odbędziemy teraz w wyobraźni tę samą drogę — szlakiem Legionów!

Wodząc palcem po krętej linijce, mówił nam nasz gość, jak to brygada Piłsudskiego, po krwawych bojach jesienią i zimą 1914-15 r., przeszła pod Sącz, stoczyła bohaterski bój pod Łowczówkiem z przeważającymi siłami rosyjskimi, a na wiosnę znów wróciła do Królestwa, by wziąć udział w ofensywie na Lublin. Mimo bolesnych strat, rosły jednak siły legionowe. Powstał pułk 4-ty Roji⁴ i 5-ty »Zuchowatych« Berbeckiego.⁵ Mnożyły się szwadrony 1-go pułku ułanów. Tworzyły się coraz to nowe baterje artylerji. Formowały i doskonaliły rozmaite oddziały techniczne i pomocnicze. A wszystko to wśród walk zaciętych, wypierając Moskali coraz dalej na wschód.

Równocześnie powstała druga brygada, częścią z ochotników krakowskich, częścią z resztek Legionu Wschodniego, powiększona o kompanje podhalańskie Galicy,⁶ ruszyła też na front jesienią 1914 r. Stworzono pułki: 2 i 3-ci piechoty, 2-gi ułanów Ostoi⁷ oraz oddziały techniczne i pomocnicze. Przebywszy srogą zimę

⁴ Roja = oficer legionowy, obecnie generał w stanie spoczynku.

⁵ Berbecki = oficer legionowy, obecnie generał.

⁶ Galica = oficer legionowy, obecnie generał w stanie spoczynku.

⁷ Ostoja = oficer legionowy.



SZARŻA UŁANÓW LEGJONOWYCH POD ROKITNĄ 13 CZERWCA 1915 R.

na pozycjach Wschodnich Karpat, gdzie stawali tak dzielnie, że nazwano ich »żelazną« brygadą, spłynęli wiosną w doliny już po stronie polskiej. Prac niby wezbrana rzeka górską przez Rafajłową⁸ i Nadwórnę,⁹ weszli zbrojnie na polskie Pokucie⁹ i zajęli jego stolicę — Kołomyję.

W ciągu lata i jesieni uwolniono od Moskali całe prawie Królestwo i była Galicję wraz z zajęтым przez Rosjan Lwowem.

Zwycięskie armje państw centralnych wdzierały się coraz głębiej w ziemię państwa rosyjskiego — dawne kresy polskie. Tam też, od Bukowiny, poprzez Wołyń i Białoruś aż po Litwę, ustalił się front bojowy zimą 1915-16 r.

Pierwsza brygada krwawiła w okolicach Kowla, druga — na froncie bukowińskim. Tam to wydarzył się ten bohaterski rapsod,¹⁰ utrwalający sławę bojową legionistów, jako jednych z najbitniejszych żołnierzy świata. A mianowicie — szwadron rotmistrza Wąsowicza, sześćdziesiąt kilka szabel, rzucił się w szyku konnym na odrutowane okopy rosyjskie pod wsią Rokitna. Nie wytrzymali Moskale furji natarcia polskich jeźdźców. Padły niezdobyte okopy. Ale padli też ich zdobywcy. Z całego szwadronu przy życiu i zdrowiu pozostało kilku. Polskie czaka ułańskie, niby barwne kwiecie, pokryły szanice nieprzyjaciół. Poległ Wąsowicz, polegli wszyscy jego oficerowie. Z gęstwy ciał ludzkich i końskich płynęły szczodrze strugi gorącej krwi...

⁸ Rafajłowa i Nadworna = miejscowości w Karpatach Wschodnich.

⁹ Pokucie = najżyźniejsza część Polski na granicy rumuńskiej.

¹⁰ Rapsod = starożytna opowieść rycerska.

Za oknem huczał jesienny wiatr. Słyszać było skrzy-
pienie drzew w parku, bezlitośnie przeginanych ku
ziemi. Zdawało się nam, że słyszymy, jak ten wiatr
jęczy: »Tyle krwi! Tyle krwi!«...

I niespodziewanie — ta ziemia ojczysta, za taką
odzyskana cenę stała się nam jeszcze droższa, jeszcze
piękniejsza, niż dotychczas...

Pan Zygmunt zapalił papierosa. Wypuścił kłęb
dymu, pomyślał chwilę i tak nam dalej mówił:

— Dopiero owej zimy ziściły się stare marze-
nia legionistów, snute od wybuchu wojny światowej:
połączono razem wszystkie pułki i oddziały na froncie
wołyńskim ot tu — spójrzcie na mapę! Widzicie? Na
wschód od Kowla. Jest tu wzniesienie, co się zwie po
dziś dzień »Polska Góra«. Tę nazwę zdobyli dla niej
legioniści własną krwią. Widzicie te kreseczki? Ozna-
czają one bagna Stochodu.¹¹ I tak też mniej więcej
biegł front.

Warunki tej zimowej walki pozycyjnej w bagnistem
bezdrożu leśnem były bardzo ciężkie. W okopach stała
zmarznięta woda. Chłopcy odmrażali sobie nogi i ręce,
chorowali na reumatyzm i inne choroby. Do tego jeszcze
zdradliwe pociski wroga codzien z chichotem kosiły
życia ludzkie. Mimo to radość panowała niefrasobliwa
wśród »relutonów« (tak przezywano szeregowców le-
gjonowych). Pułki: 1-szy, 2-gi, 3-ci, 4-ty, 5-ty i 6-ty
piechoty, 1-szy i 2-gi ułanów, artylerja, saperzy, tabory
— pobudowały sobie na co suchszych polanach po-
mysłowe osady. Rywalizowano między sobą w pięknie
solidnego budownictwa z drzewa, którego było dość

¹¹ Stochód = bagnista rzeka na ziemiach wschodnich.

pod ręką. Skracalo to nudę zimowych miesięcy. Odwiedzano się nawzajem, nawiązywano nici przyjaźni i koleżeńskiej zażyłości. Brygady — pierwsza, druga, oraz formująca się trzecia — od początku wojny rozdzielone — walczyły dotąd na różnych frontach. Szczuto nawzajem oficerów i żołnierzy jednej brygady przeciw drugiej, byleby tylko złamać tężyznę legionistów. Była to nikczemna polityka austriacka. Ale, niestety, nie brakło w tej kreciej robocie i swoich, zaprzędanych zaborcem. A wszystkim tym wrogom wraz z wyższymi komendami wojsk austriacko-niemieckich solą w oku był ten samotny, zamknięty w sobie Wódz. Płonął w Nim skrycie żarem nieugaszonym płomień męstwa i zapалу. Romantyk w pomysłach, długo je rozważał w bezsenne noce. Z uporem niezmożonym wprowadzał w czyn swe genialne ideje. Wódz i polityk zarazem na miarę olbrzyma.

Miłowali Go legioniści i nazywali pieśzczotliwie »Dziadkiem«. Był On wszystkiem dla tych szarych żołnierzy, idących na śmierć z piosenką na ustach, bezdomnych, zagubionych, przez własną zapomnianych Ojczyznę — ich ojcem i matką, bratem serdecznym i wiernym towarzyszem broni. Przecież od tylu lat śmierci zaglądali w oczy!

Hardą piosenką, bolesnym czasem żartem, pokrywali i trud i zmęczenie. »Nie chcemy dziś od was uznania!« śpiewali własnemu społeczeństwu. »Na stos« rzucili »swój życia los« i szli śmiało za gwiazdą Komentanta.

Żartem, piosenką krzepiła się wiara. Młodzieniaszki szybko dojrzewali w męża. Przekrzywiwszy »macie-

jówki»¹² z fantazją na ucho, trwali na posterunku. Choć może niejeden tajnie łzę żalu ocierał...

Aż przewaliła się przez nich nowa burza: atak na całym froncie latem 1916 r. rosyjskiego generała Brusilowa.

Legjoniści wytrwale bronili swych placówek. Krwią spłynęła »Polska Góra«. Austriacy, jak zwykle, uciekli haniebnie, odsłaniając skrzydła Legjonów. Trzeba więc było cofać się na Kowel. Krok za krokiem, twarzą do nieprzyjaciela, bagnetem opędzając się kozactwu — znaczyli legjoniści krwią swój odwrót. Wielu z najlepszych zostało na zawsze tam, nad Stochodem. I została pamięć między leśnym ludem poleskim o bohaterach, na których pamiątkę zwą po dziś dzień centralny punkt oporu »Polską Górą«.

VI. WIDMO MAGDEBURGA.

Lecz nie kule rosyjskie uderzały najboleśniej w serca legjonistów. Dotkliwiej zaboląła wieść, rozchodząca się wśród pułków z szybkością gromu, że komendant Piłsudski podał się do dymisji.

— Czy możliwe? Opuszcza nas?

O nie, On ich nie opuszcza! Genjalny wódz, którego wielkość w narodzie rosła i potężniała, powziął w swej duszy niezłomnej potężną decyzję: koniec porozumienia ze »sprzymierzeńcami«.

Czczony przez przyjaciół, nienawidzony przez wrogów, wiedział więcej, niż współrodacy. Widział też dalej od nich.

¹² Maciejówka = czapka strzelecka.

Skoro w letniej ofensywie Brusilowa załamała się ostatecznie siła wojskowa Rosji, stojącej w przededniu rewolucji, a szyskany państw centralnych stawały się w stosunku do legionistów coraz dotkliwsze, Piłsudski postanowił maleńkie wojsko swe rozwiązać oficjalnie i skryć pod ziemią w postaci tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

Ustąpienie Komendanta pociągnęło za sobą prośby o zwolnienie najlepszych Jego oficerów.

Rzucono wtedy Polsce złudny ochłap: manifest cesarza Austrii i Niemiec, zapowiadający wskrzeszenie Królestwa Polskiego.

Lecz nieszczerzy ten akt, ogłoszony dnia 5 listopada 1916 r., nie na wiele się przydał okupantom!

Polska niepodległa, Polska Piłsudczyków — odrzuciła spóźnione zaloty germańskie. Nastąpił ostry kryzys w Legionach, które odmówiły złożenia przysięgi na wierną służbę Prusakom!

Nadzieje na 100-tysięczne wojsko polskie, którem możnaby poratować front zachodni — prysły jak bańka mydlana. Piłsudski odmówił Niemcom rekruta, choć byli w kraju tacy, co chętnie zgodziliby się i na to — dla uzyskania pozorów władzy. Lecz woła Komendanta okazała się decydującą. Legjoniści zrzucali mundury,



Widmo Magdeburga.

nie przestając być jednak karnymi żołnierzami swego wodza w cywilnej kurcie na grzbiecie!

Rozbiegli się po Polsce jako »peowiacy«, roznosząc hasło walki z okupantem.

Wywołało to odwet ze strony Niemców. Komendanta Piłsudskiego i szefa Jego sztabu Sosnkowskiego aresztowano w nocy i wywieziono do twierdzy magdeburskiej.¹³

Legjonistów z Galicji przebrano w mundury austriackie i posłano na żer działom włoskim nad Soczę.

Oficerów i podoficerów, odznaczonych nieraz wysokimi orderami zaborczemi za męstwo, zdegradowano.¹⁴ Pochodzących z Królestwa zamknięto za drutami kolczastymi obozów koncentracyjnych w Benjaminowie i Szczypiornie, jako niebezpiecznych przestępców, znęcając się nad nimi z krzyżacką brutalnością!

Kraj cały zamarł w przerażeniu. Wszyscy — tylko nie Piłsudscy. Bo dusze ich Komendant przerobił już tak, że były jak ze stali. Nic złamać ich nie mogło!

Bezsilna Rosja, powalona rewolucją i wojną domową, przestała być przeciwnikiem wchodzącym w rachubę. Cały więc wysiłek »niepodległościowców« skierowano frontem na zachód. Wojnę na śmierć i życie wypowiedziała okupantom austriacko-niemieckim P. O. W., przejmując w spadku wielką ideę Legjonów...

Na tem zakończył pan Zygmunt swą opowieść.

— A teraz — spać, kawalerowie — zawołał — bośmy się zagadali niemożliwie długo!

¹³ Magdeburg = więzienie wojskowe w Prusach.

¹⁴ Zdegradować = pozbawić stopnia.

VII. POWRÓT DO MIASTA.

Następnego wieczora wrócił pan Zygmunt ze swej wiejskiej wyprawy, zziębnięty i przemoczony do nitki. Cały dzień bowiem deszcz lał niemiłosiernie.

Nadomiar złego przyszła pocztówka od mamy z żalobną wieścią, iż w szkole naszej skończyła się, niestety, błogosławiona szkarlatyna i trzeba wracać do książek i lekcyj!

Panu Zygmuntowi opowiedzieliśmy naturalnie zaraz o wezwaniu do powrotu.

— Dobrze się składa! — zawołał, wesół jak zawsze, jakby nie widział naszych zmartwionych min — pojedziemy razem.

Był to uśmiech losu w tym żalonym dniu deszczowym.

— A wie pan, w kartce mamusi jest dopisek Jasi! — palnął Jędrrek. — Pyta o pana i przesyła pozdrowienia, jeśli pan tu jest jeszcze!

— A dziękuję, dziękuję, proszę się też kłaniać ode mnie! — odparł pan Zygmunt niezupełnie przytomnie i wsadził łyżeczkę od cukru do słoika z musztardą.

Ki djabeł? Wyglądał, jakby zmieszany. Nie pojmuję dlaczego! Czyżby dopisek Jasi był tego przyczyną?

Nazajutrz od rana żegnaliśmy się z całą Basiówką. Dzięki Bogu, deszcz ustał natyle, że można było chodzić trochę. Poszliśmy też i do Walusia, by go raz jeszcze uściskać.

Kowal wycalaował nas, mówiąc żartobliwie swoim grubym głosem:

— A nie zapomnijcież tam o nas całkiem, szanowni obywatele Piłsudczycy!

Cała rodzina Kasprzaka żegnała nas serdecznie.

Pod wieczór, zaopatrzeni przez płaczącą (jak zawsze przy odjeździe) Agatę w pyszne smakołyki wiejskie, a przez cieślę we wspaniałe łuki indjańskie z witek wierzbowych, opuściliśmy gościnny dom drogiej cioci-babci.

Razem z siepiącym deszczem wpadliśmy po krótkiej jeździe koleją na Dworzec Główny.

Że czekała na nas mamusia — to w porządku. Ale dlaczego Jasia przyszła też na dworzec? Tego nie rozumiem. Czyżby naprawdę tak się stęskniła za nami, jak mówiła?

Kwestja jest poważna, muszę o tem z Jędrkiem pogadać na serjo!



ZMARTWYCHWSTANIE.

I. HUSZT.

W naszym starym domu jest cudowna skrytka pod schodami. Pełno tam niepotrzebnych gratów. Nazywamy to schowanko: »Huszt«. Służy nam ono do przeróżnych zabaw, jako więzienie czyli kryminał.

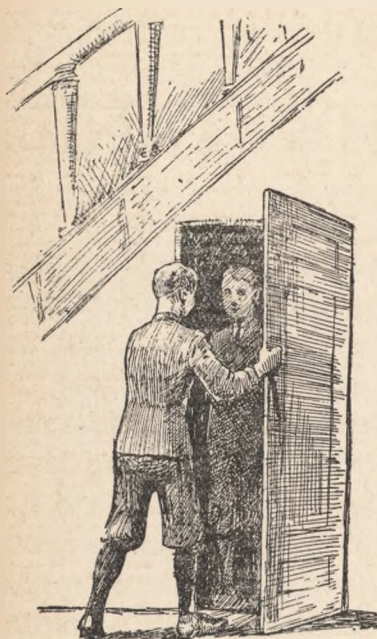
Żandarm austriacki t. j. Jędrak zamyka tam kapitana Góreckiego¹ albo innego legionistę z »karpackiej brygady« czyli mnie. Liczy się: raz, dwa, trzy i t. d., co oznacza miesiące albo lata, zależnie od zabawy. A czasem się nie liczy, tylko zasuwa patyczek w rygiel i biedny więzień siedzi, póki ma cierpliwość. Wreszcie zaczyna krzyczeć i albo mama albo Justysia z kuchni przylatują i wypuszczają nieszczęśliwca.

Czasem jest to »sezam« — czarodziejska jaskinia rozbójników z arabskiej bajki. Otwiera się na tajemne zakłęcie. W tym celu przyczepia się do drzwi sznurek,

¹ Kapitan 11 brygady dr. Roman Górecki był jednym z przewodców spisku, który miał na celu przeprowadzenie 11 Brygady Legionów przez front austriacki na Ukrainę, jako protest przeciw tajnej umowie Austrii i Niemiec z Rosją sowiecką w r. 1918, odrywającej od Polski prowincje południowo-wschodnie. Aresztowany przez żandarmów austriackich w czasie przechodzenia linii bojowej, został osadzony w więzieniu w Huszt na Węgrzech. Dziś generał.

który się ciągnie w odpowiedniej chwili i drzwi się same otwierają.

Z kuchni wykrada się skarby, ale tak, aby Justysia nie widziała, bo się złości i skarży mamie. Błyszczące tace mosiężne, takiż tłuczek i moździerz do tłuczenia pieprzu albo wanilji, turecki serwis od kawy — to jest złoto w »sztabach«. A srebro reprezentują dwa świeczniki z holu i tacka na okruszynki z jeleniem, z jadalnego pokoju.



Skrytka pod schodami
czyli „Huszt“.

Do zabawy w »Huszt« potrzebny jest karabin. Mammy wspólną wiatrówkę, prezent gwiazdkowy. Do lufy przyczepia się drutem »bagnet« t. j. nóż kuchenny.

»Austriak« czyha w holu, schowany w okopach, między kominkiem a kanapą, na przekradającą się przez front »drugą brygadę«. Skó-

ra przed kominkiem — to »Rarańcza«, ta wieś, gdzie się druga brygada zbuntowała przeciw Austrii na wieść o haniebnym pokoju w Brześciu. Znamy dobrze tę historję! Działo się to w lutym 1918 r. i groziło Polsce nowym rozbiorem wskutek knowań bolszewików z Wiedniem i Berlinem.

Czasami udaje się uprosić Justysię, by grała rolę, »pułkownika Zielińskiego«.²

Wtedy ja (jako kapitan Górecki) przychodzę do kuchni i aresztuję ją, mówiąc:

— My wiemy, że pan pułkownik chce z nami iść na Ukrainę, aby się tam połączyć z żołnierzami-Polakami z wojska rosyjskiego. Ale pan pułkownik nie chce złamać przysięgi Austriakom. My pana pułkownika wszyscy kochamy i poważamy, dlatego aresztujemy pana i zabieramy z sobą, żeby pan był w swoim sumieniu spokojny, że pana gwałtem wzięto! A tamtych kundli austriackich, oficerów ze sztabu, pod straż i »chodu«.³ Wogóle z nimi nie mówimy.

Potem Justysia (jako pułkownik Zieliński!) musi siał dać ze mną na zestawionych krzesłach. To jest moja bryczka taborowa, którą jedziemy na front. W pokoju gasi się światło, aby było ciemno, bo to przecież noc. Jeśli się żarzy na kominku, to tem lepiej. Bo to są dalekie ognie austriackich biwaków. Jędrak wali kopystką od bielizny o podłogę. To piechota węgierska strzela za nami. Justysia umiera ze strachu za każdym razem, bo wogóle nie lubi ciemności.

Potem Jędrak staje koło bryczki z podniesionym kołnierzem i udaje zmarzniętego »relutona«.⁴ Jest bowiem zima i psi czas.

² Pułkownik Zieliński, dowódca 2 pułku piechoty Legionów, przedtem oficer austriacki, niezwykle dzielny i obowiązkowy żołnierz, wzbraniał się początkowo wziąć udział w spisku, ponieważ uważał to za złamanie karności wojskowej.

³ „Chodu“ = wyrażenie gwarowe, tyle co „w nogi“.

⁴ „Relutonami“ przezywano piechociarzy-legjonistów, przeważnie młodych chłopców, ponieważ nieraz zamiast wiktury otrzymywali pieniądze na strawę, t. zw. z austriacka „relutum“.

Ja go pytam:

— Czy piechota już przeszła?

On żąda hasła, potem poznaje mnie, salutuje po legionowemu i odpowiada służbiście:

— Tak jest, panie kapitanie! Ja jestem łącznikiem dla wskazania drogi artylerji.

Obaj wiemy doskonale, że to na nic! Bo artylerję złapią Austriacy. I część piechoty i tabory i oddziały pomocnicze. I nas też. Tylko Haller⁵ sam się przedrze z 2-gim i 3-cim pułkiem.

Więc Jędrak znów się przebiera w salonie w płaszcz i wraca, by nam drogę zagrozić »bagnetem«.

— Halt! — krzyczy strasznie.

Wiadomo, że to żandarm polowy. Mnie aresztuje, Justysię wypuszcza, bo stary »oberszt«⁶ szedł tylko nibyto pod przymusem.

Justysia uszczęśliwiona zmyka do kuchni, zapowiadając nam, że się okropnie przestraszyła i że to już ostatni raz się tak z nami bawi! Ale my wiemy, że to nieprawda i nie martwimy się zbyt. I tak przecież do »Huszt« nie dałaby się zamknąć. Pewno nie zmieściłaby się nawet, taka gruba!

Więc Jędrak tylko mnie tam taszczy za kołnierz i jest przytem bardzo grubiański. Wykrzykuje źle po polsku, że pójdę pod sąd polowy, będę rozstrzelany, a może nawet powieszony. Ale ja się wcale nie boję i śmieję się Austriakowi w nos, bo jestem prawdziwy legun!

⁵ Generał Józef Haller — dowódca II brygady karpackiej Legionów, potem — Armji Polskiej we Francji.

⁶ „Oberszt“ = z niemiecka pułkownik.

Gdy mamusia jest w domu, to przychodzi do »Huszt« z wizytą i podarunkami. Jest wtedy szlachetną panią z lwowskiego »Komitetu Obywatelskiego«⁷ i przynosi dary dla uwieczonych legionistów. Przy tej okazji zawsze się coś nam dostanie smacznego. Nam — bo Jędrak oczywiście korzysta też z tego, choć niby mnie pilnuje jako żandarm i sprawdza przepustkę mamusi. Ale mamusia mówi, że Austriaków trzeba było przekupywać, aby pozwolili na widzenie. Więc to jest zwyczajna łapówka! Że też ten Jędrak się nie wstydzi. Ale on mówi, że musi grać wiernie swą rolę. Ordynarny wykręt! Bo przecież tylko ja jestem bohater narodowy...

Potem na dużym stole w naszym pokoju ustawia się wyciętych z papieru legionistów i Niemców i strzela papierowymi kulami. Jest to bitwa pod Kaniowem,⁸ niestety — przegrana!

Przez to Haller nie mógł się już połączyć z I korpusem generała Dowbór-Muśnickiego, ani z innemi oddziałami polskimi w Rosji i przez Murmań⁹ wyjechał do Francji, by tam tworzyć wojsko polskie.

Wiemy bowiem dobrze, że po wybuchu rewolucji bolszewickiej Polacy z wojska rosyjskiego potworzyli własne oddziały, aby bić się za Polskę. Ale jak co do czego przyszło — dali się rozbroić, jak dzieci, i cichcem,

⁷ W czasie przebywania legionistów w więzieniu w Huszt, utworzył się we Lwowie Komitet Obywatelski, który śpieszył z pomocą materjalną i moralną aresztowanym.

⁸ Część II brygady, której się udało przedrzeć przez front austriacki, połączyła się z oddziałami wojsk polskich, tworzonych na Ukrainie z byłych żołnierzy wojska rosyjskiego. Pod wioską Kaniów otoczyli ich Niemcy. Przyszło do morderczej bitwy, zakończonej niestety klęską Polaków.

⁹ Murmań = miejscowość najdalej na północ wysunięta w Rosji europejskiej.

po jednym i bez broni, przekradali się do Warszawy, zwątpiwszy o sprawie. Jeden tylko generał Żeligowski na Kubaniu¹⁰ ze swoją »dziką dywizją« nie dał się i po srogich bojach pod Odessą¹¹ i w Bessarabji¹² przebił się do Polski przez Rumunję. A zjawił się wporę, by pomóc naszym w walkach z Ukraińcami. Za to go bardzo szanujemy!

— Czy ta jego dywizja była naprawdę taka »dzika?« — zapytałem Jędrka raz, ale on powiedział, że jestem idjota!

Ciekawym, czy też on wie naprawdę, dlaczego się tak nazywała?

Raz z tej zabawy wynikła taka historia:

Jędrrek powiedział:

— Czekał, teraz przyjdzie na ciebie abolicja!

Oburzyłem się:

— Co przyjdzie?

— Abolicja!

— To ja się z tobą więcej nie bawię! — zawołałem prawie z płaczem, śmiertelnie obrażony za »takie« słowo!

Dopiero ojczyk mi wyjaśnił wieczorem, że »abolicja« znaczy umorzenie procesu sądowego i nie jest wcale obrażą!

Tak też zakończyła się sprawa z legionistami w »Huszt«, których na rozkaz cesarza austriackiego po kilku miesiącach wypuszczono. Lecz tego wyrażenia »abolicja« do dziś dnia nie lubię.

¹⁰ Kubań = prowincja na Kaukazie.

¹¹ Odessa = port Ukrainy nad morzem Czarnym

¹² Bessarabja = prowincja rumuńska nad Dniestrem.

II. SŁUŻBA I ŚMIERĆ BEZIMIENNA.

Szkoła jest przeważnie nudna. Zato dziś popołudniu przyszła po nas Jasia i zaprowadziła na plac Małachowskiego.

— Zobaczycie pomnik poległych »peowiaków«! — powiedziała nam.

Był już zmierzch i paliły się latarnie uliczne. Wokoło szli ludzie i jechały ciężkie autobusy i taksówki.

Mało kto zatrzymał się i popatrzył na umierającego bohatera.

Na granitowej płycie leży powalony bojownik. W jego oczach jest już śmierć. Ciało ma młode i piękne. Gasnącym ruchem lewej ręki chwytą jeszcze za miecz. Lecz jest już bezsilny. Już walczyć nie może!

Na cokole widnieje napis:

»Służba i śmierć bezimienna dla wzniosłej sprawy Ojczyzny«.

A z drugiej strony granitu czernią się trzy wymowne litery: »P. O. W.«

Wiemy dobrze, co one oznaczały! Wiemy, jaki postrach wzbudzały wśród wrogów. Na peowiakach oparł »Dziadek« dalszą walkę o niepodległość po rozwiązaniu Legjonów. Do P. O. W. garnęli się i uciekinierzy z frontu włoskiego i więźniowie z Huszt, Szczypiorny,¹³ Benjaminowa.



Odznaka
»P. O. W.«

¹³ Szczypiorna i Benjaminów = dwa obozy niemieckie w Królestwie, gdzie trzymano legionistów uwięzionych za odmowę złożenia przysięgi na wierność Prusakom.

— Choć Komendanta wywieziono do Magdeburga — objaśniała nas Jasia — dzieło jego prowadzili dalej najtężsi Piłsudczycy.

— Ale tu jest data! »1914—1918« — zauważyłem, wskazując liczby u głowy brązowego bohatera.

— Tak jest! — odparła Jasia — pierwsze zawiązki Polskiej Organizacji Wojskowej powstały tuż po wybuchu wojny światowej w 1914 r. w Warszawie. Kierował nią na rozkaz Komendanta porucznik Tadeusz Żuliński, który w rok potem poległ na froncie. Praca była niezwykle trudna. Przeszkadzał obcy szpieg, hamowała rozwój organizacji obojętność własnego społeczeństwa. Walczyć w gromadzie, jawnie, z karabinem w dłoni i ginąć nawet jako żołnierz w mundurze ramię przy ramieniu obok kolegów — to było bohaterskie i piękne, lecz mniej tragiczne, niż śmierć bezimienna w kazamatach wroga! Złapanych bowiem peowiaków nie traktowano jak jeńców-żołnierzy, tylko jak niebezpiecznych przestępców. Niepozorny cywil z braunin-giem w kieszeni, idący samotnie na niebezpieczną wyprawę, na śmierć bezsławną — oto typ peowiaka! Organizacja ta rozrosła się niebywale i objęła nietylko całą Polskę, Litwę i Ukrainę, ale nawet dalekie obszary ogromnego państwa rosyjskiego. Zwalczał i gnębił ich rząd carski, zarówno jak i bolszewicki. Aresztowali i tępil okupanci, zwłaszcza Niemcy.

Patrzyliśmy w zadumie na ten pomnik polskiego męstwa. Z rozmyślań wyrwał nas głos Jasi, zapraszającej na pączki do cukierni Ziemiańskiej. To nam się uśmiechało bardzo!

Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy tam już zastali oczekującego nas pana Zygmunta.

Ani rusz nie mogliśmy uwierzyć, że to przypadek. Widać — porozumiewają się z Jasią poza naszymi plecami. Bardzo nas to zabolalo.

Ale świetne pączki i dobry humor pana Zygmunta wnet pogodziły nas z życiem.

— Oglądaliście pomnik ku czci poległych peowia-ków? — rozpytywał pan Zygmunt. — A wiecie wy, co znaczyły te trzy litery: P. O. W.?

— Naturalnie! — odparliśmy oburzeni takim po-sądzeniem. — Tajna organizacja Piłsudskiego, powstała tu, w Warszawie, rozszerzona potem na cały kraj! Służyli w niej legjoniści...

— Doskonale! Ale legjoniści zasilili szeregi peowia-ków dopiero później, w 1917 i 1918 r., po kryzysie przy-sięgowym, znacie tę historję?

— Znamy! Znamy! — odrzekliśmy razem.

— Okupanci, to znaczy Austriacy na prawym brzegu Wisły i Niemcy na lewym, patrzyli z początku przez palce na P. O. W., póki nie przekonali się, że nie będzie z tego dla nich pociechy, jak myśleli, w postaci re-kruta na front francuski. Potem zaczęły się prześlado-wania. Peowiaczy odpowiedzieli terorem. Tak z ich rąk padł na ulicy w Warszawie znienawidzony szef tajnej policji niemieckiej von Schultze. Organizacja, po chwi-lowem załamaniu się z powodu licznych aresztowań, odrodziła się wkrótce na nowo. Komendantem głów-nym w Krakowie został Rydz-Śmigły...

— Ten dzielny oficer z I brygady? — zapytałem.

— Tak jest, ten sam, były dowódca 1-go pułku

piechoty legionowej, później zwycięski wódz armji przeciw bolszewikom, dziś generał...

— Widzieliśmy go raz na placu Piłsudskiego, na rewji! — wtrąciliśmy z dumą.

— Utworzył on trzy komendy naczelne: jedną w Warszawie na Królestwo; nosiła ona numer 1-szy; 2-gi miała ta w Krakowie, na Galicję, a K. N. 3, jak ją nazywano w skróceniu, kierowała peowiakami na Ukrainie i w Rosji.

— Proszę pana — zapytałem — ale jak to było właściwie z temi okupacjami?

— Po odebraniu Moskałom Królestwa, podzieliły się niem państwa centralne. W Warszawie rządził jako gubernator generał Bessler, w Lublinie zaś siedział austriacki generał.

— A czy dużo naszych wyginęło? — pytałem dalej przejęty.

— Straty były poważne. Wielu poległo w bojach partyzanckich, zwłaszcza z Niemcami. Wielu zabrały choroby w więzieniach i obozach okupantów. Lecz najsrożej może cierpieli ci, co wpadli w szpony bolszewickich »czerezwyczajek«.

Jędrak siedział nachmurzony. Widać było, że nad czemś myśli zawzięcie. Wreszcie odezwał się:

— No, ale przynajmniej nie poszły na marne te ofiary; bo jak czytałem i słyszałem o tylu bohaterach z poprzednich powstań, którzy ginęli w przegranych bitwach, to mi się nieraz płakać chciało.

Pan Zygmunt i Jasia uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo.

— Tym razem — rzekł — wygraliśmy sprawę. Mie-

liśmy wodza i byliśmy zdecydowani walczyć do końca. P. O. W. zadania swoje spełniła!

— Cztery lata żmudnej, podziemnej pracy — rzekła milcząca dotąd Jasia — przygotowało naród do tej wielkiej chwili dziejowej, gdy padła wreszcie potęga Niemiec!

— Cały kraj — dodał pan Zygmunt — pokryty siecią spisków, powstał przeciw okupantom. Butni dotąd Niemcy przerazili się i dali rozbroić bez większego oporu.

— To musiała być cudna chwila! — krzyknął Jędrek z zapałem.

— Tak — odparł pan Zygmunt, jakby sobie coś przypominając. — »P. O. W.« — stwierdził to potem »Dziadek« — »opierała się jedynie na swoich własnych, polskich siłach, szukając oparcia w rozwoju stałym wewnętrznej siły moralnej, siły duszy, niekiedy tak pięknej i prężnej, że przypomnieć może największe wysiłki narodu, gdy walczył o swój byt niezależny!«

— Te trzy skromne litery — dodała jeszcze Jasia, kreśląc krzyż peowiacki na bibułkowej serwetce — zawierają w sobie ogrom hartu, poświęcenia i męstwa!

A potem podniosła swoje duże oczy i wlepiała je w pana Zygmunta, który w klapie marynarki taki właśnie znaczek nosił.

Gdyśmy wracali do domu na ulicę Bugaj poprzez mgłą wieczorną zasnuते miasto, wspiałem się na palcach i ścisnąwszy Jasię za rękę, szepnąłem jej do ucha:

— Powiedz, czy naprawdę kochasz się w panu Zyg-muncie?

Nie wiem dlaczego ofuknęła mnie groźnie:

— Też masz pomysły niemądre!

Ale my z Jędrkiem wiemy, co w trawie piszczy. I późno w noc obgadywaliśmy szeptem tę doniosłą sprawę!

III. POWRÓT WIĘŹNIA.

Mieliśmy dziś bardzo miłą lekcję polskiego. Nasz profesor rzekł nam na początku:

— Wasze zadanie domowe wypadło wcale nieźle. Lecz najlepsze jest Leszka Sokulskiego, które głośno przeczytam. Wybrał on wolny temat i napisał opowiadanie, które i wam z pewnością będzie się podobać. Temat aktualny — bo oto mamy listopad, miesiąc wspomnień!

Leszek, stojąc w ławce, to bladł, to czerwienił się naprzemian; mimo to widać było, że jest mu bardzo przyjemnie. Ale równocześnie wstydził się.

Jest to chłopak wątły, dziwnie nieśmiały. Nazywamy go »Albinos«, bo ma nogi długie jak ptak, całkiem białe włosy i takie same rzęsy i brwi — jednym słowem pokryty jest jakby siwym puchem. Tylko oczy mu się palą zawsze niesamowicie!

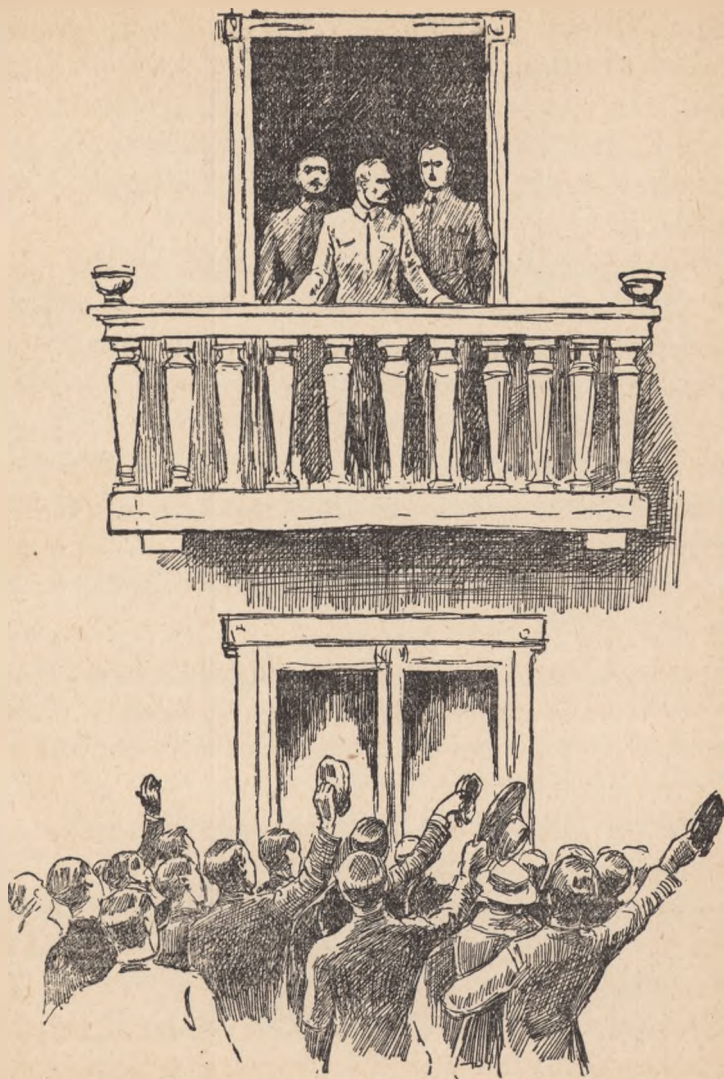
Profesor chrząknął i otworzył zeszyt Leszka:

Kopnąłem Jędrka pod ławką.

— Szczęściarz ten »Albinos!«

— No, myślę, taki zaszczyt! — odparł mój brat również szeptem.

Czuliśmy obaj, że troszkę Leszkowi zazdrościmy, a przecież mama zawsze powtarzała, że zazdrość o cudze powodzenie — to uczucie brzydkie i niegodne mężczyzny. Cóż poradzić jednak, gdy człowieka gryzie?



...Tłum zebrał się pod kwaterą Komendanta...

— No, spokoj tam, zaczynam czytanie! — zabrzmiał znów głos profesora. — Tytuł tego wypracowania brzmi: »Powrót więźnia«. Czy wiecie, o kogo chodzi?

Klasę zaległa cisza. Więc wstałem i rzekłem z godnością:

— Jeśli to związane z rocznicą listopadową, to pewnie będzie mowa o więźniu z Magdeburga, Józefie Piłsudskim!

Powodzenie Leszka już mniej mnie bolało.

— Bardzo dobrze — pochwalił mnie profesor — w. istocie o Nim będzie tu mowa. — A potem zwracając się do Sokulskiego zapytał:

— Skąd czerpałeś materiał?

— Z opowiadań ojca — odparł cicho zapytany.

Wiedzieliśmy o tem, że ojciec Leszka był oficerem I brygady.

— Tem cenniejsze te wspomnienia, słuchajcie teraz uważnie — rzekł profesor:

„Ponura tragedia wojny światowej dobiegała końca. Niemcy, wyczerpane do ostatka, poddały się Koalicji.¹⁴ I w Polsce więc też zaświtała nadzieja, że spełni się wreszcie długo oczekiwany cud Zmartwychwstania...”

Profesor spojrział badawczo i zapytał:

— Sokulski! Czy sam to pisałeś?

Leszek zerwał się, oczy mu zapłonęły i powiedział mocno:

— Sam!

Wiemy, że »Albinos« nie kłamie nigdy. Zresztą jest harcerzem. Profesor wie też. Rzekł więc tylko:

¹⁴ Koalicja = związek państw, walczących przeciw Niemcom.

— Wierzę ci, choć styl tego zadania jest nad wiek twój poważny i dojrzały. Siadaj, czytamy dalej!

„Kraków¹⁵ był już wolny, we Lwowie¹⁶ wrzał bój z Ukraińcami. W całym kraju gotowało się. Co gorętsi, rozbrajali najeźdźców. Lubelszczyzna¹⁷ była już w naszych rękach. Z tej strony Wisły niepokojono też Niemców, gdzie się dało. Ale w Warszawie samej było jeszcze cicho. Rządził nią nadal pruski generał. Wszyscy czuli jednak, że to ostatnie jego dni. Wszyscy czekali na coś, co się stanie dziś lub jutro najdalej, ale stanie się napewno. I tak nadszedł poranek 11-go listopada...”

— Byczo napisane! — zauważyłem półgłosem.

Inni szeptali też z uznaniem:

— Jak dorośnie, to będzie książki pisał!

Profesor podniósł rękę. Uciszyło się. Czytał dalej:

„Podniecenie panowało ogólne, tłumy wyległy na ulice. Stały jeszcze posterunki w znienawidzonych „pikielhaubach”,¹⁸ ale niepewne i jakby strwożone.

Gromady młodzieży w maciejówkach waliły na dworzec. Wśród nich widniały tu i ówdzie mundury legionistów. To byli peowiacy. Radość oczekiwania malowała się na ich twarzach. Jedni pytali drugich:

— Jest? Nie, jeszcze Go niema! Dziś? A może jutro? Nie, nie! Napewno dziś! Już wyjechał z Berlina!

Nagle — dziwny dreszcz wstrząsnął całą Warszawą: „Jest! już przyjechał!”

¹⁵ Przejęcie władzy w Krakowie przez państwo i wojsko polskie od Austriaków odbyło się 1 listopada 1918 r. w drodze pokojowej.

¹⁶ We Lwowie natomiast 1. XI. 1918 Ukraińcy w sposób podstępny opanowali miasto, obsadzając je swojemi oddziałami wojskowemi, co wywołało zbrojny opór Polaków, który przerodził się w krwawą wojnę polsko-ukraińską.

¹⁷ Na terenie okupacji austriackiej w Lublinie powstał w pierwszych dniach listopada 1918 r. samodzielny rząd ludowy, który po powrocie Piłsudskiego z Niemiec w Jego ręce oddał władzę.

¹⁸ Pikielhauby = szpiczaste hełmy żołnierzy niemieckich.

Cała klasa zapała oddech w piersi i słuchała z najwyższym zainteresowaniem.

Znowu zabrzmiał głos profesora:

„....Tak, wczesnym rankiem tego wielkiego dnia przybył do stolicy Polski „szary Więzień” z Magdeburga wraz z nieodłącznym towarzyszem Kazimierzem Sosnkowskim.¹⁹

W jednej chwili cała Polska, wymęczona przemarszem cudzych wojsk, zniszczona czteroletnią wojną, zagrożona ze wszystkich stron, bez wojska, bez rządu — drgnęła i wyszła z mogiły, jak człowiek obudzony z długiego letargu.

W tym samym czasie, gdy Niemcy z honorami odstawiali Piłsudskiego do granic Polski, z Warszawy chyłkiem umknął jej dotychczasowy pan, generał-gubernator von Beseler“.

Jędrrek szepnął mi do ucha:

— Ale szwabisko musiało być w strachu!

Profesor czytał dalej:

„....Tłum zebrał się pod kwaterą Komendanta. Cała ulica krzyczała i śpiewała. Ludzie, śmiejąc się i płacząc, ściskali przyjaciół i rozbrajali napotkanych Niemców. Radosnym wiatom nie było końca. Wszyscy poczuli, że oto jest już wódz wśród swego narodu.

Prosty i skromny, jak zawsze, wynędzniały długiem więzieniem, lecz pełen ognia i wiary, wyszedł na balkon i pokazał się tłumom.

Nagwałt śpieszyli wszyscy do Niego. I wojskowi i politycy i młodzi i starzy. Dzisiejsi wielbicieli i wczorajsi przeciwnicy. Nie było większego ponad Niego w Polsce nikogo...”

Uszczypnąłem Jędrka w udo, aż zasyczał.

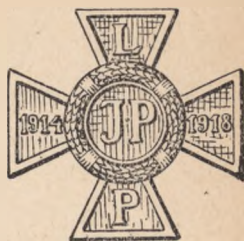
— Jędrrek, to musiała być cudna chwila!

¹⁹ Kazimierz Sosnkowski, były szef sztabu I brygady Legionów, aresztowany razem o Piłsudskim, przebywał z Nim w więzieniu.

Ale musiałem się wnet uspokoić, aby nie przeszkadzać w słuchaniu.

„...Rada Regencyjna,²⁰ utworzona przez Niemców, oddała władzę w ręce Piłsudskiego. Peowiaci, legjoniści, oficerowie i szeregowi Polacy z wojsk zaborczych — karnie stawili się na rozkaz Wodza. Poczęto z nich tworzyć nagwałt kompanje, bataljony i pułki.

Wkrótce nie było śladu po Niemcach. Powstał pierwszy prawdziwy rząd polski. Powstało wojsko. Na Zamku królewskim załopotała chorągiew z orłem. A działo się to przecież tak niedawno! Ojcowie nasi jeszcze pamiętają ów dzień 11 listopada 1918 r....“



Krzyż legionowy —
odznaka wszystkich
legjonistów

Profesor skończył czytać. Cała klasa siedziała ci-chutko w dalszym ciągu. Czuliśmy wszyscy, że nas coś dławi za gardło.

Gdy zabrzmiał dzwonek i profesor wyszedł z klasy, rzuciliśmy się hurmą na »Albinosa«. Siedział zmieszany w swojej ławce i obcierał kropelki potu z czoła.

Uściskaliśmy go wraz z Jędrkiem serdecznie, mówiąc:

— Wiesz, zazdrościliśmy ci przez chwilę, ale to podle z naszej strony i bardzo cię za to przepraszamy. Teraz kochamy cię jeszcze więcej, nie gniewasz się na nas?

Ale on ścisnął nas za ręce:

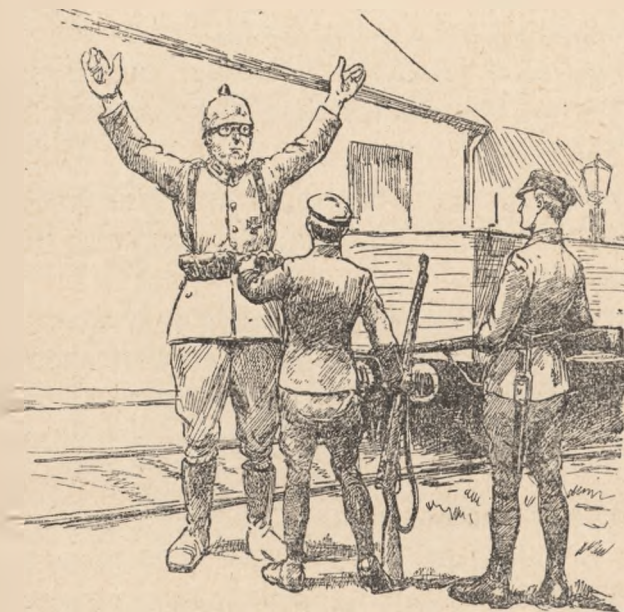
— Jesteście kochani chłopcy. Bardzo was lubię. Wie-cie co, przyjdźcie w niedzielę do mnie na podwieczorek,

²⁰ Rada Regencyjna była czemś w rodzaju najwyższej władzy w okupacji niemieckiej. Ale władza ta była pozorna, bo istotnie zarządzili Niemcy.

będzie czekolada z kremem. Mój tatuś wam opowie dużo ciekawych rzeczy. On umie tak ślicznie opowiadać! Obiecaliśmy to Leszkowi solennie.

IV. NA STACJI GRANICZNEJ.

W najbliższą niedzielę poszliśmy do państwa Sokulskich. Mieszkają daleko, w Mokotowie. Ojciec Le-



...Żołnierze niemieccy posłusznie oddawali swe uzbrojenie...

szka jest lotnikiem. Zjedliśmy pyszny podwieczorek i oglądali książki »Albinosa«. Było bardzo przyjemnie.

Później przyszedł jego ojciec. Czule ucałował swego syna i przyjaźnie przywitał się z nami.

Bardzo go ucieszyło, gdyśmy mu powiedzieli, że zadanie Leszka podobało się wszystkim.

— Rad jestem, że was widzę. Opowiadał mi mój chłopak o waszej serdeczności!

— Tak, ale zazdrościliśmy trochę Leszkowi!

— Lecz potem przyszlście do niego i powiedzieli mu to. A takie przyznanie więcej warte, niż najlepszy uczynek. Dowodzi to, iż serca macie szlachetne!

Pan major Sokulski, taki sam »Albinos«, jak jego syn, z krzyżem »virtuti militari«²¹ na mundurze lotnika, zasiadł na kanapie w jadalni, pousadzał nas dookoła siebie i zapaliwszy krótką fajeczkę, rzekł:

— To były czasy osobliwe, moi drodzy! Pamiętam, jak po powrocie Komendanta zostałem dowódcą dworca w Mławie. Dano mi do pomocy 12 żołnierzyków, nie wiele starszych od was. Najmniejszy był Wacusz. Gdy stanął z bronią u nogi, karabin wystawał mu ponad głowę. Dzielni to jednak byli chłopcy i pomagali mi gorliwie.

— Mława nie leży przecież na granicy, tatusiu! — rzekł Leszek.

— Wtedy była stacją graniczną, oczywiście Kongresówki. Mieliśmy trudne zadanie rozbierania transportów niemieckich, wracających do kraju.

— Toście ich łapali po drodze? — pytał Leszek z roziskrzonymi oczyma.

²¹ „Virtuti militari“ = po polsku: „cnocie wojskowej“, najwyższy polski order wojenny, ustanowiony przez ostatniego króla Stanisława Augusta w czasie wojny polsko-rosyjskiej w r. 1792. Pierwszymi jego kawalerami byli: ks. Józef Poniatowski i Tadeusz Kościuszko. W r. 1919 został przywrócony dekretem Naczelnika Państwa i uchwałą Sejmu. Dzieli się na 5 klas.

— Przy pomocy kolejarzy rozkręciłem tory od strony pruskiej, tak, że żaden pociąg nie mógł jechać dalej. Żołnierze niemieccy musieli wysiadać. Ustawiali się w dwuszeręg i składali karabiny w kozły. Posłusznie oddawali nam całe swe uzbrojenie i ekwipunek. Zostawialiśmy im tylko chlebaki!

— Wyobrażam sobie, jakie mieli przy tem głupie miny! — wtrącił Leszek.

— Potem dwójkami maszerowali na inny tor, gdzie czekały już na nich niemieckie wagony.

— I jechali sobie do »Vaterlandu?«²²

— Naturalnie i jeszcze jacy uszczęśliwieni, że z życiem uszli! Musieli mieć w stosunku do nas mocno nieczyste sumienia!

— Hi! Hi! Hi! — śmieliśmy się, wyobrażając sobie tę scenę.

— I tak codziennie. Ręce nam wprost mdlały ze zmęczenia. Od świtu do późnej nocy przejeżdżały transporty po kilkuset ludzi każdy! Tacy pewni siebie doniedawna — spełniali szybko rozkazy moje i moich podkomendnych. Widocznie myśleli, że Bóg wie, jaką mamy siłę...

— A was było tylko 13! — zawołał Leszek.

— To też, jak tylko złapałem wolną godzinę, to uzbrajałem ochotników, którzy tłumnie zgłaszali się do mnie z miasteczka i z okolicy. Ćwiczyłem tych nieprawnych żołnierzy i starałem się jaki taki ład wśród nich wprowadzić.

— Czemuż nas jeszcze nie było na świecie! — westchnąłem z żalem.

²² „Vaterland“ = po niemiecku ojczyzna.

— Bylibyście się przydali! — zaśmiał się ojciec Leszka. Broni i ekwipunku wojskowego leżało wszędzie mnóstwo. Nie było poprostu gdzie tego magazynować. Sporo też rozkradziono, niesposób było upilnować. Coraz to odsyłałem transporty do Warszawy. Boć wojsko polskie wyrastało jak z pod ziemi. Tworzyły się nagwałt różne oddziały i odchodziły na front, by obsadzić granice, jeszcze w ogniu. Trzeba było to młode wojsko ubrać i uzbroić. Żli sąsiedzi napadli na nas. Musieliśmy się bronić.

— Wiem, Czesi,²³ Ukraińcy, bolszewicy! — wpadł ojcu w słowa Leszek.

— Niemcom rzędły miny coraz bardziej. Pragnęli teraz tylko jednego: jak najprędzej być w domu!

— No, myślę, po 4 latach wojowania! — rzekł Jędek.

— Pilnowaliśmy ściśle, czy aby wszystko nam oddają. I oddawali. Pomyślcie, chłopcy to były naschwał, wyborowe kompanje sławnej piechoty niemieckiej, mogli nam dać bobu! Przecież nas była garstka, ale mieliśmy zapał zwycięzców!

— Pamiętam raz — ciągnął dalej major, pykając z fajeczki — pewien starszy oficer, któremu mój podoficer kazał rozpinać pas z bronią, zwrócił się do mnie prawie ze łzami w oczach błagając, abym mu bodaj szablę zostawił, bo to, powiada, pamiątka, jeszcze ze szkoły wojskowej, sam król pruski dał mu ją w prezenzie przy promocji na oficera!

— A tatuś co na to? — zapytał zaciekawiony »Albinos«.

²³ Czesi, wbrew ugodzie zawartej z Polakami, napadli na nas i przemocą zabrali część Śląska Cieszyńskiego w r. 1918.

— Oczywiście, zostawiłem mu tę pamiątkę, sądząc, że i bez tej szabelki pruskiej Polska da sobie radę z wrogami! A on mi rękę ścisnął i dziękował!

— Przynajmniej tyle! — rzekł Leszek.

A ojciec Leszka kończył:

— Cały miesiąc tak harowaliśmy. Wreszcie odstawiliśmy za granicę ostatnie transporty. Tak się przytem zmordowałem, że dla odpoczynku — zgłosiłem się na front. No i Bóg łaskaw, w grudniu już prałem bolszewików, a wkrótce potem zostałem pilotem. Ale to już inna historia...

V. TRAKTAT WERSALSKI.

W domu, przy kolacji, opowiedzieliśmy ojczukowi o miłych wrażeniach popołudniowej wizyty.

Mamusia powiedziała, że gdyby nie dzielność naszych żołnierzy, toby i traktat wersalski nie pomógł!

Ojczyk przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu. Wreszcie rzekł, gładząc swoim zwyczajem wąsy:

— A wiecie, chłopcy, co to jest ten traktat wersalski?

Pokazało się, że niebardzo.

— Otóż, moi drodzy, skoro mowa o pierwszych początkach naszego odrodzenia, to nie można pomijać aktu, który oficjalnie znów wprowadził państwo polskie do mapy politycznej Europy, naprawiając zbrodnię rozbiorów.

— Niech ojczyk powie, jak to było! — prosił się Jędrak.

— W takim razie chodźcie do mego pokoju — rzekł ojciec, wstając od stołu.

Dość niepewnie wchodziliśmy do ogromnego, narożnego gabinetu ojcowskiego z widokiem na Wisłę. Pełno tu było półek z książkami i rozmaitych innych, wzbudzających zainteresowanie, przedmiotów.

Nam samym nie wolno tu wchodzić. Czasem tylko, gdy niema szkoły, zakradamy się rankiem za grubą Justysią, gdy tam idzie sprzątać.



A wiecie, chłopcy, co to jest ten traktat wersalski?

Naogół jednak odpędza nas. Wyjątkowo, gdy jest w dobrym humorze, pozwala nam stać w progu i patrzeć, jak robi porządki. Dalej wchodzić nie pozwala.

— Bo jeszcze co porozrzucacie panu profesorowi, a potem będzie na mnie! — gdera.

Ojciec nasz bowiem jest profesorem uniwersytetu. Justysia żywi dla niego część bałwochwalczą. My go kochamy gorąco, lecz też się troszkę boimy.

Zaprowadziwszy nas do swego pokoju, ojciec przekreślił kontakt elektryczny i poszedł ku jednej ze ścian, na której wisi ogromna mapa Europy.

— Po klęsce Niemiec, zebrał się w 1919 r. w starej siedzibie królów francuskich, w Wersalu, kongres zwyciężczych państw. Stąd też i nazwa zawartych tam trak-

tatów. W tym samym to Wersalu zwycięski kanclerz Niemiec Bismark²⁴ dyktował pobitej Francji poniżające warunki pokoju w r. 1871. Tak oto los się znów odwrócił!

Ojciec wziął z biurka patyczek bambusowy i wskazał nam mały, czarny punkt tuż pod Paryżem.

— Oczywiście, na tym kongresie głos rozstrzygający miały wielkie mocarstwa, jak: Anglja, Francja, no i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Inne stały się też dojsć do głosu. Nie brakło więc przeróżnych intryg politycznych.

— Ojczyku! — zapytałem — co to jest właściwie intryga polityczna?

— To, widzisz, synku, taka gra dwulicowa i nieszczerą. Jak będziesz starszy, to lepiej to zrozumiesz, niestety!

— On zawsze wyjeżdża ze swojemi głupimi pytaniami! Niech ojczyk mówi dalej, a ty nie przeszkadzaj! — wpadł na mnie Jędrak.

— Tylko się nie kłóćcie! — upominał nas ojczyk. — Otóż tam, w Wersalu, ustanowiono nowe zasady pokoju europejskiego, którym poddać się musiały pobite państwa: Niemcy w pierwszym rzędzie, a po tem Austro-Węgry, Turcja i Bułgarja. Z nimi zresztą zawarto jeszcze osobne traktaty gdzie indziej, co nas już mniej interesuje. Rzesza Niemiecka straciła szereg prowincyj. Musiała mianowicie oddać wszystko, co zrabowały w ciągu lat rozbójnicze Prusy Hohenzollernów!

²⁴ Książę Otto Bismark, twórca zjednoczenia Niemiec pod berłem królów pruskich, zawzięty wróg Polaków, prowadził w Poznańskim politykę germanizacyjną.

— Hohenzollerni — objaśniał mnie Jędrak z pewną wyższością — to była pruska dynastia panująca. Ostatni z tej linii król Wilhelm II był zarazem cesarzem Niemiec!

— Ja przecież to wiem tak samo! — odparłem poirytowany.

Ojczyk się roześmiał.

— Zawsze musicie się spierać?

— Bo on, tatusiu, udaje, że jest ode mnie mądrzejszy! — odparłem zgnębiony. Wiedziałem bowiem i tak, że Jędrak wszystko wie lepiej, niż ja.

— No, już dobrze, chłopaki. Więc do Francji wróciła Alzacja i Lotaryngja, do Belgii Eupen i Malmedy, do Danji Szlezwig, Polska zaś odzyskała Poznańskie, część dawnych Prus Królewskich czyli t. zw. Pomorze, a nadewszystko — stary, piastowski Śląsk!

To mówiąc, przesuwiał ojczyk kijek po mapie, wskazując nam omawiane terytoria.

— Poza tem, nałożono na nich przymus zapłacenia odszkodowań wojennych za barbarzyńskie zniszczenia, jakich dokonali, oraz ograniczono ich siłę zbrojną na lądzie i morzu, by nie mogli powtórzyć w przyszłości zbrodniczego napadu na swych sąsiadów. Między innymi, zakazano im posiadania lotnictwa wojskowego i broni pancernej. W praktyce — wygląda to dziś, niestety, inaczej. Niemcy zbroją się dalej, mimo wszelkich zakazów... Ale to w danej chwili nie należy do tematu!

— A co to były te jakieś punkty Wilsona? — zapytał znów Jędrak. Ja bo tam wcale o tem nie słyszałem!

— Szlachetny prezydent amerykański Woodrow Wilson ogłosił światu 14-cie punktów, jako ogólny cel pro-

wadzonej wojny. Punkt 13-ty mówił o odbudowaniu państwa polskiego z wolnym dostępem do morza.

— Aha! — zawołaliśmy razem.

— Niemąło przyczynił się do umieszczenia tego warunku w zasadach pokoju Wilsona nasz wielki muzyk i szlachetny obywatel Ignacy Paderewski, specjalnie popularny za oceanem, który przez cały czas wojny światowej prowadził wytężoną propagandę sprawy polskiej...

— Ale przecież Polska powstała, zanim jeszcze zebrał się kongres w Wersalu! — rzucił Jędrzek.

— Oczywiście. I to było rozstrzygające. Po raz pierwszy od dziesiątków lat święta zgoda między zaborcami naszymi została zakłócona i wybuchła między nimi wojna, z której wszystkie trzy dławiące nas dotąd potęgi wyszły pokonane i musiały wycofać swe wojska z ziem polskich.

— Czyli Polska stała się jakby bezpańska? — odważyłem się zapytać. — Skoro bowiem Rosję, Austrię i Niemców djabli wzięli...

— Tak jest, synu. Ale szczęściem, na miejscu zaborczych wojsk stanął mocną stopą żołnierz polski. Powstanie swe, źródło siły, wartość bojową i ideową czerpał on z bohaterskich Legjonów Piłsudskiego. Komendant też ujął mocną ręką władzę, leżącą na ulicy, i pierwszy nadał Polsce nowe formy bytu państwowego. Traktat wersalski więc potwierdził tylko fakt dokonany i nadał nam granice od zachodu, od strony Niemiec. Lecz mimo to jeszcze wielu Polaków pozostało z tamtej strony granicy...

To mówiąc, wskazywał nam ojczyk na mapie różne

okolice Niemiec, gdzie do dziś dnia żyją Polacy w wielkich ilościach.

— Granice wschodnie — bambusik pojechał na prawo — wytyczyliśmy sobie sami: bagnetem i krwią naszą. Potwierdził je układ pokojowy, zawarty w Rydze²⁵ z Rosją sowiecką po zwycięskiej dla nas wojnie, w 1921 r.

²⁵ Ryga — stolica Łotwy.



GEOGRAFICZNY ZARYS POLSKI.

I. MAPA Z PLASTELINY.

Mieliśmy dziś popołudniu cudną zabawę: lepiłszy mapę Polski z plasteliny.

Plastelina — to jest cudowna rzecz. Mamy jej, w różnych kolorach, ogromne pudło. Ślęczę nieraz godzinami nad lepieniem różności.

Wczoraj mamusia rzekła do ojczyka:

— A może z tego Kazika będzie rzeźbiarz?

Nie wiem sam jeszcze, czem będę. Ale o to mniejsza narazie. Dość, że postanowiliśmy ulepić mapę Polski z plasteliny.

W tym celu zaprosiliśmy Leszka Sokulskiego, którego lubimy coraz więcej.

Przyszedł, jak zawsze poważny i schludnie ubrany.

Jędrrek powiedział o nim:

— »Albinos« w zaprasowanych spodniach!

Bo Jędrrek ma głęboką pogardę dla wszelkiej elegancji, co mu nie przeszkadza przyjaźnić się z Leszkiem.

Justysia twierdzi, że ten chłopak ma uroczone oczy! Kto wie? Może ma i rację.

Mamusia kazała nakryć stół w naszym pokoju białym papierem, bo — mówi — inaczej wszystko popaćkacie!

Otworzyliśmy nasze pudło. Obok rozłożyliśmy cienką deseczkę i pokryliśmy ją brunatnem tłem. Od góry do dołu przecięliśmy rowkiem. A w ten rowek wpuści-



...Lepiliśmy mapę Polski z plasteliny...

liśmy niebieską, poskręcaną kluseczkę, ściśle według mapy. To ma być Wisła, która płynie przez całą Polskę od południa ku północy. Z początku jest cieniutka i zbiega się z kilku odnóg. To źródła Wisły u stóp Baraniej Góry.¹

Najtrudniejsza robota — to układ pionowy. Boć przecie raz jest wyżej, raz niżej. Zależnie od wzniesienia terenu nad poziom morza.

¹ Barania Góra = szczyt w Beskidzie Zachodnim.

Ó, wiemy o tem dobrze, niedarmo nasz ojczyk jest geografem!

Jemu się też nasza zabawa podoba. Aż kilka razy zaglądał do nas, przerywając swoją robotę w gabinecie.

Jest to rzecz niesłychana. Bo jak ojczyk raz zasiądzie do biurka, to się go doprosić nie można czy to na obiad, czy na kolację. Strasznie nie lubi, gdy mu się przeszkadza. Justysia — to się wogóle boi wejść i wysła mamusię.

A tu tak się zainteresował nagle naszą mapą!

I rozmawiał z nami poważnie, prawie jak z dorosłymi. Byliśmy niesłychanie dumni z tego!

W robocie przydały nam się ogromnie fotografie lotnicze Polski pana majora Sokulskiego. Leszek wyprosił całe album na to popołudnie.

Na dole zbudowaliśmy w ciemnych tonach wał, rosnący od wschodu ku zachodowi. To linja Karpat aż po wysokie Tatry, nasza południowa granica z Czechosłowacją. »Zalesiliśmy« ją zieloną plasteliną i poprzerywali przełęczami, poprzez które wiodą białe niteczki dróg i czarne szyny kolejowe.

Na wschodzie jest duży, prawie kwadratowy masyw Czarnohory.² Ojczyk twierdzi, że to może najpiękniejsza część Polski.

Za radą Leszka, upstrzyliśmy szczyty tu i ówdzie płatami śniegu, że to niby leży on tam przez większą część roku. Śnieg zrobiliśmy z waty.

Od dołu mapy ku górze biegną niezliczone nitki niebieskie, grubsze, cieńsze: strumyki i potoki, które

² Czarnohora = łańcuch górski we Wschodnich Karpatach.

urastają potem w rzeki. Część dąży ku Wiśle, a część ku Dniestrowi.

Mniej więcej w środku, gdzieś w okolicy Lwowa, jest dział wód.

Granica wschodnia jest płaska. Częściowo bagnista, zwłaszcza na Polesiu. Trzeba tam było zużyć sporo niebieskiej plasteliny, by wystąpiły wyraźnie wszystkie wody, spływające do Prypeci.³ To jest polska Białoruś. A niżej leży Wołyń i Podole. Są to tak zwane »Grody Czerwieńskie«,⁴ dawne Księstwo Halickie.

Na zachodzie też jest płasko, ale sucho. Na naszej mapie przeważa kolor żółty, jasnozielony i popielaty. Tak oznaczyliśmy piękne łąny Wielkopolski oraz łąki i piaski mazowieckie.

Tu i ówdzie są kępki ciemnozielonych zagajników.

Ale lasów — to niewiele. Narastają dopiero ku północy, na Pomorzu, w puszczy Tucholskiej i w t. zw. »Szwajcarji Kaszubskiej«. Tam nakładliśmy w kotlinach oka głębokich jezior. Takie same oka, tylko płytsze, trzeba było poumieszczać po drugiej stronie Wisły, na granicy Prus Wschodnich, w Augustowskiem. Ojczyk opowiadał nam, że szczególnie malownicze jest jezioro Wigry w okolicy Suwałk.

Pięknie wyglądają też kanały: Augustowski, Królewski, Ogińskiego. Mają one doniosłe znaczenie — tak twierdzi ojczyk — zwłaszcza gospodarcze i szkoda, że jest ich tak mało. Należałoby wykonać wreszcie dawno projektowane połączenie Wisły z Dniestrem, stwarza-

³ Prypeć = wielka bagnista rzeka, płynąca przez Polesie.

⁴ „Grody Czerwieńskie“ = dzisiejsze województwa południowo-wschodnie.

jąc w ten sposób drogę wodną między Bałtykiem a Morzem Czarnem.

Ładnie odbija od reszty ciemnozielona plama puszczy Białowieskiej, gdzie żyją ostatnie już w Europie żubry.

Słyszeliśmy, iż dawniej cała Polska szumiała puszczami, ale z biegiem lat te lasy ogromne wycięto. Szkoda!

U góry ułożyliśmy szmat błękitu. To — Bałtyk z cieniutkim jęczyzkiem półwyspu Helskiego.

Hel zamyka ramieniem zatokę Pucką t. zw. »Małe Morze«. Psuje nam szyki na naszej mapie Gdańsk, który rozsiadł się nad samem morzem u ujścia Wisły w najbardziej polskich stronach. Wogóle z temi granicami mieliśmy sporo kłopotu. Są djabelnie pokręcone.

Takie np. Prusy Wschodnie! Aż proszą się, aby je połączyć z nami! Gdyby nawet część północno-wschodnią odstąpić Litwie, bo podobno dużo tam Litwinów. To potomkowie tych resztek dawnej ludności, którą oszczędził miecz krzyżacki. A i Warmji⁵ szkoda. Siedzą tam najbardziej polskie, zacne Mazury. Prusacy od lat i stuleci nie mogą ich zniszczyć!

W zagłębieniach falistego terenu naszej kolorowej mapy poumieszczaliśmy czarne kółka. Największe ma oznaczać Warszawę. Wiadomo, stolica! A potem mniejsze dla miast wojewódzkich pierwszego i drugiego rzędu. Bo miasto miastu nie równe, choć oba wojewódzkie! Weźmy np. taką Łódź — pół miliona mieszkańców i Nowogródek — 27 tysięcy...

⁵ Warmja = kraj mazurski w Prusach Wschodnich, przylegający do naszej granicy północnej.

Jeszcze mniejsze kółka oznaczają miasta powiatowe. Czarne punkciki — to miasteczka i ważniejsze wsie. Na wszystkie osady w Polsce nie mamy miejsca. Tatuś mówi, że szukać ich trzeba na mapach szczegółowych.

Od kółeczka do kółeczka biegną zygzakowate linje, czarne lub białe. To koleje i drogi. Na zachodzie jest ich sporo, na takim np. Śląsku aż się kłębi. Ale im bliżej wschodu — tem, niestety, mniej. Od strony granicy rosyjskiej jest ich wogóle tak mało.

— Mój Boże! — westchnęła mama po powrocie, podziwiając naszą mapę — ile tu jest jeszcze do zrobienia w naszej biednej Polsce!

— Ha! — zawołał Jędrzek buńczucznie — jak dorośniemy, to się weźmiemy do roboty.

— I te kanały między Wisłą i Dniestrem pobudujemy też — dodałem z głębokim przekonaniem.

— I wszędzie muszą być lotniska! — zastrzegał się Leszek.

— Co tu gadać dużo — zakończył Jędrzek dyskusję — teraz na nas kolej; zmienimy Polskę nie do poznania!

II. LEKCJA GEOGRAFJI.

Nazajutrz w szkole, mapa nasza obudziła podziw całej klasy. Wszyscy się tłoczyli, by ją obejrzyć. Czuliśmy, że nam zazdroszczą. To bardzo przyjemnie!

Aż Jędrzek musiał stanąć obok naszej ławki z groźną miną:

— Tylko łapy przy sobie! — ostrzegał — bo nam popsujecie.

To poskutkowało. Wszyscy bowiem wiedzą, że Jędrek jest siłacz i lepiej z nim nie zaczynać.

Nadeszła nareszcie tak oczekiwana przez nas lekcja geografji. Zaraz po dzwonku wszedł do klasy profesor Kmita. Wszyscy go u nas bardzo lubią. Jest młody, szczupły i ma jasną czuprynę. Oczy mu się wciąż śmieją.

Ojczyk mówi, że to tęga głowa. Ale mnie się zdaje, że głowę ma szczupłą. Jędrek powiedział, że jestem idjota, bo tylko tak się mówi, aby zaznaczyć, że ktoś jest mądry.

Profesor obszedł dookoła naszą ławkę, pooglądał, pouśmiewał się i pochwalił:

— Pi, pi, pi! A toście cudeńko wymyślili!

Profesor Kmita w mowie lekko przeciąga, bo pochodzi podobno gdzieś z głębi Litwy.

— Bardzo to nam się przyda na dzisiejszej lekcji. Rośliśmy w dumę, jak bułki w piecu.

Potem kazał nam ustawić naszą mapę na katedrze, pochyło do klasy, aby wszyscy mogli widzieć dokładnie.

Wziął do ręki obsadkę i mówił:

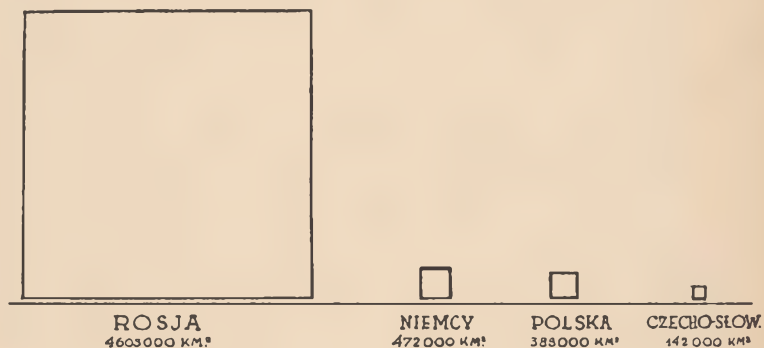
— Granice naszego kraju nie są zbyt szczęśliwe. Przez naturę utworzoną granicę mamy tylko na południu. To linja gór.

— Długość całej naszej granicy wynosi 5.500 km — ciągnął dalej swój wykład. — Z tego morskiej mamy tylko 146 km, to jest zaledwie 3%. Taka Francja np. ma jej aż 51%. To też jest to dla nas bardzo niekorzystne. Lecz państwo nasze robi wszystko, aby nawet ten wąski dostęp do morza wyzyskać jak najrozumniej.

Po klasie przeszedł szept: Gdynia!

— Tak jest! — rzekł nasz nauczyciel z miłym uśmiechem i ciągnął swój wykład dalej:

— Cała powierzchnia Rzeczypospolitej Polskiej wynosi 388 tys. km kwadratowych. Nie jesteśmy z geograficznego punktu widzenia państwem ani wielkiem, ani małym. Można powiedzieć — średniem. Ale mamy



Wielkość Polski w porównaniu z sąsiadami.

wszelkie warunki ku temu, aby stać się mocarstwem. Terytorjalnie bowiem zajmujemy szóste miejsce w Europie.

Popatrzyliśmy na siebie i było nam przyjemnie przez chwilę, że jesteśmy Polakami.

— A teraz trochę o stosunkach ludnościowych — zabrzmiał znów głos profesora. — W Polsce mieszka blisko 33 miliony mieszkańców, według ostatniego spisu z 1931 r.⁶ Nie jest to mało. Pod tym względem zajmu-

⁶ Spisy ludności w Polsce odbywają się co 10 lat.

jemy narazie piąte miejsce w Europie. Na 1 km kw. przypada więc przeciętnie 83 mieszkańców. Ale z roku na rok cyfra ta rośnie i niebawem pobijemy pod tym względem liczniejsze chwilowo od nas narody. Nasz przyrost naturalny bowiem, t. zn. nadwyżka urodzin nad zgonami, wynosi prawie pół miliona rocznie. A więc i pod tym względem jesteśmy siłą, z którą świat musi się liczyć...

Słuchaliśmy zajmującego wykładu z coraz rosnącym zainteresowaniem i rośliśmy w dumę, że jesteśmy »siłą«.

— A teraz omówimy położenie geograficzne. Polska leży na północnej stronie strefy umiarkowanej. Klimat jest lądowo-morski, zdrowy i wcale przyjemny, choć nieraz na niego narzekamy — niesłusznie! Środkowy równoleżnik⁷ Polski — 52-gi stopień szerokości geograficznej — przechodzi prawie przez Warszawę. Najdalej na północ wysunięty jest cypel Wileńszczyzny, nad Dźwiną, na granicy Łotwy.

To mówiąc, wskazywał nam profesor Kmita odpowiedni punkt na naszej mapie.

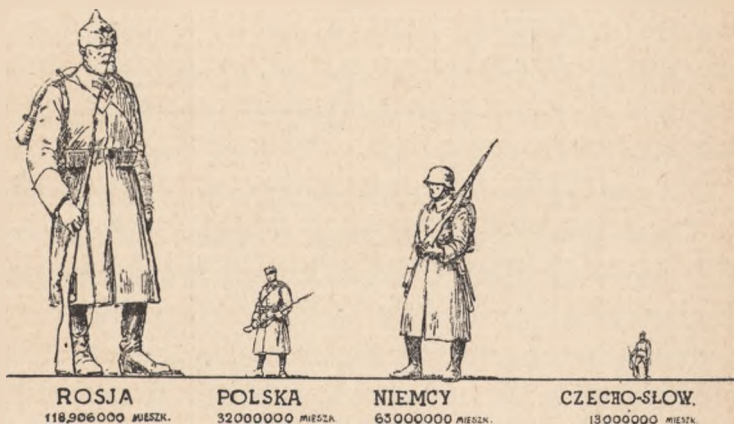
— Jest to 55°50' szerokości geograficznej. Na południu — Pokucie, nad rzeką Czeremoszem, na granicy rumuńskiej, leży pod 47°44'. Na zachodzie, w Wielkopolsce, mamy nad Wartą 15°45', na wschodzie, nad Dźwiną — 28°20' długości geograficznej, mierzonej, na wschód od sławnej angielskiej stacji pomiarowej Greenwich,⁸ której trzymają się wszystkie nasze mapy.

⁷ Glob ziemski podzielony jest na równoleżniki, biegnące od wschodu na zachód i na południki — z północy na południe, według których to linii na mapie oznacza się położenie krajów i miejscowości w stopniach (°) i minutach (').

⁸ Greenwich (wym. Grynicz) = miasto w Anglii.

Francuzi natomiast liczą tę szerokość od Paryża dla zaznaczenia swej odrębności. Ale to jest oczywiście sprawa drugorzędna!

— Polska — ciągnęła się dalej lekcja — jest jednym z ostatnich państw zachodnio-europejskich. Poza naszą granicą z Rosją zaczyna się już wschód Europy, który



Ilość ludności w Polsce w porównaniu z sąsiadami.

jest właściwie przejściem do innego kontynentu czyli Azji. Niektórzy nawet z tego powodu nazywają te wielkie obszary na wschód od nas Eurazją.⁹

Wszystko to tak nam się podobało, że Jędrak aż uszczypnął mnie pod ławką z wielkiego zadowolenia. Niestety, nie mogłem mu oddać pięknem za nadobne, bojąc się przeszkadzać kochanemu profesorowi Kmicie. On tymczasem mówił dalej:

— Polska — to wielki niż sarmacki, położony między Karpatami a Bałtykiem. Mamy wprowadzić resztki gór

⁹ Eur-Azja = coś pośredniego między Europą i Azją.

starożytnych w środkowej Polsce, t. zw. »Góry Świętokrzyskie«, w Kieleckiem. Ale wzgórza to niewielkie. Przez ziemie nasze biegnie też granica kultury zachodniej, łacińskiej, której kolebką — Rzym. Jest to zarazem granica alfabetu i kalendarza łacińskiego. Jesteśmy więc łącznikiem, zarówno kulturalnym, jak i handlowym, między wschodem a zachodem. Podobną rolę spełniamy w sposób naturalny, jeśli chodzi o zbliżenie północy z południem szlakiem bałtycko-czarnomorskim. Jednym słowem — nasze położenie geograficzne jest pod tym względem korzystne.

Pod względem politycznym, sąsiadują z nami: Niemcy, Czechosłowacja, Rumunja, Związek Socjalistycznych Republik Rad, Łotwa, Litwa, Prusy Wschodnie i Wolne Miasto Gdańsk.

Dostęp do morza, jak wspomniałem, mamy niestety zbyt szczupły, jak na ogrom naszego państwa. Wciśnięci między olbrzymią Rosję i uprzemysłowione Niemcy, jesteśmy ważnym czynnikiem równowagi i ładu w Europie. Geografja określa to położenie trzema przymiotnikami: małomorskie, prawieśrodkowe i wielopaństwowe. Mamy bowiem za wiele sąsiadów, którzy nieraz przykro dali się nam we znaki. Musimy więc pamiętać, iż nie wolno nam być państwem słabem i bezrządnem.

Spojrzałem na Jędrka. I wiedziałem, że on myśli to samo:

— Nigdy do tego nie dopuścimy!

— Historyczna kolebka Polski leży nad jeziorem Gopłem i nad rzeką Wartą. Stamtąd przeniósł się punkt ciężkości narodu do Krakowa. Po połączeniu się z Litwą — sercem Polski stała się Warszawa, dawniej

stolica jedynie odrębnego księstwa Piastów¹⁰ Mazowieckich.

Leszek podsunął mi karteczkę. Napisane było niewyraźnie ołówkiem: Cudowne! Tylko boję się, że dzwonek przerwie... Tu następowały wykrzykniki!

Lecz nie mogliśmy się nad tem zastanawiać, bo profesor opowiadał nam dalej:

— Najsilniej rozrastaliśmy się ku wschodowi, naciśnani od zachodu przez ludy germańskie. Dziś naprawiamy stare błędy. Umacniamy się zpowrotem w najbardziej polskich ziemiach zachodnich. Pod względem fizycznym, nie jesteśmy krajem jednolitym. Teren Polski można podzielić na góry, wyżyny i niziny. Pod względem barwności krajobrazu, część południowa przewyższa część północną. Ale wszędzie znajdziecie zakątki tak urocze, że zachwycić mogą turystów całego świata.

Polska rozpada się na pasy poprzeczne, odpowiadające mniej więcej korytom głównych dopływów Wisły. Jedne przechodzą w drugie, bez wyraźniejszych odgraniczeń. I to jest podstawą naszej geograficznej jednolitości. To też polityka podziału całości państwa na drobne prowincje czy księstwa nie trwała nigdy zbyt długo.

Sieć wód śródlądowych jest bogata. Rzeki zbliżają się do siebie: Odra z Wartą i Notecią ku Wiśle, a Wisła z Sanem, Bugiem i Narwią do Dniestru, Prypeci i Niemna. Największa ze zlewiska bałtyckiego jest Wi-

¹⁰ Potomkowie królewskiej dynastji Piastów, po wygaśnięciu głównej linji krakowskiej na Kazimierzu Wielkim, panowali jeszcze czas dłuższy, jako boczne linje, na poszczególnych księstwach polskich, jak Mazowsze i ksiąstewka śląskie.

sła. Ramionami swych dopływów ogarnia prawie całą Polskę. Wzdłuż jej brzegu leżą najstarsze i najpotężniejsze nasze grody: od Krakowa przez Sandomierz i Kazimierz po Warszawę i dalej ku północy — przez Płock, Toruń i Tczew aż po Gdańsk. Brak naszym rzekom, niestety, regulacji, co umniejsza ich wartość. Ale gdy to kiedyś nastąpi, Polskę pokryje sieć życiodajnych arteryj wodnych, najtańszych dróg komunikacyjnych.

I w rzekach i w stawach naszych kryje się ogromne bogactwo rybne, które przez odpowiednią pielęgnację może rozwinąć się wspaniale. Liczne błota,¹¹ po ich osuszeniu, mogą dać chleb i pracę wszystkim tym, którzy dotąd musieli z kraju emigrować.

Klimat nasz, niezbyt mroźny w zimie, ani zbyt upalny w lecie, sprzyja uprawie ziemi. Daje to utrzymanie 3/4 ludności. Mamy też liczne bogactwa leśne; na łąkach naszych rosną soczyste trawy i zioła lecznicze, w lasach pełno grzybów, które gdzie indziej trzeba sztucznie hodować w specjalnych warunkach. Sady nasze, po odpowiednim uszlachetnieniu drzew, mogą dawać najdelikatniejsze owoce. W pasiekach szumią miodosytne pszczoły. Łany zbóż starczą nietylko dla nas, w kraju, ale także mogą przyczynić nam bogactw, przez wywiezienie nadmiaru zagranicę. A pod ziemią — kryją się skarby mineralne, których niejeden może nam pozazdrościć: węgiel, sól, nafta, воск ziemny i różne kruszce.

Na ziemi tej żyje od wieków człowiek biały, rasy aryjskiej, szczepu słowiańskiego, narodowości przeważ-

¹¹ Osuszanie takich np. błot poleskich rozpoczęto już szereg lat temu.

nie polskiej. Większość — to niebieskoocy blondyni, choć nie brak ani szatynów, ani brunetów o ciemniejszym kolorze oczu. Lud to pracowity i pogodny, silny, dobrze zbudowany, obdarzony wrodzoną inteligencją i sprytem. Ciekaw świata i jego dziwów, fanatycznie jest jednak przywiązany do ziemi ojców. Gdziekolwiek zawędruje, gdziekolwiek się osiedli — tęskni do Polski i modli się do niej z obczyzny. Mówi językiem śpiewnym, bogatym w dźwięki, uszlachetnionym przez poetów i pisarzy o sławie światowej. Każda strona Polski ma wprowadzić swą gwarę specjalną, lecz różnią się one między sobą mniej, niż poszczególne narzecza innych narodów, np. Niemców.

Lud polski, pobożny choć nie fanatyczny, w przyniatającej liczbie wyznania rzymsko-katolickiego, pozwala swobodnie innym wyznawać odmienne wiary i nikogo za to nie prześladuje, gdyż wolność sam kocha nadewszystko i prawo do wolności drugich umie szanować.

Żołnierz z niego świetny, choć nigdy nie myśli o zdobywaniu cudzych ziem.

Żyje i pracuje, rozrasta się i krzepnie nasz naród, którego hasłem było, jest i będzie:

»Cudzego nie chcemy, swego nie damy!«

Nie mogłem wytrzymać i krzyknąłem:

— Tak jest, panie profesorze!

Profesor spojrział na mnie, uśmiechnął się i rzekł:

— Na 33 miliony obywateli naszego państwa przypada około 8 milionów ludności niepolskiej. Jest to jakieś 28% ogółu obywateli, rozsianych wśród większości polskiej. Przyznaliśmy im prawa szerokie, własne

szkoły i świątynie oraz prawo swobodnego rozwoju narodowego. Wymagamy od nich tylko jednego: lojalności w stosunku do naszego odrodzonego państwa, które coraz mocniejszym krokiem zmierza ku wielkim swym przeznaczeniom!

W tej chwili zabrzmiał dzwonek.

WOJNY POLSKIE.

I. CMENTARZ OBROŃCÓW LWOWA.

Wczoraj wróciliśmy ze Lwowa. Zorganizował tę wycieczkę nasz matematyk, profesor Demczak.

I ktoby to pomyślał, że to właśnie on, ten niepozor-



Cmentarz Obrońców Lwowa.

ny, piegowaty Demczak, na którego lekcjach najwięcej zawsze hałasowaliśmy — jest obrońcą Lwowa!

Nie, już nigdy nie będziemy mu dokuczać, ani korzystać z jego krótkiego wzroku. Założyliśmy z Le-

szkiem w tym celu »triumwirat¹ obrony profesora Demczaka«. Tak jak w starożytnym Rzymie.

Pierwszy nasz wyczyn — to było zabicie na kwaśne jabłko Staszka Piętaka, tego repetanta z 1-szej A. Wprawdzie to nasz zesłoroczny kolega, ale nigdyśmy nie znosili tego brutala, który biciem wymusza od słabszych od siebie malców bułki z szynką albo jabłka jako okup. Z tego powodu przezywają go »Tasiemka«, niby tak, jak tego terorystę z Kercelaka.²

Już on teraz nie ośmieli się przedrzeźniać naszego profesora, gdy ten, kulejąc, idzie korytarzem!

Jak go Jędrak złapał za kark, to »Tasiemka« aż zzieleniał ze złości i... ze strachu.

— A wiesz ty, draniu, dlaczego »on« kuleje? — krzyczał groźnie mój brat. — Bo go postrzelili w walkach lwowskich i ma krótszą nogę. To święte, zaszczytne kalectwo — dla Ojczyzny!

My z Leszkiem staliśmy z dwóch stron Piętaka z zaciśniętymi do walki pięściami, jako rezerwa. Ale obyło się bez naszej pomocy. Jędrak sam sobie dał z nim radę.

Pojechaliśmy do Lwowa w Zaduszki. Było nas 25-ciu z całej szkoły. Inni nie mogli, albo może też — i nie chcieli. Niech żałują!

Rodzice mocno się namyślali, czy nas puścić samych tak daleko. To oburzające — przecież jesteśmy już tacy dorośli!

¹ Triumwirat = związek obrońców republiki rzymskiej, złożony z 3 wybitnych wodzów ówczesnych.

² Kercelak = osławione targowisko Warszawy, gdzie wszystko można sprzedać lub kupić.

Ten nasz profesor matematyki był niewiele starszy od nas, gdy chwycił za karabin, by bronić Lwowa. Miał wtedy bowiem zaledwie 17 lat. Działo się to już bardzo dawno temu: w listopadzie 1918 r. Od wieków, ziemie południowo-wschodnie naszej Rzeczypospolitej zamieszkują Ukraińcy, zgodnie z Polakami. Tu chata ukraińska, a tam — polska. Żenili się ze sobą, modlili nieraz w tych samych cerkwiach lub kościołach, wspólnie odpierali wrogie najazdy Turków i Tatarów. Kochali się, czasem sprzeczhali — dwa bratnie szczepy. Łączyła ich unja kościelna. Jedni — są obrządku rzymsko-katolickiego, drudzy — grecko-katolickiego.³ Język polski w tych stronach ma rzewną śpiewność mowy ukraińskiej, ukraiński co krok zahacza o słowa polskie. Aż tu nagle sztucznie między nimi wyrosła nienawiść. U schyłku wojny światowej, w 1918 r., podjudzeni przez Austrię i Prusy, rozpoczęli z nami bratobójczą wojnę, by od lat z Polską związaną Ruś Halicką oderwać od wspólnej Ojczyzny. W nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r. opanowali podstępnie Lwów przy pomocy pułków ukraińskich wojska austriacko-węgierskiego. Pułki te cichaczem odkomenderowano do Lwowa na długo przedtem, Polaków wysyłając na zachód lub na Ukrainę nadnieprzańską.

A my — myśmy mieli wtedy zaledwie 46 karabinów. Ukraińcy uzbrojeni byli natomiast po zęby. Zdawało się więc, że opór nie przyda się na nic i że to stare, wierne miasto kresowe odpadnie od Rzeczypospolitej na zawsze!

³ Ukraińcy są częściowo także wyznania prawosławnego.

Tymczasem — na wieść o utworzeniu we Lwowie, pod naciskiem Polskiej Organizacji Wojskowej, Naczelnej Komendy Wojsk Polskich, ruszyła się patryjotyczna ulica lwowska.

Rozpoczęły wyrostki w naszym wieku: uczniaki, ulicznicy, zwani we Lwowie z węgierska »batiarami«.⁴ Z gołemi pięściami rzucali się na doskonale uzbrojone oddziały ukraińskie, rozlane po mieście i strzelające na ślepo do każdego, by miasto strachem zmusić do uległości. Na każdej ulicy staczano potyczki, odbierano intruzom broń, wznoszono barykady z bruku i z tego co było pod ręką.

Trzeciego dnia Polacy zdobyli ogromne magazyny broni i amunicji na Dworcu Głównym i t. zw. »Czer-niowieckim«. To zadecydowało o zwycięstwie. Można było teraz uzbroić wszystkich ochotników, którzy się licznie zgłaszali. Miasto podzieliło się na dwie części: polską i ukraińską. I rozpoczęła się regularna walka o każdy dom, każdy plac czy ulicę, o każdy niemal załom muru.

Na nieprzyjaciół Polski padł strach. Otumaniony przez prowodyrów chłop ruski, stracił nadzieję na łatwe zwycięstwo i możliwość rabunku w bezbronnem mieście. Począł rzucać broń i umykać do wsi rodzinnej, gdzie nie był już od lat z powodu wojny światowej.

Lecz Ukraińcy sprowadzali wciąż nowe oddziały. A nasi, odcięci od reszty kraju, zdani byli tylko na samych siebie.

I tak krwawy bój z przeważającymi siłami napastników trwał dni dwadzieścia i jeden. Aż wreszcie na-

⁴ Betyar = dawna nazwa rycerzy siedmiogrodzkich.

deszły posiłki, nagwałt sformowane w Krakowie. W całej Polsce bowiem wojsko dopiero się wtedy tworzyło.

Odsiecz przebiła się do oblężonego miasta. Zwyciężyliśmy. Lwów pozostał przy Rzeczypospolitej...

To wszystko opowiedział nam nasz profesor w pościgu, mknącym na południowy wschód.

Chodziliśmy po tem prawie trzystatysięcznem mieście ze ściśniętem gardłem. Nieśmiało dotykaliśmy kamienic, w których cieniu kryły się przed śmiertelnemi pociskami bohaterskie dzieci Lwowa. Nasz nauczyciel utykając, chodził z nami. Objąśniał, pokazywał, mówił i sam też był wzruszony.

— To było tak i tak, a to znów tu i tu...

Potem pojechaliśmy śmiesznym małym tramwajem na Łyczaków. Wśród wzgórz, porośniętych staremi drzewami leży tam cmentarz obrońców Lwowa. Ciche mogiłki spią równo, rzędami, po żołniersku. Chodziliśmy między grobami, oglądali piękne katakumby i kaplicę i groby lotników z eskadry kościuszkowskiej i czytali na głos napisy:

»Jurek Bitschan, lat 15, uczeń VI gimnazjum«.

Proste, lecz jakżeż wymowne!

— Zginął tu, na tym cmentarzu, gdzie spędził na pozycji dwie doby. Dwie noce na cmentarzu sam, taki mały chłopak. Rozumiecie to? Jak on musiał biedak bać się tej samotności cmentarnej! Zginął od kuli ekrazytowej⁵ 21 listopada, w sam dzień zwycięstwa! — objaśniał nam nasz kochany przewodnik.

»Ś. p. Adaś Michalewski, lat 14, uczeń gimnazjal-

⁵ Kula ekrazytowa, napełniona specjalnym materiałem wybuchowym, eksploduje przy uderzeniu, zadając straszne rany.

ny« — cytował nam Demczak inny napis żałobny — rozstrzelany przed bramą swego domu przez patrol ukraiński, ponieważ bawił się znalezionym przypadkiem zardzewiałym rewolwerem, nienabitym do tego. Broni wówczas było wszędzie wiele. A tu — spójrzcie — nazwiska innych pomordowanych:

»Ś. p. Józef Lintner, lat 56, przemysłowiec, zamordowany 14. XI. 1918«.

»Ś. p. Leopold Miechoński, sierżant II brygady L. P.«

»Ś. p. Jan Miechoński, lat 70«.

»Ś. p. Kazio Miechoński, lat 13«.

»Ś. p. Marja Miechońska, lat 61«.

»Ś. p. Wandeczka Miechońska, lat 7«.

— To cała rodzina, wymordowana 6 listopada na ul. Żółkiewskiej za to, że ich syn i brat był polskim legionistą! — mówił Demczak. — A tu znów grób ś. p. Andrzeja Batagliji, podchorążego P. O. W. To była pierwsza ofiara walk bratobójczych. Padł ciężko ranny na patrolu o świcie 1-go listopada.

Blade słońce listopadowe oświeciło zmoknięte drzewa i rząd krzyżów na mogiłach i ciemne postacie kobiet w żałobie, zapalających tradycyjne lampki oliwne swym drogim zmarłym. Zaduszki!

A nam migały przed oczyma metalowe tabliczki z jakżeż wymownymi napisami:

»Ś. p. Mieczysław Bursztyn, lat 49, urzędnik pocztowy. Poległ w obronie Lwowa.

»Ś. p. Jan Ząbek, lat 50, włościanin z Sokolnik.

»Ś. p. Władysław Rubenbauer, lat 17, legionista I brygady.

»Ś. p. Helena Kotowska, lat 24, kurjerka P. O. W.

»Ś. p. Tadeusz Jabłoński, lat 13, uczeń, żołnierz kompanji szkolnej peowiackiej«.

Wszyscy polegli w obronie Lwowa!

Szeregami biegły mogiły przed nami i za nami i obok nas. Ze wzgórz cmentarza Łyczakowskiego spoglądały na drogie miasto rodzinne, ich krwią, ich życiem dla Polski wywalczone.

— Leży ich tu kilka tysięcy! — usłyszeliśmy głos naszego nauczyciela.

Zdała widać było czworokątną wieżę ratuszową. Dumnie łopotała na niej białe czerwona chorągiew.

I szumiało miasto rozgwarem zwyczajnym, codziennym: dzwonieniem tramwajów, porykiwaniem sygnałów samochodowych, pracą i trudem. Miasto-bohater, jedyny w Polsce zbiorowy kawaler rycerskiego orderu »virtuti militari«...⁶

II. MĘCZEŃSKIE WILNO!

Po obiedzie zaczęło się mówić o Wilnie. Ojczyk, przeglądając gazety, zawołał nagle zirytowany:

— Byłoby to śmieszne, gdyby nie było tak oburżające! Znów jakaś firma francuska adresuje list do klienta w Polsce: »Vilna, Lithouanie«. Kiedy się to wreszcie skończy?

— Czemu się tak dzieje? — zapytałem.

— Nieznajomość geografji na Zachodzie jest zastraszająca — usłyszałem.

⁶ Marszałek Piłsudski, po skończonej wojnie, udekorował miasto Lwów orderem „virtuti militari“.

— Winna tu jest też zła wola rozmaitych nieprzyjaciół Polski, którzy celowo fałszują prawdę i kłamliwe o nas rozpuszczają wieści — dodała matka.

— A przecież Wilno jest polskie! — zawołałem.

— Naturalnie! — odparł ojczyk. — To święte i męczeńskie miasto; Moskale przeszło sto lat starali się je zruszczyć i wynarodowić; ale się to nie udało: Wilno pozostało z ducha i z kultury miastem polskim! Litwa, niegdyś pogańska, połączyła się dobrowolnym i wieczystym węzłem z nami.

— Przecież czytaliśmy o tem — przerwał Jędrak — że szlachta i mieszczaństwo litewskie spolszczyło się zupełnie, bez żadnego zresztą nacisku czy prześladowań ze strony polskiej.

— Matka wasza — dodał ojczyk — jest z tamtych stron.

— Pamiętam — rzekła mamusia — nasze smutne dzieciństwo. Była to epoka budzenia się oporu zgnębionych Polaków na Wileńszczyźnie. Najprzód w czasie powstania 1863 r. szalał tam Murawjew,⁷ przezwany »Wiesziatiel«. Zabraniano mówić po polsku nie tylko w szkole, całkowicie rosyjskiej, ale nawet na ulicy i w sklepach. Zabraniano modlić się w ojczystym języku, zamykano kościoły a patriotycznych księży wysyłano na Sybir. Lud gwałtem nawracano na prawosławie. Równocześnie, by rozbić miejscowe społeczeństwo na dwa wrogie obozy, rozdmuchiwali Moskale sztucznie litewski ruch narodowy.

— Jeżeli chcecie chłopcy — dodał ojczyk — poznać

⁷ Michał Murawjew, generał rosyjski, 1863-65 generał-gubernator wileński, stłumił krwawo powstanie polskie na Litwie.

całą okropność i mękę tego życia a równocześnie nauczyć się, jak walczone o polskość — czytajcie wspomnienia młodości marszałka Piłsudskiego z czasów wileńskich!

W tem miejscu oczy mamusi zasłyły łzami.

— Bo marszałek — ciągnął dalej ojczyk — kocha bez granic swoją ziemię rodzinną. Jak tylko pozwoliły na to niewielkie wówczas siły wojska narodowego — ruszył na Wilno, by je wyswobodzić z rąk bolszewików...

— A skąd się oni tam wzięli? — zapytałem.

— Poprostu wleźli bez pytania! — zawołał Jędrzek zapalczywie. — Że też ty tego nie wiesz!

— Poopuszczeniu miasta przez okupantów niemieckich — mówił ojczyk — zajęli je Moskale. Mieściła się w Wilnie w czasie wojny naczelna komenda wojsk niemieckich na wschodzie. Rozwijiała ona dalej politykę Moskali w celu skłócenia z sobą Polaków z Litwinami. W pobliżkiem Kownie stworzono coś na wzór warszawskiej Rady Regencyjnej. Była to karykatura naczelnej władzy narodu litewskiego na pasku niemieckim, zwana »Tarybą«.



Męceńskie Wilno — barokowe miasto.

— No i na wiosnę 1919 r.... — gorączkował się Jędrzek, widać mądrzejszy ode mnie w tej sprawie.

— Tak jest, syneczku — odparł uśmiechając się ojczyk — tej cudownej wiosny zaświtała wolność dla męczeńskiego miasta.

— Już dawno — rzekła mamusia — przekradali się stamtąd chyłkiem Polacy i w płacz do naczelnika Piłsudskiego w Belwederze: »Ratuj nas!«.

— Ruszyły się wreszcie na samą Wielkanoc pułki polskie — opowiadał ojczyk — ruszyły na północny wschód. Kawalerja nasza, ułani i szwoleżerowie, pod sławnym pułkownikiem Beliną, śmiałym zagonem zagarnęła miasto. A za nią szła miarowo piechota, żelazne pułki legionowe. Całością dowodził wódz naczelny, Piłsudski.

— Co to była za radość — opisać wam nie jestem w stanie! — opowiadała mamusia ze wzruszeniem — polskie wojsko na ulicach polskiego Wilna po stu przeszło latach niewoli!

— Wyobrażam sobie! — krzyknął Jędrrek.

— Ale na tem nie koniec — rozpoczął znów ojczyk — bo Litwini, których apetyty rozbudzili i Rosjanie i Niemcy, poczęli rościć gwałtowne pretensje do Wilna, jako do dawnej swej stolicy. Żydzi, wypędzeni z Rosji, zwani »Litwacy«, obcy kulturze i środowisku polskiemu, wrogą falą rusyfikatorską zaleli Wilno na początku bieżącego stulecia po przegranej wojnie rosyjsko-japońskiej.

— Jeszcze dziś pełno ich w Wilnie — rzekła mamusia — i na każdym kroku szpecą to piękne, barokowe miasto pstremi sztyldami żargonowemi.

— Ale jeszcze była jakaś historia z generałem Żeligowskim? — pytał dalej uparty Jędrrek.

— Pod koniec wojny 1920 r. — wyjaśniał cierpliwie ojczyk — cofające się w nieładzie oddziały sowieckie oddały miasto, zajęte przejściowo przez czerwoną armję, w ręce Litwinów, swych sprzymierzeńców w owym czasie. Wtedy to pułki pochodzące z tamtych stron wraz z całą polską dywizją ochotniczą, zwaną »litewsko-białoruską«, poszły z Żeligowskim na nowo odbijać Wilno...

— Czy to ten sam Żeligowski — zapytałem — który dowodził na Kubaniu?

— Ten sam, gdyż jest on rodem z Wileńszczyzny, jak i Marszałek. I tak oto powstała czasowo Litwa Środkowa, by się niebawem połączyć z Polską na wieki.

— A reszta Litwy? — pytałem znów.

— Dawna Żmudź, gdzie w istocie przeważa element litewski, wieśniaczy, ze stołecznem miastem Kownem, utworzyła własne maleńkie państewko, wciąż przeciw nam spiskujące.

— A dlaczego właściwie oni nas tak nienawidzą? Czyśmy im kiedykolwiek jakąś krzywdę zrobili? — dopytywał się Jędrrek.

— Nie synku, tylko boją się oni przemożnego wpływu naszej starej kultury łacińskiej. Jest to nienawiść bratnia, bliska miłości, która — da Bóg — znów niebawem zakwitnie pomiędzy obu, tak sobie bliskimi narodami. Litwa ciąży ku Polsce sama z siebie — kończył ojczyk rozmowę, składając serwetę. — Prędzej, czy później, nasi pobratymcy z Kowna będą musieli oprzeć się o nas, wielkie mocarstwo, bo sami nie dadzą sobie rady. Zjedzą ich albo Niemcy, albo Moskale. Związek polsko-litewski trwalszy jest, niż chwilowe polityczne

niesnaski. Pracowały nad tem wieki. Unja to bowiem wolnych z wolnymi, równych z równymi, unja dobrowolna. W jej imię lała się krew powstańcza przez dziesiątki lat. A na sztandarach wypisane było dziejowe hasło: »Za naszą wolność i waszą...«

III. POWSTANIE WIELKOPOLSKIE.

Dziś spadł pierwszy śnieg. Co za radość!

I nic sobie nie robimy z gderania naszego starego woźnego. Twierdzi on, że to i tak nic z tego nie będzie, bo to dopiero początek listopada.

— Wnet stopnieje i ino potem błota nanosicie wszędzie! — narzekał, odmiatając wielką miotłą podwórze.

Z tego śniegu wynikła niebywała awantura!

Przybył niedawno do naszej szkoły jeden taki chłopak, który nazywa się Veigel. Jakoś kilku uwzięło się na niego i dalejze mu przyśpiewywać:

»Szwab, drab, kuternoga

Co nie wierzy w Pana Boga...«

Niby, że on ewangelik jest, a to — jak wiadomo — szwabska religja!

Ponieważ śnieg miękki, biały był pod ręką — poczęli ciskać w niego śnieżkami. »Nowy« nie bronił się, tylko zasłaniał twarz rękami i cofał się pod mur szkolnego podwórza.

I tak go zagnali w sam kąt, gdzie stoi paka na śmiecie, krzycząc przytem:

— Broń się! Tchórz! Tchórz!

Nie myśleli o tem, że jest ich cała gromada, a chłopczyzna sam jeden. Twarde, lepkie kule z ubitego śniegu padały gęsto, rozplaszczając się o mur.

A gdy mu zaśpiewali jeszcze:
»Niema ojca, ani matki,
Ma na tyle cztery łatki...«

Veigel rozplakał się.

To rozjuszyło chłopców jeszcze więcej i ogromne, ciężkie śnieżki posypały mu się prosto w twarz.

Nagle, gdzieś z tyłu, zabrzmiał głos profesora Demczaka:

— Chłopcy! Uwaga! Okulary!

Veigel był bowiem krótkowzroczny i nosił okulary na śmiesznie zadartym nosie.

Lecz ostrzeżenie przyszło za późno. Rozległ się bolesny jęk »nowego«:

— Moje oko!

Nasz matematyk, utykając, dobiegł do niego i zasłonił go przed atakującą gromadą.

Chłopak siedział na śniegu i zawodził żałośnie. Z twarzy ciekła mu krew.

Napastnicy zrozumieli wreszcie, że posunęli swój żart za daleko.

Nasza trójka — muszę ze wstydem przyznać się do tego — przypatrywała się dotąd zabawie obojętnie, nawet może z pewną przyjemnością. Nie syn patyzowaliśmy z tym »nowym«. Lecz teraz przykro nam się zro-



...Choć pruski na nim jeszcze mundur, ale rogatywka polska!...

biło i szybko znaleźliśmy się koło naszego drogiego nauczyciela, gotowi do walki. Lecz walczyć nie było już z kim.

— Pomóżcie mi! — zawołał na nas ostro Demczak.

Przyskoczyliśmy i podnieśli z ziemi okrwawionego kolegę. Leszek pędem przyniósł wodę w kubku. Profesor delikatnie własną chustką do nosa obmył Veiglowi twarz z krwi.

— No — rzekł serdecznie — oko całe, dzięki Bogu, bo się okulary przesunęły wyżej, ale czoło porządnie skaleczone.

Powiódł przytem surowo oczyma po całej naszej klasie. Zmieszani, spuściliśmy głowy.

Potem wziął chłopaka pod rękę i zaprowadził do swego gabinetu.

Długo po dzwonku czekaliśmy na profesora. Wreszcie zjawił się, prowadząc za rękę Veigla z obandażowaną głową.

Posadził go w pierwszej ławce, sam począł przechadzać się po klasie, widocznie wzburzony. Wskutek tego utykał jeszcze więcej.

Jak nas było 40-tu w klasie, siedzieliśmy cichutko, w poczuciu naszej winy.

Wreszcie stanął nasz profesor przed Veiglem i rzekł, kładąc mu rękę na ramieniu:

— Postąpiliście niegodnie, napadając całą gromadą na jednego i to najmniejszego z pośród was. A do tego wszystkiego jeszcze — ta piosenka wasza była podła! Bo ten wasz nowy kolega, choć nazwisko nosi obce i inną, niż wy, wyznaje wiarę, jest co najmniej takim samym dobrym Polakiem, jak i wy! Dziadek jego zginął

w powstaniu wielkopolskiem, a ojciec, sierżant Korpusu Ochrony Pogranicza, poległ na posterunku śmiercią żołnierza od wrogiej kuli na wschodniej naszej granicy! Niegodziwe słowa waszej piosenki zaboląły go podwójnie, bo jest sierotą i pochodzi z niemieckiej rodziny! Pamiętajcie, że Polska swą tolerancją w ciągu stuleci zdobywała miłość obcych przybyszów, którzy też szybko się polszczyli, oddając krajowi nieraz nieocenione usługi. Iluż to mężów o obcych nazwiskach i dawniej i dziś — stanowi chlubę naszej Ojczyzny!

— A oto dziad waszego kolegi! Pokaż im tę fotografię! — rzekł, zwracając się do obandażowanego chłopczyzny.

Veigel wstał i pociągając nosem od płaczu, wydobył z kieszeni stary, podarty portfelik. Profesor pokazał nam fotografię dziarskiego mężczyzny z ogromnemi wąsami w jakimś nieznanym nam, zielonkawym mundurze i wysokiej rogatywce.

— Oto on; choć pruski na nim jeszcze mundur, bo służył przez całą wojnę światową z musu w wojsku niemieckiem, pochodząc z Poznańskiego, ale rogatywka i dusza szczerze polska. Tę polskość krwią przepieczętował, gdy 27 grudnia 1918 r. wybuchło powstanie wielkopolskie. Dziad małego Veigla był jednym z pierwszych, którzy z gołemi niemal rękoma napadli na pruski garnizon w Poznaniu, by zrzucić znienawidzone jarzmo tyloletniej niewoli.

Veigel usiadł i powiódł okiem pełnem dumy po klasie. Słuchaliśmy w milczeniu słów profesora.

— Z tych powstańców i wojaków utworzono szybko ludową armję wielkopolską, ubraną z musu w te mun-

dury, które były pod ręką, t. zn. pruskie. Naszyli tylko na nie narodowe odznaki. Dzielna ta armja w ciągu kilku zaledwie miesięcy wygnała precz wojska niemieckie z najstarszej dzielnicy polskiej, z nad piastowego Gopła, z nad Warty i Noteci. I jeszcze nam pod Lwów, w najcięższych dla nas chwilach, wysłała na pomoc całą dywizję strzelców wielkopolskich, bez których nie wiem, czy dalibyśmy sobie radę!

Lwów kochamy wszyscy, więc też zrobiło to na nas wrażenie nielada!

— Dziadek waszego kolegi poległ, niestety, w jednej z pierwszych bitew, walcząc ramię przy ramieniu obok swego syna, młodego wówczas ochotnika, ojca Veigla. Czy jeszcze któryś z was ośmieli się odmawiać mu prawa do zaszczytnej nazwy Polaka?

Zapadła taka cisza, że słyhać było, jak się tynk gdzieś z pod sufitu obsypuje.

Wreszcie wstał Leszek, najszlachetniejszy z nas wszystkich; spokojnie, jak to on zawsze, wyszedł z ławki na środek klasy i rzekł uroczyście:

— Przepraszam cię w imieniu wszystkich! — ucałowali się przytem obaj serdecznie. A klasa wybuchła okrzykiem:

— Niech żyje wnuk powstańca!

Veigel wstał zmieszany i mrugał tylko powiekami krótkowidza.

— Ja, ja się już na was nie gniewam! Gdzieżby tam? Tylko Niemcem mnie nie nazywajcie!

Profesor nasz uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— No, a teraz możemy przystąpić do naszej lekcji!

IV. NA POLACH RADZYMINA.

Niedziela — to jest okropnie głupi dzień. Zwłaszcza taka listopadowa, z deszczem. Nie równoważy nawet braku szkoły.

Wprawdzie zawsze to przyjemnie, gdy się ma wolny czas, jednak lepiej jak to wypadnie w zwykły dzień. Ale cóż robić? Niestety, raz na rok tylko trafia się szkarlatyna!

Rodzice wyszli gdzieś z wizytą. Nudziliśmy się okropnie, chodząc od okna do okna. Justysia ma tam jakichś gości i nie może nam bajek opowiadać...

Nagle... zabrzmiał zbawczy dzwonek. Pędem wylecieliśmy do holu. Pokazało się, że to przyszedł Leszek, bo i jego rodzice też gdzieś szli i podwieźli go do nas.

— Czy nie będę wam przeszkadzał? — pytał witając się z nami.

— Ależ nie! Przeciwnie! — witaliśmy przyjaciela. — Świetną miałeś myśl! A co tam masz w tem kartonowym pudle pod pachą?

— Moje samoloty! — odparł z tajemniczą miną.

Oniemieliśmy z zachwytu. Trzeba bowiem wiedzieć, że Leszek ma całą eskadrę malutkich samolocików bojowych z aluminium. To podsunęło nam pomysł doskonałej zabawy: postanowiliśmy urządzić wielką wojnę z bolszewikami na naszej mapie plastycznej.

Szybko wzięliśmy się do dzieła: wyciągnęliśmy z szafy mapę i ołowianych żołnierzy. Gorączkowo poczęliśmy rozstawiać nasze armje. Zapelniliśmy niemi najprzód puszcę poleską.

— Tu jest linja bojowa — mówił Leszek — nad Be-
rezyną stoi i armja generała Szeptyckiego.

— Świetnie! — zawołałem — to będzie tak, jak
w 1920 r. Tylko jeszcze czegoś tu brakuje.

Pędem pobiegłem do mamusinego pokoju i przy-
niosłem z jej biureczka małą statuetkę z bronzu mar-
szałka Piłsudskiego.

W międzyczasie Jędrak poustawiał gdzieś pod Brze-
ściem wagoniki naszej kolejki. Kłopot był tylko z tem,
że marszałek był absolutnie jeszcze za duży i nie chciał
się zmieścić do wagonu. Usadowić go więc musieliśmy
na węglarce.

— Potem i tak umieścimy go w Puławach! — po-
cieszał nas Leszek — tam bowiem była kwatera Na-
czelnego Wodza w czasie decydującej bitwy nad Wisłą.

Tymczasem weszła Justysia i zaraportowała przy-
bycie nowego gościa i to aż z Basiówki.

Polecieliśmy za nią do kuchni, gdzie wpadliśmy
w objęcia kowala Kasprzaka i jego synka. Powitaliśmy
ich obu owacyjnie. Odtńczyliśmy wokoło przybyłych
nasz najdzikszy taniec wojenny Siuksów.⁸

Kowal i Waluś też się cieszyli.

— Ano przyjechalim z małym do Warszawy, bo mu
trza rękę przeświecić, tak powiedział doktor »kasowy«.⁹

— To świetnie, to doskonale! — wołałem na wy-
ścigi z Jędrkiem. — Niech Justysia zaraz przygotuje
pokój gościnny na górze.

— Nie trzeba — bronił się kowal — ja tu kuma

⁸ Indyjskie plemię Siuksów zamieszkiwało w Ameryce Północnej, dziś
prawie całkiem wytępione w wieloletnich krwawych walkach z białymi.

⁹ Doktor „kasowy” = lekarz z Ubezpieczalni Społecznej.

mam, to u niego przenocuję. Chciałem tylko państwa pozdrowić i ukłony od pani cioci przywieźć.

Ale oczywiście nie było o tem mowy. Wciągnęliśmy ojca z synem do naszego pokoju, zasypując pytaniami o ciocię-babcię i całą naszą drogą Basiówkę. Wszystkie przeżyte tam chwile stanęły nam w pamięci, jak żywe.

— Ty nie masz pojęcia, jak tam cudnie! — opowiadaliśmy Leszkowi jeden przez drugiego. — Czekaj, jak będzie wiosna, to pojedziesz z nami, zobaczysz, to nie to, co w tej obrzydliwej Warszawie, gdzie aby znaleźć drzewa, to musisz dopiero do Łazienek iść!

Tymczasem Justysia przygotowała podwieczorek: herbatę, chleb, miód, konfitury, ciastka z obiadu. Ubłagaliśmy ją, żeby można było to jeść u nas, nie chcąc przerywać wspaniałej zabawy.

Walusiowi aż się oczy śmiały na widok naszej »wojny«, rozłożonej na stole. Lecz nie pozwoliliśmy mu wcześniej się z nami bawić, póki nie skończył podwieczorku.

Rękę miał jeszcze na temblaku, ale twierdził, że go wcale już nie boli.

Objedzeni, opici, wróciliśmy do naszej mapy, groźnie zastawionej wojskiem i działami.

— Widzę chłopaki, że wojnę tu robicie nie na żarty! — rzekł kowal z uśmiechem, nachylając się nad naszą Polską z plasteliny.

— Tak jest, proszę pana, to będzie rok 20-ty...

— Acha, z bolszewikami... Tak, tak, były to czasy osobliwe! — rzekł Kasprzak, skrobiąc się w głowę — ledwo powstało nasze państwo, a już nam się rozpałała cała wschodnia granica. Rosja rewolucyjna chciała prze-

maszerować przez nasz kraj tak po prostu, jak się idzie przez bezpański ugór. Umyśliła sobie przenieść płomień rewolucji przez Polskę do Niemiec, do Francji, no — na cały świat.

— Ale zapomniała, że to z naszym Dziadkiem sprawa! — zawołał Jędrrek, cały podniecony.



...Tężał front z polskich piersi...

— Tak jest, synku, bo na tysiąckilometrowym froncie położył się mur jego żołnierzy. Z początku cienki, to raczej był płótek, ale w miarę jak wojska przybywało — tężał front z polskich piersi!

— Boże, czemuż nie było nas jeszcze na świecie! — gorączkował się Leszek.

— Uspokójcie się, przeżyjecie i wy jeszcze niejedno! Otóż wracając do tych wspomnień — dowiedział ci się nasz Komendant, że bolszewiki planują generalny na nas atak. By ich uprzedzić, a równocześnie wyzwolić z pod Moskale Ukrainę i utworzyć z niej niezależne

państwo, jak to zrobiliśmy z maleńką Łotwą,¹⁰ przerwał front moskiewski wiosną 1920 r. i ruszył z pułkami swemi na wschód. Pobił na łeb »Czerwonych« i zajął Kijów, jak owi piastowscy królowie: Chrobry, Śmiały, Krzywousty... Ale sił miał za mało, by te obszary ogromne w ryzach utrzymać...

— Tatuś tam był, opowiadał mi nieraz, jak to z samolotów kropili... — wtrącił Leszek.

— A na północy tymczasem wojsko nasze nie wytrzymało przeciwnatarcia »Czerwonych« i poczęło cofać się... Wobec tego i na południu trzeba było opuścić linię Dniepru.

— Tak to było naprawdę! — zawołał Leszek i począł wycofywać swych ołowianych żołnierzy na zachód.

Ja, jako wódz bolszewicki (Moskali samiśmy sobie zrobili czerwoną kredką na papierze i popodklejali na tekturkach), począłem z moich armatek walić grochem w Leszkowe zastępy.

— Bolszewicy następują! — wołałem zgorączkowany.

Nad mojem papierowem wojskiem unosiły się aluminjowe samolociki i też rzucały pociski — papierowe bomby. Strzelałem do nich i jeśli któryś trafiłem, to samolot spadał. Posuwałem się rażno naprzód, zająłem Wilno, Lidę i Grodno.

— Na linii Niemna będą się Polacy jakiś czas trzymać! — upierał się Leszek, nie pozwalając mi posuwać się dalej.

¹⁰ Koncepcją polityczną marszałka Piłsudskiego było odgrodzić Polskę od potężnej Rosji łańcuchem niezależnych państw, pozostających w przyjaźni z nami, któreby powstały na gruzach dawnej Rosji carskiej z narodów gnębiomych, jak i my niegdyś, przez carat.

— Ale niedługo! — odgrażałem się zawzięcie. — Bo potem zepchniemy was aż do Wisły!

Wobec tego Waluś, któremu powierzyliśmy polski front południowy, musiał też szybko wycofać swe wojska z Ukrainy z dużymi stratami, bo był odcięty.

Jędrak, jako wódz konnej armji — Budiennyj, szybko przesunął się bokiem na polskie tyły aż gdzieś w lasy nadbużańskie, pod Zamość. Waluś i Leszek cofali szybko swych żołnierzyków na obronę linji Bugu. Lecz napróżno strzelały ich małe armatki! My »Czerwoni«, zajęliśmy Brześć. Kowal, ubłagany przez nas, zgodził się grać rolę Naczelnego Wodza.

— Trza teraz — rzekł uroczyście — wycofać parę najlepszych dywizjów i ukryć między rzeką Wieprzem a Wisłą, w widłach, tak jak to zrobił On.

Poczęliśmy więc przegrupowywać nasze oddziały. Trzeba było nagwałt stworzyć armję ochotniczą. Dla odróżnienia, pomalowaliśmy jej żołnierzy na niebiesko.

Tych kazał Kasprzak rozmieścić na przedpolu Warszawy.

Lwów i okolice obsadziły »małopolskie oddziały armji ochotniczej«.

— Tamci się nie dadzą — wołał Leszek — to morowcy! Lwów przetrzyma bolszewików!

Na reszcie teatru wojennego podsunęliśmy Moskali tuż pod samą Warszawę.

— Teraz uwaga! — tłumaczył Leszek. — Nastąpi moment decydujący — bitwa z 15 sierpnia 1920 r. Trzeba się przygotować do tego wielkiego zwycięstwa!

— Tak, tak, nastąpiło ono w chwili, która wyda-

wała się beznadziejna — odpowiedział kowal — nietylko już dla nas, ale dla całej Europy.

Zawrzała straszliwa walka. Groch fruwał w powietrzu ze świstem. Leszek ustami udawał warkot śmigł samolotów. Padały wszędzie okropne bomby z ugniecionego papieru. Trup ścielił się gęsto. My z Jędrkiem nacieraliśmy zawzięcie, Leszek i Waluś nie mniej mężnie się bronili. Na przedmieściach Warszawy krwawiły się pułki ochotnicze na wyścigi z pułkami regularnego wojska.

A cichaczem pod Puławami zgrupowane dywizje przygotowywały się do niespodziewanego natarcia.

Było nam obu troszkę przykro, że musimy być pobici, ale równocześnie serca nam rosły, że zwyciężą Polacy!

Kowal położył swój duży paluch na czarnym krążku Puław. Ustawiliśmy tam też posązek marszałka Piłsudskiego.

Wreszcie Leszek (tym razem jako generał Rydz-Śmigły) ruszył swe wojska z nad Wisły do wściekłego natarcia.

— Rozbiły one — mówił Kasprzak, gdzieś we własne wspomnienia zapatrzony — armje bolszewickie na proch, a po trzech miesiącach dalszych walk zwycięskich w pościgu za uciekającymi bolszewikami oswobodziły ostatecznie kraj cały od wroga.

Pokój w Rydze w 1921 r. zakończył tę krwawą wojnę. Pierwszy raz od 300 lat zwyciężyliśmy Moskali, po tylu przegranych wojnach i powstaniach. Wyzyskując to, ustaliliśmy nasze granice tam, gdzie dziś one są. Głowa Naczelnego Wodza pracowała samotnie w bez-

senne noce; wokół była panika i upadek ducha w narodzie. Ale przeważało męstwo i poświęcenie naszego żołnierza, który wiedział, że walczy o najwyższe dobro — Wolność i Niepodległość. Uratowaliśmy wtedy nie tylko Polskę, ale i całą Europę...

V. POMPILJUSZ BĄK.

Przedwczoraj, w czasie wielkiej pauzy, odbyła się w kącie podwórza tajemnicza narada. Brała w niej udział cała klasa z wyjątkiem Veigla. Musiałem z nim spacerować po korytarzu, aby się niczego nie domyślił. Przewodził naturalnie Leszek.

Koledzy poszeptali, pogwarzyli a następnie rozpierzchli się na wszystkie strony.

A dziś, choć to niedziela, zebraliśmy się po nabożeństwie w sali szkolnej. Zaprosiliśmy też naszego kochanego profesora Demczaka.

Prawie wszyscy byli obecni. Tylko dwóch, którzy chorują od paru dni, zabrakło. Usprawiedliwił się też Felek Wyborski, bo musiał pójść na kolej po matkę.

Staliśmy w ławkach z uroczystymi minami i rozmawialiśmy półgłosem. Wtem drzwi otwały się szeroko. Zrobiło się w całej klasie niesamowicie cicho.

Wszedł Veigel, prowadzony przez Jędrka i Adasia Nieczuję, najlepszego ucznia w klasie.

Postawili biedaka przed tablicą. Z ławki wyszedł Leszek w nowiutkim ubraniu («zaprasowany Albinos», jak go nazywa Jędrak) i wręczył koledze Poznańczykowi mały, elegancko zawinięty pakiecik.

— To dla ciebie — rzekł — dar całej klasy iii... —

tu Leszek się zająknął i jakby stracił swój zwykły rezon — jeszcze raz prosimy cię o przebaczenie za nasz niemądry i złośliwy figiel!

Stojący przed nami chłopak, z czołem zalepionem czarnym plastrem, zmieszany — poruszał niezgrabnie rękoma. Wreszcie wziął z rąk Leszka pakiecik i rozwinął go. Znajdowały się tam nowe, śliczne okulary. Porozumieliśmy się w tej sprawie pocichu z profesorem Demczakiem. Na futerale widniał złoty napis:

»Potomkowi powstańców wielkopolskich — klasa IIA«.

Nasz nauczyciel matematyki był też widocznie wzruszony, gdy rzekł:

— Zaczne z was chłopaki! Tym postępkim zmazaliście waszą winę całkowicie.

Poczem wszyscy opadli Veigla i ściskając go za ręce, oświadcza mu swoją gorącą przyjaźń.

Wreszcie udało nam się odciągnąć go nabok, by zaprosić do nas na obiad. Tak uradziliśmy z rodzicami. Zaprosiliśmy też »mistrzów ceremonji« t. j. Leszka i Adasia. Ale innym o tem nie mówiliśmy, aby im nie było przykro. Całej klasy nie mogliśmy przecież zaprosić. Nie zmieściliby się chyba w naszej jadalni.

— Zabierzemy cię odrazu z sobą! — mówił Jędrek Veiglowi.

— Kiedy — tłumaczył się zmieszany chłopczyna swoim twardym, wielkopolskim akcentem — moja ciotka nic o tem nie wie!

Wobec tego postanowiliśmy w drodze powrotnej wstąpić do tej jego ciotki i uzyskać pozwolenie dla naszego kolegi. Rodzice Leszka i Adasia uprzedzeni byli

już przedtem. Veiglowi zaś nic wcześniej nie mówiliśmy, by to była dla niego tem większa niespodzianka. Obiad miał być uroczysty, z drobiem, z sałatką kwaśną i kremem czekoladowym!

Ruszyliśmy żwawo na ulicę Długą, gdzie mieszkała ciocia Veigla. Dzień był cudny, słoneczny i ciepły. Po niedawnym śniegu nie zostało ani śladu, jak to słusznie przewidywał nasz woźny.

Po drodze rozmawialiśmy wesoło.

— Jak ty właściwie masz na imię? — pytaliśmy.

— Pompiljusz — brzmiała niespodziewana odpowiedź.

— Jak? — parsknęliśmy śmiechem, aż przystając ze zdumienia.

— No, mówiłem wam już, Pompiljusz! — powtórzył Veigel, widocznie podrażniony naszym śmiechem.

— Pompiljusz! Ha, ha, ha — rechotaliśmy.

— To był wielki rycerz rzymski i męczennik za wiarę! — bronił się nasz kolega rozpaczliwie, bliski płaczu.

Sprawę, jak zwykle, rozstrzygnął Leszek:

— Niema czego śmiać się tak głupio! Takie dobre imię, jak każde inne, tylko trochę za długie do wymawiania. Powiedz więc, jak cię w domu wołają?

— Pilek — rzekł nieśmiało nasz kolega — a mama nieboszczka to mnie nazywała »Bąk«, gdy mnie pieściła!

Tu znów chłopcu łzy stanęły w oczach.

Zaczęliśmy go przeproszać.

— A więc będziemy cię nazywać Pilek Bąk! — zacydował Leszek. — A teraz chodźmy, bo szkoda czasu.

Ciotka Pilka przeraziła się w pierwszej chwili najazdem naszej hordy. Ale gdy jej Leszek z Jędrkiem

przedstawili rzecz całą, powiedzieli, jak się nasz ojciec nazywa i czym jest, zaręczyli, że odstawimy kolegę najdalej o 6-tej do domu całego i w zdrowiu — zgodziła się chętnie.

Niebawem też znaleźliśmy się w naszym starym domu na Bugaju, rozmyślając, jak najprzyjemniej wyzyskać czas przed obiadem?

Nasz nowy przyjaciel siedział cichutko, jakby trochę przerażony i co chwila poprawiał na nosie nowe okulary. Wreszcie odezwał się nieśmiało:

— A możebyśmy się tak zabawili w Śląsk?

— Jakto w Śląsk? — zapytałem.

Ale Leszek już go zrozumiał i myśl tę w lot podchwycił.

— W Śląsk? Świetnie! Urządzimy powstanie przeciw Niemcom!

Idea była tak olśniewająca, że aż wszyscy zamilkliśmy na chwilę.

Ale próbowałem jeszcze oponować:

— Ale gdzie? W mieszkaniu będzie chyba za ciasno!

— Nie w mieszkaniu, ale w waszym ogrodzie! — wyjaśniał Leszek.

— Dziś jest tak piękny dzień, że wstyd byłoby siedzieć pod dachem.

Rozentuzjasmowani, rzuciliśmy się gorączkowo do poczynienia odpowiednich przygotowań.

VI. ZABAWA W ŚLĄSK.

Za naszym domem, duży, zapuszczony ogród schodzi do Wisły. Tam urządziliśmy zabawę w Śląsk.

Na zarośniętych chwastami ścieżkach leżały gnijące

liście. Drzewa stały nagie, z opuszczonemi ramionami konarów. Po przejściowym śniegu wiatr nadrzeczny wysuszył błoto.

— Ten ogród to będzie Śląsk! — zdecydował Jędrek.



Ten ogród to będzie Śląsk!

— Tam, za parkanem widać nawet dymiące kominy! — wtrącił Leszek poważnie. — Bo ja byłem tam i widziałem; zeszłego roku z ojcem...

— To kominy wiślanych parostatków — objaśniłem.

— Nic nie szkodzi — rzekł Adaś — grunt, aby dymiły.

— Zaś ale to będzie góra św. Anny!¹¹ — dodał Pilek swą dziwną gwarą, wskazując palcem niewielki kopczyk, pokryty stosem zwiędłych liści.

¹¹ Góra św. Anny = wzgórze na Górnym Śląsku, klucz pozycji.

— Tam były najzaciętsze walki...

— Tylko szkoda, że to nie maj! — odezwał się Adaś.

— W maju bowiem 1921 r. — począł nam opowiadać Leszek z ogniem w oczach — wybuchło trzecie i ostatnie powstanie śląskie na wieść, że w Paryżu, wbrew poprzednim obietnicom, nie chcą całego Śląska przyłączyć do Polski!

— Rychtig! Tak było! — potwierdził nam to nasz nowy przyjaciel o przedziwnem imieniu rzymskiego rycerza. — Mój tata był tam też. Przekradł się z Poznania jako ochotnik...

— A dlaczego nasze państwo nie wsparło tych biednych powstańców? — zapytałem.

— Ano bo wonczas Szwabcy by też tak zrobiły i wybuchłaby nowa wojna między Niemcami a Polską. Mogliśmy tylko pocichu Ślązakom pomagać...

— Mój ojciec wziął wtedy urlop z pułku i poszedł na Śląsk w cywilnem ubraniu, bo w mundurze polskiego oficera nie miał prawa...

— Więc słuchajta, chłopaki, moja mama była Ślązaczka, to ja tam najlepsze wim, jak i co się zdarzyło. Ona opowiadała mi nieraz. Chcecie, to obejmę nad tą całą zabawą komenderunek? — rzekł Pilek uroczyście. — Ja będę Niemcem!

— Zgoda! Doskonale! — zawołaliśmy uradowani. Myśleliśmy już o tem, ale nie śmieliśmy mu tego proponować, aby nie czuł się dotknięty.

— Ale Niemcem — to tak tylko na niby! — zaniepokoił się Veigel przez chwilę.

— Naturalnie! — zakrzyknęliśmy chórem. Zapewnialiśmy go przytem, iż oczywiście wiemy dosko-

nale, jakim to on jest szczerym i prawdziwym Polakiem.

— Wiecie, mam świetną myśl! — zawołał nagle Jędrak i pokłusował w kierunku domu. Po chwili wręczył Pilkowi starą, zakurzoną »pikielhaubę«, mówiąc:

— To stoi oddawna u ojca na szafie. Pamiątka z pobytu Niemców w Warszawie. Wykradłem ją. Myślę, że ojciec się nie spostrzeże, a potem znów postawimy na miejsce. A tu — masz karabin!

Wręczył mu przytem naszą wiatrówkę, zostawiając dla siebie kopystkę Justysi z przyczepionym do niej nożem kuchennym, jako bagnetem. Był to z jego strony dowód wysokiego poświęcenia, że komuś obcemu powierzył naszą ukochaną strzelbę.

Pilek umiał to ocenić. Wsadził hełm niemiecki na głowę, aż mu wpadł na oczy, mimo, żeśmy go wypchali papierem od środka. Wciąż był jeszcze za duży na niewielką głowę Pilka. Wiatrówkę założył na ramię.

Wyglądałby nawet w tym rynsztunku naprawdę groźnie, gdyby nie okulary, z których był bardzo dumny. Nasz prezent! Przez okrągłe szkiełka niebiesko przeświecały pocziwe oczy.

— A jak byli ubrani powstańcy? — dopytywał się Adaś.

— Byle jak, co kto miał pod ręką! — objaśniał nas Veigel z powagą. — Przeważnie w zabrane Niemcom mundury. Nie brak też było bluz górniczych. Bo większość tych wojaków, to śląski lud roboczy. 600 lat pod Niemcem jęczał, a przecie ani języka, ani wiary swej się nie zaparł. Dla odróżnienia — powstańcy nosili na

ramieniu biało-czerwone opaski. Widziałem takie fotografie u ojca...

— Nie może być tak! — ja też będę Niemcem — oświadczył Jędrak — boby było za dużo was, powstańców, na jednego Pilka.

I rozpoczęła się wspaniała zabawa. My, jako powstańcy, zaatakowaliśmy pierwsi i »Niemcy« cofali się na całej linii. Potem zrobiliśmy rozejm. »Niemcy« zaraz to wykorzystali i obsadzili ten kopczyk w ogrodzie. Więc my z kolei zdobywaliśmy tę »górę św. Anny«. Strzelaliśmy przytem z korkowych pistoletów. Oni natomiast rzucali na nas z kopczyka kasztany-granaty i zeschłe gałęzie — miny.

Rozgrzewaliśmy się coraz bardziej i nacierali z poza drzew i krzaków z coraz większą furją.

Już mieliśmy właśnie zdobyć »św. Annę«, gdy nas mamusia zawołała do stołu.

— Bójcie się Boga! Jak wy wyglądacie? — burczała na nas.

Byliśmy w istocie uwalani liśćmi i ziemią, jak nieboskie stworzenia. Nawet wzorowy Leszek nie wyglądał lepiej.

— Mamusiu! — wołałem z żalem. — Jeszcze chwilkę, jeszcze walka nie rozstrzygnięta. Mieliśmy właśnie Szwabów przegnać za Odrę! — Odrą była ścieżyna, biegnąca w głębi ogrodu.

— To tak, jak było naprawdę! — odparła mamusia, starając się napróżno wyrwać nas z ogrodu. — Chodźcie już wreszcie, bo zupa stygnie na stole i ojczyk będzie się niecierpliwił!

Z żalem przerwaliśmy zabawę, idąc ze spuszczonei głowami za mamusią.

Tylko Leszek perorował:

— Potem podzielono, niestety, Śląsk na dwie części: większą — niemiecką i mniejszą — polską czyli dzisiejszy Górny Śląsk.

— Przy nas jednak zostały kopalnie i huty, największe bogactwo Śląska! — dowodził Pilek.

— Największe bogactwo — rzekła mamusia — to serca polskie tego wiernego ludu śląskiego, który przez setki lat modlił się po polsku i marzył o Polsce. Tych serc za dzisiejszą granicą zostało jeszcze milion...

Tak doszliśmy do domu. W sieni musieliśmy długo wycierać nogi, a potem posłano nas do łazienki. Justysia ze szczotką, gderając, starała się nasz wygląd doprowadzić do porządku.

— Nie chcę mieć przy stole gromady łobuziaków z Powiśla! — brzmiało nam w głowie powiedzenie mamy.

Niebawem, wymyć i wyczyszczeni, zjawiliśmy się w jadalni i stanęli rzędem pod ścianą.

Ojczyk uśmiechnął się przyjaźnie do naszej hultajskiej piątki. Wstał z kanapy, podszedł do nas i każdemu podał rękę. Najserdeczniej powitał Veigla, którego historję znał ze wszystkimi szczegółami. Pochwalił go, że tak sobie dzielnie daje radę, choć sierota i obejrzał jego nowe okulary, co chłopca wprawiło w zachwyt.

— A więc walczyliście całe przedpołudnie o Śląsk, jak słyszałem?

— Tak jest, tatusiu! — zaraportował Jędrrek.

— Ten bój bohaterskich górników, ze starej Pia-

stowej ziemi — mówił ojczyk — zakończył trzyletnią prawie epopeję wojenną Polski Odrodzonej. Wojna z Ukraińcami, Czechami, Rosją, a nakoniec z Niemcami — kosztowała nasz naród niemało krwi. Najlepsi z pośród nas dali życie w ofierze, by państwo nasze, napadnięte u progu wolności przez złych sąsiadów, lekceważących naszą siłę, mogło wreszcie odetchnąć pokojem i rozpocząć wielkie dzieło utrwalenia tak krwawo zdobytej niepodległości! Polska wolna — pamiętajcie o tem — nie przyszła nam za darmo! Zdobył ją trud ofiarny wielkiego Wodza i dzielnych jego żołnierzy... No, a teraz siadajmy do stołu. Apetyty są, mam nadzieję?

Nie daliśmy sobie tego dwa razy powtarzać. Rzuciliśmy się wygłodniali na pełne talerze smakowicie pachnącej zupy pomidorowej.

W międzyczasie, korzystając z zamieszania, uproszona przez nas Justysia wsunęła się cichutko do ojcowskiego gabinetu i postawiła pruską pikielhaubę na swoim miejscu. I tak nam się to upiekło!



NACZELNIK I PREZYDENCI.

I. Z HOŁDEM DO BELWEDERU.

Wieczorem poszliśmy z hołdem do Belwederu — wszystkie szkoły Warszawy.

Bo to dziś wigilja 11-go listopada. Ojczyk powiedział, że jutro to »Jego« dzień!

Dzień, od którego się zaczęła nowa Polska. Dzień powrotu więźnia z Magdeburga.

Szliśmy radośni po świecącym od rannego deszczu asfalcie. Przodem orkiestra z pochodniami. I chorągwie. Tyle chorągwi! Cały las!

Od Wisły, od Łazienek wiał ostry wiatr. Lecz nam było gorąco z przejęcia.

Za kraty belwederskiego pałacu, na dziedziniec, wpuszczano tylko delegacje. Wszyscy przecie i takby się tam nie zmieścili! Udało się nam trzem, nierozłącznym jak zawsze, wcisnąć za bramę. Lech jest mądry, Jędrak silny, a ja?

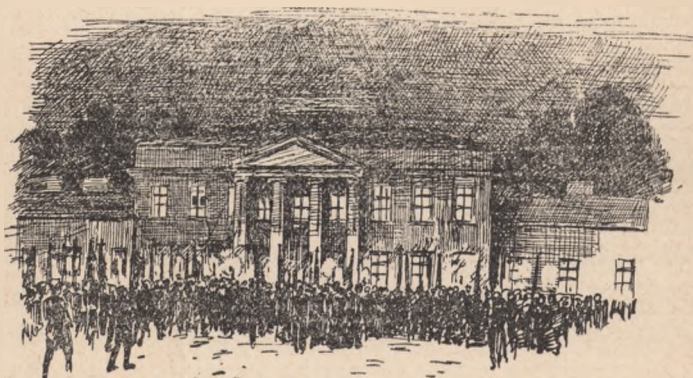
— Ty jesteś mazgaj! — rzucił mi Jędrak wyzwanie,

choć wiem, że on wcale tak nie myśli, tylko ot, aby mi dokuczyć!

— Dajcie pokój z kłótniami! — uspokajał nas Leszek. — On z nas trzech ma najgorętsze serce...

Zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Bo jak Leszek co powie, to już musi być bezwzględnie prawda.

Staliśmy stłoczeni w gromadzie pod wielkimi drzewami.



Z hołdem do Belwederu.

— To te same, które szumiały podchorążym w ową sławną noc listopadową, gdy szli wyrzucać z Belwederu carskiego najeźdźcę, wielkiego księcia Konstantego!¹ — szepnął nam Leszek, nachylając się do nas z tajemniczą miną. — A dziś... Dziś jesteśmy wolnym narodem!

Ze złotych trąb różnorodnych orkiestr lały się w zmierzch jesienny dźwięki »I brygady«.

¹ W. ks. Konstanty, brat cara Aleksandra I, był wielkorządcą Królestwa Polskiego i wodzem jego wojska.

Wszyscy krzyczeli: »Niech żyje marszałek Piłsudski!«

Na tle milczących szyb białego pałacyku ukazała się niewyraźna sylwetka Komendanta. Czułem, że serce wali mi jak młotem i ścisnąłem mocno ramiona mych towarzyszy.

— Lekarz zabronił mu wychodzić, boby mógł się zaziębić, taki wrażliwy! — objaśniał półgłosem »Albinos«.

Zdziwiłem się w pierwszej chwili.

— Więc ktoś czegoś może Mu zabronić?

— Głupi jesteś! — syknął Jędrak — to przecież tylko dla Jego zdrowia, które cenniejsze jest dla Polski, niż nie wiem co!

Umilkłem, pełen kłębiących się myśli. Ten, tam, za szybą — to chyba najskromniejszy człowiek w kraju. Mógłby być wszystkiem: prezydentem, królem, cesarzem — czemuby tylko zechciał. A On jest... Jakby to powiedzieć?... Czułem, że jest dla nas czemś więcej w tej swojej szarej kurtce strzeleckiej... Marzyłem w tej chwili o tem, by móc dla niego zrobić coś takiego, aby przecież raz się dowiedział, że gdzieś istnieje taki 15-letni Kazik Wodziecki, który gotów dla Niego w każdej chwili życie oddać!!

— Dziadek w parę miesięcy po powrocie z Magdeburga zwołał pierwszy Sejm w Warszawie — szepnął Leszek z' przejęciem. — Sejmowi temu oddał swą najwyższą, jedyną władzę, którą mu powierzył zgodnie cały naród. Ale Sejm mu ją dał zpowrotem i zatwierdził Go naczelnikiem Państwa. Naczelników w Polsce było dotąd tylko dwóch: Kościuszko i — On!

— Naczelnik! To piękna nazwa... — wtrącił Jędrak.

— Ale cóż? — tłumaczył nam Leszek dalej. — Kie-

dy zaczęli się potem w Sejmie posłowie kłócić, coraz więcej myśleli o sobie, a coraz mniej o państwie! Złożyli na Jego ramiona cały ciężar i całą gorycz władzy i zamiast Mu pomagać — przeszkadzali!

Nie wszystko zrozumiałem z mądrych wywodów Leszka, ale czułem, że gotów byłbym na rozkaz Dziadka uczynić wszystko!

Chyba to samo czuli i inni. Bo entuzjazm ogarnął ten tłum, zebrany na belwederskim dziedzińcu, głowy jasne i głowy ciemne, stare i młode i całkiem jeszcze młodziutkie, dziecinne...

Szumiały na wietrze stuletnie drzewa. Stojący na warcie szwoleżerowie prężyli się niby kamienne figury. Blask pochodni odbijał się w ich obnażonych szablach. Od Wisły wstawała mgła. Otuliła pałac od dołu białym welonem, jakby zaślubiając z całym narodem ten symbol polskiej wielkości.

Tak to określił Leszek. Jabym nie umiał powiedzieć tak ślicznie. Będzie chyba z niego poeta!

Ale wszyscy trzej wiemy jedno: że Go kochamy!

II. ZŁE LATA PARTYJNICTWA.

Wracaliśmy z ojcem ze szpitala Ujazdowskiego. Byliśmy w odwiedzinach u Walusia. Leży on tam na oddziale chirurgicznym. Choć to szpital wojskowy, przyjęli go jednak ze względu na zasługi ojca.

Walusiowi źle się rączka zrosła i musieli mu ją na nowo złamać. Przecierpiał biedak wiele. Teraz mu już lepiej i wszystko niebawem ma być dobrze.

Gdyśmy przechodzili koło Sejmu, było już całkiem ciemno. Ale Sejm świecił zdaleka wszystkimi oknami.

— Teraz tu pracują, jak należy! — rzekł ojczyk. — Naprawdę dla dobra kraju.

— Tatuś mówi »teraz« — odpowiedziałem, mocno trzymając się ojcowego ramienia. — A dawniej?

— O, dawniej bywało niedobrze!

— A jak to było?

— Warcholili i dokuczali opatrznosciowemu człowiekowi, jakim jest Piłsudski. A On tymczasem, na czele stworzonego przez siebie wojska, wykuwał Polskę w krwawym znoju granice. Za to Mu wdzięczne wojsko ofiarowało buławę pierwszego marszałka Polski. Sejm tymczasem, wśród niekończących się sporów, uchwalił pierwszą polską konstytucję z dnia 17 marca 1921 r.

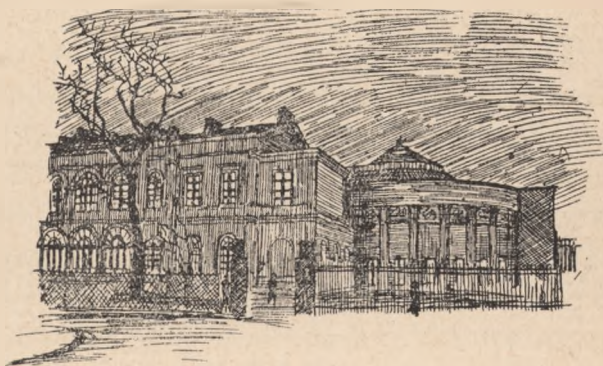
Głównem jej zadaniem było nie dobro i wielkość państwa, tylko skrępowanie władzy prezydenta i rządu i obdarzenie wszechwładnemi przywilejami 444 posłów sejmowych, jako suwerenów, czyli najwyższych zwierzchników w całym kraju.

— Aż tylu? — zdziwiłem się.

— Tak jest, tylu. Mieli oni reprezentować nas wszystkich, którzyśmy ich musieli wybierać, a oni ustanawiali ustawy i niby kontrolowali prawidłowość gospodarki państwowej. Lecz tego im było za mało. Chcieli jeszcze rządzić, wszyscy naraz, równocześnie, czy znali się na tem, czy nie, nie ponosząc jednak za swe czyny żadnej odpowiedzialności, broń Boże!

Wtrącali się do wszystkiego. Rząd t. j. ministrowie, stali się poprostu jakby ich podwładnymi. Tracili czas na niekończącym się gadaniu, sporach i prze-

wracali gabinety, czyli wywoływali tak zwane »przesilenia ministerjalne«. Nazywało się to »odmawianiem zaufania istniejącemu rządowi«. I rząd musiał się podawać do dymisji, a potem zaczynały się targi o powołanie innych ministrów do rządu.



...Sejm świecił zdaleka...

— A Polska, tatusiu? — pytałem zgorszony.

— W Polsce szło wszystko jak najgorzej. Przypominały się czasy saskie, kiedy to mówiono, że kraj nasz nierządem stoi i że ta słabość Rzeczypospolitej — to właśnie jej siła!

— To smutne, tatusiu! — szepnąłem, czując w sercu głuchy ból.

— Wiesz co, synku, napiłbym się chętnie szklankę kawy! — rzekł ojczyk, odbiegając od tematu. — A i ty pewnie nie pogardzisz ciastkiem z kremem.

Oczywiście, nie pogardziłem. I za chwilę siedzieliśmy przy marmurowym stoliku małej cukierenki na placu Trzech Krzyży.

Poprzednie słowa ojca skakały mi po głowie, jak szalone. Paliła mnie poprostu chęć dowiedzenia się, jak to tam było dalej? Powiedziałem to głośno.

Ojczyk łyknął trochę kawy i odparł:

— Widzisz ten plac, oświetlony elektrycznością? W 1922 r. był on widownią ponurych scen!

— Podburzony tłum młodzieży — ciągnął ojczyk dalej — no i starszych, wypełnił szczelnie ten plac i wszystkie przyległe ulice, byle nie dopuścić do zaprzysiężenia nowoobranego przez naród prezydenta Rzeczypospolitej.

— A naczelnik Piłsudski?

— Naczelnik wyboru na prezydenta przyjąć nie chciał i polecił na to stanowisko Zgromadzeniu Narodowemu swego przyjaciela, człowieka wielkich zasług i wiedzy, Gabrjela Narutowicza. Był on już przedtem ministrem robót publicznych i spraw zagranicznych i dobrze się krajowi zasłużył. Ten mąż wielkiej cnoty niechętnie zgodził się na wybór, odrywający go od umiłowanej naukowej pracy profesorskiej. Ale wola narodu była dla niego święta. I za to, że chciał państwu polskiemu oddać i czas swój i wiedzę i wysoki, przez obcych ceniony, dar organizacyjny, tłum nieodpowiedzialnych młokosów i ich starszych prowodyrów, obrzucił powóz jego grudami śniegu i błota, zohydzając w ten sposób majestat najwyższej w Polsce władzy...

— Ojczyku, czy to możliwe? — krzyknąłem ze zgrozą.

— A jednak — tak było! Senatorów i posłów, śpieszących do gmachu sejmowego na ul. Wiejską, witano ohydnyemi okrzykami i ciosami kijów. Wielu z napad-

niętych musiało chronić się po bramach domów przed bestjalstwem ulicy.

— A policja? — szepnąłem zdławionym głosem.

— Policja była bezsilna. W tych smutnych czasach rządziły partje. Każdy warcholił, jak tylko sam chciał.

Odeszła mi nawet ochota na ciastko, które mi ojczyk podsunął.

— Z drugiej strony ruszyli robociarze. Jeden tłum starł się z drugim. Padły strzały. Byli zabici i ranni.

— Mimo to — brzmiały dalsze słowa ojca — pierwszy prezydent zaprzysiągł ową krępującą wszelkie jego poczynania konstytucję sejmową i objął legalnie władzę w państwie...

— I chyba się już potem uspokoiło? — dopytywałem się wzburzony.

— Niestety, nie. Za to, że śmiał to uczynić — spotkała go śmierć. W niewiele dni po smutnem zaprzysiężeniu pewien szaleniec strzelił do niego z tyłu w chwili, gdy otwierał wystawę obrazów w warszawskiej »Zachęcie«. I tak padł w sile wieku najwyższy dostojnik państwa...

— Potworne! — szepnąłem, zasłaniając oczy ręką.

— Kula ta, co gorzej, jak zeznał sam morderca w sądzie, przeznaczona była dla znienawidzonego przez pewną grupę marszałka Piłsudskiego, gdyby był przyjął wybór na prezydenta.

— Przestań ojcze — zawołałem jakimś nieswoim głosem — nie mów dalej, to zbyt ohydne!

Ojciec, widząc moje wzruszenie, pogłaskał mnie po głowie i rzekł:

— Ten okres jest już za nami. Jeśli ci o tem wspo-

mniałem — to dlatego, abyś zrozumiał, jak wielkie jest dzieło Piłsudskiego. Gdyż nie tylko stworzył On potęgę państwa, ale co ważniejsze — podniósł dusze nasze do orlego lotu niepodległości. Mściły się lata niewoli, w ciągu których zatraciliśmy instynkt państwowy. Wódz stał się z kolei wychowawcą; Marszałek uczy nas, jak mamy żyć dla Ojczyzny, gdyśmy już pojęli, jak dla niej — umierać!

Słowa ojca dodały mi otuchy. Spojrzałem jakoś raźniej koło siebie.

Wstałem, zbierając się do wyjścia, niezwykle dumny z tej rozmowy z ojcem we dwóch. I prawie się cieszyłem, że Jędrak musiał pójść do dentysty i dlatego go z nami nie było. Będę miał mu czem imponować!

III. GOŚĆ.

Dziś przyszedł do nas z wizytą pan Zygmunt. Mamusia zatrzymała go na podwieczorku. Naturalnie, radości z tego powodu było coniemiarą. Strasznie lubimy tego pana Zygmunta! Chyba najwięcej ze wszystkich dorosłych znajomych...

Gorzej, że przyszła też i Jasia. I ją lubimy też, ale wolimy osobno ją i osobno pana Zygmunta. Bo on na jej widok jest zaraz jakiś taki inny, o nas jakby zapomina.

— Co za niespodzianka! — wołała Jasia od progu. — Nie przypuszczałam, że pana zastanę. Wpadłam tylko na chwileczkę do cioci Wandeczki (to jest niby do naszej mamusi)!

— No, ale napijesz się z nami przecież herbaty? — witała ją mamusia serdecznie.

Czemu ta Jasia tak kłamie? Przecież obaj słyszeliśmy, jak rozmawiała przez telefon z mamą, która jej powiedziała, że będzie pan Zygmunt. Naturalnie, dlatego przyszła!

Jędrak szepnął mi na ucho, że wszystkie kobiety są obłudne i że to stara historia! Może ma i rację, oczywiście z wyjątkiem naszej mamusi, no i cioci-babci także... Tylko gdzie on to przeczytał?

Przy stole Jasia i pan Zygmunt patrzyli ciągle na siebie, aż było nam przykro. Taki mądry, poważny i całkiem dorosły człowiek, żeby się tak wygłupiał do takiej dzierlatki! Ojczyk przecież inaczej jej nie nazywa, tylko: koza. Ale mamusia — niewiedomo dlaczego — uśmiechała się cichutko »pod wąsem« (czytałem to w jakiejś powieści), tylko, że wąsów nie ma!

Nasza duża kuzynka poszła sobie wreszcie. Nie tak znowu odrazu! Ta zapowiedziana »chwileczka« przeciągnęła się z półtorej godziny. Odchodziła niechętnie. Ale ma tam jakieś egzaminy na uniwersytecie, dzięki Bogu! Inaczej siedziałyby do kolacji...

Teraz już pan Zygmunt należy do nas. Usadziliśmy go na kanapie i przysiedliśmy się z obu stron, tak jak w Basiówce.

Opowiedzieliśmy mu o wszystkim, co się wydarzyło w międzyczasie.

Mnie chodziły ciągle po głowie słowa tatusine, usłyszane w cukierence na placu Trzech Krzyży. Po prostu — nie dawały mi spokoju. Zapytałem więc wreszcie pana Zygmunta:

— Proszę pana! Ciągle się słyszy powiedzenia:

»przed majem«, »rząd pomajowy«, »wypadki majowe«. A my nie wiemy, co to jest takiego właściwie?

— Tak jest, proszę pana! — zapalił się odrazu i Jędrek. — Czasem jakaś gazeta wpada nam w ręce, czy w domu, czy w szkole, czy na ulicy i tam też piszą takie rzeczy...



...Usadziliśmy go na kanapie...

Pan Zygmunt zasępił się widocznie, co u niego rzadko się zdarza. Potem kilkakrotnie przejechał ręką po czuprynie i rzekł wkońcu:

— Jesteście jeszcze bardzo młodzi i nie wiem dobrze sam, jak wam to objaśnić?

— Prosto z mostu, proszę pana! — zawołał Jędrek porywczo.

Pan Zygmunt roześmiał się.

— Prosto z mostu? Tak jak szedł Dziadek na Warszawę w owym pamiętnym maju 1926 r., ze swoim wiernym wojskiem, by wreszcie w Polsce zrobić porządek z sejmowem partyjnictwem...

— No, widzi pan — zawołałem — jakie to proste! Teraz już wiemy...

— Tak, ale jeszcze nie wszystko. Kraj nasz wówczas stał na progu przepaści...

— Czy to było zaraz po zabójstwie pana prezydenta Narutowicza? — spytałem.

— Więc słyszałeś o tem? — ożywił się pan Zygmunt.

— Opowiadał mi niedawno o tem wszystkim tatuś. Jędrka przytem nie było... — dodałem, patrząc zgóry na brata.

— Jak mogła się taka okropna rzecz u nas wydarzyć? — dopytywał się Jędrak, udając, że nie dosłyszał mnie.

— Niestety — odparł pan Zygmunt, rozkładając ręce — wydarzyła się! Kraj cały był wstrząśnięty. Robotnicy Warszawy grozili rewolucją. Ale się jakoś wszystko zwolna uspokoiło i wybrano nowego prezydenta. Był nim zasłużony działacz społeczny Stanisław Wojciechowski. I jego też wysunął Komendant, pod którego naciskiem wybór przeszedł mimo opozycji. Lecz to nie poprawiło sytuacji. Aż wreszcie marszałek Piłsudski, któremu uniemożliwiono pracę na terenie ukochanego wojska, ustąpił ze swego stanowiska. Usunął się w zacisze domowe i zamieszkał jako skromny, szary obywatel pod Warszawą, we własnym domku w Sulejówku.

— A tymczasem sprawy państwa, sprawy gospodarcze, sprawy pieniądza polskiego, a nadewszystko sprawy wojska stały źle. Napróżno Józef Piłsudski ostrzegał i gromił w pismach. Nie pomogło...

— Czy to do wiary? — szepnąłem. — W kilka lat zaledwie po odzyskaniu wolności...

— Niestety...

— A cóż robił Komendant?

— Żył skromnie ze swą rodziną, często w niedostatku, zarabiając na życie pisaniem książek i artykułów do gazet. Całą swą pensję wojskową oddawał na cele publiczne.

— Drogi, kochany Dziadek... — szepnąłem.

— Tak przeszły dwa lata — ciągnął pan Zygmunt. — Aż wreszcie w maju 1926 r. od strony Pragi ruszyły pułki marszałka Piłsudskiego, by ładu na nowo w Polsce ustanawiać. Na moście Poniatowskiego spotkali się obaj: Komendant i prezydent Wojciechowski. Nie pomogły perswazje, rząd wybrany przez posłów sejmowych nie chciał dobrowolnie ustąpić i wezwał załogę stolicy do walki przeciw swemu Wodzowi...

— Więc to był ten maj! — rzekł Jędrak.

— Niestety! Akcja Komendanta, która miała być tylko demonstracją wojskową, by zastraszyć skłócone partie i przywieść je do opamiętania — przemieniła się w krótką wojnę domową...

Walki w stolicy toczyły się przez trzy dni. Działa i karabiny maszynowe grzmiały po ulicach. Zginęło wielu dobrych żołnierzy z obu stron...

— A potem zebrał się Sejm — odezwał się po chwili pan Zygmunt. — Ten sam, z tych samych złożony ludzi, którzy Piłsudskiego od czci i wiary odsądzali, i wybrał Go ponownie prezydentem Rzeczypospolitej. Lecz Dziadek znów się na to nie zgodził. Chciał mieć głowę wolną od ciężkich obowiązków reprezentanta państwa. Ten zaszczytny i najwyższy w Polsce urząd przelał na profesora Ignacego Mościckiego...

Sam wrócił do wojska i polityki. Tak się, moi drodzy, zakończyły »wypadki majowe«. Opowiedziałem wam historję tych trzech doniosłych dla Polski dni, abyście wiedzieli i innym powtórzyć mogli, co i jak było w istocie. Bo nie brak w naszej Ojczyźnie po dziś dzień plotek najbardziej potwornych. To jest ten »ka-

rzeź zrodzony na bagnach niewoli»,² który stara się opluć każdą w Polsce wielkość i każdą cnotę...

Umilkł pan Zygmunt i zadumał się sam w sobie. My też myśleliśmy o tem wszystkim.

IV. LEKCJA O KONSTYTUCJI.

Przez tę Justysię spóźniliśmy się dziś do szkoły!

Uparła się, że mamy uszy brudne i kazała nam iść jeszcze raz do łazienki.

A tu pierwsza godzina była jak na złość profesora Kmity! Gdy weszliśmy, lekcja już była w pełnym toku.

Stanęliśmy przy drzwiach. Jędrak mi zapowiedział po drodze, że nie będziemy się puszczać na żadne łgarstwa, bo tak czynią tylko tchórze.

— Trudno! — rzekł — spóźnimy się i zasłużymy na karę.

Ale jakoś uszło nam na sucho. Nauczyciel spojrzał na nas z wymówką i kazał siadać na miejsca.

Wykład był naprawdę ciekawy, a cała klasa zasłuchana w słowa nauczyciela:

— Nie należy to właściwie jeszcze do mego przedmiotu w tej klasie. Będziecie się wyczerpująco uczyć o tem za parę lat. Ale ponieważ ta ważna reforma w życiu politycznem naszego kraju jest w toku, uważam, iż jako chłopcy myślący powinniście się z nią nieco zaznajomić.

— Co to jest wogóle konstytucja? — padło pytanie. Milczeliśmy. Wreszcie wstał Leszek i rzekł:

— Ustawa zasadnicza, regulująca ustrój państwa oraz prawa i obowiązki obywateli.

² Cytat z pism J. Piłsudskiego.

— Bardzo dobrze! — pochwalił go nauczyciel. — Jest to, jak to się mówi, ustawa ramowa. Bo tak jak ramy ograniczają płaszczyznę obrazu, tak też i konstytucja tworzy ramy dla wszystkich innych ustaw i rozporządzeń, w państwie obowiązujących, które muszą być zgodne z konstytucją i niejako z niej wypływać.

Dziś wszystkie państwa na świecie, z wyjątkiem może jakichś dzikich kraików zamorskich, mają takie zasadnicze ustawy ramowe czyli konstytucje. Historia uczy nas, że ludy świata, a zwłaszcza Europy, walczyły nieraz długo i krwawo o te prawa z absolutnemi monarchjami. W takiej np. Rosji do początków naszego stulecia jedynem źródłem praw była wola carska.

Ale wracajmy do Polski: kto mi wymieni naszą pierwszą, nowożytną ustawę konstytucyjną?

Ten i ów zgłaszał się z mniej czy więcej bałamutną odpowiedzią. A mnie aż język świerbił, bo przecież dobrze wiedziałem, o co chodzi!

Podniosłem więc rękę do góry i zapytany, powiedziałem dobitnie:

— Konstytucja 3-go maja...

— Naturalnie!... Lecz — niestety! nie zdążyła ona wejść w życie, bo w międzyczasie państwo nasze upadło. Dzieje te są wam znane chyba?

— Znane! Znane! — zakrzyknęliśmy chórem.

— Po odbudowaniu naszego bytu państwowego w 1918 r., Sejm zwołany w Warszawie przez Naczelnika Państwa dwa lata radził nad tą sprawą. Każda partja polityczna miała inne pomysły. I z tego ty-

gielka³ sprzecznych dążeń powstała obowiązująca nas dziś konstytucja z dnia 17 marca 1921 r. Oparta o wzory obce, niezawsze właściwe dla naszych stosunków, przyznaje najwyższą władzę w państwie parlamentowi t. j. wszystkim posłom razem. Wyrządziło to na przestrzeni lat ostatnich wiele szkody. Aż wreszcie po wypadkach z r. 1926 przeprowadzono w niej niektóre zmiany, nazywane »małą konstytucją«. Lecz jest to reforma tylko częściowa.

Wszyscy zdają sobie jasno sprawę, że musi być w państwie, tak, jak w każdym rozsądnym gospodarstwie, ktoś jeden, któryby stał nad wszystkimi innymi: nad Sejmem i rządem, a nadewszystko nad partjami.

Grupa ludzi z ramienia »Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem« pracuje usilnie nad tą sprawą od szeregu lat.

Zasięgano opinii najświatlejszych ludzi. Obserwowano życie polityczne i społeczne narodu w ciągu 15 lat odzyskanej niepodległości.

W jakimże kierunku idą te prace? W pierwszym rządzie chodzi o to, by głową państwa i władzą najwyższą był prezydent Rzeczypospolitej, wybierany przez elektorów. W ten sposób utrzymana może być ciągłość władzy i naczelnej myśli państwowej, a złe skutki roznamiętnienia wyborczego zostaną ograniczone.

Projekt nowej konstytucji zatrzymuje Sejm w dotychczasowej postaci, ale jego prawa ogranicza do dwóch zadań: uchwalenie ustaw i kontrola finansowa rządu. Natomiast wyposaża w większe prawa Senat.

Tygielek = zdrobnienie słowa „tygiel“ t. j. kociołek do topienia metali.

W dalszych artykułach pozostawia bez zmian dotychczasowe prawa i swobody obywateli.

Lecz największą wartością tak zreformowanej ustawy konstytucyjnej będzie duch, który ją przenika:

»Prawem naczelnem Polski i Polaków jest dobro Rzeczypospolitej!«

EPIZOD Z ŻYCIA WALEREGO SŁAWKA.

W ROKU REWOLUCJI 1906.

Dojeżdżamy do Babc, osiedla podwarszawskiego, które powstało przed kilku laty z inicjatywy ówczesnego ministra poczt i telegrafów ś. p. Ignacego Boernera.

Przy osiedlu tem powstała ostatnio kolonja domków byłych bojowników Niepodległości. To cel naszej wycieczki!

Szczęśliwy traf sprawia, iż stajemy właśnie przed domkiem p. Trojanka, tego właśnie dzielnego żołnierza rewolucji, którego chcemy odwiedzić. Wyjaśniają nam to sąsiedzi i wkrótce poznajemy samego gospodarza, dziś człowieka koło sześćdziesiątki, garbarza z zawodu.

Twarz otwarta, pociągająca, ozdobiona sumiastym polskim wąsem, na klapie marynarki połyskuje złotociście dostojny order — krzyż niepodległości z mieczami.

A więc to ten, myślę sobie, który przed laty wyniósł z niebezpieczeństwa ówczesnego swego dowódcę — Walerego Sławka.

Poczynam więc rozpytywać, jak to było?

— Ano — opowiada poprostu stary bojowiec — mieliśmy dokonać napadu na kasę rządową, przewożoną z Warszawy do Sosnowca. Napad miał nastąpić w Grodzisku. W tym celu zebrała się grupa bojowa pod komendą Sławka i ze stacji Milanówek ruszyliśmy w las, by tam swobodnie ostatnie poczynić przygotowania.

Na cichej i ciemnej polanie Sławek zabrał się do

WALERY SŁAWEK.

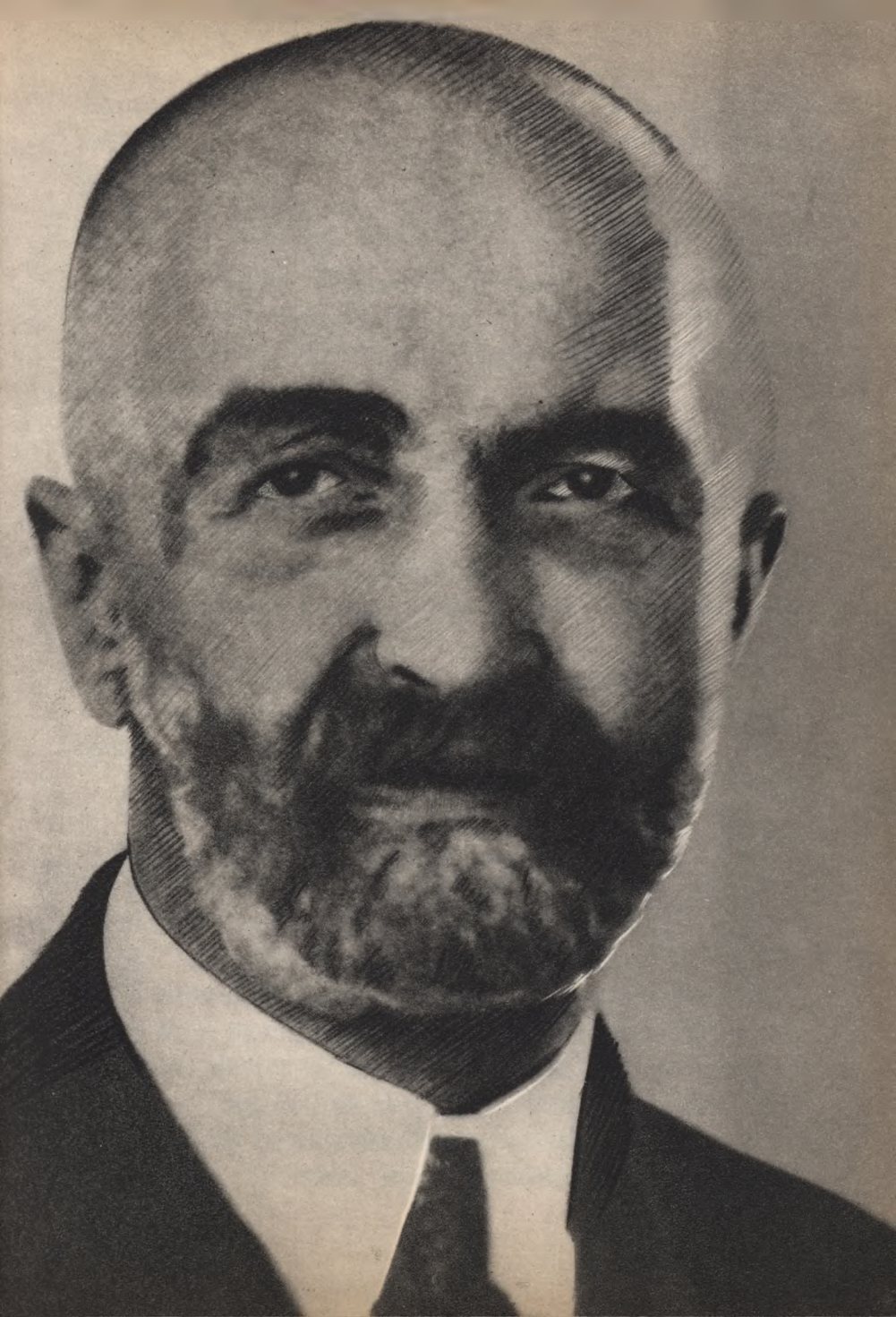
Ur. 1879 w Sitkowcach na Podolu, jako jedyny syn dyrektora cukrowni, cichy i skupiony w sobie, uchodził wiele lat za t. zw. „grzeczne dziecko“. Do 7-go roku życia ubierano go w habit zakonny, jako spełnienie ślubu kochającej go nad życie matki, co było wówczas często praktykowanym zwyczajem.

Nauki początkowe pobierał w domu rodzinnym, gimnazjum rosyjskie ukończył w Niemirowie, poczem pożegnał dwór w Sitkowcach i przeniósł się na dalsze studia do Warszawy, gdzie ukończył w r. 1899 Szkołę Handlową im. Kronenberga.

W r. 1900 wstąpił w Łodzi do P. P. S., bezpośrednio przed aresztowaniem Józefa Piłsudskiego, z którym poznał się w Wilnie w dwa lata później, a zbliżył się w Lublinie. Aresztowany kilkakrotnie, brał czynny udział w Organizacji Bojowej w czasie rewolucji 1905/6. Następnie wyjeżdża na teren b. Galicji, gdzie współpracuje przy tworzeniu Związku Walki Czynnej, Polskiego Skarbu Wojskowego i bierze udział w ruchu strzeleckim.

Z wybuchem wojny światowej, idzie z Legjonami w bój, lecz wycofany niebawem z czynnej akcji wojskowej, pracuje tam gorliwiej jako mąż zaufania Komendanta na terenie politycznym i w P. O. W., za co zostaje uwięziony przez Niemców. Po powstaniu państwa polskiego, należy do grona najzaufańszych osób Naczelnika Państwa. W r. 1919 bierze udział w wyprawie wileńskiej. W r. 1920 działa na Ukrainie jako pełnomocnik Wodza Naczelnego i dowodzi grupą ochotniczych wojsk polsko-ukraińskich (Petlurowców).

Po wojnie, kończy Wyższą Szkołę Wojenną i jako podpułkownik Sztabu Generalnego pełni funkcje oficera do szczególnych poruczeń. Następnie, wystąpiwszy z wojska, bierze się do polityki. Po przewrocie majowym 1926, organizuje Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, którego zostaje prezesem, i czuwa nad całokształtem polityki wewnętrznej. Był dwukrotnie prezesem Rady Ministrów. Jest też prezesem Zarządu Głównego Związku Legionistów i po dziś dzień jednym z najbliższych współpracowników marszałka Piłsudskiego.



montowania bomby. Robota trudna i niebezpieczna, zwłaszcza jeśli jej trzeba dokonać przy nikłym świetle ręcznych latarek.

Sławek siedział na trawie i trzymając bombę na kolanach — coś tam koło niej manipulował. Otaczaliśmy go kołem. Wszyscy byli mocno podnieceni, jak zwykle przed wyprawą bojową. Czasu mieliśmy przed sobą niewiele — krótką noc czerwcową. Ktoś zawołał do Sławka:

— Prędszej!

On spojrzał w górę a równocześnie coś tam przekręcił nieszczęśliwie w owej bombie i nastąpiła ogłuszająca eksplozja.

Przerażeni — rzuciliśmy się do ucieczki. Gdyśmy ubiegli kilkaset kroków, ktoś zawołał: „A gdzie Sławek?”

— Ranny, został! — brzmiała odpowiedź.

I wtedy to dostałem rozkaz wrócić się i zająć ran-nym.

Jako karny żołnierz, uczyniłem to bez wahania.

Gdy wróciłem na polanę, zastałem tam Sławka w kałuży krwi. Oświeciłem jego przystojną i młodą wówczas twarz latarką i zapytałem, czy ma jakieś życzenia albo coś takiego przy sobie, co by jego lub nas mogło skompromitować? Lecz on mówić nie mógł. Więc obszukałem go i zabrałem mu z kieszeni brauning. Miał pewnie jeszcze jakieś pieniądze i dokumenty osobiste, ale ich w tej prędkości znaleźć nie mogłem. Obawiając się, że huk eksplozji już zdołał obudzić czujność łapaczy moskiewskich na pobliskiej stacji, a przypuszczając, że nasz drogi dowódca jest tak ciężko

i beznadziejnie ranny, że i tak życia nie da mu się uratować, zaproponowałem mu, że go dobiję. Myślałem sobie: poco ma się męczyć lub też być narażony na znęcanie się nad nim szpicli rosyjskich, gdy go w takim stanie znajdą?

Ale wtedy ranny zebrał się w sobie i jakby nagle przybyło mu energii — ruchem głowy dał mi znak, że chce żyć! Wobec tego, zarzuciłem sobie bezwładne ciało na ramiona i trzymając Sławka za zdrową rękę (druga oraz twarz i noga były poszarpane przez bombę), szybko począłem biec w kierunku stacji Milanówek. Byłem już od niej niedaleko, gdy spostrzegłem jakąś sylwetkę, zbliżającą się ku mnie ze światłem. Położyłem więc rannego na niewielkim kopczyku, odgraniczającym tory od lasu, sam wyciągnąłem „spluwę“ i wziąłem na muszkę zbliżającego się człowieka.

Lecz wnet poznałem, że to dróżnik kolejowy, więc broń schowałem. Kolejarz potknął się o leżące ciało rannego, nachylił się nad nim ze światłem i zawrócił ku stacji, głośno wołając o pomoc.

Gdy dostrzegłem, że od strony stacji zbliżają się już ludzie i że zajmą się oni naszym rannym dowódcą, uważałem, iż zadanie swe spełniłem i szybko dogoniłem towarzyszy, uchodzących lasami przez Brwinów do Warszawy.

Sławka tymczasem przeniesiono na stację, opatrzone i najbliższym pociągiem odwieziono do szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, gdzie niebawem został przez żandarmów rosyjskich aresztowany.

Znaleźli oni bowiem w lesie resztki bomby i mundury wachmistrzów rosyjskich, w jakie mieliśmy być prze-

brani: ja i jeden z moich kolegów, w ten wieczór, gdyśmy to mieli urządzić ów napad na pociąg. Mundury te zakopaliśmy w lesie. W tym samym lesie ukryta była teka z ważnemi papierami. Tego, dzięki Bogu, Moskale nie znaleźli. A w kilka dni potem papiery te wynieśliśmy z lasu i ukryli w bezpiecznem miejscu.

Wskutek tego nieszczęśliwego wypadku, projektowany napad na rosyjskie pieniądze rządowe nie odbył się, a nasz towarzysz, dziś pułkownik i wielki działacz polityczny, na całe życie został inwalidą...

Gdybym go jednak był zostawił na tej polanie do rana, toby pewnie przez noc wykrwawił i skonał.

A z więzienia i tak go po wyleczeniu musieli Moskale puścić. Wysiedział się wprawdzie blisko rok w X pawilonie cytadeli warszawskiej, mocno podejrzany o wrogą dla rządu rosyjskiego działalność rewolucyjną, ale żadnego konkretnego na to dowodu nie było. On sam twierdził uparczywie, iż został przypadkiem ranny, przechodząc przez las; nie miał broni, bo mu ją zabrałem, ani żadnych takich papierów, któreby przeciwko niemu świadczyć mogły.

A ja zaś — kończy skromnie p. Trojanek — wróciłem do bojowej roboty w partji z tem przeświadczeniem, że dobrze spełniłem mój żołnierski obowiązek!

Na podstawie informacji otrzymanych od p. Józefa Trojanaka, bojowca Polskiej Partji Socjalistycznej z rewolucji 1905-6 roku, żołnierza Niepodległości — napisał

T. M. Nittman.



IGNACY MOŚCICKI I JEGO DZIEŁO.

I. PATRZĘ PRZEZ OKNO...

Patrzę przez okno na Zamek. Niewiele widać od nas zdołu. Ale jednak dostrzegam, iż w ogrodzie zamkowym jest pełno śniegu. Napadało go tyle przez ubie-



Patrzę przez okno na Zamek...

głą noc! Pokrył taras i czerwone dachówki zamkowe i załamania muru.

Stąd włada krajem nasz Prezydent!

Dawniej — mieszkali tu królowie. Pierwszym był Zygmunt III Waza. Ten sam, który wznosi się nad kamienicami, na placu Zamkowym, z krzyżem w jednej,

z mieczem w drugiej dłoni. On to przeniósł swą siedzibę do Warszawy z krakowskiego Wawelu.

A potem — w smutnych czasach niewoli — wschodni najeźdźca złupił Zamek Królewski. Rozsiadł się na nim carski zausznik, generał-gubernator warszawski, i rządził »Prywiślańskim Krajem«. A gdy Moskale uciekli, zajął jego miejsce Prusak, von Beseler. Ten też chyłkiem zmykał Wisłą do Torunia, gdy Polska powstała...

Opowiadała nam to mamusia. Ona jeszcze pamięta te czasy.

Jakie to dziwne! Ja bo sobie wyobrazić nie umiem, że mógł istnieć świat bez Polski, jako państwa. Czyta i słyszy się o tem tyle, ale trudno wprost uwierzyć...

Już zmierzcha się. Jeszcze na niebie dzień, a księżyc przecież wstaje z nad Wisły. Wszystko przybiera kolor seledynowy.

Szyba poci się. Chucham na nią i wycieram chusteczką od nosa, aby lepiej widzieć. Na dworze niema mrozu i szyba nie zamarza...

Patrzę przez okno i dostrzegam wartownika w ogrodzie zamkowym. Żołnierz w hełmie, z karabinem na ramieniu, chodzi tam i nazad, tam i nazad.

Jak kiedyś będę duży i pójdę do wojska, może i mnie przypadnie zaszczyt strażować pod Zamkiem Królewskim?

Ten żołnierz chyba dumny być musi, że mu powierzono czuwanie nad tak dostojną osobą?!

Ale poco właściwie? Chyba tak, dla parady...

Przecież wszyscy kochają Prezydenta i nikt, najgorszy nawet zbój, krzywdyby Mu nie zrobił?!

A jednak... prawda! Narutowicza zabili... Pamiętam, jak mi to tatuś opowiadał! To straszne...

II. SŁAWNY NA CAŁY ŚWIAT...

Nie mogę wysiedzieć. Wybiegam z domu. Gdzie ten Jędrak tak długo siedzi? Jednak bez niego nudno! Pójdę mu naprzeciw...

Idę i głowę zadzieram na Zamek. Gdzieś na najwyższym piętrze zapalają się w oknach światła. To tak, jakby otworło się jakieś oko, dotąd zamknięte. Oko prostokątne; otworło się i zabłysło światłem...

Ja wiem, że Pan Prezydent mieszka od tamtej strony, od Krakowskiego Przedmieścia. A to są chyba pokoje służby... Nieraz wracając wieczorem do domu, obserwowaliśmy z Jędrkiem oświetlone okna prezydenckich pokoi. Za żółtymi firankami mignął czasem jakiś cień. Może to On?

Przysmykam oczy i widzę Go wyraźnie! Wysoki, szczupły pan, głowa siwa, jakby srebrna, chodzi sobie po tych ślicznych salonach. Tu popatrzy na jakiś piękny obraz z czasów króla Stasia, tam dotknie długim palcem starej, jagiellońskiej makaty. Znamy te pokoje. Zwiedzaliśmy z Jędrkiem salę rycerską i tronową i kaplicę i inne.

Za Panem Prezydentem chodzi wyprężony adjutant. Srebrne sznury błyszczą mu na piersi.

A Pan Prezydent ma koło ust taki dobry, za serce chwytający uśmiech. Widzieliśmy tę twarz i na fotografii i w rzeczywistości. Raz całkiem nawet zbliżka. Wsiadał do samochodu; było to po jakiejś uroczystości w Radzie Miejskiej. Staliśmy tuż obok z zapartym oddechem, a serca biły nam mocno.

Miał wtedy śliczny, czarny cylinder na głowie

i kłaniał się nim na lewo i prawo. Dobry, kochany Pan Prezydent. A tłum wokoło krzyczał: »Niech żyje!«

Mamusia mówi, że On jest szalenie dystyngowany.¹ Nie bardzo rozumiem, co to znaczy, ale napewno tak jest, jak mamusia mówi. Wolę się zresztą nie pytać, boby się zaraz Jędrzek ze mnie śmiał, że nie wiem nic a nic, ale i on też pewnie nie wie, tylko tak przede mną udaje...

Pan Zygmunt opowiadał nam, że to wielki uczony, sławny na cały świat ze swych wynalazków naukowych na polu chemji. Życie miał pełne trudów. Szkoły wyższe ukończył zagranicą, a potem długie lata mieszkał w Szwajcarii.

W Londynie spotkał się z Dziadkiem i tam się też zaprzyjaźnili. Obaj mówili, myśleli, marzyli o Polsce. I pracowali razem dla tej dalekiej, wyśnzionej Ojczyzny.

Wreszcie mógł nasz dzisiejszy Prezydent wrócić do kraju. Wprawdzie do innej dzielnicy, niż ta, gdzie się urodził, ale zawsze między swoich. Powołano Go bowiem na profesora uniwersytetu we Lwowie. To było jeszcze przed wielką wojną. Do Królestwa przyjechać nie mógł, boby Go Moskale aresztowali; był... jak się to nazywa? — aha, już wiem: politycznie skompromitowany!

Przywiązał się do Lwowa. Pokochał to miasto. No, pewnie, takie miłe, dzielne miasto!

Tam to począł komendant Piłsudski tworzyć swoje pierwsze oddziały strzeleckie. Tam też spotkali się z profesorem Mościckim i znów pracowali razem — dla przyszłej Polski!

¹ Dystyngowany = wytworny.

Aż wreszcie doczekali się Jej odrodzenia. I profesor Mościcki wziął się do nowej pracy: objął po Niemcach wielką fabrykę na Górnym Śląsku. Wyrabiali tam różności chemiczne. Niemcy myśleli z początku, że sobie bez nich nie damy rady! Ale wyszło inaczej. Była to zasługa profesora Mościckiego!

Niemcom mina zrzedła, gdy ta fabryka jeszcze lepiej zaczęła pracować w rękach polskich. Robią tam sztuczne nawozy dla rolników. Ale fabrykowano też i gazy wojenne. Niemało stamtąd wyszło pocisków za czasów wielkiej wojny.

Nazywa się ona Chorzów. Ale to tuż, na granicy, więc w razie wojny — niebezpiecznie.

Nasz Prezydent rzucił więc myśl zbudowania drugiej takiej fabryki, jeszcze lepiej urządzonej, w głębi kraju. I choć kosztowało to miliony, Polska nie pożalowała na to pieniędzy. Dziś pracuje ona dla potęgi naszego państwa. Mieści się pod Tarnowem i na cześć Prezydenta nosi nazwę: Mościce!

To są dwie państwowe fabryki związków azotowych. Prostu — łapią azot z powietrza i przerabiają go chemicznie.

To wszystko wiem z takiej jednej grubej książki. Czytaliśmy ją na głos u Leszka. Bardzo mi się to podobało i zapamiętałem dokładnie!

I jeszcze tu, w Warszawie, Pan Prezydent wybudował taki jeden zakład. Jest to Chemiczny Instytut Badawczy na Żoliborzu.

Pan Prezydent spędza tam nieraz długie godziny i pracuje nad nowymi wynalazkami.

Mój Boże! Chyba mógłby już sobie odpocząć tro-

chę na stare lata. Ale nasz Prezydent twierdzi, że praca twórcza — to największe szczęście człowieka. I pracuje wciąż jeszcze.

A przecież poza tem ma tyle ważnych spraw państwowych na głowie! Przyjmuje na audjencjach tylu ludzi, różnych ministrów i dygnitarzy, albo posłów cudzoziemskich. Odbywa narady i konferencje. Czyta różne ważne papiery urzędowe i akta. I musi tyle, tyle podpisywać. Od tego podpisu zależy tak dużo. Czasem — życie ludzkie, gdy ma ułaskawić skazanego przez sąd na śmierć zbrodniarza.² Wtedy pewno rozmawia sam ze sobą i waży się w jego sercu: litość i konieczność kary za zbrodnię.

Stoję pod kolumną Zygmunta i rozglądam się wokoło. Ale Jędrka nigdzie nie widać. Czyżbyśmy się minęli?

U bramy wjazdowej stoi warta. A na stromym dachu, ubielonym śniegiem, na wysokim maszcie powiewa czerwona chorągiew z białym orłem. Dumny znak, że Pan Prezydent jest na Zamku. Czuwa i pracuje i dobrym swym uśmiechem ogarnia całą Rzeczpospolitą.

Na dworze jest już całkiem ciemno. Wracam do domu popod Zamkiem. Już nie widać nic, tylko szereg oświetlonych okien w królewskich pokojach...

² Prezydent Rzeczypospolitej ma konstytucją zastrzeżone prawo łaski.

IGNACY MOŚCICKI.

Urodzony 1867, szkołę średnią ukończył w Warszawie; studiował chemję na politechnice w Rydze. 1892 wyjechał na dalsze studia zagranicę. W Londynie spotyka Józefa Piłsudskiego i nawiązuje z Nim stosunki.

Od r. 1897 asystent przy katedrze fizyki na uniwersytecie we Fryburgu, potem kierownik prac wynalazczych w tamtejszem laboratorium elektrotechnicznym. W r. 1912 powołany na profesora politechniki we Lwowie; w r. 1922 obejmuje po Niemcach fabrykę w Chorzowie. Doktor honorowy szeregu uniwersytetów, autor wielu cennych wynalazków, twórca fabryki związków azotowych w Mościcach pod Tarnowem.

W r. 1926 wybrany trzecim z kolei prezydentem R. P. na lat 7; wybrany ponownie w r. 1933, piastuje ten najwyższy urząd w państwie do dziś dnia.



EPIZOD Z ŻYCIA PREZYDENTA IGNACEGO MOŚCICKIEGO.

ZE WSPOMNIEŃ SZKOLNYCH.

W pierwszych dniach maja 1882 roku władze szkolne zawiadomiły uczniów, iż obchodzone co roku w dniu 8 maja święto patrona Polski św. Stanisława zostało zniesione, lekcje odbędą się normalnie i obecność na nich jest obowiązkowa. Nie trzeba było dodawać, że »oporni«, którzyby wbrew rozporządzeniu dnia tego do szkoły nie przybyli, będą surowo karani za manifestowanie polskości, może nawet wydaleniem ze szkół. Wiedzieli o tem uczniowie. Niejeden już raz boleśnie odczuć musieli nienawiść, jaką zaborcy żywili do niezawisłego ducha polskiego, przekazywanego z pokolenia w pokolenie, wbrew nieprzebiegającej w środkach walce o wynarodowienie Polaków, prowadzonej tak gorliwie przez Moskali.

Ojcowie tego pokolenia młodzieży szkolnej walczyli w powstaniu styczniowym. Ich dzieci musiały więc wynieść z domu gorące umiłowanie idei, dla której ofiara życia nie była zbyt wielka.

A oto znowu szykana. Bo wszakże 8 maja był jedynym dniem w roku, kiedy można było niejako zamifestować swe patryotyczne uczucia i przyznać się do tej nienawidzonej i tępionej przez Moskalą polskości. Więc wśród młodzieży wrzało. Wszędzie, gdzie nie mógł dotrzeć słuch moskiewskiego szpicla, rozbrzmiewały słowa oburzenia i protestu. Na inny jednak protest, jak słowny, trudno się było zdobyć. Zbyt srogie groziły

represje. Wydalenie ze szkół oznaczało nietylko zwinięcie kariery młodego człowieka, ale przez odepchnięcie od źródeł wiedzy także i unicestwienie wielu możliwości czynu niepodległościowego, o którym marzyły młode serca. Więc zgrzytano zębami i godzono się pozornie z tym nowym ciosem.

15-letni wówczas Ignacy Mościcki był uczniem 4-tej klasy gimnazjum Babińskiego na Sewerynowie. Chłopak, wychowany w atmosferze gorącego patriotyzmu i niezawisłości ducha, miał te cechy wyryte mocno w swym charakterze. Od najmłodszych niemal lat pracował nad sobą, chcąc wyrobić w sobie takie wartości, któreby, gdy dorośnie, mogły przynieść korzyść nieszczęśliwemu krajowi. Sposobił się do czynu, kształcąc umysł, hartując wolę, ćwicząc ciało. I marzył o chwili, gdy za przykładem bohaterów powstania styczniowego pójdzie w bój o niepodległość. Niestety, chwila ta wydawała się jeszcze daleka, a narazie trzeba było cierpliwie czekać.

Ale teraz nie mógł chłopiec zgodzić się na milczenie. Oburzała go nieznosna tyranja i podniecało pragnienie czynu. Marzył o tem, że zbiorowy protest poruszy młodzież i zbudzi w jej sercu drżemiące uczucia patriotyczne. On sam raz już zdobył się na odruch buntu, gdy jako 10-letni zaledwie chłopiec nie zgodził się na chodzenie wraz ze swą szkołą do cerkwi prawosławnej (uczęszczał wówczas do gimnazjum państwowego w Zamościu). Kilkakrotne »kozy«, groźby i kary nie odniosły skutku: chłopiec do cerkwi nie poszedł. Ale teraz chodziło o coś więcej: o zmuszenie do strajku uczniów wszystkich szkół warszawskich. Rozpoczęły się narady z kolegą, u którego matki mieszkał. Czują chłopcy, że

agitacja w obrębie własnej szkoły jest zbyt niebezpieczna. Zresztą jest za późno, bo już jutro wypada 8-my maja, już nazajutrz trzeba uniemożliwić naukę. Po namyśle, młodzi spiskowcy postanawiają wykorzystać do swego celu liczne gromady wyrostków, spędzających wszystkie pogodne dni na zabawie na placu koło cytadeli.

Udają się więc tam, lecz, by nie różnić się wyglądem od młodzieży, między którą zamierzają agitować, przebierają się w stare ubrania i kapelusze, a dla pozyskania sobie miru zakupują za wszystkie zaoszczędzone pieniądze kilkaset papierosów.

Plan powiódł się w zupełności. Pierwsza zaczepiona grupka zainteresowała się bardzo poruszonym tematem. Zgodzono się na opinię, że nie można puścić płazem tak prowokacyjnego zarządzenia, jakim jest zniesienie święta patrona Polski i że nie wolno dopuścić do tego, by nazajutrz odbyły się lekcje. Jeden z uczestników dyskusji gwizdnął przeraźliwie, wkładając dwa palce do ust; nadbiegło koło 150 wyrostków. Podzielono się z nimi powziętą uchwałą, wywołując pełne zapału okrzyki. Teraz zdecydowano, że trzeba otoczyć szkoły i uczniów zawracać do domów, choćby siłą, gdyby się opierali, a w gimnazjach państwowych powybijać szyby.

Rozgorączkowani chłopcy rozbiegli się po mieście, agitując, kogo się jeszcze dało, i omawiając szczegóły przedsięwzięcia. A nazajutrz wybuchło: młodzież, nie mając dostępu do szkół, w przeważnej ilości zawróciła chętnie do domów lub przyłączyła się do »zamachowców«. Opornych zmuszono do zrezygnowania z nauki,

w gimnazjum III na ówczesnej ulicy Berga wybito szyby, na Zjeździe, przy filji szkoły realnej z Kanonji, zrzucano zgóry tornistry zbyt »prawomyślnych« i pilnych uczniów. W całym mieście zawrzało: przez szereg dni nie mówiono o niczem innem, tylko o proteście młodzieży, a w młodych duszach zapłonęło wielkim płomieniem to, co daremnie chciała zniweczyć obca przemoc: miłość Ojczyzny, gotowość do ofiar i poczucie własnej godności.

A sprawiła to wielkość duszy jednego 15-letniego chłopca — Ignacego Mościckiego.

Na podstawie wspomnień osobistych Pana Prezydenta
R. P. Ignacego Mościckiego — opisał

Stanisław Pliszczyński.



POLSKA GOSPODARCZA.

I. WIGILJA ŚW. ANDRZEJA.

Wczoraj była wigilja św. Andrzeja. Przyszedł pan Zygmunt i Jasia i jeszcze jedna ciocia, która pracuje w Banku Polskim. Przyszli złożyć życzenia ojcu, no i naturalnie przynieśli też prezenty dla Jędrka. Od pana Zygmunta dostał łuk i strzały; wspaniały łuk! Winetu,¹ wódz czerwonoskórych, nie miał chyba lepszego. Jasia dała mu książkę »Przygody młodego żeglarsza«. A ta ciocia z banku — skarbonkę P. K. O., ale pustą.

Wczoraj i dziś przychodzą rozmaici ludzie do ojca: uczniowie, profesorowie, krewni, przyjaciele, znajomi. Czy ja wiem, kto jeszcze?

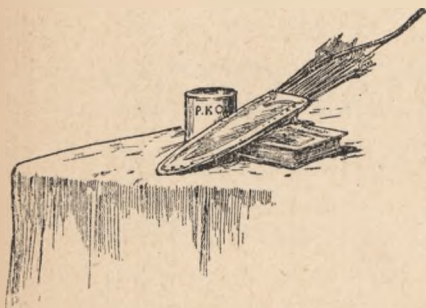
Wszyscy, którzy przychodzą winszować tatusiowi, pamiętają o tem, że ma syna tego samego imienia i przynoszą też coś Jędrkowi. Ja idę natomiast całkiem w kąt, jakbym nie istniał.

Czasem są to drobiazgi, nikomu na nic nie potrzeb-

¹ Winetu = bohater powieści awanturniczych na tle walk amerykańskich z Indianami.

ne: jakiś pies porcelanowy, jakaś nudna książka. A jeden profesor, to przyniósł nawet grzechotkę, bo myślał, że Jędrak jest jeszcze maleńki i leży w kołysce.

Z tą grzechotką była wielka uciecha: nabieraliśmy Jędrka przez parę dni. A on całkiem się już wściekł, gdy przy wyjmowaniu książek z tornistra w szkole — wysypała mu się z hałasem na ziemię ta nieszczęsna



grzechotka. Wszyscy zaczęli się śmiać i pytali, co to takiego? Objasniłem kolegów z poważną miną, że to prezent imieninowy Jędrka. Myślałem, że mnie rozszarpie, taki był o to na mnie zły.

Prezenty dla Jędrka: łuk i strzały, książka i skarbonka P. K. O.

Ale cała klasa tak wyła ze śmiechu, że Jędrak też nie mógł wytrzy-

mać i zaczął się śmiać razem z nami. I tem nas wszystkich rozbroił. Inna rzecz, obiecał, że mi za ten figiel odpłaci.

Ale swoją drogą — to świństwo! O jego imieninach wiedzą wszyscy, bo są razem z tatusiowemi, a o moich — nikt! Ja chyba w gazetach ogłoszę, albo co? Bo to przecież bardzo przyjemnie dostawać tyle prezentów. Mamusia, której się z tego pomysłu zwierzyłem, kiwała głową z powagą. Ale czułem, że panuje nad sobą, by się nie roześmiać ze mnie. To tak już zawsze, moja krzywda. Cóż zrobić?

Był suty podwieczorek z ciastkami z kremem, a potem leliśmy воск.

Pan Zygmunt i Jasia wyleli sobie różne takie śmieszne przedmioty i zaraz Justysia oświadczyła z przejęciem, że to nic innego nie oznacza, tylko ślubny wianek. Jasia się zawstydziła, a pan Zygmunt patrzył na nią z zadowoleniem. Potem na odchodnym dał Justysi całe 2 zł, czem ona nie omieszkała pochwalić się przed matką.

A Jędrrek wylał sobie guzik. Ciocia Frania — ta z Banku — upierała się, że to wygląda jak 10-cio złotówka, co znaczy nieomylnie, że Jędrrek będzie też bankowcem, jak i ona.

— Na naszym banku — powiedziała z dumą — opiera się całe życie gospodarcze państwa. My wypuszczamy pieniądze, bo jesteśmy bankiem emisyjnym.² My też czuwamy nad stałością waluty, regulujemy wysokość pobieranych odsetków...

Ale Jędrrek nie chce nawet o tem słyszeć. Postanowił bowiem zostać podróżnikiem. Zresztą to, co ciocia mówi, to zbyt dla nas mądre.

Potem ciocia Frania wylała coś takiego dziwnego, że się aż Justysia za boki wzięła i poczęła chichotać. Bo Justysia obowiązkowo musi rok rocznie asystować przy tem wylewaniu, choćby się miało wszystko w kuchni spalić na nic.

— Och, paniusiu! — zawołała — i w tym roku nic z męża!

— Głupia jesteś! — ofuknęła ją ciocia, ale spiekła raka. — Wcale nie myślę o małżeństwie! — zapewniała.

Ale my wiemy, że tak nie jest. Tylko, że cioci

² Bank emisyjny — jest to bank, który ma wyłączne prawo wypuszczania pieniędzy.

pewnoby już nikt nie chciał, choć ma dobrą posadę i dużo zarabia.

I dalej będzie musiała wstawać raniutko i jeździć tam, do swego banku, na ulicę Bielańską!

— Gmach naszego banku — oświadczyła biedaczka z dumą — to jeden z najpiękniejszych w Warszawie.

Czy dlatego to powiedziała, abyśmy już o tym mężu przestali mówić?

Znamy ten gmach, byliśmy tam kilka razy. Na parterze jest szereg pięknych sal. Zewnątrz wygląda całkiem inaczej, niż ten nowy gmach Banku Gospodarstwa Krajowego. Mamusia mówi, że to dla niej zbyt nowoczesne. To też bank państwowy, ale ma inne zadania. Popiera rozwój gospodarstwa narodowego, pożycza pieniędzy na zakładanie pożytecznych urządzeń, jak elektrownie, rzeźnie, kanalizacje. Ułatwia rozbudowę miast, w których po wojnie wielki jest brak mieszkań, zwłaszcza tanich. A jeszcze jeden — to Państwowy Bank Rolny przy ulicy Nowogrodzkiej, który specjalnie opiekuje się rolnictwem i hodowlą zwierząt.

Ale skarbiec państwa, gdzie przechowują złoto w sztabach i monetach, jest tylko jeden: w podziemiach Banku Polskiego. Na tym złocie opiera się nasz pieniądz. Ktoby się dostał do piwnic bankowych przy ulicy Bielańskiej, dobrzeby się obłowił. Ale ciocia twierdzi, że o tem mowy niema, bo strzegą go we dnie i w nocy.

— Bank Polski, to niewzruszona potęga! — zakończyła rozmowę naszą o bankach państwowych ciocia Frania.

Tak się przy tem nadymała, jakby co najmniej była taką cenną sztabą złota, pilnowaną troskliwie w tym banku.

Ale być urzędnikiem w banku przez całe życie — to chyba nie zabawne. I ja też Jędrkowi tego nie radzę.

O nie, wybierzemy się lepiej na biegun, albo może — w puszcze podzwrotnikowe! Tam będzie życie...

II. ZMARTWIENIE MAMUSI.

Imieniny były bardzo piękne: było dużo gości, panowie na czarno i panie w ślicznych sukniach. Dużo kwiatów, wina i słodczy.

Ale mamusia mówi, że tyle nędzy naokoło i że nie lubi urządzić przyjęć w dzisiejszych czasach, bo ją to boli, że jedni mają wszystko, a drudzy — umierają z głodu!

No, takie przyjęcie coś kosztuje. I te prezenty dla ojca i Jędrka. Jędrak jest w siódmym niebie: dostał prawdziwy sebrny zegarek, o którym marzył oddawna.

Lecz minął św. Andrzej i dnie znów się toczą, jak codzień, szare i zwyczajne. Jedyna nadzieja, to zbliżające się święta.

Mamusia jest jakaś mizerna; jakby czemś zmartwiona!

Wczoraj, siedząc pociemku w holu, widzieliśmy przez uchylone drzwi, jak przewracała kartki w kalendarzu ściennym, potem usiadła przed swoim biurkiem i ręce opuściła bezradnie.

Wtem zabrzmiał dzwonek wejściowy. Mamusia weszła do holu, przekręciła światło i wpuściła jakiegoś

rudego Żyda. A nam kazała iść się bawić i zamknąć za sobą drzwi. Aleśmy zbyt byli niespokojni, aby się oprzeć pokusie podsłuchiwania.

Obcy coś szwargotał, mamusia jakby się tłumaczyła. Wreszcie ze słowami: »Jutro to już napewno!« — wyprowadziła obcego aż za próg.

Nie wytrzymałszy i wpadliśmy na mamę z błaganem:

— Droga, kochana, jedyna! Kto to był? Masz jakieś zmartwienie? Może ci coś pomożemy? My już nie jesteśmy takie małe głuptaki, jak się tobie wydaje!

Mamusia uściskała nas serdecznie i rzekła:

— Mam mały kłopot pieniężny. Cóż wy możecie mi pomóc?

— Powiedz nam wszystko! — prosiliśmy — może jednak na coś się przydamy!

— Ach, wy się jeszcze nic na tem nie rozumiecie, dzięki Bogu...

Nalegaliśmy dotąd, aż wreszcie mamusia przyznała się nam, że podpisała weksel i to bez wiedzy ojca.

— Weksel? Co to jest? — dopytywaliśmy.

— Takie zobowiązanie dłużne, na urzędowym papierze. Musi być w terminie wykupiony, bo inaczej idzie do protestu.³ Zastępuje czasowo pieniądz i może krążyć w okresie swej ważności z rąk do rąk, jak banknot. Czasem, celem wzmocnienia pewności zwrotu sumy dłużnej, umieszcza się na wekslu żyra, czyli podpisy innych jeszcze osób, gwarantujących solidarnie, iż weksel będzie w terminie wykupiony. Jeśli to nie nastąpi,

³ Protest wekslowy = akt sporządzony u notariusza, stwierdzający, że dłużnik nie chce zapłacić.

wszystkie podpisane osoby odpowiadają za ten dług w kolejności podpisów. Za weksel handlowy, kupiec otrzymuje towar, a po sprzedaży go z zyskiem, spłaca gotówkę. To rzecz zdrowa i konieczna. Ale taki weksel, jak ja podpisałam, to rzecz niedobra, bo to się przeje i nic więcej. Dlatego najlepiej nigdy nie podpisywać weksli! Raczej się ograniczyć i wyrzec czegoś, niż zaciągać pożyczkę wekslową...

Słuchaliśmy z otwartymi ustami, niebardzo wszystko rozumiejąc. Ale mieliśmy przy tem tak zafrasowane miny, że aż się mama roześmiała i całując nas dodała:

— Ja tu wam morały prawię, a sama, stara, lecz głupia, zrobiłam taką niemądrą rzecz!

Poczęliśmy ścisnąć mamusię, zapewniając ją, że nie jest ani stara, ani głupia!

— Czasy są tak ciężkie, dochody ojca spadły, nie miałam wprost sumienia prosić go o więcej pieniędzy. A chciałam, żeby to przyjęcie dobrze wypadło. To tak miło móc serdecznie ugościć ludzi bliskich i życzliwych, którzy kochają i szanują waszego ojca. Miałam nadzieję, że ten weksel na czas wykupię. A tu dziś przyszedł termin płatności i nie wiem sama, co zrobić?

— A jutro, nie można już tego załatwić?

— Jutro jeszcze tak. Pan Pomeranc obiecał zaczekać. Ale na jutro też nie mam takiej sumy...

I znów zrobiła nasza »kochańcia« (tak czasami nazywamy mamusię) bardzo zmartwioną minkę.

Więc Jędrzek rzucił się jej na szyję i zawołał:

— Tylko ty się nam nic nie martw, bo znów dostaniesz migreny,⁴ a to będzie gorzej!

⁴ Migrena = newralgiczny ból głowy.

I dodał z pewną siebie miną:

— My to już załatwimy, bądź spokojna...

III. TRANZAKCJA PIENIĘŻNA.

Dziś poszedłem do szkoły sam. Jędrrek zerwał się przed siódmą i wymknął się, gdy jeszcze spałem. Justysia mówiła, że pobiegł do kolegi po zadanie algebraiczne, ale ja wiem, że to nieprawda, bo dziś wcale nie ma algebry.

A w szkole sensacja: Leszek wygrał los na państwowej loterii klasowej. Całe 200 zł, ależ to majątek!

Leszek mówi, że loteria daje duże dochody państwu i że to jest monopol⁵ t. zn., że nikomu innemu nie wolno urządzać loterii pieniężnej, ani wyrabiać losów, ani sprzedawać bez pozwolenia. Poza tem są jeszcze inne monopole państwowe: tytoniowy, spirytusowy, solny i zapalczany. Dlatego te wszystkie wyroby monopolowe tak drogo kosztują, bo w ich cenie ukryty jest pośredni podatek. Kupujesz paczkę soli czy papierosa — opłacasz przy tem podatek na rzecz Państwa. Tylko z zapalkami jest inaczej. Ten monopol wydzierżawiliśmy Szwedom, za co w swoim czasie Polska dostała większą pożyczkę w krytycznej dla skarbu chwili.

Poza podatkami pośrednimi, których jest dużo, istnieją jeszcze podatki bezpośrednie. Płaci je każdy obywatel, zależnie od wysokości swoich zarobków i majątku. Kupiec — od obrotów handlowych, przemysłowiec — od wyprodukowanych w swojej fabryce towarów, rolnik — od gruntu, a inny właściciel — od posiadanego domu, placu czy ogrodu.

⁵ Monopol = wyłączność.

Te wszystkie opłaty płyną do kas skarbowych przy urzędach podatkowych. Są one zgóry przewidziane w budżecie państwa po stronie dochodów. Z pieniędzy tych utrzymuje się całe państwo: wojsko, urzędnicy, szkoły, szpitale i wiele innych zakładów. Buduje się za to koleje i szosy, gmachy państwowe i wykonywa różne inne roboty publiczne. To są wydatki państwa. I tak te pieniądze krążą ciągle od kieszeni obywateli do kas skarbowych i zpowrotem, niby żywa krew.

Jest to państwowy obrót pieniężny. Ostatnio budżet, czyli wykaz dochodów i wydatków, wynosił około 2 miliardów złotych. Jest to suma tak wielka, że trudno ją sobie nawet wyobrazić.

Chodzi o to, by więcej pieniędzy wpływało do kas skarbowych, niż z nich odpływa. Bo inaczej tworzy się w budżecie państwa niedobór czyli deficyt. A to grozi bankructwem i załamaniem się wartości pieniądza.

Naczelny urząd do tych spraw stanowi Ministerstwo Skarbu. Mieści się ono w Warszawie przy ul. Rymskiej, w pięknym, starym pałacu. Przez podległe sobie organa — izby skarbowe, czuwa nad ściąganiem z obywateli opłat i podatków i gromadzeniem gotówki, układa i wykonywa corocznie budżet i asygnuje pieniądze na potrzeby państwa. Kontroluje ono też działalność banków państwowych i wpływa wogóle na całe życie gospodarcze naszego kraju. Jest to bowiem najwyższy gospodarz w Polsce, który dba, aby rozchód żył w zgodzie z dochodem.

Wogóle, rządzić państwem — to musi być niełatwa rzecz. Tyle spraw, tyle potrzeb, ze wszystkich stron wszyście wrzeszczą: »Daj!« A możliwości skarbu są

ograniczone. Wiadomo, z próżnego nikt nie należy. Więc skarb trzeba najprzód nappełnić.

Przecież dobrze wiem i widzę, co kłopotów nieraz mamusia ma z naszym małym gospodarstwem, ażeby wszystkim jako tako dogodzić, a jednak koniec z końcem związać. A ileż dopiero nabiedzić się musi minister skarbu w takim ogromnym gospodarstwie, jakim jest cała Polska z milionami jej ludności!

Ludzie narzekają na podatki. Słyszymy to nieraz. Podobno, są one w istocie bardzo uciążliwe. Nam mówią: »Szczęśliwi jesteście, bo nic jeszcze o tem nie wiecie!«

Pewnie, kraj jest biedny i ciężko ludziom płacić. Ale skarb musi te pieniądze ściągać, bo inaczej wszystkoby stanęło.

Za czasów niewoli opłaty te pobierali zaborcy i tylko część tych pieniędzy zostawała w kraju. Resztę wywożono i utrzymywano za to obce, wrogie wojska i obcych urzędników, których zadaniem było gnębić Polaków. A jednak, jak słyszałem, dawniej ludzie tak bardzo nie narzekali.

Mnie się wydaje, że przecież lepiej płacić nawet więcej, byle swoim, niż mniej, ale wrogom.

Tatuś mówi, że Polak pokornie znosi cudzy bat i władzę, a własnej nie lubi i psioczy na nią...

Może to i prawda?

Takeśmy sobie o tem wszystkim rozmawiali w czasie dużej pauzy. A wszystko to z racji owej wygranej Leszka. Był z nami i Adaś i Felek i Pilek Bąk.

Tylko Jędrak, choć obecny, udziału w ogólnej rozmowie nie brał. Chodził z kąta w kąt zasępiony i aż

mu żyły na skroniach nabrzmiały. Widocznie myślał nad czymś głęboko, już ja go dobrze znam!

Wreszcie odciągnął Leszka na bok i poszli razem na podwórze. Leszek wrócił niebawem, ale brat mój dopiero po dzwonku. Szczęściem, nauczyciel się spóźnił i nic nie zauważył.

Nie śmiałem go pytać, co mu jest, bo wiem, że tego nie lubi. Zresztą i tak mi sam powie, prędzej czy później!

IV. NASZ PIERWSZY WEKSEL.

Ostatnia lekcja toczyła się jakoś sennie. Nikomu nie chciało się uważać. Zresztą ten nasz profesor »łacinik« taki nudny z tem swoim uwielbieniem dla gramatyki!

Jest mały, krótki, gruby i ma potężny brzusek. Jego pulchną, zawsze starannie wygoloną twarz, otacza wianuszek wypłowiałych loczków, z pomiędzy których polyskuje wzgórek łysiny.

Nazwaliśmy go też »Strusie Jajo« i tak już zostało. Z ostatniej ławki dostałem list od Jaryny:

»Czy masz zrobione słówka, bo czuję, że mnie dziś Strusie Jajo wyrwie!«

Ledwie zdążyłem posłać żądane słówka naszą pocztą klasową pod ławkami, a już profesor zaskrzeczał:

— Co ty tam, bliźniak, wyprawiasz? Pewnie nic nie umiesz!

Nigdy się bowiem nie mógł naszych imion nauczyć. Jędrek zerwał się zmieszany.

— Nie o ciebie chodzi, ty widzę uważasz. Ale twój braciszek pójdzie do dziennika.

Jędrrek prędko siadł. Uratowałem go. Ja z kolei wstałem poto, by najniewinniej dostać się do dziennika z uwagą: »Przeszkadza w lekcji!«

Zniosłem to jakoś. Jędrrek przez ten czas, schowany za plecami wielkiego Ulamowskiego, który siedzi przed nami, pisał coś zawzięcie. Siadłem i spojrzałem ukradkiem, co też on robi? Ze zdziwieniem ujrzałem na jego łacińskim bruljonie weksel, prawdziwy weksel, polinjowany, z orzełkiem z boku.



Jędrrek poccił się właśnie nad jego wypełnianiem:

»Warszawa, dnia 10 grudnia 193... r.«, na prawo, w kącie: »50 zł« cyframi. Niżej zaś tekst: »Za trzy miesiące, t. j. dnia 10 marca 193... r. zapłacę za ten sola weksel na zlecenie p. Lesława Sokulskiego kwotę złotych pięćdziesiąt«. Na lewo, w dół: »Płatny w Warszawie, w Gimnazjum..., klasa II A« i z prawej, u dołu, zamaszysty podpis: »Andrzej Władysław Wodziecki«.⁶

Pewnie dodał sobie drugie imię, żeby się odróżnić od ojca, który nazywa się: Andrzej Tadeusz.

Nie mogłem wytrzymać i spytałem:

— Co ty robisz?

— Nie przeszkadzaj mi! Widzisz przecie!

Wkrótce zabrzmiał dzwonek i szybko koledzy nasi wysypali się na ulicę. Tylko my trzej zostaliśmy.

⁶ Formuła urzędowa, bez której zachowania weksel jest nieważny.

Jędrak uroczyście wręczył weksel Leszkowi. Ten się począł śmiać:

— Co ty warjacie wyrabiasz? Czy ja jestem bank jakiś, albo lichwiarz? Bardzo chętnie ci pożyczę te 50 złotych. Przecież wiesz, że mam pieniądze i narazie ich nie potrzebuję. Oddasz mi, jak będziesz mógł. Ale tego weksła absolutnie nie przyjmę!

— Jak nie przyjmiesz weksła, to ja nie wezmę od ciebie pieniędzy — zaperzył się Jędrak.

I zaczęli się kłócić na dobre. Wreszcie ja się wmieszałem w ten spór.

— Dajcie pokój kłótni. Czy powiedziałaś Leszkowi, na co potrzebujemy tych pieniędzy?

— Tak!

— To jest nasz wspólny dług i ja się nie zgodzę na to, abyś ty sam tylko pożyczał!

— W takim razie możesz ten weksel zażyrować! — rzekł Jędrak, podając mi pióro. Przystałem na to i tam gdzie mi wskazał, złożyłem mój trochę krzywy podpis.

V. »PEWNOŚĆ — ZAUFANIE«.

— A te pieniądze — to mam na książeczkę oszczędnościowej. Pójdziemy na Jasną do P. K. O.! — rzekł Leszek.

Ruszyliśmy żwawo gwarnemi ulicami. Na rogu Świętokrzyskiej weszliśmy do białego gmachu przez drzwi obrotowe.

W holu stał uroczysty portjer ze wspaniałą laską w rękę. I on miał na kołnierzu naszyte te trzy litery, które oznaczają skrót Pocztovej Kasy Oszczędności.

Nie byłem tu jeszcze nigdy, więc z ciekawością rozglądałem się wokoło. Moc ludzi wchodziło i wychodziło. Widać, że kipi tu i przelewa się życie.

— Ależ ruch tutaj! — zauważyłem.

— No, myślę — odparł Leszek — w Pocztowej Kasie Oszczędności gromadzą się miliony, uciulane przez



całkiem biednych nieraz ludzi na czarną godzinę. P. K. O. — siecią swych agend oplata kraj cały, ba, ma nawet filje zagranicą, wśród Polaków na wychodźstwie, by im ułatwić wszystkie operacje pieniężne i zabezpieczyć tak ciężko i gorzko nieraz zdobyte zarobki przed lekkomyślnem roztrwonieniem. Ileż to

...Pójdziemy na Jasną, do P. K. O....

razy bowiem dawniej padali oni ofiarą niesumiennej banków prywatnych, które wyludziwszy ich oszczędności, zaprzepaszczały im nieraz dorobek całego życia! A ta kasa — to instytucja państwowa, gdzie nie przepadnie ani jeden twój grosz.

— Jak się jedzie wieczorem tramwajem — wtrącił Jędrak — to tu i tam świeci piękny neon kolorowy: »Pewność — Zaufanie!«

— Tak, bo to są podstawowe zasady, którymi P. K. O. zdobyło ufność i Polski i zagranicę...

Ruch oszczędnościowy w Polsce rozwinął się wspa-

niale, zwłaszcza odkąd utrwaliła się nasza waluta. Świadczy to o ufności ludzi do państwa i do pieniądza polskiego. A cnota oszczędności — to najlepsze zabezpieczenie bytu i jutra sobie i rodzinie. Na tej jednej cnocie między innymi opiera się naprzykład potęga Francji...

— A co to są czekci? — spytałem.

— To dział specjalny P. K. O. Istnieją czekci kasowe na okaziciela, o ile ma się konto tutaj. Czek zastępuje gotówkę, którą bezpieczniej umieścić na rachunku bieżącym, niż trzymać w domu. Dostaje się za to procent. Wystarczy wypełnić malutką karteczkę w książeczkę czekowej, a w kasie P. K. O. wypłacą ci wymienioną sumę w ciągu niewielu minut.

— Są jeszcze jakieś czekci przelewowe, prawda? — wtrącił Jędrak.

— Owszem, jest to bardzo wygodna forma obrotu pieniężnego. Gdy ty i ja mamy swoje rachunki bieżące — poprostu polecamy »Pocztowej Kasie Oszczędności« mnie odpisać pewną sumę, a dopisać ją tobie. Zapomocą tej prostej operacji krocie tysięcy krążą z jednego rachunku do drugiego, a gotówką przez ten czas P. K. O. obraca, używając ją na najróżnorodniejsze cele społeczne i gospodarcze. Ta największa w Polsce zbiornica pieniędzy załatwia jeszcze następujące czynności: gromadzi oszczędności, ułatwia obrót czekowy, załatwia czynności bankowe oraz ubezpiecza na życie.

Tak rozmawiając przeszliśmy przez piękną salę obrotu czekowego z orłem królewskim u szklanego stropu do sali książeczek oszczędnościowych. Wszędzie marmury i politurowane drzewo, mosiądze i wspinalne posadzki.

— Patrzcie! — zachwycił się Jędrak — ile tu powietrza i światła! Będzie w tej chwili około tysiąca interesentów, a jakoś giną w tych olbrzymich salach. Nikt tu zbyt czasu nie traci, każdy szybko we właściwym okienku załatwia swoje interesy i wychodzi.

— Masz rację — rzekł Leszek — i ludzie i ich rozmowy gubią się jakby w tym mądrze rozplanowanym gmachu. Ale czekajcie — widzicie te niepozorne rury mosiężne? To jest wewnętrzna poczta pneumatyczna,⁷ która szybko i bez hałasu rozprowadza po wszystkich niezliczonych biurach P. K. O. papiery urzędowe.

— Robi to wrażenie — zauważyłem onieśmielony — jakiejś precyzyjnej maszyny.

I z podziwem patrzyłem na szybkie ruchy licznych urzędników, odgradzonych od publiczności tylko szkłem.

Wreszcie dotarliśmy do właściwego okienka. Leszek podał swoją popielatą książeczkę oszczędnościową. Kasjer sprawdził stan książeczki, podpis, sumę i niebawem Leszek był już w posiadaniu gotówki.

Odeszliśmy na bok; nasz przyjaciel wręczył nam kolorowy banknot z obrazkiem Banku Polskiego i skierowaliśmy się ku wyjściu.

— No, niech mi teraz jakiś cudzoziemiec powie — zawołał Jędrak z zapałem — iż brak Polakom zmysłu organizacyjnego, to go tu, do tych marmurowych sal, zaciągnę za uszy i pokażę mu ten cudowny gmach, który naszą pracą i zapobiegliwością powstał z niczego w ciągu niewielu lat!

— No, a teraz idziemy do pana Pomeranca!

⁷ Pneumatyczna = działająca zapomocą sprężonego powietrza.

VI. ARON POMERANC.

Szybko udaliśmy się w drogę. Na ul. Żabiej wdraliśmy się po okropnie brudnych schodach na II piętro. Na mosiężnej tabliczce był napis: »Aron Pomeranc — makler giełdowy«.

— Co to znaczy?

— To znaczy pośrednik w interesach na giełdzie pieniężnej. Widziałeś ten duży budynek z kolumnami przy ul. Królewskiej obok Saskiego Ogrodu? To właśnie giełda warszawska, gdzie kupują i sprzedają pieniądze zagraniczne po ustalonym codziennie kursie giełdowym w stosunku do waluty krajowej, akcje czyli udziały w przedsiębiorstwach, papiery wartościowe (jak np. rozmaite pożyczki) i załatwiają wiele innych interesów bankowo-pieniężnych i towarowych.

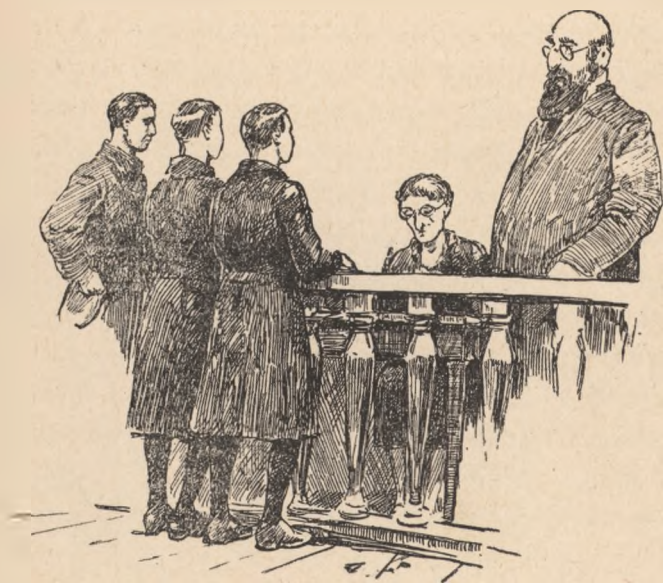
Weszliśmy do kantoru, przedzielonego drewnianą balustradą. Ogarnął nas zaduch nieprzewietrzanych pokoi. — Jakaż różnica — pomyślałem — między tym bankiem żydowskim, a tamtym pięknym gmachem przy ul. Jasnej! — Za ogromnym stołem, poplamionym atramentem, siedziała jakaś zasuszona pani w okularach, zgarbiona nad ogromną księgą rachunkową.

Wyjaśniliśmy cel wizyty. Wywołany z drugiego pokoju, zjawił się ów Żyd z rudą brodą, który był wczoraj u mamusi. Jędrzek położył 50 zł na kontuarze. Pan Pomeranc wytarł ręce o surdut, wyjął z kasy ogniotrwałej plik weksli i począł wertować.

— Wainkraut, Wajsblum, Wańczak, Wodziecka... Jest, jest! Proszę panicza, to pewnie mama przysłała z pieniędzmi?

Jędrak nic na to nie odpowiedział, obejrzał dokładnie weksel, sprawdził podpis mamy, niby prawdziwy dorosły interesant, potem go przedał i schował do kieszeni.

Pan Pomeranc odprowadził nas aż do drzwi, kłaniając się grzecznie:



Weszliśmy do kantoru...

— Do widzenia się z paniczami, szanowanie, proszę pani mamie powiedzieć, że się polecam na przyszłość.

Gdyśmy się znaleźli już na dole, Leszek wyjął z kieszeni Jędrkowy weksel, podał na drobne kawałki i dmuchnął, aż się papierki po całym rozsypały podwórzu.

— Nie gniewaj się! — mówił, widząc oburzoną minę

Jędrka! — musiałem to zrobić, bobyśmy się nie mogli chyba dalej przyjaźnić, gdybym ten weksel od ciebie przyjął!

W drodze powrotnej Jędrak wyjaśnił mi, że adres Pomeranca znalazł w kalendarzu terminowym mamusi, a swą wiedzę wekslową zaczerpnął z leksykonu⁸ w gabinecie ojca, gdzie się zakradł pod jego nieobecność. Dziś przed szkołą pobiegł sprawdzić na Żabią.

Tego zdumienia mamy, gdyśmy jej sprezentowali wykupiony weksel, nikt nie jest w stanie opisać. Aż się rozplakała biedaczka. Ucałowała nas i powiedziała, że jesteśmy złote chłopaki. Ale zaraz potem się przeraziła, skąd wzięliśmy tyle pieniędzy? I póty nie dawała nam spokoju, ażeśmy jej przyznali się do wszystkiego. Lecz dopiero nazajutrz, tak, że przez 24 godziny była to nasza rozkoszna tajemnica.

Troszkę mamusi było przykro, że Leszek wie o wszystkim, aleśmy ją zapewnili, że on nikomu o tem nie powie, nawet swoim rodzicom, boby to mamusię upokarzało!

VII. ZŁODZIEJ.

Już w tydzień potem wręczyła nam mamusia 50 zł i kazała zaraz oddać Leszkowi. Bo wuj nasz, który jest w Korpusie Ochrony Pogranicza, odesłał jej jakiś stary dług wraz z serdecznym listem, zapraszającym nas wszystkich na święta do siebie. Jakby to było cudownie, gdyby ta wyprawa doszła do skutku!

Naturalnie, uregulowaliśmy zaraz Leszka, jeszcze

⁸ Leksykon = w alfabetycznym porządku ułożony słownik informujący o wszystkich wyrażeniach i sprawach.

raz serdecznie mu dziękując w naszym i mamusi imieniu. On nie miał przy sobie portfela i wsadził te pieniądze do tornistra pod ławką. I pokazało się, że mu one gdzieś zginęły. Bardzośmy się tem zmartwili.

Tego samego dnia wyszła najaw ta paskudna historia z Wewiórkowskim.

Jest to wąty, blady chłopak 16-to letni, ale wygląda zaledwie na 12-cie. Siedzi w ostatniej ławce i przeważnie drzemie. Budzi się, gdy ktoś zaczyna coś jeść. Przypatruje się wtedy kolegom z taką miną, że kęsy w gardle stają. To też często ktoś mu daje bułkę albo jabłko lub też kawał ciasta z domu. Leszek nieraz odstępował mu całe swoje śniadanie. Przyjmuje wszystko pokornie i pochłania w jednej chwili.

Profesor Demczak pytał się nas o niego. Mówił, że ten chłopak niepokoi go.

Ale nikt o nim nic bliższego nie wie. Trzyma się osobno i z nikim się nie przyjaźni.

Otóż Piętaś, ten zarozumiały repetant z I B, złapał go, jak przeszukiwał płaszcze chłopców na wieszakach. Zaczął Wewiórkowskiego okładać pięściami i narobił przy tem wrzasku na całą szkołę.

Wewiórkowski, bity przez Piętaś, choć starszy i pewno silniejszy, nie bronił się wcale. Stał skulony pomiędzy gromadą chłopców. Prawą dłoń miał kurczowo zaciśniętą.

W tej chwili zbliżył się profesor Demczak, który miał właśnie dyżur na korytarzu, i zapytał o powód awantury.

Na to Piętaś odparł oburzony:

— To jest złodziej, panie profesorze! Złapałem go, jak buszował w kieszeni mego płaszcza. To on

pewnie jest sprawcą wszystkich kradzieży w naszej szkole!

— Wewiórkowski, czy to prawda, odpowiedz? — pytał surowo nauczyciel.

Ale chłopak milczał.

W istocie, od pewnego czasu poczęły ginąć uczniom rozmaite rzeczy: to książki, to jakieś drobniaki z płaszczy, raz piórniki, kiedyś znów czyjś futrzany kołnierz, scyzoryki, ołówki, no a ostatnio te 50 zł Leszka.

Wszyscy zachodzili w głowę, kto może być sprawcą tych kradzieży? Podejrzenie padło nawet na młodszego pomocnika woźnego. Przychodził go badać agent z policji śledczej, robiono rewizję w rzeczach pomocnika, ale nic nie znaleźli. Mimo to stracił posadę. I nie pomogło, że się zaklinał ze łzami w oczach, iż jest niewinny. Błagał pana dyrektora, by go w ciągu zimy nie wyrzucał, bo co pocznie biedak z sobą? Ale nasz stary woźny obstawał przy tem. Mówił, że nie chce mieć za pomocnika takiego, który już raz był w podejrzeniu!

A teraz wyszło najaw, że to nie on...

— Wewiórkowski! — zawołał profesor — co ty tam trzymasz w ręku?

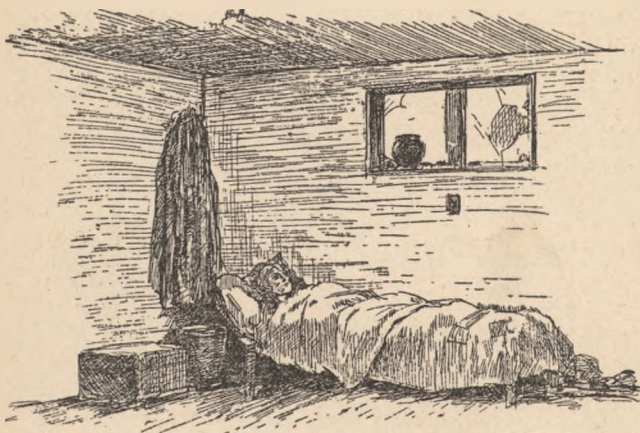
Chłopak otworzył dłoń. Z brzękiem upadła na kamienną posadzkę moneta 50-groszowa. Milczał jednak dalej, tylko wielkie łzy poczęły mu spływać po piegawatej twarzy.

— Chodź za mną! — rozkazał profesor Demczak i zaprowadził go do pana dyrektora.

VIII. »CZARNA NĘDZA«.

Wewiórkowski więcej już do naszej klasy nie wrócił. Przyszedł woźny po jego rzeczy i zaniósł je do kancelarii. A potem posłali po jego matkę. Bo ojca niema.

Stary Wewiórkowski podobno rok cały był bez pracy. Wałęsał się po mieście, pił, awanturował się, bił żonę



...Izba w wilgotnej suterenie...

i dzieci, siedział w areszcie, wreszcie pewnego dnia znikł bez wieści.

Ale pokazało się, że matka Wewiórkowskiego przyjść nie może, bo leży chora.

— Tam czarna nędza, panie profesorze! — meldował woźny. — Jedna izba w wilgotnej suterenie. Nawet łóżka nie mają, jak się patrzy, tylko jakiś barłóg. Stara Wewiórkowska leży na nim i stęka. Gdym powiedział o jej gagatku, zalała się łzami i poczęła rozpaczać: »O ja niešťczęśliwa, to takie dobre dziecko, kto się mógł spo-

dziewać, że kradnie? Właśnie wczoraj przyniósł mi 50 zł, mówił, że ma korepetycję i że zaliczkę dostał od jednych państwa...»

Tu woźny oddał profesorowi Demczakowi 46 zł.

— Zabrałem te pieniądze, bo to kradzione. Tylko tyle było.

To właśnie były pieniądze Leszkowe!

Lekcja profesora Demczaka prawie się nie odbyła. Przyszedł pod koniec godziny z bardzo smutną twarzą. Siadł na katedrze i patrzył przez okno, bębniąc palcami po stole.

W klasie było tak cicho, że wyraźnie słyszeliśmy klótnie wróbli na pobliskim skwerze. Czekaliśmy w napięciu, co nam nauczyciel powie. Bo, że nam coś powie — czuliśmy wszyscy. Naturalnie o Wewiórkowskim.

Wreszcie popłynęły ku nam z katedry ciche słowa:

— Ten chłopak, moi kochani, jest bardziej nieszczęśliwy, niż występny. Rozmawiałem z nim długo, o jego chorej matce, o nim i ojcu, który wyjechał na roboty do Francji. Z początku przysyłał nawet pieniądze. Ale potem przestał. Może stracił pracę? Bo i we Francji też wzrasta bezrobocie, ta największa klęska społeczna, więc przedewszystkiem zwalniają cudzoziemców...

Zamyślił się, poczem znów zaczął mówić:

— Młody Wewiórkowski majeszcz braciszka wszkole powszechnej, którego bardzo kocha. Dla niego i dla matki was okradał. Z początku zaczął od drobiazgów... To tak zawsze bywa! Najtrudniej zrobić pierwszy krok, w dobrem, czy w złym. Potem — wchodzi już to w przyzwyczajenie...

Słuchaliśmy w skupieniu, nie śmiać prawie oddychać...

— Oczywiście, chłopak ten przestał już być waszym kolegą. I tak nauka przychodziła mu trudno. Coby mu przyszło zresztą z gimnazjum? Trzeba mu dać czem prędzej fach w rękę, by mógł uczciwie zarabiać na siebie i swoich.

Profesor nasz urwał i patrzył w okno. Milczeliśmy. Potem zaczął znów:

— Wymogłem na panu dyrektorze, że nie zrobi na niego doniesienia do policji. Bo i poco? Wsadziliby chłopaka do domu poprawczego dla nieletnich na kilka lat, a matka i mały braciszek zostaliby bez opieki. Naturalnie, pomocnika woźnego przyjmie się zpowrotem, aby mu dać zadośćuczynienie za niesłuszne posądzenie. A wy temu Wewiórkowskiemu darujecie chyba też?

— Tak jest! — odpowiedziała chórem cała klasa.

— Dziękuję wam. I wiecie co? Nie opowiadajcie lepiej zbyt szeroko o tem, co się stało. Zaszczytu to naszej szkole nie przynosi! Potraficie trzymać język za zębami?

— Potrafimy! — odparliśmy z przekonaniem.

— To dobrze. Ja ze swej strony postaram się wyrobić dla tego zbłąkanego dziecka nędzy przyjęcie na kursy wieczorowe dla elektromonterów. Pali się on bowiem do tego fachu. A potem może uda się wynaleźć mu bodaj skromną jakąś posadę, aby miał zajęcie, bo bezczynność to najgorszy z doradców. On ma lat 16, może biegać po mieście jako chłopak na posyłki. Gdyby tak miał rower... Ale to drogo kosztuje, więc nie wiem...

Wtem powstał Leszek ze swego miejsca.

— Czego chcesz, Sokulski? — zapytał go nauczyciel.
— Pieniądze twoje dostałeś zpowrotem, no a te brakujące 4 zł traktuj jakby zgubione...

— Ja, panie profesorze, nie o to! — odparł Leszek, czerwieniąc się. — Przeciwnie, mnie żal Wewiórkowskiego serdecznie... Ja chcę wręczyć mu te 46 zł, ale tak, żeby on o tem nie wiedział, że to ode mnie!

— Ależ, drogi chłopcze, to duża suma! — zaproponował nauczyciel.

— To nic, to wygrane na loterii, to tak jakbym znalazł, mnie to niepotrzebne, mam w domu wszystko i rodzice mi jeszcze dają na drobne wydatki. Więc ja to składam panu profesorowi na rower dla niego i na chleb dla małego braciszka...

Leszek podszedł do katedry i położył przed nauczycielem pieniądze, poczem wrócił na swoje miejsce.

Teraz z kolei wstał Ulamowski:

— Ja deklaruję dwa razy tyle. Mnie też to uszczerbku nie zrobi!

Wstał jeszcze ten i ów. Każdy z nas prawie dodał, co mógł. I tak zebrało się razem 177 zł.

— Ładna sumka! Dziękuję wam serdecznie! Popołudniu pójdziemy do niego. Kto się z was tam ze mną wybierze? — zapytał profesor Demczak.

Wstali wszyscy, prócz Sokulskiego i Ulamowskiego.

— To za dużo! — zdecydował profesor — przestraszylibyście całą kamienicę. Trzeba wybrać delegację właśnie z tymi dwoma, którzy nie wstali. Nie bójcie się, o waszej ofierze nikt się nie dowie!

Poczęliśmy nad tem radzić, wreszcie zdecydowaliśmy, że pójdzie nasza czwórka.

— A więc spotkamy się przed bramą domu o 5-tej po południu, dobrze? Adres: Okopowa 64. To dość daleko. Traficie?

Usłyszawszy naszą twierdzącą odpowiedź, wstał i wyszedł z klasy.

IX. MAŁY SNOB.

Ulamowski zawiózł nas samochodem po okropnych brukach na ponure przedmieście Warszawy.

Choć taki bogaty, pokazało się, że »świnia« jednak nie jest, ma dobre serce! Serdecznie się przejął losem Wewiórkowskich. Zaraz po lekcji wyjął książeczkę czekową, wypełnił i wręczył czek do Pocztovej Kasy Oszczędności na okaziciela.

Tą książeczką czekową zaimponował nam niebywale. On jest trochę próżny, więc się tem pyszni, że ojciec na jego konto zawsze przekazuje małe sumy na drobne wydatki. Ale »małe« to się u niego zaczynają od stu złotych! No, no! A on mówi o tem tak lekceważąco.

Leśzek twierdzi, że lepiejby było, gdyby miał książeczkę oszczędnościową, i że zgrywa się, bo to jest mały snob. Wogóle Leszek za nim nie przepada, mimo wszystko. Ale co to znaczy snob?⁹

— Papa otworzył mi konto w P. K. O. — opowiadał nam z niedbałą miną na przerwie — kapitał ten procentuje się. Poza tem naturalnie są jeszcze inne banki, także

⁹ Snob = wyrażenie angielskie, mniej więcej tyle co próżny, pyszałek, powstało ze skrótu: „s. nob.“, którym oznaczano uczniów szkół angielskich, pochodzenia nieszlacheckiego (sine nobilitate — bez szlachectwa).

komunalne czyli gminne kasy oszczędności stoją do dyspozycji klientów. Wszędzie tam można sobie otwierać rachunki bieżące. Te wszystkie instytucje razem pozostają pod kontrolą ministra skarbu. Gromadzą one miliony złotych z całego kraju i obracają nimi. Te miliony, krążące po społeczeństwie, to coś jak krew w organizmie, która ożywia serce.

Pieniądz i towar obiegają cały świat i tworzą podstawy życia gospodarczego! — zakończył swój uczony wykład.

Powiedziałem mu, że powinien zostać dyrektorem banku, tak się na tem wszystkiem zna. Odparł, że nie wie jeszcze, czem będzie, ale go te sprawy interesują. Dodał, iż minęły czasy, gdy chłopcy w gimnazjum byli tacy głupi w sprawach pieniężnych i handlowych, jak tabaka w rogu, i że wszystko opiera się dziś na życiu gospodarczem.

Przyjechał po nas przed 5-tą śliczną swoją limuzyną.¹⁰ Wsiadliśmy i ruszyli na Okopową.

Nigdy nie przypuszczałem, że Warszawa ma takie smutne, beznadziejne dzielnice. Żyje się tuż obok, o kilka zaledwie ulic dalej, i nic się o tem nie wie. Brud i nędza wyzierają tu z każdego domu. A jakie bruki! Nieczystości płyną rynsztokami...

Julek zatrzymał samochód w jakiejś bocznej, żydowskiej uliczce. Dalej już poszliśmy piechotą. Powiada, że nasz przyjazd do tych biedaków takim luksusowym wozem, to nie byłoby na miejscu.

Bardzo to delikatnie z jego strony!

Limuzyna = zakryty samochód.

X. »ZA RZĄDÓW PANA KRYZYSA.«

Zeszliśmy z profesorem Demczakiem, który już na nas czekał, po oślizgłych schodach wdół, do niewielkiej, wilgotnej izby. Kapie tam ze ścian woda, zaduch niemożliwy, na środku mały piecyk żelazny, ale zimny, bo pewno nie mają na węgiel. Oto mieszkanie Wewiórkowskich!

Zmieszali się bardzo na nasz widok. Z tapczana uniosła się jakaś zgrzybiała postać. To matka Wewiórkowskiego. Nie musi być chyba jeszcze taka stara, choć wygląda jak babka tych chłopaków.

Młodszy, może 8-letni, stał na stole i wyglądał przez zakratowane okienko na ulicę. Przy naszym wejściu szybko zeskoczył i skrył się w łachmanach matczynych w rogu tapczana.

Z sutereny przez takie okno to widać chyba tylko nogi przechodniów i te okropne kocie łby zabłoconeje jezdni.

Matka Wewiórkowskiego myślała, że przychodzimy raz jeszcze w sprawie kradzieży i poczęła płakać:

— Moje państwo dobre, nie zabierajcie go do kryminału, bo co ja bez niego pocznę sama z tym drugim pędrakiem?

Nauczyciel nasz uspokoił ją, że nikt nie chce jej syna oddawać do więzienia. Tylko ze szkoły muszą go usunąć, ale i tak z tej ciężkiej nauki w gimnazjum pożytek byłby dla niego niewielki. Zapewniał ją, że jeśli chłopak przyrzeknie poprawę, to się nim zajmie i postara wykształcić zawodowo, by mógł uczciwie pracować.

Kobiecina aż się rozbeczała z radości i zapewniała, że chłopak nie taki zły i że pana profesora zawsze błogosławić będzie i prosiła nas siadać, ale nie było na czem.

Więc Czesiek — bo tak mu na imię, temu naszemu koledze — przyniósł skądś pożyczoną ławkę.

W międzyczasie pani Wewiórkowska opowiedziała nam o swej niedoli. Jej młodszy syn, Antoś, patrzył na nas przerażony. Ładny chłopczyzna, nawet dość schludnie ubrany, widać, że najwięcej o niego dbają.

Wtem ktoś mocno zapukał. Otworzyły się drzwi i dozorca wprowadził jakiegoś pana z teczką i urzędową miną. Pokazało się, że to egzekutor podatkowy. Przyszedł ściągnąć jakiś zaległy podatek i chciał zajmować tych parę nędznych gratów, które tam stały.

Lecz rozmówił się z nim nasz profesor, coś tam mu zapłacił i wyprowadził go. Został tylko dozorca, zdumiony niecodzienną wizytą obcych dobrodziej u tej nędzarki.

Profesor dał mu 5 zł i kazał przynieść węgla. A Czesia posłał po chleb, wędlinę i mleko dla Antosia. Poza tem wręczył chorej banknot dwudziestozłotowy.

— To są pieniądze, zebrane przez kolegów pani syna, gdy się dowiedzieli o waszej biedzie. Mam tu jeszcze więcej, ale zato kupi się chłopcu rower i będzie mógł wtedy dostać posadę.

Wywołało to nowe okrzyki zdumienia i dziękczynienia ze strony chorej kobiety.

— Niema co dziękować! — przerwał jej nasz nauczyciel. — Niech się tylko chłopak weźmie w garść i dobrze sprawuje, a wtedy i los wasz się odmieni.

— Niech Bóg wam wynagrodzi i odpłaci! — szlochała chora.

A Czesiek stał na środku wilgotnej, zimnej izby, z butelką mleka w ręku, nie rozumiejąc, co się stało?

Gdy wreszcie pojął wszystko, schylił się i niespodziewanie ucałował dłoń swego dobrego nauczyciela.

— Nie trzeba, chłopcze! — bronił się profesor — bądź tylko uczciwy! Czy mi to przyrzekasz?



...Przepędzimy tego złego „pana Kryzysa“...

— Tak jest, panie profesorze! — wybuchnął chłopak, bijąc się w piersi. — Jak pragnę zdrowia matki i szczęścia Antosia.

Tymczasem przyszedł dozorca z koszem węgla i począł rozpalać w piecyku. Mruczał przytem z pod fioletowego nosa:

— Ot bieda, ot nędza, proszęż ja szanownych państwa dobrodziei! Póki jeszcze rządził nami nasz jaśnie wielmożny naczelnik pan Piłsudski, to wszystkim nam dobrze było. Ale tera, za rządów tego pana Kryzysa, co to od paru років prezydentuje nad ludzką nędzą, to wprost żywcem do grobu chciałbyś skoczyć...

— Narzekaniem nic się tu nie poradzi! — przerwał te wywody profesor. — Kiedyś były lata tłuste, a teraz

są chude. Tak na świecie bywa. Ale przetrwamy i to. Tylko nadziei nie tracić nigdy! — dodał wstając. — Nadejdą czasy lepsze. Nasz rząd, właśnie ten rząd pana naczelnika Piłsudskiego, myśli i troszczy się o cały naród, o tych najbiedniejszych, o tych zapomnianych także... A choć wszystkiego naraz nieda się zrobić, choć niesumienni ludzie naród bałamucą i buntują — to jednak wierzymy we własne siły, w siły Polski, która i Moskale i Prusaka przetrwała! Wierzymy i przepędzimy tego złego »pana Kryzysa«, gdzie pieprz rośnie! Kraj nasz, zniszczony wojną, dźwiga się gospodarczo i jeszcze kiedyś świat cały zadziwi! No, chodźcie chłopcy! — zakończył, zwracając się do nas.



NA STRAŻY GRANIC.

I. WYCIECZKA NA KRESY.

Ziściły się nasze marzenia: rodzice przyjęli zaproszenie wuja-kapitana i jak tylko rozpoczęły się ferje, pojechaliśmy na kresy, do Korpusu Ochrony Pogranicza.

Podróż była długa i męcząca. Jechaliśmy przez całą noc i pół dnia. Wreszcie wysiedliśmy na jakiejś zapadłej stacyjce, by wpaść w mocne ramiona naszego wuja.

Znamy go niewiele. Rzadko bowiem bywa w Warszawie. Służy od szeregu lat gdzieś w dalekich garnizonach. Ukochał las, polowania, samotność. Mamusia mówi, że chciała go ożenić, ale nic z tego nie wyszło, jest kawalerem.

Pięknie się prezentuje ten ogorzały, dorodny mężczyzna, w swoim zgrabnym, brązowym mundurze. Odrazu poczuliliśmy do niego sympatję.

Zajęliśmy miejsce w ogromnych saniach, zaprzężonych w parę niespokojnych siwków.

— Ale konie masz, jak smoki! — zauważyła mamusia, która się na tem zna, bo wychowała się na wsi. Otulała nas przytem troskliwie olbrzymią wilczurą.

— No myślę — zawołał wesoło wuj-kapitan — my sami też, jak legendarne smoki, zaszyci w tej dziewiczej puszczy. A te wilki — to sam ustrzeliłem zeszłego roku. Była sroga zima, nie takie mazgajstwo, jak teraz.

Zadziwiłiśmy się, słysząc te słowa. Bo okoliczne lasy były równie białe, jak siwki przy naszych saniach.

Gdyśmy się już usadowili, kapitan krzyknął na żołnierza, który powoził:

— Jedziemy, Stasiuk!

— Rozkaz, panie kapitanie! — zawołał woźnica, przęając się w swej baranicy, i cmoknął na konie. Poszły jak wichler, aż im z pod kopyt poleciały grudki zbitego śniegu.

— Ładne mazgajstwo — zaśmiała się mama — mróz szczypie porządnie!

— Ii? Jaki tam mróz? Nie będzie więcej, jak 10 stopni, a tu bywa nieraz i do 30-tu!

My tymczasem, siedząc z przodu, przypatrywaliśmy się z ciekawością furmanowi. Był to młody, czerstwy chłopak. Na głowie miał płaską czapkę z granatowym otokiem. Gdyby nie ona, trudnoby było rozpoznać w nim żołnierza pod tym kożuchem z białej, niewyprawnej skóry baraniej. Uśmiechał się do nas serdecznie zębiskami wielkimi, jak kły i mówił, wskazując końcem biczyska:

— Jak my tu przyszli, to i przejechać tędy nie można było, chyba w taki mróz, jak dziś. Bo tu wszędy bagna i lasy. Więcemy tę groblę usypali i drogę i most na niej zbudowali. Tera to i w największe roztopy przejedzie!

Pędziłiśmy borem, że aż powietrze w uszach grało.

Ośnieżone po same czubki chojary kłaniały się nam z lewa i z prawa... Poza tem pusto było i cicho.

— Tu żyć i nie umierać! — zachwycił się Jędrek.

— Wokolusieńko ani wsi, ani miasta, jeno las i bagna! — mówił żołnierz.



...Przybyliśmy pod wieczór przed kapitańską kwaterę...

— A jakie polowania! — dodawał wuj. — Dziki, ryś, lisy, kozły, wilki: te wilki teraz głodne, to i do siedzib ludzkich podchodzą i wyją. A o mniejszej zwierzynie, jak zające i ptactwo różne, nawet wspominać nie warto, tyle tego wszystkiego jest tutaj!

— Cudzoziemcy — odezwał się ojczyk — którzy zwiedzali nasze Polesie, mówią o niem z największym

zachwytem, jak o czymś, czego się nigdzie w Europie już nie widzi...

Tak gawędząc wesoło, przybyliśmy pod wieczór przed kapitańską kwaterę. Była to piękna budowla z tęgich bali sosnowych, otoczona w kwadrat ogrodzeniem i rowem.

— Sam sobie stawiałem to osiedle! — rzekł z dumą wuj.

Na nasze powitanie wybiegło kilku żołnierzy z pochodniami. Rozwinięto nas z futer i wprowadzono do środka.

Przeszliśmy przez piękny ganeczek do dużej sieni, gdzie na ogromnym kominie palił się wesoły ogień. Na kołkach wisiała broń i rynsztunek żołnierski.

Na prawo mieściła się izba jadalna, sypialnie podoficerów i warta, na lewo pokoje mieszkalne wuja. Były to czyste, ciepłe izby, całe z drzewa, skromnie, ale wygodnie urządzone.

Tymczasem z sań wyładowano nasze rzeczy.

— Gościniec wam wieziemy! — rzekła mamusia, zdejmując okrycie. — Pakę książek!

— Bóg wam zapłać za to! Wy tam, w miastach, nie wiecie może nawet, czym jest tu, dla nas, polska książka i gazeta. One to i radjo łączą nas ze światem!

Po posilnej wieczerzy, poszliśmy zaraz spać, srodze umęczeni podróżą. Śniło nam się, że nocujemy w foralicji kresowej pana Wołodyjowskiego!

II. KORPUS OCHRONY POGRANICZA.

Nazajutrz od samego rana myszkowaliśmy po całym obejściu, zapoznając się ze wszystkim.

Pozwalano nam wszędzie chodzić, bylebyśmy się nie wydalali poza ogrodzenie.

— Teraz wprowadzie całkiem tu już spokojnie, odkąd zawarliśmy pakt o nieagresji z Rosją sowiecką...

— Co to jest takiego? — dopytywaliśmy się.

— Układ, którym oba państwa przyrzekają sobie wzajemnie, iż napadać na siebie nie będą — wyjaśnił wuj.

— A dawniej, wujaszku? — pytaliśmy jeszcze.

— Dawniej często zdarzały się napady band t. zw. dywersyjnych, czyli zwykłych bolszewickich bandytów, którzy się przekradali przez kordon graniczny i niepokoiли mieszkańców kresów na wiele kilometrów w głąb państwa... Działo się tak przez szereg lat po wojnie bolszewickiej. Pochód sowieckich wysłanników znaczyły łuny pożarów, strzały i krew bezbronnych ofiar. Mieszkańcy żyli w ciągłej niepewności jutra. Sypiali w ubraniach, z bronią napodorędziu...

Dowiedzieliśmy się jeszcze, że słabe siły policji i straży celnej nie umiały dostatecznie zabezpieczyć 1400 km granicy z Rosją. A granica ta biegnie przez lasy, pola, moczary, trudna do obrony, łatwa do przekradania się. Dlatego też rząd zadecydował stworzenie do jej ochrony specjalnych oddziałów wyborowych żołnierzy. Tak powstał »Korpus Ochrony Pogranicza«. Powoli uspokoił on te dzikie strony, nawiązał serdeczne stosunki z miejscową ludnością, niosąc jej pomoc i cy-

wilizację w te zaniedbane okolice i stał się wciąż żywym
wałem polskości na tych bezdrożnych terytorjach.

Żołnierze tego korpusu mają takie same mundury,
jak reszta wojska, odróżniają ich tylko okrągłe czapki,
t. zw. »kopówki«.

K. O. P. składa się z piechoty, kawalerji, saperów
i żandarmerji polowej. Każda kompanja ma swój odcinek,
powierzony jej pieczy, swój odwód i szereg strażnic
obronnych. Wzdłuż całej granicy pełni służbę łańcuch
posterunków, patroli i zasadzek.

Służba w K. O. P-ie jest twarda, jak klimat tych
ziem, ale zaszczytna. Wyrabia charaktery dzielne i ofiarne.

Siedziba wuja leży na dużej polanie, wśród gęstych
lasów. Otoczona jest w kwadrat płotem brzoźowym.

Panuje tu rygor i porządek. Wewnątrz ogrodzenia
jest jeszcze kilka mniejszych budynków mieszkalnych
i zabudowania gospodarcze, jak stajnia, obora, kuchnia.
Bo kompanja posiada własne małe gospodarstwo: kro-
wy, świnki, drób, gołębie pocztowe. Są też małe war-
sztaty naprawcze: kowalski, szewski, stolarski, ruszni-
karski.

Każdy z żołnierzy — to majster nielada. Umie sobie
wszystko sam zrobić i poradzić w każdej sytuacji, tak
jak harcerz.

Obok koszar kompanji mieszkają jeszcze oficerowie
młodszy z rodzinami i żonaci podoficerowie. Wszyscy
tworzą jakby jedną rodzinę, żyją wspólnie, wspólne
mają troski i radości.

— Wiesz co? — rzekł Jędrzek do mnie, gdyśmy już
wszystko sobie dobrze obejrzel. — To jest prawie, jak
ta stacja kresowa Mohorta na »Dzikich Polach!«

— Z poematu Wincentego Pola? — zawołałem, przypominając sobie z trudem, bo nie mam głowy do wierszy. — Prawda, czytała to nam mamusia na głos zeszłej zimy...

I postanowiliśmy, że jak będziemy duzi, to już nie pojedziemy ani do bieguna, ani do puszczy podzwrotnikowych, tylko wstąpimy do »Kopu!«

III. ŻOŁNIERSKA WIGILJA.

Aniśmy się spostrzegli, jak dzień minął. Tyle tu było ciekawych i nowych dla nas rzeczy!

Rychło zapadł zimowy mrok. W głównym budynku krzątano się gorliwie koło przygotowań do uczty wigilijnej.

Wreszcie, gdy nad oszronionym lasem zabłyśła pierwsza gwiazda, zasiedliśmy w pięknie przystrojonej świetlicy, wszyscy razem, oficerowie, podoficerowie, szeregowcy, ich rodziny, no i my, goście, za długim, w podkowę ustawionym stołem.

Pod niskim, drewnianym pułapem pachniało igliwem. W kącie stały snopki, pod obrusem leżało wonne sianko, a na środku — gorzało od kolorowych świeczek drzewo-olbrzym, obwieszane ozdobami i łakociami.

Takiej choinki nie widzieliśmy jeszcze nigdy, to też patrzyliśmy na nią z zachwytem!

Wszyscy byli widocznie wzruszeni. Mówili o swych bliskich, tam gdzieś daleko, w głębi kraju.

Nasz wuj, wygolony, w nowym mundurze, z bojowymi orderami na piersi, wziął talerz z opłatkiem i począł obchodzić zebranych. Łamał się ze wszystkimi

po kolei, składał życzenia i ścisnął się. A potem zasiadliśmy do smakowitego barszczyku...

Gdyśmy już podjedli sobie nieco, wuj wstał z kieliszkiem starego, litewskiego miodu w dłoni i począł mówić, wśród ogólnej ciszy.

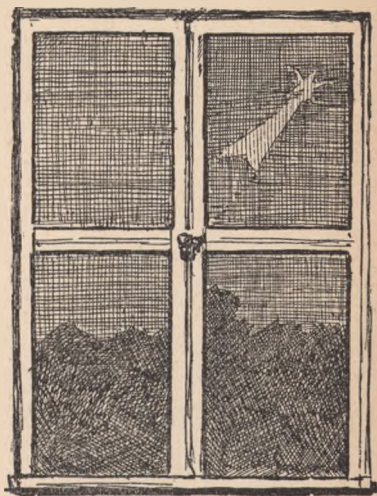
Głos mu przytem drżał, że aż się dziwnie nam zrobiło. Taki stary, dzielny wojak!

— Drodzy towarzysze broni! Mili goście! Panie, panowie!

Tu, w tej głuchej puszczy, trwając na posterunku, na którym nas postawił rozkaz Rzeczypospolitej, dla Jej dobra i ochrony, wznoszę pierwszy toast na pomyślność naszej ojczyzny, jej Prezydenta i na cześć Tego, który wywalczył nam i zbudował ten piękny dom, któremu na imię: Polska.

Żołnierze! Najjaśniejsza Rzeczpospolita, Jej Prezydent prof. Ignacy Mościcki i Jej Wódz zwycięski, ukończony nasz marszałek Józef Piłsudski — niech nam żyją!

— Niech żyją! — rozległ się gromki okrzyk z kilkudziesięciu piersi, aż światło w lampach naftowych pod sufitem zafalowało. Rozległ się brzęk szkła i wszyscy, trącając się kieliszkami, tak dostojne zdrowie duszkiem wypili. Nawet my, którym też troszkę miodu nalano w kieliszki, mimo naszych harcerskich skrupułów. Ale jakżeż tu takiego zdrowia nie wypić?



...Gdy zabłysła pierwsza gwiazda...

Potem pito inne jeszcze zdrowia: przedewszystkiem tych, których zatrzymała służba graniczna na patrolach, placówkach, na samotnych posterunkach. Czuwają oni w noc, w śnieżycę, w zawieję, patrząc w gwiazdy i marząc o rodzinnym domu.

Następnie były toasty na cześć dowódcy K. O. P-u w Warszawie i całego korpusu, na cześć innych dowódców: brygady, pułku, bataljonu, wreszcie serdecznie przemówił jakiś sierżant do naszego wuja, wznosząc zdrowie »kochanego pana kapitana«, wszystkich oficerów, podoficerów, szeregowców, żon, dzieci, no i także gości, którzy zaszczytili ich swą wizytą.

Na ten toast pięknie odpowiedział ojczyk, podnosząc zasługi »kopistów« dla kresów i Polski całej, która pod strażą ich bagnatów obchodzi w dniu dzisiejszym tradycyjne, rzewne święta Bożego Narodzenia; jak to wszystkie serca łączą się w takiej chwili razem, gdzie tylko polska rozbrzmiewa mowa, w kraju, czy też poza jego granicami. Mówił dalej, jak pożalowania godni są nasi sąsiedzi ze wschodu, którzy, przecząc istnieniu Boga, sami się pozbawili tej wielkiej radości, jaka z wiary w Niego spływa na serca ludzkie. Wszyscy zrozumieli, że myśli o państwie sowieckiem, gdzie »Gwiazdki« nie obchodzą dziś wcale. Potem przedstawił obecnym, jak to Ojczyzna nasza, pod mądrymi rządami Józefa Piłsudskiego, z roku na rok krzepnie i potężnieje i coraz lepsze w świecie zdobywa imię tak, iż o przyjaźń Jej zabiegają inne narody. »Tu, gdzie stoimy — mówił — kończy się Europa, jesteśmy, jak byliśmy w przeszłości, przedmurzem jej i tarczą!«

Wreszcie zakończył staropolskiem: »Kochajmy się!«

co ochoczo wszyscy podchwycili, wypróżniając na nowo kieliszki i ściskając się po bratersku.

A potem wstaliśmy i kołem otoczyli promieniste Boże drzewko, intonując wzruszającą pieśń: »Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...«

Przez drewniane ściany kresowej strażnicy popłynęła na lasy i moczary poleskie piękna, stara kolenda.

Po niej chór żołnierskich głosów zaśpiewał drugą i trzecią. Rozśpiewały się ściany i przyzba i całe obejście i śpiewom tym nie było końca.

Ale mimo to służba w kompanji szła zwykłym trybem, jak w zegarze: coraz to wchodził dyżurny podoficer, wywoływał nazwiska żołnierzy, ci szybko biegli po swój rynsztunek i szli w noc, gdzie ich wzywał obowiązek. Na ich miejsce przychodzili inni, zmarznięci i wygłodniali, otrzepywali śnieg z obuwia i rzucali się na kolację, troskliwie w cieple przechowaną dla nich przez kucharza.

Bo, jak mówił wuj, w noc otulone strażnice K. O. P'u, bezustanku, nawet i w ten uroczysty wieczór wigilijny, czuwają nad bezpieczeństwem granic...

IV. STRAŻ GRANICZNA.

— Wszystko miłe na świecie mija niestety szybko! — pocieszał nas ojczyk tą filozoficzną uwagą, gdyśmy się w tydzień później z żalem żegnali z wujem-kapitanem i jego leśną sadybą.

W pociągu, mknącym do Warszawy, wspominaliśmy te piękne dni zimowe w białoruskich lasach, przejażdżki sankami po wyiskrzonym borze, biegi na nartach za koniem, brodzenie po kostki w puszystym śnie-

gu za tropem zajęczym. Mieliśmy za sobą nawet jedno polowanie na grubego zwierza! Choć się niebardzo udało, bo dziki jakoś bokiem poszły, wyprawa była wspaniała. Z powodu odwilży, lód stał na bajorkach i trzeba było ostrożnie skakać z kępy na kępę w zdradliwej kniei. Potem wypoczywaliśmy w kurnej chacie Poleszuka, gdzie w jednej ubogiej izbie ludzie mieszkają razem z bydłem.

Pociąg gnał przed siebie. Za oknami migały stacje, coraz bliższe stolicy. W Białymstoku wsiadł do naszego przedziału jakiś wojskowy, który wyglądał prawie jakby z K. O. P.'u, tylko patki miał ciemno-zielone, aksamitne, z orzełkiem na nich, i gwiazdki oficerskie cztero- zamiast pięcioramiennych.

Uklonił się grzecznie, ulokował swój bagaż w siatce i wyszedł na korytarz.

— Co to za mundur? — pytaliśmy ciekawie.

— To oficer Straży Granicznej. To też rodzaj K. O. P.'u, tylko na południowo-zachodniej granicy naszego państwa.

— A dlaczego tam niema K. O. P.'u?

— Bo ta straż, podlegała Ministerstwu Skarbu, ma inne zadania — gospodarcze. Przeciwnikami jej nie są bandy bolszewickie, napadów nigdy tam nie było, tylko przemytnicy, którzy szmuglują przez t. zw. »zieloną granicę« towary bez cła lub wzbronione do przywozu, jak np. tytoń i alkohol.

— A ci przemytnicy są aż tacy groźni?

— Nie macie pojęcia, co to za niebezpieczny wróg. Odbierają oni pracę naszym robotnikom, bo wprowadzają tańszy, choć często gorszy towar obcy, bez cła,

okradają też skarb państwa, wysilając się wciąż na nowe pomysły, zorganizowani w zuchwałe szajki. Walka z nimi jest trudna i niebezpieczna, nie brak też ofiar wśród naszych dzielnych strażników. Muszą walczyć z przemytnikami i ich pomocnikami z pośród ludności pasa pogranicznego. Pomagają straży specjalnie tresowane psy, głównie wilczury. Istnieje dla tych czworonogów nawet specjalna szkoła w miasteczku Góra Kalwarja pod Warszawą.

— Czy tam są też takie obronne placówki?

— Nie, niema potrzeby, bo tam nikt nigdy na ludność i straż nie napadał. Istnieją tylko komisariaty graniczne i punkty kontrolne na granicznych stacjach kolejowych i na szosach przecinających granicę.

Kierują nimi oficerowie i podoficerowie, którzy zamiast tytułów wojskowych noszą nazwy: inspektorów, podinspektorów, komisarzy, podkomisarzy, aspirantów, starszych przodowników i przodowników, tak jak w policji. Przodownicy i posterunkowi straży obchodzą granicę na przestrzeni wielu kilometrów, nieraz samotnie, z psem tylko. Najciężej jest w Karpatach, w terenie górzystym. Posterunki straży, rozsiane po górach, przy-



...Pomagają straży specjalnie tresowane psy...

pominają nieraz strażnice K. O. P.'u. Tam też są one jakby odcięte od świata, bez dróg, w surowym klimacie, pozbawione kontaktu z resztą kraju. Ale i przemysłom tam ciężko. Łatwiej już na granicy niemieckiej, gdzie kraj jest płaski i równy. Choć kary za przemysłnictwo są wysokie, nie brak do tego brzydkiego fachu chętnych, którzy dla zarobku ryzykują skórę i wolność.

Tymczasem wrócił do przedziału oficer z czteroramiennymi gwiazdkami. Przypatrywaliśmy mu się wi-
dać natarczywie, bo się uśmiechnął i zapytał:

— Widzę, że kawalerów intryguje mój mundur?

Odpowiedzieliśmy grzecznie, trochę zawstydzeni, że właśnie nam ojciec opowiadał o Straży Granicznej, bo wracamy z podróży świątecznej na kresy i byliśmy w kompanji K. O. P.'u, stąd nasze zainteresowanie. Zapytaliśmy też, jak się do niego mówi?

— Jestem inspektorem, co równa się randze podpułkownika w wojsku — odparł.

I tak zawiązała się rozmowa. Nasz towarzysz podróży okazał się miły i rozmowny. Przedstawił się rodzicom i oświadczył, że też służył przedtem w K. O. P.'ie, skąd przeszedł do straży. Order »virtuti militari« na jego piersi wskazywał, że mamy do czynienia z wyborowym żołnierzem frontowym.

Opowiedział nam, że cały kraj podzielony jest na inspektoraty Straży Granicznej, które pilnują wewnątrz kraju, by towar, o ile nawet udało mu się przemknąć przez granicę, nie dostał się do sprzedaży w handlu.

— Straż Graniczna i Korpus Ochrony Pogranicza opasują całą Polskę potężnem ramieniem i chronią kraj przed tymi wszystkimi, którzyby chcieli wdrzeć się od zewnątrz bezprawnie! Bo i naszym też najwyższem przykazaniem jest wielkie hasło, rzucone Polsce przez marszałka Piłsudskiego: »Dobro państwa — prawem naczelnem!«

W PAŁACU BRÜHLA.

I. »WUJ Z ŁYSINĄ«.

...Hrabia Brühl był to wszechwładny minister króla saskiego i zarazem polskiego — Augusta III. Do końca życia po polsku się nawet dobrze nie nauczył, choć z Polski tej żył dostatnio i wielkie z kraju wyciągnął



...Piękny pałac w stylu saskim...

bogactwa. Dziś jedyna po nim pamiątka — to piękny pałac w stylu saskim, gdzie się obecnie mieści nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych...

To wszystko opowiedział nam wuj z łysiną, pracujący w tem ministerstwie. Wpadł do nas po południu

a potem zaproponował, abyśmy go odprowadzili do biura, gdzie musi jeszcze na chwilę wstąpić.

Mamusia pozwoliła i poszliśmy. Dzień był mroźny, ale pogodny. Z Bugaju na Wierzbową — to nie-daleko!

— Front pałacu jest właściwie od strony placu marszałka Piłsudskiego! Widzicie tę pięknie kowaną bramę z czasów saskich? Tędy wjeżdżały poszóstne kolasy o lustrzanych szybach, wybite kolorowym adamaszkiem, wioząc polskich i obcych dostojników na wystawne hulanki do królewskiego zauszniaka. Wtedy już skupiała się tu polityka zagraniczna dawnej, szlacheckiej Rzeczypospolitej i na ucztach u Brühla motano niejedną intrygę polityczną...

I wuj opowiadał nam dalej, że to właściwie była nie polska polityka narodowa, tylko polityka obcego dworu Sasów, którzy traktowali nasz kraj, niby swój folwark.

— Nasze ministerstwo to oczy i uszy państwa na cały, szeroki świat. Jest to jeden z najważniejszych urzędów! Na skarbie, wojsku, polityce wewnętrznej i zagranicznej opiera się Polska. Pracujemy nad tem, aby zagranica wiedziała o nas jak najwięcej, mówiła i pisała jak najlepiej. Takie państwo jak nasze, to nie byle co! Dawniej prowadziliśmy politykę lękliwą, oglądając się na wszystkie strony. Dziś jest, chwała Bogu, inaczej! Usamodzielniliśmy się! I to też wielka zasługa marszałka Piłsudskiego, który nauczył nas twardo patrzeć rzeczywistości w oczy!

Tak rozmawiając, weszliśmy przez sklepiony przedsionek do pięknej, okrągłej sali o kamiennej posadzce. Stało tam kilka wygodnych foteli i stołów, zarzuconych

ilustrowanemi przewodnikami po Polsce w różnych językach.

Była to poczekalnia Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

II. POLSKIE PLACÓWKI ZAGRANICZNE.

— Chodźcie do mnie! — rzekł ojczyk po kolacji, gdyśmy mu opowiedzieli o popołudniowej wizycie. — Skoro was to interesuje, pokażę wam pewną specjalną mapę!

Zaprowadził nas do swego gabinetu i rozłożył przed nami duży karton, przedstawiający obie półkule świata.

— Jest to mapa sieci polskich placówek zagranicznych. Utrzymujemy je prawie wszędzie. W stolicach obcych państw są ambasady lub poselstwa polskie. Ambasad mamy tylko kilka, mianowicie w Paryżu, Londynie, Waszyngtonie, Moskwie, Angorze, Rzymie i Berlinie. Na ich czele stoją ambasadorzy, którzy reprezentują nietylko nasze państwo, ale i osobę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Należą im się też honory przysługujące głowie państwa.

— Wuj mówił, że w Rzymie są aż dwie ambasady.

— Owszem, jedna przy rządzie króla włoskiego, czyli Kwirynale, bo tak się nazywa pałac królewski, druga przy Watykanie, który jest siedzibą papieską. Głowa Kościoła Rzymsko-Katolickiego — to bowiem nietylko najwyższy zwierzchnik wszystkich wiernych, ale też głowa państwa kościelnego. Państewko to wprowadzie malutkie, nie sięga dalej, niż ogrody pałaców watykańskich, ale władza i znaczenie jego w świecie ogromne. Ma Ojciec św. swoich ministrów-kardynałów,

swoje wojsko-gwardję przyboczną, żandarmów, pocztę, monetę i ambasadorów papieskich w innych krajach, zwanych »nuncjuszami«.

— A czy »poseł do Sejmu« i »poseł nadzwyczajny«, to co innego? — zapytałem.

— Naturalnie, ty głuptasku! — roześmiał się ojczyk. — Poseł nadzwyczajny Rzeczypospolitej, to wyższy urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mianowany przez Pana Prezydenta z tytułem ministra pełnomocnego. Reprezentuje on nasz kraj przy rządzie innego państwa. Prowadzi politykę naszą, opiekuje się wszystkimi Polakami, mieszkającymi w tym obcym kraju, przesyła wreszcie raporty do centrali czyli do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Pomaga mu w tej pracy sztab urzędników poselstwa. Przy każdym prawie poselstwie naszym jest też czynny wyższy oficer czyli t. zw. »attaché militaire«. Ma on specjalne zadania wojskowe.

— A co to znaczy, że każdy dyplomata jest eks... eks... zapomniałem, jak to się mówi! — rzekł Jędrak, krztusząc się ze wstydu.

— Eksterytorjalny, chciałeś powiedzieć? — pomógł mu ojczyk. — Znaczy to, że osoba posła i innych dyptomatów oraz lokal poselstwa są nietykalne wobec władz obcego państwa. Poselstwo nasze zagranicą, na którem powiewa polska chorągiew — to jakby częśćka Polski, przeniesiona do innego kraju. Kto wejdzie w te progi — jest już jakby w Polsce. To samo prawo mają obce poselstwa u nas, bo wogóle stosunki między państwami reguluje zasada ścisłej wzajemności.

— »Jak ty mnie, tak ja tobie!« — wtrąciłem.

— Otóż to właśnie!

— A w jakim języku porozumiewają się dyplomaci między sobą?

— Doniedawna, w myśl starych tradycji, językiem dyplomatycznym był język francuski, ostatnio jednak coraz bardziej wypiera go angielski!

— A konsulatory, tatusiu? — rzucił Jędrrek.

— To też są przedstawicielstwa Rzeczypospolitej zagranicą, ale mają one inny charakter i znaczenie. Wydają i wizują paszporty, załatwiają sprawy administracyjne obywateli polskich i władz krajowych, nade wszystko jednak powinny rozwijać działalność gospodarczą. Są to mniejsze placówki, gęsto rozsiane po świecie, niekonieczne w stolicach, ale właśnie tam, gdzie się skupia żywioł polski lub istnieją żywotne dla nas sprawy. Przedewszystkiem wchodzą tu w grę wielkie porty, jak Triest, Antwerpja, Marsylja i t. d. Tu na mapie macie wyrysowane niebieskim kolorem punkciki, gdzie rezydują polscy konsulowie. Mamy konsulatory generalne — w najważniejszych ośrodkach, w mniej ważnych zwyczajne, wicekonsulatory i wreszcie konsulatory honorowe. Funkcje kierowników tych ostatnich pełnią wybitni cudzoziemcy honorowo.

— To musi być bardzo przyjemna służba! — zawołał Jędrrek z entuzjazmem.

— Ciężka i odpowiedzialna! — odparł ojczyk. — Dyplomaci muszą mieć dużo wiedzy i doświadczenia, znać obce języki, a nade wszystko — ogarniać wszechstronnie swe zadania. Wielką polityką zajmują się ambasydy i poselstwa, konsulatory natomiast popierają i orga-

nizują handel z Polską. Poza tem wszystkie, gdzieby to nie było, reprezentują nasz kraj.

— To znaczy, że Polak wszędzie na świecie znaleźć może opiekę i pomoc placówki polskiej?

— Tak jest, mój drogi! — potwierdził ojczyk. — Ile razy wyjeżdżam zagranicę — świadomość ta napełnia mnie dumą, której wy nawet zrozumieć nie potraficie! Urodzeni w wolnej Ojczyźnie — uważacie to za naturalne samo przez się. Ale my, starsze pokolenie, pamiętamy jeszcze te ponure czasy, gdy Polak zagranicą nie mógł być nawet Polakiem, tylko, stosownie do paszportu, traktowany był jako Rosjanin, Niemiec czy też Austriak. Boć nawet nazwa Polski wówczas nie istniała!

— Tyle razy to już słyszałem — rzekł Jędrzek z niechęcią — ale mi się nie chce wprost w to uwierzyć! Czy wy, starsi, przypadkiem nie zmyślacie trochę?

— Szczęśliwa niewiaro! — odparł ojczyk. — A jednak — tak było! Lecz nigdy — nigdy to już nie wróci!

III. POLACY ZAGRANICĄ.

— Czy dużo jest Polaków zagranicą? — spytałem mamusi.

— Dużo, bardzo dużo, coś ponad 600 tysięcy... Cierpią oni wiele biedy!

— Dlaczegoż to, mamusiu, pojechali tam chyba dobrowolnie?

— Tak, niby dobrowolnie — westchnęła mamusia — lecz wygnał ich głód pracy, której w Polsce znaleźć nie mogli. Brak tej pracy jest przekleństwem człowieka,

jest przyczyną nędzy całej ludzkości i wielką klęską, którą z cudzoziemska ochrzciliśmy nazwą »kryzys ekonomiczny«.

— Ale dawniej, kiedy ci emigranci wyjeżdżali, nie było przecież kryzysu? — próbowałem oponować.

— Niestety, nasza wieś jest biedna i przeludniona i była taką od lat. Ojciec dzieli grunt między dzieci i rozdrabnia go nadmiernie. Nie brak poza tem ani mało-rolnych ani bezrolnych. Nadmiar tej ludności odpływał zawsze do innych krajów. Część z nich znajdowała pracę, bogaciła się nawet, przysyłała rodzinom pieniądze. Niektórzy z nich wracali mądrzejsi i zamożniejsi, by osiąść zpowrotem na ziemi ojców. Lecz jakżeż wielu, zwiedzionych nadzieją lepszej doli, ciemnych, nie znających obcych języków, marniało w nędzy i ponieważ lub wynaradawiało się całkiem... Traciliśmy w ten sposób niemało naszych rodaków.

— I nic nie można na to poradzić?

— Częściowo tylko. Dziś emigrant, jeżeli już wyjeżdża, traktowany jest jak człowiek. Rząd nasz dba o to. Nasze konsulaty opiekują się nim zagranicą. Gdzie tylko tworzy się większe skupisko Polaków, starają się o szkołę i księży polskich, zakładają polskie towarzystwa, wprowadzają książki i gazety. Rząd nasz pilnuje, aby ajenci obcych towarzystw okrętowych, którym zależy tylko na zysku z przewozu pasażerów, nie bałamucili ludzi. Zresztą mamy dziś własny port i własne okręty, które możemy podróżować. Specjalni konwojenci rządowi otaczają emigrantów opieką w czasie podróży. Staramy się ich kierować tam, gdzie klimat jest znośny i warunki pracy dla naszego człowieka odpowiednie, gdzie już

istnieją osady polskie. Zajmuje się tem Wydział Emigracyjny Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

— A gdzie jest im w tej chwili najgorzej?



...Pod mostami Paryża...

— Czy ja wiem? Chyba we Francji. Czy wiesz, co to jest Sekwana?

— Naturalnie, mamusiu! — odparłem nieco urażony — jest to wielka rzeka we Francji, która płynie przez Paryż!

— Otóż nad brzegami tej rzeki, pod mostami tego olbrzymiego miasta, gromadzą się męty najnędzniejszych wyrzutków społeczeństwa z całego świata. Niestety, nie brak wśród nich i Polaków!

— To wszystkim Polakom we Francji tak źle?

— Ale gdzież tam, nie wszystkim oczywiście. Wielu z nich, zwłaszcza wykwalifikowanych robotników, zna-

lażło stałą pracę w kopalniach, w fabrykach czy też na fermach, choć dziś wyrzucają tam ich z fabryk, jako cudzoziemców! Niektórzy nawet doszli do własnych gospodarstw i własnego kawałka ziemi, są cenieni jako robotnicy. Ich pracowitość, religijność, wzorowe życie rodzinne — stawiają za przykład innym. Ale ci, którym się nie poszczęściło — konają w opuszczeniu i nędzy pod mostami Paryża.

Zapamiętaj sobie to jedno: nigdy nie wolno nam zapominać o rodakach na obczyźnie.

— Będę pamiętał!

— Musimy wszyscy zakasać rękawy i pracować zawzięcie. Kraj nasz powinniśmy zagospodarować tak, by wszyscy chleb i pracę znaleźli na rodzinnej ziemi, a masową emigrację mogliśmy uważać nie za tragiczną konieczność, lecz za smutny przeżytek niewoli. Będą wtedy na polskich okrętach w dalekie kraje, może do naszych własnych kolonij, wyruszać tylko ci, którzy odpowiednio przygotowani, wykształceni i mocni, staną się źródłem nowej energii dla Polski — pionierami Jej wielkości!

IV. ZEBRANIE HUFCA SZKOLNEGO.

Nasz hufiec szkolny imienia »Zawiszy Czarnego« urządził wczoraj w sali gimnastycznej uroczyste zebranie harcerskie w sprawie rodaków zagranicą.

Świeżo miałem w pamięci rozmowę z mamusią. To też, gdy się tylko dowiedziałem, że takie zebranie jest projektowane, rozwinąłem energiczną działalność w naszej szkole.

Odbyliśmy kilka posiedzeń w ścisłym gronie naszej drużyny, przedyskutowaliśmy rzecz całą i powzięliśmy odpowiednie uchwały.

Aż przyszedł ten dzień...

Zebranie zagał kurator szkolny naszego hufca. Mówił wzruszająco o biednych dzieciach emigrantów polskich, które nigdy w kraju nie były; mówił, że tam, za wielką wodą, modlą się one do Polski, jak do ziemi obiecanej; mówił jeszcze o tem, czem im pomóc możemy: polską książką, polskim elementarzem i modlitewnikiem, by wśród obcych nie zapomniały ojczystego języka. A wreszcie, że tak, jak co roku, i tych wakacyj zjedzie do Polski kilka tysięcy dzieci emigrantów z krajów bliższych, jak Niemcy, Czechosłowacja, Francja. Musimy o nich pomyśleć i zawczasu serdeczne zgotować im przyjęcie.

Mówił o tem tak gorąco, że nas aż coś za gardło ścisnęło!

Potem wszedł na podwyższenie jakiś pan i przemówił imieniem Związku Polaków Zagranicą.

Opowiedział nam o starej emigracji do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie Polacy zaczęli się osiedlać już za czasów Kościuszki i Pułaskiego, współtwórców niepodległości amerykańskiej. Przeważali wśród nich wtedy emigranci polityczni po upadku konfederacji barskiej i powstania kościuszkowskiego. I tak przez sto lat przeszło napływali wciąż nowi wychodźcy. Szli w puszcze dziewicze, karczowali lasy, zakładali fermy i uprawne gospodarstwa. Płynęli też przez ocean do Ameryki Południowej, do Brazylii, Argentyny, Peru, Chile, Boliwii. Wielu z nich w istocie wzbogaciło się

i osiadło na stałe na drugiej półkuli. Do dziś dnia żyją tam dzieci ich dzieci. Skupienia Polaków zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych są wielkie, milionowe. Mają ci Polacy swoje potężne gazety amerykańsko-polskie, związki i stowarzyszenia, szkoły i parafje.

Niedawno dopiero udało się wszystkim pogodzić i zjednoczyć w jeden związek, na wielkim, wszechświatowym zjeździe Polaków z zagranicy w Warszawie, pod hasłem: »Na emigracji jedno jest stronnictwo, jedna dla wszystkich orientacja, której na imię — Polska!«

Starsze pokolenie emigrantów trwa mocno przy mowie i wierze przodków. Młodzież, niestety, jest zagrożona. Trzeba ją ratować dla polskości. Dokona tego polskie słowo drukowane i potężna, światowa organizacja!

Gdy skończył mówić delegat związku, wysunąłem się ja z kolei naprzód. Trochę nogi się pode mną trzęsły z przejęcia. Ale wziąłem się w garść. I powiedziałem głośno, aby wszyscy mnie słyszeli w tej dużej sali, że nasza klasa, jako drużyna hufca im. Zawiszy, który rozstawił Polskę po dalekich lądach i morzach, uchwaliła obłożyć się podatkiem po 1 groszu tygodniowo od każdego chłopca na fundusz Polaków z zagranicy.

— Wiemy — mówiłem dalej — że nie jest to dużo, ale jeśli wszystkie w Polsce szkoły zrobią to samo — starczy książek polskich dla każdego polskiego dziecka na szerokim świecie!

Gdym skończył — wszyscy bili mi brawo. I było mi bardzo przyjemnie!



POLSKA RZĄDEM STOŁ.

I. ZARĘCZYNY JASI.

W jedno popołudnie aż tyle się naraz zdarzyło! Muszę to opisać pokolei, bo inaczej sam się w tem nie wyznam.

Więc najprzód pan Zygmunt, który pracował dotąd w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Nowym Świecie, został mianowany starostą w tym samym podwarszawskim powiecie, gdzie leży Basiówka.

A potem — potem zaręczył się z Jasią!

Stało się to u nas, przed wieczorem, w holu, gdzie sobie siedzieli oboje i coś tam gwarzyli. Gdy przyszli na kolację jak gdyby nigdy nic, powiedzieli o tem mamusi.

A mamusia, jak to mamusia! Aż się rozpląkała z radości, bo strasznie tę Jasię kocha. I dalejże ją ścisnąć i całować!

— Niechże ci, dziecino, Bóg da szczęście i zdrowie!

Pana Zygmunta mamusia też uściskała serdecznie i powiedziała, że ufa mu, iż sieroty nie skrzywdzi. Bo Jasia matki niema, a ojciec jej jest marynarzem i pływa gdzieś po świecie. Jasia jest córką mamusinej siostry,

z którą kochały się kiedyś bardzo. Pewno tak, jak my z Jędrkiem.

Wszedł ojczyk i dowiedziawszy się o wszystkim, też uściskał Jasię i gratulował im obojgu, żartując:



...Siedzieli oboje i coś tam gwarzyli...

— Ho, ho, to nasza Jasia zaawansuje teraz na panią starościnę! Nie byle co! Trzeba ją odtąd będzie na kanapie sadzać i po łapkach całować!

A Jasia zapłonęła się ślicznie i rzekła:

— Niech mi wuj nie dokucza! Jaka byłam, taka i zostanę, nie zmienię się ani odrobinkę...

A potem przysunęła się do ramienia pana Zygmunta i szepnęła mu na ucho, ale myśmy słyszeli:

— Taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa!

— Cóż wy, smyki? — rzekł ojczyk do nas. — Nie winszujecie pani starościnie?

Niebardzo wiedzieliśmy, czy cieszyć się, czy smucić?

Ojczyk jednak był w doskonałym humorze i przekomarał się dalej.

Kazał nawet podać butelkę starego wina, by mógł — jak mówił — wypić zdrowie młodej pary.

— A czyście już ustalili datę ślubu? — spytała mama.

— Jeszcze nie! — odparła Jasia. — Zygmunt pojedzie teraz do swej nowej siedziby, rozpatrzy się tam, wyszuka jakieś mieszkanie. Może więc z wiosną dopiero!

— Ale wesele musi się koniecznie odbyć w Basiówce, tam gdzieśmy się poznali! — zawołał pan Zygmunt, podochocony winem.

— W »Domu Ludowym«? — pytała Jasia, patrząc na niego czule.

— Tak jest, w Domu Ludowym, sprosimy całą wieś!

Bardzo nam się ta myśl podobała i wyobraziliśmy sobie odrazu tę weselną uroczystość w Basiówce.

— A nie żał panu rzucać Warszawy? — rzekł ojczyk.

— Może trochę, zwłaszcza domu państwa, chłopów! — odparł pan Zygmunt serdecznie spoglądając na nas. — Lecz pracując w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, tęskniłem jednak zawsze, by móc w bliższym z ludnością zetknięciu rozwinąć swoje siły. Znam ten powiat i mnie tam też znają, bo przecież społecznie napracowałem się pomiędzy nimi немало.

— A co robi właściwie to ministerstwo? — spytałem.

— Rządzi państwem! — odparł ojczyk. — Praca to niemała. Cała administracja czyli zarząd kraju podlega Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

— Jak ono może rządzić takim szmatem ziemi? — pytałem dalej.

— Polska podzielona jest na 16 województw z wojewodami na czele. A siedemnaste osobne województwo — to miasto stołeczne Warszawa. Nad nią sprawuje władzę Komisarjat Rządu z wojewodą grodzkim na czele. Każde znów województwo składa się z kilkunastu powiatów, któremi zawiadują starostowie. Wojewodowie i starostowie pomagają ministerstwu, wykonują jego zarządzenia i pilnują w kraju porządku. Starostom znów podlegają wójtowie i sołtysowie we wsiach, których kilka tworzy gminę zbiorową. Wójta wybierają wszyscy mieszkańcy tych wsi i dodają mu do pomocy radę gminną. Urzędy gminne podlegają starostwom, jako władzy nadzorczej. Gmina jest najmniejszą komórką administracyjną w państwie.

— A w wielkich miastach? — spytałem.

— W miastach wojewódzkich są starostowie grodzcy mianowani przez ministerstwo na wniosek wojewody. Poza tem są w miastach rady miejskie, które w drodze przez zarządy miejskie zawiadują sprawami miasta. Radnych wybiera ludność miast. Na czele rady stoi prezydent albo burmistrz.

— A co to za różnica?

— W większych miastach jest prezydent, który ma do pomocy wiceprezydentów, w mniejszych — burmistrz i jego zastępcy. Urzędnicy z wyboru, miejscy i wiejscy, składają przyrzeczenie, iż dobrze i sprawiedliwie wykonywać będą swe obowiązki, zgodnie z obowiązującymi ustawami, na pożytek obywateli i państwa.

To są te dwie władze: rządowa i samorządowa, którym wszyscy podlegamy. Zrozumiałeś?

— Tak jest, to tak, jak w naszej szkole, kieruje nią pan dyrektor...

— Mianowany przez rząd! — dodał ojczyk. — Ale o waszych sprawach wewnętrznych decydujecie sami przy pomocy gminy szkolnej, przez was wybieranej.

Oczywiście, było to dla nas jasne i zrozumiałe. I więcej już o tem nie mówiliśmy tego wieczora, tak obfitego w zdarzenia...

II. NASZA GMINA.

W naszej klasie mamy też gminę. Leszek jest wójtem, Jędrzek ławnikiem.

Zarząd gminy klasowej dba o czystość i porządek w klasie. Stara się on, aby wszystko było wporę, co potrzeba: kreda, gąbka do ścierania tablicy, pióro i atrament na katedrze.

Wszystkie klasy wysyłają delegatów do gminy szkolnej. Jest to taki mały sejmik. Zbiera się on co pewien czas i obraduje nad sprawami szkolnemi.

Podobnie w państwie: gminy wysyłają delegatów do rady powiatowej. To jest t. zw. »samorząd terytorjalny«.

Nad gminą wiejską jest starosta, nad naszą gminą — kurator, gospodarz klasy, profesor Demczak.

Lecz my mamy prawo sądów koleżeńskich, a gminy tego nie mają.

Raz sądziliśmy jednego chłopca, który drugiemu zniszczył czapkę. Skazaliśmy go nie tylko na odkupienie

nowej, uroczyste przeproszenie skrzywdzonego kolegi, ale jeszcze kazaliśmy przestępcy przez dwa tygodnie chodzić do szkoły w tej cudzej, podartej czapce!

Wdał się w to nasz »kurator« i oświadczył, że wyrok jest za surowy. Nie pozwolił go też wykonać. Zwłaszcza ten nakaz chodzenia w podartej czapce bardzo mu się nie podobał. Powiedział, że kara powinna przestępcę poprawić, ale go nie upokarzać. I skończyło się tylko na odkupieniu tej nieszczęsnej czapki.

Dziś omawialiśmy w szkole zadania rządu i samorządów.

Otóż wojewodowie i starostowie pilnują porządku i baczą, aby wszyscy obywatele, bez różnicy pochodzenia, narodowości czy religii, tak jak o tem mówi konstytucja, żyli i pracowali w zgodzie i spokoju.

A nad nimi jest minister, który prowadzi wielką politykę wewnętrzną państwa.

Samorządy zaś, czy to wiejskie, czy miejskie, dbają o sprawy swoich wsi i miast. Utrzymują szkoły gminne, szpitale, opiekują się ludźmi niezdolnymi do pracy, starcami, sierotami, pilnują czystości na drogach i ulicach, wykonywają pewne roboty publiczne na swoich terenach i prowadzą zakłady użyteczności publicznej: elektrownie, gazownie, rzeźnie, piekarnie, tramwaje i autobusy.

Oczywiście muszą mieć na to pieniądze. Mają więc prawo nakładać i ściągać odpowiednie podatki i opłaty miejskie. To wszystko są ich właściwe czynności.

Poza tem jeszcze wykonywają pewne czynności powierzone sobie przez rząd. Do takich należy np. pobór rekruta do wojska i inne sprawy.

Obywatele sami wybierają sobie zarządy gminne z po-

śródnajgodniejszych obywateli. Jak to powinni robić — ustala ustawa o samorządach i ordynacja wyborcza. Rządzić gminą powinni ci, którzy się na tem znają. Jeśli zarząd gminy nie spełnia swego zadania albo trwoni pieniądze publiczne, wkracza rząd, w osobie starosty, wojewody czy nawet ministra — jeśli chodzi o stolicę. Zawiesza zarząd z wyboru i mianuje komisarza rządowego, aż do czasu uporządkowania interesów gminy i nowych wyborów.

Starostwa, tak powiatowe, jak i grodzkie, wykonywają nadzór policyjny nad mieszkańcami. Mają one prawo sądu w sprawach o drobne przekroczenia porządkowe. Ten sąd starościński wymierza kary grzywny lub aresztu. Dlatego też pod rozkazami ministerstwa spraw wewnętrznych stoi korpus policji państwowej, który wypełnia polecenia wojewodów i starostów jako straż porządku publicznego.

Są to wszystko nasze własne, polskie władze, których każdy słuchać powinien dla dobra ogółu!

III. »PORZUNDEK ZAŚ ALE BYĆ MUSI!«

Jak idziemy rano do szkoły, spotykamy na placu Zamkowym policjanta. Stoi na takiej kamiennej wyssepce, ma na rękawach białe mankiety i w ręku białą pałeczkę, którą reguluje ruch. Na jego skinienie, jedne pojazdy zatrzymują się, inne ruszają z miejsca.

Zwykle na rogu Miodowej spotykamy się z Pompi-luszem Veiglem i dalej idziemy już razem.

Koło pomnika Mickiewicza stoi drugi policjant, też z białą pałeczką w ręku.

A dalej, przy Królewskiej, trzeci.

Na każdym rogu stoi jeden. Są to przeważnie rośli i barczyści mężczyźni; zgrabnie wyglądają w swoich obcisłych, granatowych mundurach. Gdy są w służbie—



...Będzie stał na rogu i kierował ruchem ulicznym...

mają podpinkę spuszczone pod brodą. A w lecie noszą białe pokrowce na czapkach.

Veigel przypatruje im się z zachwytem. Powiada, że jak zda maturę, to pójdzie do policji. Najprzód będzie posterunkowym. Wszystkiego chce się nauczyć po kolei. Będzie stał na rogu i kierował ruchem ulicznym.

Potem dostanie srebrną naszywkę na rękawie i będzie chodził poważnie, jako »dzielnicowy«, z teczką pod

pachą od domu do domu sprawdzać, czy wszystko w porządku. A gdy już i tego się poduczy, zostanie komisarzem. Będzie kontrolował posterunki i policjanci muszą mu salutować.

Ale Jędrrek lubi się z nim droczyć.

— Słuchaj Pilek, to nie takie proste, jak to sobie wyobrażasz. Trzeba mieć spryt i szybką orientację. Bo policja nietylko stoi na ulicach, ale także ściga przestępców! A w okularach ich nie dojrzysz!

Ale Veigel nie daje się zbić z tropu. Twierdzi, że już widział policjantów w okularach. Zresztą — sprawi sobie binokle!

— Tak, binokle! — dogaduje mu Jędrrek. — A bandyta bęc cię w szkła i w nogi!

— To ja będę miał takie nietłukące się. Zresztą może mi się wzrok poprawi.

I opowiada nam, że w Prusach np. jest jeszcze żandarmerja i ta tropi zbrodniarzy, a policja pilnuje tylko porządku. Ale u nas jest system angielski: do jednego i do drugiego celu służy ta sama policja państwowa.

— Najładniej wygląda policja konna! — zachwycą się Jędrrek. — Gdy wyjadą na paradę w konnym szyku w hełmach z włosiem końskim na głowie — to aż przyjemnie spojrzeć! Przodem jadą trębacze na białych koniach!

— Policja konna też jest ważna — tłumaczy nam Veigel — przy rozruchach ulicznych zwłaszcza. Konie są specjalnie uczone; stąpają tak, że nikogo nie potrafią, a tłum musi się przed nimi rozstępować.

A potem rozmawiamy o urzędach śledczych. Tam

to przesłuchuje się przestępców, zanim odeszle się ich do sądu. Są to t. zw. »wstępne dochodzenia policyjne«. Przy urządach tych istnieją naukowe pracownie chemiczne, fotograficzne i inne. Każdego aresztowanego fotografują z przodu i z boku. Taka fotografia wędruje potem do albumu przestępców. Bo kto raz już coś zrobił, ten jest w policji notowany.

Poza tem ustalają odciski palców przestępców. Nie ma na świecie dwóch ludzi o takich samych linjach rąk. I potem poznaje się przestępcę, który prawie zawsze zostawia odciski palców na miejscu zbrodni. Często nie wie, że mimowoli dotknie czegoś. Dlatego miejsca te badane są starannie. Nauka o tem nazywa się daktyloskopią. W centrali śledczej istnieje całe muzeum odcisków daktyloskopijnych.

Urząd śledczy ma do dyspozycji jeszcze policję tajną.

— Ta jest najgroźniejsza! — powiada Felek. — Idzie sobie taki niepozorny cywil i ani wiesz, że on kogoś śledzi. Ty się byle czem zdradzisz, a on już przystępuje do ciebie i aresztuje w imieniu prawa. Jeśli mu nie wierzysz, że to »tajniak«, to ci odsłania klapę marynarki, gdzie ma urzędową odznakę z orzełkiem państwowym. Bronisz się — gwiżdże na policję mundurową, obezwładnia cię, zakuwa w kajdanki!

— Ja już wolę policję mundurową! — upiera się Jędrek.

Ale Veigel mu tłumaczy, że tak już musi być, aby inni przyzwoici obywatele mogli żyć spokojnie. Walka z przestępczością jest bowiem trudna i niebezpieczna. Policja chroni i nas i nasze mienie przed zbrodniarzami.

I to jest bardzo zaszczytna służba. On też koniecznie chce być policjantem i nawet nie przypuszcza, żeby go nie chcieli przyjąć z powodu okularów.

— Jeśli komendantem głównym może być — powiada — inwalida wojenny, oficer bez nogi, to i on, Veigel, może zostać bodaj skromnym przodownikiem w okularach!

I kończy taką każdą rozmowę swoim ulubionem »powiedzonkiem« poznańskim:

— Porzundek zaś ale być musi!

Zapewne ma rację. Bo ojczyk mówi, że sprawna policja i administracja, to podwaliny bytu państwowego na codzień!

Więc jeśli to Polsce ma wyjść na zdrowie — to już niech tam będzie ten Veiglowy »porzundek!«



W POLSKIEJ SZKOLE.

I. NASZA KLASA.

Utworzyliśmy kółko samokształceniowe. Pomysł był Leszka, oczywiście. W takich kółkach, jak słyszeliśmy, kształcili i rozwijali się ojcowie nasi za czasów niewoli, gdy zwalczano wszystko, co polskie.

Wczoraj odbyło się u nas pierwsze posiedzenie. Przyszło kilkunastu chłopców. Wszyscy byli pełni zapału i ochoty do pracy. Następne będą się odbywały w świetlicy szkolnej.

Naszym obradom przysłuchiwał się ojczyk przez jakiś czas. Potem sam wygłosił dłuższe przemówienie, które tak spisuję, jak spaamiętałem.

— Nie zapominajcie — mówił — że jesteście częścią wielkiej całości, zwanej ustrojem szkolnym. Ten ustrój był największą troską naszego rządu od pierwszej chwili odbudowania Polski. Bo w każdym zaborze istniał inny. A przecież wy, młodzi — to przyszłość narodu!

»Nie odrazu Kraków zbudowano!« powiada przysłowie. Podobnie jest i z naszym państwem. Porządkuje się u nas wszystko, jedno po drugim. Wymiata z domu

śmiecie i chwasty, pozostałe po zaborcach, sadzi pożyteczne i szczerze polskie roślinki. Tak jest też i ze szkolnictwem. Dużo już tu zrobiono, jeszcze więcej jednak jest przed nami. Bo przecież tyle, tyle dzieci polskich



... Odbyło się u nas pierwsze posiedzenie ...

nie może uczęszczać do szkół, gdyż brak izb szkolnych, brak nauczycieli, brak pieniędzy na to wszystko.

Jak wiecie, obowiązuje u nas powszechne, przymusowe nauczanie. To znaczy, że każde dziecko w Polsce musi chodzić do szkoły powszechnej, która jest bezpłatna. Dziwi was może to słowo »musi«? Ano, tak, są tacy, którzy jeszcze nie rozumieją pożytku i konieczności nauki. Tych trzeba zmusić. Czy wiecie, że

w Estonji¹ np., która liczy prawie tylu mieszkańców, co sama Warszawa, niema już analfabetów! A było ich sporo w 1919 r., gdy to państwo północne powstawało na gruzach carskiej Rosji.

U nas jeszcze wielu obywateli nie umie ani czytać, ani pisać, zwłaszcza z pośród starszego pokolenia. Ale z roku na rok widoczna jest poprawa. Pracuje nad tem szkoła państwowa, pracuje wojsko, dokształcając rekrutów-analfabetów, pracują różne organizacje społeczne, jak »Macierz Szkolna« w b. zaborze rosyjskim, »Towarzystwo Szkoły Ludowej« w b. zaborze austriackim, »Towarzystwo Czytelń Ludowych« w b. zaborze pruskim.

Sprawami wychowania i wykształcenia oraz religijnemi zajmuje się Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Ministerstwu temu podlegają wszystkie szkoły w Polsce. Na terenie poszczególnych województw istnieją kuratoria okręgów szkolnych, które przy pomocy swych wizytatorów i inspektorów sprawują nadzór nad szkolnictwem.

W Wielkopolsce i Małopolsce przeważa typ szkół państwowych, w byłym zaborze rosyjskim — więcej jest natomiast szkół prywatnych na prawach szkół państwowych. Oczywiście — mówimy o szkolnictwie średnim. Szkoły powszechne powinny być w zasadzie wszystkie 7 klasowe. Zdążamy do tego ideału. Są to szkoły przeważnie publiczne, istnieją jednak także jeszcze i prywatne. Szkoły wyższe znów prawie wszystkie są państwowe, z wyjątkiem kilku, jak np. Uniwersytet Lubelski, Wolna Wszechnica Polska w Warszawie i inne.

¹ Estonja = mała republika nadbałtycka.

Przed kilku laty w drodze ustawy zmieniono ustrój szkolny. A więc szkołą najniższą jednolitego typu jest szkoła powszechna, którą każdy młody obywatel między 7-mym a 14-tym rokiem życia musi ukończyć. Potem przymusu już niema. Kto chce jednak kształcić się dalej, idzie do szkoły średniej ogólnokształcącej. Są to również jednolite 4-letnie gimnazja z łaciną, jako przedmiotem obowiązującym. Istnieją poza tem jeszcze średnie szkoły zawodowe, które przygotowują wykwalifikowanych pracowników do różnych zawodów. Życie samo dokonywa poprawek i młodzież często zaczyna w szkole jednego typu, kończy zaś w innej.

Najzdolniejsi i najpilniejsi mogą i powinni sięgać jeszcze wyżej — do studjów akademickich, do których przygotowują 2-letnie licea.

Spójrzcie wokoło — ile jest jeszcze do zrobienia! Trzeba mieć tylko odwagę, uczciwość, głowę na karku wreszcie — fachowe przygotowanie.

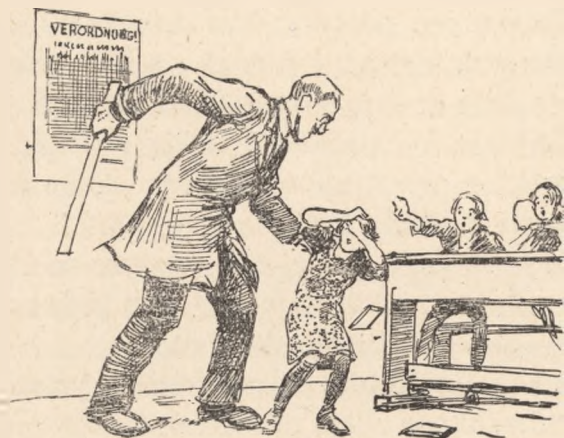
Nieznajomość pisma — niemożność czytania książek, gazet, listów, nazw ulicy, numerów domów — to jakby duchowe kalectwo. Walka z analfabetyzmem jest palącym obowiązkiem całego społeczeństwa. Musimy się zdobyć na największy wysiłek, aby rozjaśnić mroki ciemnoty w umysłach naszych braci na wsi i w mieście. Cały naród staje dziś do tej szlachetnej walki z hasłem na ustach: „Umiesz sam czytać, naucz też drugiego“.

— Pamiętajcie o tem, kochani chłopcy — zakończył ojczyk swe przemówienie.

II. SZKOŁA ZABORCÓW.

Adaś Nieczuja ma brata, który w tym roku zdaje maturę. Czytaliśmy dziś na dużej pauzie bruljon jego zadania polskiego „Szkoła zaborców“.

»Na początku bieżącego stulecia, w małym miasteczku wielkopolskiem, które się nazywa Września, nauczyciel niemiecki tak skatował dzieci polskie za to,



...Nauczyciel niemiecki tak skatował dzieci polskie...

że chciały uczyć się w ojczystym języku, iż wieść o tem barbarzyństwie zatrzęsła całą Europą. Oburzali się nietylko Polacy. Głośno było o tym wypadku i w Paryżu i w Londynie i w Ameryce. Ale niewiele to pomogło i skończyło się na protestach papierowych. Bo butny wówczas Prusak chciał gwałtem wypłenić polskość z naszych ziem.

Pod Moskałem, po upadku powstania styczniowego pastwili się nad młodzieżą polską różni carscy urzędnicy.

Skasowano ostatnie szkoły polskie. Wszystkich zapędzano do szkół rosyjskich, gdzie odezwać się po polsku było zbrodnią. Obowiązku powszechnego nauczania Rosja przedwojenna nie znała. Car chciał, aby poddany mu lud był ciemny. Jeden z carów kazał nawet swemu adjutantowi, gdy będzie w podróży przejeżdżał przez Niemcy, napluć na pomnik Gutenberga,² wielkiego Niemca, który wymyślił druk. Bo bez oświaty powszechnej łatwiej było carom rządzić ogromną, a barbarzyńską Rosją.

W Królestwie Polskiem coraz to tworzyły się tajne szkółki po wsiach, po miasteczkach. W razie ich odkrycia — ofiarni nauczyciele szli na Sybir za tajne nauczanie.

Aż wreszcie wybuchł strajk szkolny. Najprzód w Warszawie, potem rozszerzył się szybko po całej Kongresówce. Młodzież oświadczyła stanowczo, że więcej do szkoły rosyjskiej nie pójdzie. Rodziców i starsze społeczeństwo ogarnęło z początku przerażenie. Ale młodzież wytrwała i porwała za sobą starsze społeczeństwo i rząd carski musiał ustąpić; zezwolono na otwarcie prywatnych szkół polskich. Stały one odrazu na wysokim poziomie. Choć nie dawały one uczniom żadnych praw i były dość kosztowne — młodzież chętnie garnęła się do nich. Wychowano w nich nowe pokolenie, które doczekało wolności. Społeczeństwo polskie w Królestwie mogło być dumne ze swych szkół.

Ale na t. zw. ziemiach zabranych — w dzisiejszych wschodnich województwach Rzeczypospolitej — ohyd-

² Jan Gutenberg, wynalazca czcionek ruchomych i prasy drukarskiej, ur. 1397 † 1468.

ne i bezduszne gimnazja moskiewskie przetrwały aż do rewolucji bolszewickiej.

Specjalnie ucisk szkolny srożył się na Wileńszczyźnie. Tępią polskość na każdym kroku, poniżano młodzież i paczono charaktery. Słabsi załamywali się, mocniejsi hartowali, wynosząc z ław szkolnych dusze niezłomne. Do tych należał uczeń gimnazjum w Wilnie Józef Piłsudski.

Najlepiej było jeszcze w dawnej Galicji. Po klęskach w wojnie z Prusakami 1866 r., Austria nadała wszystkim ludom monarchji habsburskiej samorząd terytorjalny. Nazywało się to »autonomja krajów koronnych«.

Przedtem i tam też były tylko takie szkoły niemieckie, które miały wynaradawiać młodzież. Za mówienie po polsku bito różgami do krwi.

Aż dopiero gdy nastały polskie urzędy i Sejm i Wydział Krajowy we Lwowie, język polski wrócił do szkół galicyjskich powszechnych, średnich i wyższych. We Lwowie powstała pierwsza polska Politechnika, w Dublinach — Akademia Rolnicza, w Krakowie — Akademia Sztuk Pięknych i Akademia Górnicza, przygotowująca inżynierów dla rozbudowy przemysłu kopalnianego. Poza tem istniały dwa stare uniwersytety: Jagielloński w Krakowie i króla Jana Kazimierza we Lwowie. To też tłumnie śpieszyli do tych szkół Polacy ze wszystkich zaborów. Tam także poczęto tworzyć pierwsze tajne początkowo organizacje, przygotowujące naród do walki zbrojnej o niepodległość. Tę ideę wśród młodzieży zaszczerpił po upadku rewolucji rosyjskiej w 1906 r. — komendant Józef Piłsudski.

Choć te szkoły galicyjskie nie były jeszcze czysto polskie, bo od góry szedł duch urabiania uczniów na wierne sługi Habsburgów, to jednak i nauczyciele i wychowankowie ich czuli, myśleli, mówili i uczyli się tylko po polsku. Nie brakło ich w szeregach strzeleckich obok kolegów, którzy strajkiem szkolnym wywalczyli prywatną szkołę polską w Kongresówce.

Szeregi tej młodzieży w sierpniu 1914 r. przeszły kordon graniczny, jako Legjony Piłsudskiego. Wojna ludów, o którą modlił się Mickiewicz, w istocie przyniosła nam jutrzenkę swobody.

Wspomnijmy dziś, w wolnej szkole polskiej, o tych, którzy wytrwali przy polskości, mimo prześladowań zaborców.

Musieli oni jeszcze walczyć o swe prawa, my — spokojnie możemy się już tylko uczyć“.

ALEKSANDER PRYSTOR.

Urodzony 1874 w Wilnie, tamże ukończył II gimnazjum rosyjskie, poczem odbywał studia przyrodnicze na uniwersytecie w Moskwie i medyczne w Dorpacie. W tym czasie styka się z ruchem socjalistycznym, poznaje Józefa Piłsudskiego, wciąga się do roboty niepodległościowej ówczesnej Polskiej Partji Socjalistycznej.

W 1904 r. odbywa służbę w wojsku rosyjskiem, jako poborowy. Potem wyjeżdża zagranicę, by po powrocie oddać się całkowicie na usługi partji.

Bierze wybitny udział w rewolucji 1905—6 r. Po jej upadku — w Związku Walki Czynnej, jako jeden z przewodców.

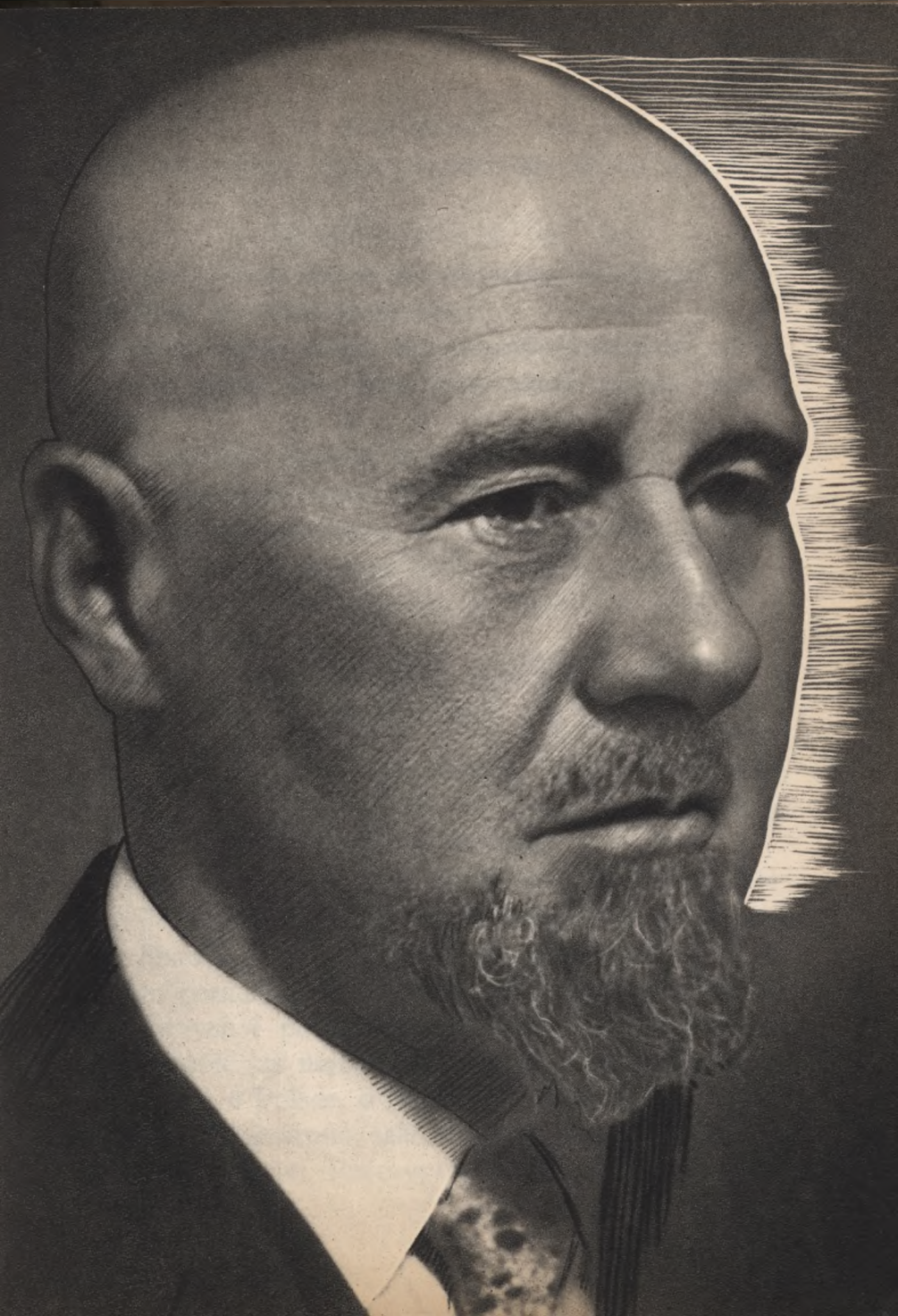
W 1912 r., aresztowany przez Moskali, zostaje skazany na 9 lat więzienia. Rewolucja 1917 r. uwalnia go z katorgi carskiej w Orle.

Spieszy do Polski, by w 1918 r. wstąpić do P. O. W. jako członek Komendy Naczelnej pod pseudonimem „Senator“. Od lipca t. r. pracuje w tworzącem się „Ministerstwie Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia“, jako wyższy urzędnik, następnie wiceminister, wreszcie kierownik tego ministerstwa, wchodząc w skład pierwszego rządu odradzającej się Rzeczypospolitej pod przewodnictwem Moraczewskiego.

Odwołany do roboty politycznej przez Naczelnika Państwa, przygotowuje akcję oswobodzenia Wilna w 1919 r. W następnym roku wstępuje do wojska w stopniu kapitana, walczy w Armji Ochotniczej przeciw bolszewikom, poczem w sztabie gen. Żeligowskiego kieruje pracą polityczną na „Litwie Środkowej“.

Po powrocie do Warszawy, pracuje w Ministerstwie Spraw Wojskowych, awansując kolejno do stopnia pułkownika.

W 1929 r., odkomenderowany z powrotem do służby cywilnej, piastuje tekę ministra pracy i opieki społecznej, a następnie premjera aż do 1933 r.



EPIZOD Z MŁODOŚCI ALEKSANDRA PRYSTORA.

ZBRODNIA 15-TO LATKA.

Ciężka i podła panowała atmosfera w szkołach moskiewskich na Wileńszczyźnie...

Nawet wykład religji dla uczniów-katolików odbywał się w języku rosyjskim, choć nauki udzielał ksiądz polski...

Nauczyciele świeccy, specjalnie dobrani i z głębi Rosji sprowadzeni, tępi i złośliwi, mieli specjalne, przez rząd zaborczy poruczone im zadania: wyrwać »chwast polskości« (jak to się nazywało w języku urzędowym!) z duszy uczniów wszelkimi sposobami — godziwymi i niegodziwymi!

Nawet państwowe szkoły rosyjskie w Królestwie Polskiem wydawały się być rajem niedościgłym w porównaniu z tą szkołą, do której niestety uczęszczać musiały nieszczęsne dzieci polskiego Wilna. Zostawiało to na duszach wielu z nich trwałe uraz psychiczny, który im skrzydła łamał w młodości.

Falszowano na każdym kroku celowo historję Polski, o ile wogóle była tylko jakaś wzmianka o niej przy nauce historii Rosji, gloryfikowanej nieustannie. Celowo przytem poniżano dumę narodową Polaków w wykładach ustnych i podręcznikach szkolnych, starając się w nich wpoić jak najbardziej opaczne i pogardy godne przekonanie o Polsce, o jej historii, literaturze i kulturze. Przytem głoszone, jako prawdę niezbitą, iż ziemie wschodnie dawnej Rzeczypospolitej z Wileńszczyzną

na pierwszym miejscu — to odwieczne prowincje rosyjskie!

A już za największe przestępstwo uważały władze szkolne używanie języka polskiego, nie tylko w obrębie gimnazjum, ale nawet na ulicy i wszędzie indziej poza jego obrębem...

...Oto mamy rok 1889... Czas najgorszych prześladowań w męczeńskiej stolicy dawnego W. Księstwa Litewskiego.

Ulicą idzie 15-letni wyrostek ze swą matką. Rozmawiają oczywiście po polsku. Jakżeż bowiem inaczej ma mówić do swej matki dziecko polskie?

Nagle, z za rogu wyłania się inspektor szkolny, postrach gimnazjum...

Słyszysz dźwięk znienawidzonej mowy, która na każdym kroku świadczy, że polskość tu, mimo knuta, jeszcze nie wygasła. Widzi granatowy mundurak uczniowski. Chłopak w ten mundurak opięty popełnia zbrodnię niesłychaną: mówi na ulicy po polsku!

Tego dusza Moskwicina przebaczyć nie może. Ukaże go przykładnie!

Uczniak dostrzega też swego wroga. Wie, że ten czyha tylko na to, by go złapać na przestępstwie, by posłyszeć z ust jego znienawidzoną mowę, donieść, gdzie trzeba i przypodchlebić się władzy carskiej... Może »chrest«³ z Petersburga za to dostanie?

W chłopcu zapieka się i złość i bunt i żal.

— A niechtam! (myśli sobie) niech słyszy! Właśnie

³ „Chrest“ = krzyż (odznaczenie).

jemu na złość... Niech się wścieka... Jestem przecież Polakiem i tego odebrać sobie nie pozwolę!

I tem głośniejszą, tem zuchwalej prowadzi dalszą rozmowę z matką, która nie dostrzegła prześladowcy, jak gdyby nigdy nic, choć wie, czem to grozi!

Inspektor zbliża się, przechodzi na drugą stronę ulicy, przesuwając się groźnie obok, jak chmura gradowa i znika.

A nazajutrz — jest długi, ostry »wygawor« (napomnienie), przedstawienie chłopcu całego ogromu jego zbrodni i następstw, jakie to za sobą pociąga: a więc zapisanie i to po raz drugi w t. zw. »sztrafnyj żurnał« (dziennik karny), gdyby się zaś raz jeszcze to powtórzyło, wtedy — t. zw. »wilczy bilet«, wydalenie ze wszystkich gimnazjów cesarstwa rosyjskiego i żegnaj na zawsze karjero naukowa, nigdzie takiego nie przyjmą, bramy szkół akademickich ma zamknięte!

Tymczasem chłopak pali się do matematyki i przyrody. To go pociąga. Chciałby się uczyć dalej, więcej, głębiej wniknąć w tajniki wiedzy, ukończyć może kiedyś medycynę, może zostać sławnym lekarzem, badaczem przyrodnikiem, odkrywcą nowych dla ludzkości prawd...

Lecz na samej naganie nie skończyło się, niestety; jeszcze osiem godzin karceru, czyli całe dwa piękne popołudnia wiosenne w mrocznej, ponurej klasie, gdy na dworze tak świeci słońce złote i taki piękny Boży świat uśmiecha się w młodych oczach...

Ale to nic! Gimnazysta milczy ponuro, patrzy prześladowcy prosto w oczy, ostro, zawzięcie, wzrokiem przyszłego bojowca i pięści ściska ukradkiem.

Chłopczyna wie, że ten tam, przed nim, w rosyjskim

fraku urzędowym, to przedstawiciel tej carskiej Rosji, z którą walczyć mu przyjdzie kiedyś na śmierć i życie, póki tchu w piersiach. Walczyć o wolność osobistą, o wolność sumień i o honor narodu, zdeptanego brutalnie stopą najeźdźcy.

Tym 15-letnim uczniem jest bowiem Aleksander Prystor, kolega Jana i Adama Piłsudskich, późniejszy przyjaciel i najbliższy współpracownik ich starszego brata »Ziuka« (zdrobniące od Józef), rewolucjonista 1905-go roku, więzień polityczny z Orła, gubernjalnego miasta w głębi Rosji, pułkownik wojska polskiego i wreszcie premier Najjaśniejszej Rzeczypospolitej!

Na podstawie wspomnień osobistych premiera Aleksandra Prystora opisał

T. M. Nittman.



PRZEMYSŁ I HANDEL.

I. OJCIEC FELKA.

Ojciec Felka pracuje w fabryce. Wychodzi raniutko a wraca po południu. Pracuje ciężko przez 8 godzin dziennie.

Felek jest jednym z lepszych uczniów w klasie. Kocha czule swego ojca i obaj są z siebie bardzo dumni.

Mieszkają daleko, na Woli, w jednej izbie na poddaszu. Felek zrywa się o świcie i na krawędzi kulawego stołu odrabia swoje lekcje.

— Rano człowiek rzeźwiejszy — tłumaczy nam — i na elektryce się oszczędza.

Jego ojciec jest tęgim mężczyzną w sile wieku. Oprócz Felka ma jeszcze troje dzieci. Tamte są już duże i same pracują na siebie. Było ich jeszcze więcej, ale powymierały. Felek jest najmłodszy. Matki niema, umarła mu przed paru laty na gruźlicę.

Nasz ojczyk mówi, że ta choroba dziesiątkuje ludność wielkich miast, zwłaszcza fabrycznych, jak Łódź, Sosnowiec, Będzin czy Białystok.

Felkowy ojciec to człowiek bywały. Jest on tokarzem-metalowcem. Był w Niemczech, we Francji, pracował

parę lat w hutach śląskich. Teraz ma zajęcie w fabryce Skody na Okęciu. Jest dumny ze swego fachu.

Dwa razy na miesiąc, schludnie ubrany, w szalik na szyi, przychodzi do szkoły dowiedzieć się o Felka, którego chce wykierować na inżyniera. Nigdy nie ma zmartwienia z powodu swego chłopca.

Tak zabawnie wyglądają razem, gdy wracając do domu, trzymają się za ręce i śmieją do siebie... Felek, drobny, małeńki, drepce szybko przy swoim barczystym, wielkim ojcu.

Czasem zajdzie do gimnazjum w niedzielę rano i czeka, aż się skończy egzorta. Potem rozmawia z nami. Twierdzi zawsze, że jest bardzo szczęśliwym człowiekiem, bo dzieci wykierował na ludzi, a o Felka się nie boi, ma dla niego odłożone pieniądze na książeczce

oszczędnościowej na dalsze studia. Poza tem ma pracę, którą lubi i na której się zna. A niestety — dzisiaj tysiące ludzi jest tej pracy pozbawionych. To wszystko przez ten kryzys!

Julek Ulamowski, którego ojciec jest dyrektorem dużej fabryki, mówi, że u nich np. pracuje się tylko przez trzy dni w tygodniu, niema bowiem zamówień.

Leszek dowodzi, że rząd nasz robi wszystko, aby



Tak zabawnie wyglądają
razem...

z tą klęską społeczną walczyć, bo bez pracy człowiek nie tylko niema co jeść, ale także rozleniwia się i demoralizuje. Od paru lat powołano do życia państwowy »Fundusz Pracy«, który gromadzi potrzebne pieniądze i przedsięwzięcie różne roboty publiczne, konieczne dla kraju.

Powstały też wszędzie ochotnicze »obozy drużyn roboczych«. Gromadzą one młodych ludzi bez pracy, którzy otrzymują mundury na wzór wojskowego, żołd i wyżywienie. Mieszkają razem, jakby w koszarach, i muszą sami na siebie zapracować. To wprawdzie nie jest to samo, co normalne zatrudnienie tych dorastających chłopaków — powiada ojczyk — ale zawsze lepiej, niż gdyby się wałęsali beczynnienie.

Podobno najciężej jest w wielkich ośrodkach przemysłowych, jak Śląsk, czy też Zagłębie Dąbrowskie albo Łódź. Są tam olbrzymie przedsiębiorstwa, huty żelaza, kopalnie węgla, które zatrudniają setki tysięcy robotników. Jeśli taki zakład przemysłowy stanie, to pracę traci odrazu ogromna rzesza ludzi i wraz z rodzinami cierpi skrajną nędzę, stając się ciężarem opieki społecznej, bo trzeba im wypłacać zapomogi.

Ale pobieranie takiej jałmużny — to nie musi być chyba przyjemna rzecz. Mnieby to upokarzało, Jędrzek twierdzi to samo.

Te wszystkie wielkie fabryki są częścią polskiego przemysłu. Nasz kraj — twierdzi Leszek — jest jeszcze w znacznej mierze rolniczy i niema tak rozbudowanego przemysłu, jak inne państwa zachodnie. Ale jednak stanęliśmy już tak mocno na własnych nogach, że prawie wszystko potrafimy wytwarzać u siebie w kraju

i moglibyśmy się obejść bez większości towarów obcych, często droższych i gorszych. Ale nie wszyscy to jeszcze rozumieją i wielu, przyzwyczajonych tak z dawnych czasów zaborczych, kupuje chętniej towar obcy, szkodząc w ten sposób Polsce. Bo u nas i robotnik i surowiec jest tani i zdolnych majstrów w każdym fachu nie brakuje.

Część fabryk w Polsce należy do skarbu państwa. Inne są w rękach prywatnych, często obcych kapitalistów, którzy prowadzą nieraz gospodarkę rabunkową. Chcą z Polski jak najwięcej wycisnąć pieniędzy, a jak-najmniej włożyć w urządzenia, potrzebne dla dalszego rozwoju przedsiębiorstwa i dla pracowników. Tych trzeba zmuszać do tego. Zajmują się tem specjalnie urzędy oraz inspektorzy pracy.

Ulamowski powiada, że socjalistycznemu pogładowi, związanemu z walką klas, walką pracy z kapitałem, przeciwstawia się inny system t. zw. »solidaryzm społeczny«. Ten pogląd naukowy jest zdania, iż tylko w zgodnej współpracy przedsiębiorcy, który za swoje pieniądze buduje fabrykę, z pracownikami, którzy w niej pracują, leży przyszłość świata pracy. Ale kapitał obcy musi zrozumieć, że Polska — to nie jakaś kolonia afrykańska, a robotnik nasz — to nie »biały murzyn«, którego można wyzyskiwać bezkarnie, bo to prowadzi tylko do upadku przedsiębiorstwa, jak np. w wielkich przędzalniach w Żyrardowie. Taki obcy kapitał jest gorszy od rabusia, który obdziera w nocy przechodniów. Godni natomiast poparcia są ci przemysłowcy, którzy dają ludziom godziwy zarobek i stwarzają nowe warstwy pracy.

Bo przemysł ma za zadanie wytwarzanie mechaniczne, przy pomocy maszyn, wielkiej ilości różnych przedmiotów jak najtaniej i jak najsolidniej, dla zaspokojenia potrzeb masowych. A fabryki mogą pracować, gdy ich towar znajduje chętnych nabywców. O tych nabywców znów starają się kupcy, którzy pośredniczą między wytwórcą a kupującym. To pośrednictwo nazywa się właśnie handlem.

II. PRZEMYSŁ WOJENNY.

— Dziś tatuś oblatuje nowy polski samolot! — oznajmił nam Leszek z dumą.

— Wiecie — mówił dalej — jak odradzało się nasze państwo w 1918 r., to wszystko, co żołnierzowi potrzeba, było obce: broń, mundury, ekwipunek. Nawet konie musieliśmy sprowadzać częściowo z zagranicy, bo tak je wojna przetrzebiła u nas, że brakło dla naszej kawalerji. A dziś... phi! Sprzedajemy naszą broń zagranicę!

Przytem wydał wargi z dumą.

W czasie wojen polskich trzeba było przepłacać każdy nabój działowy, a broń zdobywał nasz ochotnik gołą pięścią na wrogu. Słyszeliśmy nieraz, jak starsi mówili o tem. O własnych samolotach nie śmieliśmy nawet marzyć. Tatuś Leszka mówił, że za drogie pieniądze sprzedawano nam zagranicą sprzęt bojowy, często wybrakowany przez naszych »sprzymierzeńców«.

Zaczęło się od skromnych początków: jakichś warsztatów naprawczych i fabryczek. Poczęliśmy więc wytwarzać sami mundury, buty, pasy, tornistry. Potem

stworzyliśmy typ karabina, według wzoru niemieckiego Mausera. Następnie przysła kolej na polskie granaty i pociski do dział. Dalej poszła fabrykacja białej broni. Wreszcie powstała pierwsza polska fabryka prochu. Zaczęliśmy też produkować części samochodów i samo-



lotów, pociągi i samochody pancerne, a nawet gazy i maski ochronne, aparaty telefoniczne i radiowe.

Dziś prawie wszystko wytwarzamy u siebie i lepiej i taniej. Oczywiście, jeszcze to i owo trzeba kupować u obcych.

Dziś tatuś oblatuje nowy polski samolot...

Ale najczęściej nabywa się tylko t. zw. »licencje«, czyli pozwolenia na wyrób. Potem według danego wzoru wytwarzamy już sami, nieraz udoskonalając obce wynalazki.

Między innemi doszliśmy do tego, że budujemy całkowicie w kraju samoloty myśliwskie i bombowe.¹ Są one tak świetne, że odnosimy na nich światowe triumfy, jak zwycięstwo ś. p. kpt. Żwirki i inż. Wigury na międzynarodowych zawodach lotniczych w Berlinie, zwycięstwo kpt. Bajana na takichże zawodach

¹ Samoloty myśliwskie — są to małe, zwinne aparaty do walki w powietrzu, bombowe — to duże ciężkie maszyny, które zabierają z sobą zapas bomb lotniczych do obrzucania naziemnych obiektów nieprzyjaciela.

w Warszawie czy wspaniały przelot mjr. Skarżyńskiego przez Atlantyk do Brazylii.

Obecnie rozpoczynamy wytwarzanie własnych samochodów seryjnych, czołgów, autobusów, motocykli, rowerów oraz maszyn do pisania.

Przemysł wojenny daje pracę tysiącom ludzi i miliony złotych zatrzymuje w kraju.

Nasze wojsko jest nie tylko jednym z najlepiej wyćwiczonych w Europie, ale ma również ekwipunek i broń i wszystko, co żołnierzowi potrzeba.

Wiedzą o tem obcy, przyjaciele i wrogowie, więc też wzrasta nasze znaczenie i powaga w świecie.

A tatuś Leszka z dumą spoglądać może na nasz kraj z wyżyn samolotu, który jest chlubą polskiej produkcji.

Gdy pomyślę o tem, robi mi się bardzo, bardzo przyjemnie i przypominają słowa kochanego naszego marszałka Piłsudskiego o czasach, w których wyścig pracy zastąpi wyścig krwi i żelaza!

III. KARJERA PILKA.

Niestety, Pilek Veigel nie zostanie prawdopodobnie nigdy policjantem, jak to sobie układał. Nawet gorzej — nie skończy gimnazjum. Ale nasz wychowawca klasowy powiada, że to dla niego korzystniej i czas skończyć z głupią manją pchania się wszystkich do gimnazjów, których jest stanowczo za dużo w stosunku do szkół zawodowych.

Jakiś daleki wuj Pilka wziął go do swego sklepu na praktykę i obiecał się zająć jego losem, bo ciotka z ulicy Długiej umarła.

Pilek Bąk rano chodzi do szkoły a po południu pomaga wujowi w sklepie i uczy się praktycznie swego nowego zawodu.

Ma jeszcze skończyć w tym roku szkolnym drugą



Na półkach leżą zwoje materji...

gimnazjalną, a na przyszły rok pójdzie do średniej szkoły handlowej na dalsze studia.

— Nauczy się tam języków, rachunków kupieckich, buchalterji, towaroznawstwa i o wiele szybciej stanie na własnych nogach! — twierdzi prof. Demczak.

Może ma i rację, bo przecież Pilek jest sierota, a ten jego wuj to stary kawaler i pewnie sklep mu swój zapisze, bo komuż go zostawi!

Ale nam przykro się z nim rozstawać, bośmy bardzo tego Pilka polubili.

Jest on w sklepie już od tygodnia. Wczoraj popołudniu odwiedziliśmy go. Bardzo się ucieszył. Wygląda solidnie za ladą w tych swoich rogowych okularach.

Rozglądaliśmy się ciekawie dookoła. Jest to sklep materiałów bławatnych. Na półkach leżą zwoje materji w różnych kolorach i gatunkach.

— Wyrabiają je — objaśniał nas przyjaciel — w przędzalniach maszynowych Łodzi, Żyrardowa, Białegostoku, Bielska, Częstochowy i innych miast. Idzie to szybko, całemi serjami, bo automatyczne wrzeciona pracują niezmordowanie, robotnik tylko pilnuje maszyny. A potem my, kupcy, sprzedajemy naszym klientom. Na tem opiera się cały handel. Oczywiście, że za pośrednictwo liczymy pewien procent. Nabywamy towar hurtem, wprost z fabryki, albo z wielkich składów przedstawicieli tych fabryk w Warszawie. Doliczamy do ceny hurtowej kosztu handlowe i nasz zarobek. Oczywiście, im więcej pośredników, tem towar droższy, dlatego należy z handlu wyprzeć tak zwane pośrednictwo łańcuszkowe i zmniejszyć ilość rąk, przez które towar przechodzi. Ale całkiem usunąć się tego nie da, bo trudno, aby fabrykant osobiście sprzedawał swe wyroby publiczności!

Potem przedstawił nas Veigel swemu wujowi. Starszy pan z łysinką podniósł głowę z nad kantorka, spojrział na nas przyjaźnie i rzekł:

— Witam panów kolegów mego siostrzeńca. Mam nadzieję, że zrobię z niego tęgiego kupca. A to nie taka łatwa rzecz, jakby się wam może wydawało. Bo naj-

trudniej nieraz, zwłaszcza dziś, klientowi coś sprzedać. Kupujący jest kapryśny, zwłaszcza panie; te często cały sklep przerzucą i wezmą wkońcu jakiś drobiazg albo też i nic nie kupią. Zresztą to ich, naszych klientów, dobre prawo: kapryścić za swoje pieniądze. Sprzedawca musi być cierpliwy, zręczny i zawsze uśmiechnięty, choćby tam nie wiem co. Swoje humory niech odłoży na później. Musi też towar ukazać w najlepszym świetle, a więc musi się na tem znać. Nieraz poprostu namówić trzeba klienta na kupno. To sztuka nielada, trzeba mieć do tego talent wrodzony. Ale konieczna też jest fachowa wiedza. Mam nadzieję, że Pompiljusz okaże się zdolnym i pojętnym uczniem, a wtedy nie będzie mu się źle u mnie powodzić.

Wyraziliśmy ze swej strony tę samą nadzieję.

Tymczasem do sklepu wchodzili i wychodzili zeń rozmaici interesanci.

Rozwijano przed nimi płaty lśniących jedwabi, pięknych płócien, kolorowych batystów. Niektórzy konferowali z szefem, przedstawiali mu jakieś rachunki, jakieś weksle.

Pilek uwijał się niezmordowanie, wspinał po drabince, biegał w głąb sklepu, rozmawiał z klientami.

Wreszcie o 7-mej wieczorem zamknięto sklep i kolega nasz wyszedł z nami na ulicę.

— Wiecie, zmęczony jestem porządnie, ale nie mogę powiedzieć, żeby mi się to nowe zajęcie nie podobało!

— A twoja policja? — spytał Jędrek.

Pilek uśmiechnął się z rezygnacją i machnął ręką:

— Trudno, muszę o niej zapomnieć.

Potem powiedział nam, że obecnie ma zawsze trochę

pieniędzy przy sobie. Wujek mu płaci pensję i to jest bardzo przyjemne uczucie, że nie potrzebuje być nikomu ciężarem. Na dowód tego zaprosił nas na ciastka z kremem. W cukierni opowiedział nam, że nad przemysłem, handlem i rękodziełem czuwa specjalne Ministerstwo Przemysłu i Handlu, które dba o należyty rozwój naszego życia gospodarczego.

Dowiedzieliśmy się też, że działają tu nieustannie potężne prawa ekonomiczne, które w sposób naturalny regulują sytuację na rynkach całego świata. Od nich zależy i handel w kraju i możliwość wywozu naszych wyrobów zagranicę. A to ważna rzecz, aby więcej wywozić, niż sprowadzać od obcych, bo na tej nadwyżce właśnie zarabiamy. Nazywa się to »czynny bilans handlowy«. Jeśli jest naodwrot — to mówimy o deficycie czyli niedoborze handlowym. Rząd nasz popiera wywóz wszystkimi środkami, udzielając t. zw. premij eksportowych. Walka o rynki obce jest zacięta i sprzeczająca się nieraz zagranicą z czasową stratą, byleby się utrzymać wobec konkurencji innych państw. Tak jest np. z polskim węglem, cukrem i niektórymi innymi produktami, wywożonymi masowo.

— Ale świat stoi przed nami otworem! — kończył Pilek z zapalem. Bylebyśmy nie ustawiali w pracy i energii, a niedługo nietylko siebie i kraj wzbogacimy, ale rozszerzymy granice zasięgu polskich towarów na dalekie lądy i morza!

IV. »HANDEL DALEKI«.

Adaś Nieczuja będzie marynarzem. Tak sobie przy najmniej umyślił.

Leszek powiada, że to z powodu łakomstwa. Bo ile razy wyjdziemy w gromadce włóczyć się trochę po mieście, zawsze nas Adaś zatrzymuje przed pełnemi wystawami sklepów spożywczych.

To tak przyjemnie spacerować przed wieczorem po jasno oświetlonych ulicach i czuć koło siebie zawrotne tempo wielkomiejskiego ruchu!

Adaś oblizuje się, pokazując palcem przez szybę:

— Tobym zjadł i to też bym zjadł... Jakie to wspaniałe mandarynki! To pewnie z Hiszpanji... Albo te daktyle... Jakie piękne, sortowane, aż ślinka idzie, to z Marokka...

A Jędrak mu dokucza:

— Ciebie wnet z tej marynarki wyrzucą z powodu obżarstwa!

— Daj mu spokój! — dodaje Leszek — jak go przegonią po całym okręcie od świtu do nocy a na dokładkę każą jeszcze potem pokład szorować, to mu ani w głowie będą mandarynki czy tam inne daktyle!

— A huśtawkę lubisz? — pyta podstępnie Julek.

— Niebardzo! — odpowiada Adaś i aż mu oczy wyłażą do tych smakołyków za szybą.

— No toś przepadł i nic z twojej marynarki! Bo nim do zamorskich zajedziesz krajów, to przedtem odwiedzisz »Rygę«!

Wszyscy wybuchamy śmiechem, ale Adaś nadrabia miną i śpiewa swą ulubioną piosenkę:

*»Bo nie zna życia, kto nie służył w marynarce,
Kto nie wyruszał na morskie harce...«*

A zaraz potem dodaje:

— Ale te żółte kule, które wyglądają jak ogromne pomarańcze, to musi być wyborne!

Julek, który lubi udawać zblazowanego, wtrąca:

— Daj spokój, to świństwo! Gorzko kwaśne, aż gębę wykrzywia. Jadłem to. Nazywa się »Grape-fruit«, rośnie w Palestynie.

Pilek, odkąd się na kupca uczy, jest bardzo przejęty hasłem: »Kupuj wyroby krajowe!« Oburza się więc, zapewne słusznie:

— Patrzcie na te jabłka australijskie po 3 zł kilo. To nie w porządku, że my takie rzeczy sprowadzamy, przecież u nas dobrych jabłek nie powinno braknąć!

Felek, który zawsze po cichutku marzy, aby osiąść na roli i ojca na starość przytulić, odpowiada:

— Dobrze gadasz! Jak dorosnę założę sad i tak uszlachetnię swoje owoce, że niech się te wszystkie zamorskie jabłka schowają. A to dlatego, że się ludziskom robić nie chce, jak powiada mój tatuńcio!

Uśmiechamy się do niego przyjaźnie i nie mówimy nic, bo jest nam trochę przykro. Wiemy, w jak ciężkich warunkach żyje ten nasz kolega. Jedynym jego skrawkiem ziemi jest doniczka z nasturcją, która stoi sobie w oknie ich izdebki. Był tam raz u niego Leszek i opowiadał potem, jak czysto i miło jest u nich, chociaż tak ubogo. Szkoła Felkowa sporo kosztuje, a zarobki w fabryce skurczyły się teraz ogromnie. Ciężko więc koniec z końcem związać. Mimo to Felek jest zawsze porządnie ubrany i ma wszystko, co uczniowi potrzeba.

Stoimy gromadnie przed wielką szybą wystawową i podziwiamy różnorodne towary kolonialne, wabiące przechodniów swym apetycznym wyglądem.

I tak sobie myślę, ile trudu, zabiegów, potu ludzkiego, kosztów i niebezpieczeństw potrzeba, by z dalekich ziem i mórz te wszystkie towary sprowadzić. W chwili tej, gdy tu stoimy na warszawskiej ulicy, krążą niezmordowanie rozliczne okręty po dalekich oceanach, rozwożąc ludzi i towary z jednej części świata do dru-



Ten wieczny ruch statków — to jest właśnie ten handel daleki.

giej: wełnę z Australji, owoce z Afryki, kawę z Ameryki, ryż, herbatę z Azji i czy ja wiem, co tam jeszcze więcej? Ten wieczny ruch statków, kolei, samochodów, wozów, koni jucznych, grzbietów ludzkich, ba, nawet samolotów — to jest właśnie ten handel daleki, handel zamorski.

I póki ten wieczny ruch i wymiana towarów trwa, póty ludzie zabiegać będą o miejsce i zarobek na ziemi.

W pracy tej, koło której krzątają się miliony, nie pozwolimy się zepchnąć na szary koniec, my, wielkie, miljonowe państwo!

V. SZEWC GAUDENTY.

Śmieszny jest ojciec Gaudenty, jak powszechnie na Starem Mieście nazywają tego starego szewca. Lubimy go. I on nas też. Ma nos potężny, liljowy, ze śmiesznymi krosteczkami na koniuszku, siwy wianek włosów dookoła potężnej łysiny, fartuch skórzany i zawsze zakasane rękawy koszuli.

— Pamiętam, pamiętam robaczków, ot, takich, ty-cich! — mówi do nas, uśmiechając się wyblakłemi oczyma z nad powiązanych sznurkiem okularów i pokazuje ręką, jakie to małe byliśmy »robaczki«. — Przychodziły to niebożęta z szanowną mamą, śliczna kobieta, istna hrabina, albo z nianią. I tatusia dobrodziej pamiętam, uczony, ho, ho, głowa jakich mało, a pan z panów, nie to, co dzisiejsi...

Szewc Gaudenty, stary łatacz, wyciera stołek brudnym fartuchem i zaprasza nas do siadania. Naprawia on obuwie całej naszej rodzinie od bardzo dawna. Może dlatego tak nas lubi, że mu najwięcej dostarczamy roboty? Mamusia twierdzi, że dla nas trzebaby bucików z żelaza, bo tak je drzemy niemiłosiernie!

A czy to nasza wina? Przecież człowiek musi trochę pobiegać!

— Tak, to tak, paniczkanie! — narzeka staruszek — niegdyś się warsztat piękny miało i 4 pomocników, szewczyków jak malowanie. Zarabiał człek uczciwie na utrzymanie, a dziś ledwo na wytrzymanie starczy. Niegdyś kamaszki ojca Gaudentego słynęły na całą Warszawę. Chciała panna kawalera złapać — to zaraz jak w dym do mnie. Rubelki kładła na ładzie i buciczki

zamawiała fasonowe. Żeby nie wiem jaka noga — gdy tylko w pantofelkach moich przeszła się po Krakowskiem Przedmieściu — a już mąż był gotów na Palmową niedzielę i tylko księdza ze stulą wołajcie!

— Cóż — skarżył się dalej stary łatacz — potem te fabryki zaprowadzili i dziś dobrego bucika ze świecą po Warszawie szukaj! Fach szewiecki upada, bo wszyscy w tych szwabskich fabrykatch z papieru łożą i nie wiedzą już, co to porządny kamasz od porządnego szewca! To też i ojciec Gaudenty na dziady zeszedł...

W istocie, ubogo w tym jego warsztacie, ale ojczyk nasz twierdzi, że to dlatego, iż szewczyna lubi do butelki zaglądać.

— Inna rzecz — dodaje tatuś — że z rozwojem przemysłu rzemiosło podupadło, choć i dziś dobry rzemieślnik ceniony jest wysoko. W dawnej Polsce, mieliśmy majstrów rękodzielnych nielada, zrzeszonych w cechach, do których mógł się dostać tylko ten czeladnik, który poznał swój fach nawylot i przed starszyzną cechową tego dowiódł. Rzemieślnicy stanowili trzon patriotycznego mieszczaństwa stolicy. Z nich to przecież wyszedł szewc-bohater Kiliński!

— A dziś, tatusiu? — dopytujemy się.

— Dziś powiada ustawa, że każdy rzemieślnik, pracujący na własnym warsztacie siłą rąk ludzkich, sam czy też przy pomocy czeladników, jest rękodzielnikiem. Dzieli się ta praca na rozmaite gałęzie: budowlaną, odzieżową, ślusarską i inne.

— A rzeźnik naprzykład?

— To też rzemieślnik z branży spożywczej.

— A fryzjer, który tatusia goli?

— Ten należy do branży usług osobistych. Wszyscy oni podlegają też Ministerstwu Przemysłu, i Handlu bo łączą oba fache w sobie: sami wytwarzają produkty czy dają pracę swą i sami je sprzedają. Zorganizowani są dziś w izby rzemieślnicze na terenie każdego województwa. Wszystkie te izby razem tworzą Radę Izb, która reprezentuje całość polskiego rzemiosła wobec państwa i społeczeństwa.

— To znaczy, że nie jest tak źle, jak mówi ojciec Gaudenty?

— No, naturalnie, dziś wszystkim ciężko, ale podniesienie fachowości naszych rzemieślników i podtrzymanie ich drobnych warsztatów pracy — to przedmiot troski rządu, który otacza opieką każdą uczciwą pracę i każdy wysiłek poszczególnych jednostek.

— A czemu — pytamy — nie pomogą temu biednemu Gaudentemu?

— Cóż mu pomóc można? Stary on i do nowych warunków przystosować się nie umie. Jest to może bardzo wzruszający zabytek Starego Miasta, ale w budowaniu nowej rzeczywistości polskiego rzemiosła nie na wiele się przyda.

Mimo to jednak zachodzimy często do naszego starego przyjaciela, który tyle zajmujących historii opowiedzieć umie o dawnych czasach i obyczajach...



NASZE MORZE I FLOTA

I. GDYNIA.

Przybyliśmy do Gdyni rano z wielką wycieczką szkolną. Z naszą klasą pojechali profesorowie: Demczak i Kmita. Naturalnie, byliśmy całą paczką: Leszek, Julek, Felek, Adaś, Pilek i inni.

Gdańsk, czerwony i kamienny, jak krzyżackie więzienie, minęliśmy raniutko. A potem — potem aż nam oddech zaparło!!

W pewnem miejscu, między niebem a ziemią, ujrzelśmy błękitny skrawek, który szybko począł się rozszerzać gdzieś hen, bez kresu...

— Co to? Co to? — zakrzyknęliśmy stłoczeni przy oknie.

— To Bałtyk! — odparł z uśmiechem nasz wychowawca.

Wtedy z piersi naszych wydarł się jeden krótki, pełen zachwytu, okrzyk:

— Morze!!!

Przywitało nas ono blaskiem marcowego słońca i poszumem szmaragdowych fal.

Z ulgą opuściliśmy duszne wagony na pięknym

dworcu gdyńskim i jeden przez drugiego, podstawiając sobie nogi i rozdzielając w tłumie potężne kuksańce, zbiegliśmy, tłocząc się, przez szerokie schody do wielkiej hali na dole. Czekali tam już nas z muzyką i chórągwiemi. Ale nam śpieszyło się dalej, dalej, na ulicę, do portu!

— Toż to miasto całe! — zachwycaliśmy się, marszerując wśród domów i sklepów, równemi, nowiutkimi ulicami.

Gdyby nie to, żeśmy z Jędrkiem widzieli niedawno u ojczyka zdjęcia tej miejscowości z 1921-go roku, gdy nasze wojska zajmowały zpowrotem ziemię pomorską, nigdybym nie uwierzył, że naprawdę tak niedawno jeszcze ta cała Gdynia — to nie było nic więcej, jak marna wioska kaszubska na piaskach.

Tu, gdzie się dziś wznosi wspaniały dworzec i biegną liczne tory oraz bocznice, stała jedynie żelazna tablica z niemieckim napisem: »Gdingen«, jak właściwą nazwę wykoszlawili Prusacy. Mały, czerwony domeczek był sobie jednym z wielu malutkich niemieckich przystanków kolejowych.

Kilkadziesiąt nędznych chałup rybackich wzdłuż szosy, parę łodzi wywróconych na piasku i kilkanaście suszących się na żerdziach sieci — to wszystko. A teraz?

Piękne, asfaltowane ulice, ogromne gmachy państwowe: poczta, Szkoła Morska, różne urzędy, banki, hotele, restauracje, sklepy, magazyny.

Mkną taksówki, samochody prywatne i ciężarowe. Ruch przechodniów, jak u nas na Marszałkowskiej. No, jednym słowem, duże miasto portowe.

— Pamiętajcie! — mówił nasz wychowawca, patrząc

z zadowoleniem na nasze uradowane twarze — że człowiekiem, który pierwszy rozpoczął budowę własnego naszego portu, gdy hardy Gdańsk, wbrew własnym interesom, nie chciał iść nam na rękę, był minister Eugenjusz Kwiatkowski! Podziwiać tu możecie ofiarność całego narodu: wiele, wiele milionów wyciśniętych z ubogiego i wojną zniszczonego kraju, utopiono w tych piaskach nadbałtyckich, lecz nie nadaremnie! Bo Gdynia — to świadectwo naszego politycznego rozumu i dojrzałości, świadectwo potęgi Polski Odrodzonej i naszej patriotycznej energii. Ten port, to miasto, o którym przed 15 laty nikomu się nie śniło, to wysiłek, to praca, to pieniądz całego kraju, całego narodu!

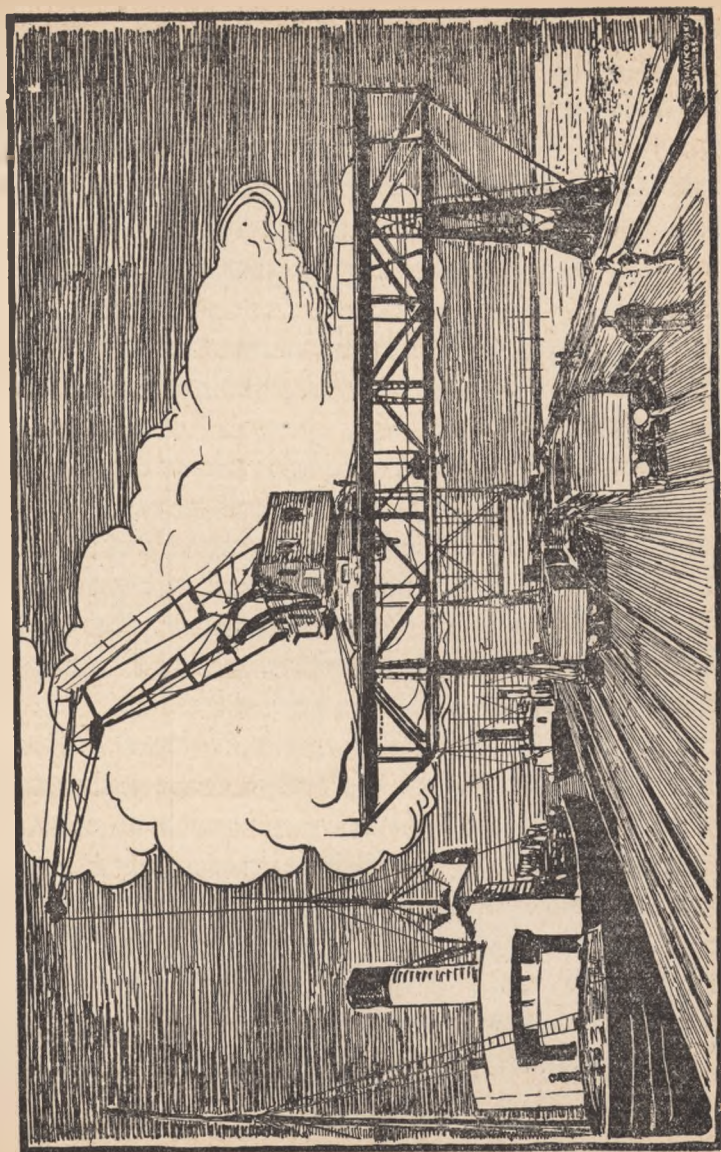
Z radosnym śpiewem na ustach maszerowaliśmy czwórkami w karnym ordynku schludnymi ulicami do ogromnego portu. Weszliśmy na długie kamienne molo i znów olśnił nas bezmiar rozkołysanego morza.

W przystani stały okręty małe, większe i olbrzymy z kilkoma kominami. Powiewały na nich bandery całego świata.

Ruch, życie kipi wszędzie. Potężne składy i magazyny przybrzeżne napęłniają się różnorakim towarem. Coraz to zajeżdżają długie pociągi towarowe z węglem, potężne żórawie chwytają lekko całe wagony i wrzucają ich zawartość w brzuchate wnętrza czarnych okrętów, stojących cicho w wewnętrznych basenach.

Adaś był jak w gorączce. To śmiał się, to ścisnął nas, to gadał sam do siebie.

— Patrzcie, patrzcie! To jest życie, to jest ruch! Widzicie te dźwigi potężne! Podnoszą do góry wielo-



Ten port — to wysilek całego narodu...

tonnowe ciężary, jak piłeczkę. Muszę, muszę być marynarzem!

Nie dziwiliśmy się mu. Bo i nas zbierała chętka rzucić dom, szkołę, miasto i wypłynąć na którymś z potężnych kolosów morskich w daleki, nieznany świat, na srebrzyste, migotliwe fale...

II. NA POKŁADZIE „URSUSA“.

Ani wiem, kiedy i jak znaleźliśmy się na pokładzie niewielkiego holownika,¹ który szybko prując bałwany, odbił od przystani.

— Teraz płyniemy na redę, czyli do przedporcia! — objaśniał nas Adaś z miną starego wilka morskiego. — Ten holownik, to jest stary »Ursus«, służy polskiej Gdyni od samego początku. I dobrze służy i dobrze się nazywa. Bo ani nie przypuszczacie, jaką on ma w sobie siłę. W największy sztorm holuje ogromne, wielokroć od siebie większe statki do portu.

Adaś był tu już raz. Wracał z rodzicami z Francji okrętem, który się nazywa »Pologne«, francuskiej Kompanji Transatlantyckiej. Utrzymuje ona stałą komunikację między Havrem² a Gdynią.

— Jest moja »Pologne!« — wołał ucieszony — i wskazywał nam palcem biały parowiec, stojący u końca kamiennego pomostu.

Liczni pasażerowie opuszczali budynek urzędu celnego, gdzie musieli poddać rzeczy rewizji granicznej,

¹ Holowniki są to niewielkie statki o silnych maszynach służące do holowania (ciągnięcia) okrętów w porcie.

² Havre = port francuski.

czy nie wiozą kontrabandy. Potem śpieszyli na brzeg, gdzie czekały już na nich taksówki, by ich przewieźć do miasta.

— Przybył właśnie z Francji! — objaśnił nas uprzejmie jakiś marynarz z »Ursusa«.

Tymczasem holownik ślizgał się po grzywiastych falach i oddalał od brzegu. Teraz dopiero mogliśmy objąć wzrokiem całość.

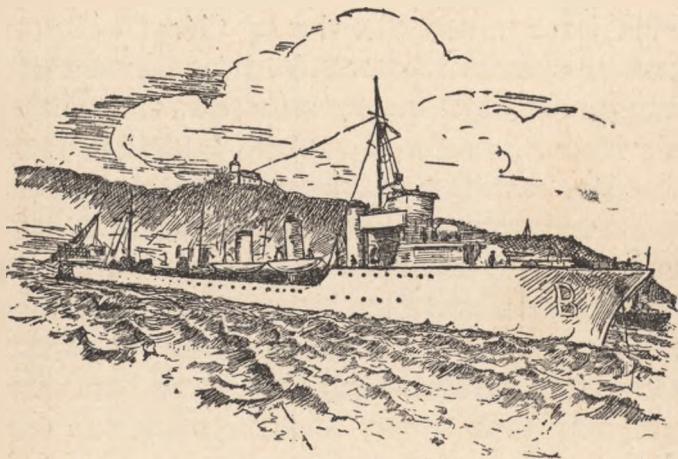
— Na lewo macie Kamienną Górę! — tłumaczył nam profesor Kmita. — A obok plaża, raczej właściwie jej smutne resztki, z hotelem »Riviera«. Odkąd Gdynia stała się portem, straciła wiele jako kąpielisko nadmorskie. Poniżej rozłożyło się miasto, dziś już 40-to tysięczne i rosnące z każdym rokiem w tempie miast amerykańskich. Dalej jest port z nowoczesnymi urządzeniami, jakich mało nad Bałtykiem. Wzgórze nad portem nazywa się Oksywja. Stoi tam latarnia morska, która w nocy oddaje ogromne usługi statkom, rzucając daleko potężne blaski swych elektrycznych reflektorów. Takich latarni jest dużo rozsianych po całym brzegu. W mgle i w ciemności wskazują one drogę okrętom. Pod Oksywją jest nasz port wojenny. Widzicie te szare statki, odmienne od okrętów floty handlowej? Stoją milczące i groźne jeden przy drugim i szczerzą na morze paszcze swych dalekonośnych dział. To torpedowce, łodzie podwodne i inne jednostki naszej floty wojennej. Mało tego jeszcze, ale, da Bóg, nim dorośnięcie będzie więcej!

W tej chwili minął nas jakiś dziwny okręt. Długi, wąski pokład ledwo się wychylał z fal. Na wysokim maszcie radjowym trzepotała biało-czerwona bandera

wojenna Rzeczypospolitej. Na przodzie stał nieruchomo żołnierz marynarki z odkrytą mimo marcowego chłodu szyją i dwiema chorągiewkami dawał sygnały.

— To łódź podwodna »Ryś« — rzucił profesor Kmita — odbywa ćwiczenia sygnalizacyjne.

— Jest takie stare, łacińskie przysłowie, umieszczone nawet na pieniądzach Wolnego Miasta Gdańska: »Na-



To torpedowce...

vigare necessum est, vivere non est necessum!» — rozumiecie to?

Nasz rabin klasowy, jak nazywamy »Albinosa«, kiwnął głową i przetłumaczył nam ten cytat: »Żeglować jest koniecznością, żyć nie jest koniecznością«!

— Ma to oznaczać — mówił dalej profesor — że naród, który chce żyć pełnem życiem musi mieć wolny dostęp do morza, bo morze — to jego oddech, jego tchawica. Bez tego dusi się, jak ryba wyjęta z wody. Gdy ma ten oddech na morze, nie wolno mu z niego

nie korzystać pod grozą zatury potęgi państwowej. Musi po niem »żeglować«. Nie wolno nam powtarzać błędów naszych przodków, którzy mając dostęp do morza, nie umieli z niego korzystać, pozwalając się obcym wyręczać w tem szlachetnem rzemiośle.

Mając dostęp do morza — musi się mieć swój port i flotę: handlową — by móc wymieniać towary z całym światem, wojenną — by bronić wybrzeża i okrętów kupieckich przed ewentualną napaścią.

I tak jest dziś na świecie, że żadne mocarstwo nie może być naprawdę wielkiem i niezależnem w całym tego słowa znaczeniu, jeśli mając swój port i swoją flotę — nie posiada kolonij zamorskich. Posiadłości kolonjalne — to uzupełnienie i wzbogacenie terytorjum narodowego. Małe państwa, jak Belgja czy Holandja, stają się większe przez swe kolonje i urastają do rzędu mocarstw, z którymi liczą się w świecie. Wielkie znów państwa, jak np. Hiszpanja, tracą na znaczeniu, skoro im tych kolonij braknie.

W tej chwili, gdy nas owiewa ów »wiatr od morza«, który tak wspaniale opiewał nasz genialny pisarz Stefan Żeromski, z perspektywy tego małego stateczku patrząc na nasz nowy port i młodą flotę — dążności te stają się zrozumiałe i naturalne. Czyż nie tak?

— Tak jest, panie profesorze! — odparł z przejęciem za nas wszystkich Adaś, który jest prezesem oddziału szkolnego »Ligi Morskiej i Kolonjalnej«. — Kolonje, gdzie można nabywać płody natury, jakich brak u nas, wywozić nasze towary, których mamy nadmiar — to warunek mocarstwowego rozwoju naszej Ojczyzny!

— Bardzoś to pięknie wywiódł, mój przyjacielu! —
pochwalił Adasia profesor.

Jędrrek uszczypnął mnie i szepnął:

— Jemu chodzi o te mandarynki i daktyle z wystawy
sklepu kolonialnego, do których mu język ucieka!

— »Navigare necessum est!« — pamiętajcie o tem! —
dodał profesor Kmita na zakończenie, nie dosłyszawszy
naturalnie złośliwości Jędrka.



KOMUNIKACJA.

I. OD DYLIŻANSU DO SAMOLOTU.

Ojczyk jedzie na kongres do Bukaresztu.¹ Ten międzynarodowy zjazd uczonych geografów rozpoczyna się już jutro aż w Rumunji, a ojczyk dziś tam jeszcze będzie, bo leci samolotem.

Wiążąc krawat przed lustrem, rozmawia z mamusią i z nami.

— To dobrze, że chłopcy są dziś wolni (z powodu rekolekcyj), mogą mnie odwiedzić na lotnisko.

Ucieszyliśmy się i byliśmy ogromnie dumni, że ojczyka zapakujemy do prawdziwego samolotu pasażerskiego. Imponuje nam jego szybkość: taki szmat drogi w 8 godzin. A koleją trzeba by się wlec o trzydzieści więcej.

— We Lwowie — mówi ojczyk — zjem obiad, a na kolację będę już w Bukareszcie. Sto lat temu — dodaje z uśmiechem — musiałbym się tłuc dyliżansem przez szereg tygodni!

Wyobraziliśmy sobie zaraz takie rozklekotane pudło na piaszczytej drodze mazowieckiej, zaprężnięte

Bukareszt = stolica Rumunji.

w czwórkę koni, jak to widzieliśmy kiedyś w kinie. Na wysokim koźle siedzi pocztyljon i gra na trąbce. Wewnątrz kilku zmęczonych podróżnych w »prochownikach«, chroniących od kurzu, podkurcza obolałe od długiej jazdy nogi na niewygodnych kanapkach. Małe, brudne szybki brzęczą monotonnie. Co kilka godzin postój w jakimś zapadłym miasteczku przed zajazdem,



Na wysokim koźle siedzi pocztyljon...

przeprzęganie koni i jazda dalej. Na noc zajeżdża się na popas do jakiejś żydowskiej oberży, by rannem dalszą rozpocząć podróż. A może zbójcy czyhają po drodze w gęstych lasach? Trzeba mieć pistolety w pogotowiu! I tak trwało to dzień za dniem. Aż do Bukaresztu — ho, ho, jakżeż to musiało być daleko i długo!

A potem — potem zaczęto budować koleje. Mamusia opowiadała nam, że jej matka panicznie bała się kolei i przed każdą podróżą przygotowywała się jak na śmierć: spowiadała się i przyjmowała Komunię! Zabawna musiała być ta nasza babcia, szkoda, że już nie żyje...

Wagony na tych kolejach były początkowo ciasne i niewygodne, trzęsły okropnie, oświetlano je nocą nędznymi łojówkami. Pociągi szły wolniutko i ostrożnie, tylko, że mogły zabrać odrazu dużo ludzi i towaru, a więc transport potaniał ogromnie. Był to w każdym razie postęp w stosunku do dyliżansu.

Równocześnie zbliżyły się do siebie ziemie podzielone morzami, gdy parowce zajęły miejsce dawnych statków poruszanych żaglem. Przecież dziś szybkim okrętem można zajechać już za 6 dni do Ameryki, podczas gdy dawniej podróż taka trwała miesiącami. Lecz obecnie i to trwa zbyt długo; już przemysłiwują nad tem, by zapomocą stałej komunikacji powietrznej zbliżyć do siebie kontynenty jeszcze bardziej...

Te rozważania przerywa Justysia, która przyszła wynieść walizki do taksówki. Sadowimy się w czwórkę i mkniemy na lotnisko. Domy, ludzie, wozy migają tylko. Co najwyżej na skrzyżowaniu ulic magiczna pałeczka policjanta zatrzymuje nas na chwilę.

Obok nas wolno toczą się konne dorożki. »Sałacia-rze«² z numerami na plecach zdają się drzemać na koźle.

Mamusia uśmiecha się przyjaźnie do nich.

— Przed wojną — mówi — nie znaleźmy w mieście innej komunikacji. Nie śpieszyło się nam tak, jak dziś!

— Ale też — wtrąca ojczyk — i miasto było mniej-sze i tempo życia bardziej powolne.

Na lotnisku pasażerskiem Polskich Linij Lotni-czych »Lot« sprawdzają bilet tatusia. Wąż go przytem i jego rzeczy, bo samolot ma ściśle ograniczoną nośność.

² „Sałaciarze“ — powszechnie używana w gwarze warszawskiej nazwa dorożkarzy.

Potem idziemy po miękkiej łące w stronę lśniącego samolotu.

Jaki duży ten ptak stalowy! 8-mio osobowy »Fokker«³. Silnik jest już w ruchu. Mechanicy po raz ostatni kontrolują jego działanie. Żdźbła trawy gną się przeżone pod podmuchem rozpędzonego śmigła.

Ojczyk czule ściska mamusię i nas, następnie wchodzi po schodkach do kabiny. Widzimy przez szybę, jak siada wygodnie w fotelu, przepasuje się pasem bezpieczeństwa na wypadek nagłych wstrząsów i zakłada watę do uszów, by złagodzić huk motoru.

Już nie możemy z nim rozmawiać, bo nic nie słyszy. Daje nam tylko na migi ostatnie polecenia.

Samolot jest kompletnie zapełniony. Wnętrze jego, eleganckie i przytulne, niby wykwintnego samochodu, jakżeż daleko odbiega od zakurzonej karetki pocztowego dyliżansu naszych pradziadków!

W lecie chłodno w niem, w zimie ciepło, bo je ogrzewają. Fotele miękkie i można nawet się wygodnie zdrzemnąć. Oczywiście więc, że taka kilkogodzinna podróż — to istna przyjemność.

Wgórze niema przecież ani kurzu, ani brudu, ani dymów, u stóp ma się przepyszne, niezapomniane widoki. A bezpieczeństwo większe, niż na kolejach. Czyż to nie cudny wynalazek?

Lecz oto drzwiczki już zamknięte, odsuwają schodki, wydają z pod kół podstawki. Znów zapuszczają silnik, tym razem już naprawdę.

Odsuwamy się nabok, by nas nie trąciły skrzydła

³ Fokker — nazwa marki samolotów, używanych u nas w komunikacji pasażerskiej.

i oto potężny samolot z ojczykiem i 7 innymi pasażerami oraz ich bagażem unosi się w górę, lekko jak ptak odrywa od ziemi, zatacza kilka kręgów nad lotniskiem a potem leci prosto na wschód. Maleje, niknie, rozplywa się gdzieś na horyzoncie...

— Długa jest droga cywilizacji od dyliżansu do samolotu — mówi mamusia, wzruszona, jak zawsze, gdy kogoś z nas żegna — ale jakżeż wspaniała!

II. ŚWIAT PRZYBLIŻONY.

Przyszła karteczka od ojczyka z Bukaresztu, widoczek głównej ulicy Calea Victoria. Na odwrocie parę słów, w których nam donosi, iż szczęśliwie doleciał, podróż miał miłą i wygodną, że miasto mu się podoba i że zasyła nam całusy.

W rogu znaczek pocztowy, przedstawiający przystojnego pana w paradnym mundurze generalskim. To król Rumunji, Karol. Przez znaczek przebity stempel poczty rumuńskiej: kółko z datą i napisem: »Bucuresti«.

Pod znaczkiem nasz adres z dopiskiem »Pologne«. To słowo podkreślone jest dwa razy. Ale przypuszczam, że i tak wszędzie w świecie wiedzą, gdzie leży Warszawa!

Mamusia serdecznie ucieszyła się tą karteczką. Oglądając obrazek, rzekła do nas:

— Taki niepozorny kartonik — ileż przynosi uspokojenia! Trzy dni temu jeszcze ta kartka była w jego rękach. Wystarczyło ją wrzucić z nalepionym znaczkiem do blaszanego pudła na rogu ulicy, co się zwie skrzynką pocztową, aby się poczta dalej już tą kartką

zaopiekowała. Pomyślcie, w ilu była rękach, sortowana, przeglądana, stemplowana, nim do nas doszła. Tak przyzwyczajeni jesteśmy dziś do usług poczty, iż nie zastanawiamy się wcale, ile nam rzeczy ułatwia



...Taki wagon z trąbką...

i jak bardzo świat przybliża. Dawniej — trzeba było wysyłać korespondencję jakąś specjalną okazją lub przez umyślnego gońca, na co sobie mogli pozwolić tylko możni tego świata.

Mamusia umilkła, wpatrując się w czerwony abażur lampy, stojącej na kominku.

— Kochana poczta! — zawołałem odruchowo.

— Oplata siecią swych agend cały świat! — dodała mamusia.

— Ale przecież każdy kraj ma swoją osobną pocztę, jakżeż więc one współpracują ze sobą?

— Istnieje w Bernie, w Szwajcarii, Międzynarodowy Związek Pocztowy, który ustala zasady wzajemnego przesyłania korespondencji z jednego państwa do drugiego i przeprowadza co roku rozrachunki wzajemne.

— No dobrze, mamusiu — odezwałem się znowu — jednak każde państwo wydaje swoje własne znaczki pocztowe. Leszek zbiera je i pokazywał nam w swoim albumie najrozmaitsze okazy z całego świata!

— Oczywiście, polska poczta też drukuje swoje znaczki, zwyczajne i okolicznościowe, i nawet zmienia dość często ich kształt i rysunek.

— A jak było dawniej? — odezwał się Jędrrek.

— Dawniej, jeszcze za czasów konnych dyliżansów, trzeba było każdy list opłacać u pocztmistrza gotówką, co było dość niewygodne.

— Ta kartka tatusia odbyła długą drogę! — zauważyłem, oglądając ją starannie.

— Jeszcze jaką! Wydobyta ze skrzynki wraz z innymi listami i kartkami, powędrowała do urzędu pocztowego, dostała stempel, kasujący znaczek, i powędrowała na kolej. W worku pocztowym dostała się do ambulansu poczty kolejowej.

— Wiemy — rzucił Jędrrek — to taki wagon z trąbką na boku.

— Czyście pomyśleli kiedy — ciągnęła mamusia dalej — że podczas gdy podróżni smacznie chrapia, albo oglądają widoki, albo czytają albo też nudzą się z braku zajęcia — w tymże wagonie z trąbką, przy migotliwym świetle lampki, jeśli to noc, niezmordowani urzędnicy

sortują napływające po drodze przesyłki, wydają korespondencję po poszczególnych stacjach, strzegą paczek, listów wartościowych i przekazów pieniężnych, by cało i w należytym stanie doszły do adresata.

— A co to jest właściwie list polecony? — zapytałem.

— To taki list, za który poczta bierze specjalną odpowiedzialność, za co też pobiera wyższą opłatę. Choć i zwyczajny list dochodzi prawie zawsze. Skrupulatność poczty, zwłaszcza naszej, jest znana pod tym względem. Ileż ci biedni pocztowcy nałamać muszą sobie nieraz głowy i oczu nawytężać, by odcyfrować jakiś adres błędny, niewyraźny, zatarty, lub niedostateczny. Ojciec wasz dostał raz list, zaadresowany tylko: »Profesor Wodziecki, Warszawa«. I nic więcej. A jednak go znaleźli. Za mną znów inny list wędrował cały tydzień, gdy byłam w podróży i często zmieniałam miejsce pobytu. Dosiłano go z miejscowości do miejscowości, aż wreszcie doszedł do moich rąk.

— A list ekspres?

— To list pośpieszny. Dopisuje się to słówko na kopercie, opłaca specjalnie i natychmiast po przybyciu na miejsce przeznaczenia list zostaje doręczony specjalnym gońcem, w Warszawie np. rowerzystą.



...List zostaje doręczony...!

— A telegram jest jeszcze prędszy?

— Naturalnie. Wiadomość biegnie z prądem elektrycznym po specjalnym drucie, wysoko, na słupach telegraficznych umieszczonym i w niesłychanie krótkim czasie jest na miejscu. Dziś poszliśmy krok dalej, bo mamy telegraf bez drutu. Można nim przesłać wiadomość z najodleglejszego krańca świata...

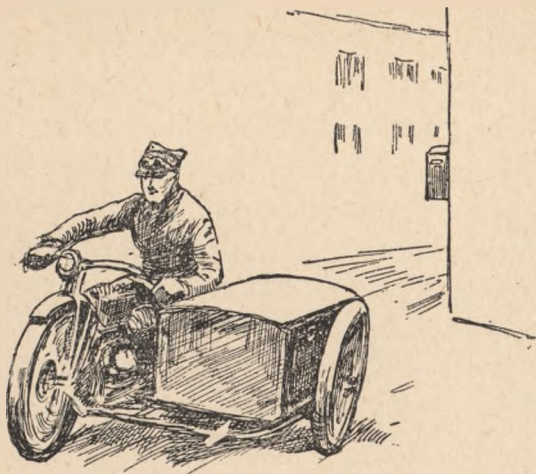
Poza tem poczta zajmuje się jeszcze przewożeniem paczek do 20 kg, przekazów pieniężnych i listów wartościowych. Wreszcie poważny dział stanowią rozmaite druki, a nadewszystko gazety, które idą transportami pośpiesznymi, by możliwie najprędzej po ukazaniu znaleźć się w rękach czytelników.

W tej chwili zadzwieczał telefon. Okazało się, iż dzwoni stacja międzymiastowa. To pan Zygmunt z Pułtusza pytał o zdrowie Jasi, która od paru dni gorączkuje z przeziębienia. Każdy bowiem abonent telefoniczny może ze swego aparatu w domu łączyć się z całym światem, wszędzie tam, dokąd drut telefoniczny dociera! Wystarczy, gdy jest wciągnięty na listę uczestników sieci międzymiastowej w Państwowym Urzędzie Telekomunikacyjnym.

Gdy mamusia ukończyła rozmowę z Pułtuskim, zasiedliśmy przy naszym dużym radjoaparacie lampowym. Mamusia włączyła go do sieci elektrycznej i poczęliśmy łąpać stacje zagraniczne. W pewnym momencie usłyszeliśmy ze wzruszeniem drogi nam głos ojca, który daleko, daleko od nas przemawiał do niewidzialnych słuchaczy na zakończenie posiedzenia kongresu w wielkiej sali Akademii Królewskiej w Bukareszcie. Mówił wprawdzie po francusku, więc niewiele rozumieliśmy

z tego; ale sam fakt, iż go słyszymy na fali eteru był już sam w sobie cudownym dla nas zdarzeniem. O to, co mówił, nie troszczyliśmy się w tej chwili wcale!

Mamusia słuchała z napięciem. Oczy jej płonęły;



Listy nieomylnie do celu wędrujące...

od czasu do czasu kiwała głową, jakby potakując. Myśmży siedzieli cichutko, przytuleni do niej.

Gdy umilkł wreszcie głos ojcowski w głośniku i rozległy się przytłumione brawa, matka nasza odezwała się z entuzjazmem:

— Listy nieomylnie do celu wędrujące, depesze przeskakujące po drucie telegraficznym, czy też nawet bez drutu, z szybkością myśli prawie, telefon miejski i zamiejski, a nawet zamorski poprzez kabel drzemiący na dnie oceanów, wreszcie ten żywy głos, daleki a bliski, z aparatu radjowego — to jest ten cudowny świat przybliżony, zwycięstwo nad czasem i przestrzenią.

Siedzieliśmy zasłuchani, wyobrażając sobie całą ziemię jako wielki globus, po którym wszędzie pełźnie trąbka pocztowa...

III. POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE.

Przepadam za zapachem dymu kolejowego. I za jazdą koleją też!

Gdy byłem malutki, marzyłem o tem, że zostanę konduktorem, aby móc ciągle podróżować. Ale mamusia wytłumaczyła mi, że to nie jest wcale zabawne, bo konduktor musi jeździć wciąż po tym samym szlaku tak, że mu wkońcu ta podróż obrzydnie. Lepiej już być inspektorem międzynarodowego towarzystwa wagonów sypialnych, to się przynajmniej zwiedza cały świat i do tego jeszcze bardzo wygodnie — slipingiem.

Wczoraj była niedziela. Brzydka, słotna niedziela marcowa. Całe szczęście, żeśmy poszli z wizytą do Julka Ulamowskiego. Zaprosił nas na całe popołudnie.

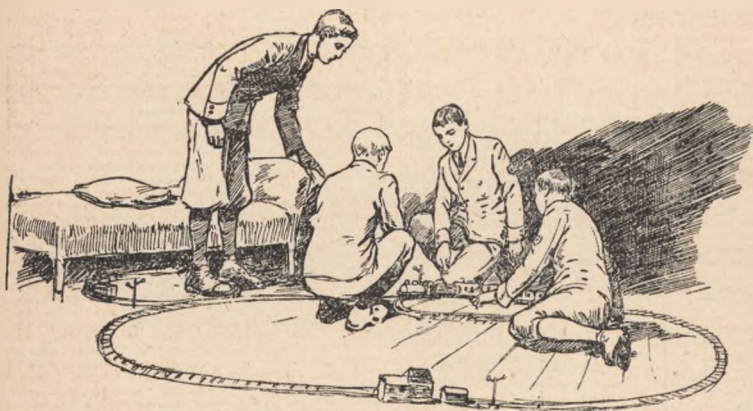
Mieszka w ładnej willi w Alejach Ujazdowskich. Drzwi otworzył nam lokaj z miną bardzo uroczystą, »onieśmielającą« — jak to określił Leszek. Bo »Albinos« też był zaproszony.

Ale zaraz zrobiło nam się swojsko, gdy Julek wybiegł do nas i dał każdemu z nas »sójkę w bok« na wstępie. A zgorszony lokaj stał z tyłu i podziwiał, jak się »panicze« boksują.

Po tem serdecznem powitaniu trzeba było jeszcze przebrnąć przez pół tuzina zasuszonych ciotek. To też choć podwieczorek był wspaniały (ciastka z kremem i banany!!!), nie czuliśmy się w »swoim sosie«. Dopiero

gdy papa Ulamowski zaproponował swoim kuzynkom, aby sobie poszły, zrobiło nam się lżej na sercu. Ten ojciec naszego kolegi to naprawdę byczy staruszek!

Zaprowadził nas też zaraz do pokoju syna, gdzie mogliśmy podziwiać rozmaite zabawki. Ale najcudniejsza jest jego kolej!



...Poczęliśmy gorliwie budować sieć kolejową...

Właściwie — to nie jego, tylko ojca. Bo ten poważny i dorosły pan ma taką manję, że skupywał i gromadził rozmaite kosztowne zabawki kolejowe. Z każdej podróży zagranicę coś przywoził. A co pewien czas schodziło się do niego kilku takich samych manjaków. Zasiadali na podłodze, niczem mali chłopcy, i rozpoczynali »zabawę w kolej«. Ustawiali szyny, stacje, zwrotnice, semafony, wszystko maleńkie a jednak precyzyjnie wykonane, jakby prawdziwe, i organizowali cały ruch kolejowy. Maszyny, ogrzewane spirytusem, syczały, gwizdały, wypuszczały parę i ciągnęły z hukiem długi

sznur różnych wagonów. A od czasu do czasu puszczali jeden pociąg na drugi i urządzali sobie katastrofy kolejowe. Cieszyli się przytem, jak dzieci. Potem mu się wszystko znudziło i darował całą kolej Julkowi.

Teraz my roztasowaliśmy się na posadźce w Julka pokoju i poczęliśmy gorliwie budować sieć kolejową z błyszczących, niklowych szyn. Ustawialiśmy stacje, pompy, magazyny, sygnały, bocznice, wymijalnie i inne takie urządzenia, jak naprawdę na kolei.

Leszek oświadczył z powagą, że ta Julkowa zabawka jest prawie tak piękna i solidna, jak nasze prawdziwe »Polskie Koleje Państwowe«.

— To się w skrócie nazywa P. K. P. Te trzy litery widnieją na naszych wagonach i na całym sprzęcie kolejowym wraz z jej znakiem: skrzydlatem kołem! — rzekł Jędrak i uważał, że wymyślił coś bardzo mądrego. Przecież wszyscy i tak bardzo dobrze o tem wiedzą!

— Ale kiedyś, po wojnie światowej, wyglądało to wszystko żałośnie. Opowiadał mi ojciec — tłumaczył nam Julek — że wtedy podróżowanie nie należało do przyjemności! Szyby powybijane, wagony brudne, bez firanek, z pozdzieranymi obiciami i pełne robactwa; hamulce popsute, stacje i urządzenia sygnałowe popalone; mosty, tory, nasypy uszkodzone tak, że się jeździło, polecając duszę Bogu...

— Nasze Ministerstwo Komunikacji — dodał Leszek — zabrało się energicznie do pracy i dokazało nie-lada sztuki doprowadzenia w kilka lat wszystkiego do porządku. Dziś mamy jedną z najlepiej funkcjonujących sieci kolejowych w Europie i wciąż jeszcze ją udoskonalamy.

— Tylko, że za wolno chodzą nasze pociągi — odrzekł Julek, który zawsze chce udawać znawcę wszystkiego.

— I to się zmienia na lepsze. Ale nie jest to takie łatwe, bo nie wszystkie tory i inne urządzenia są do tego przystosowane i łatwo o wypadek, a nasze władze kolejowe są bardzo ostrożne! Nawet cudzoziemcy mówią, że P. K. P. cechuje czystość, porządek i idealna punktualność. Tylko, że rzadkie są te linje kolejowe, zwłaszcza na wschodzie, bo Rosja nie dbała o to, aby kraj pokryć siecią gęsto rozbudowanych połączeń. Polska wybudowała wprawdzie już dużo nowych linii i wciąż jeszcze wre praca na tym odcinku, ale potrzeby są jeszcze większe.

— No, a teraz dworzec nowy się stawia! — wpadłem im w słowa.

— Będzie to jeden ze wspanialszych budynków tego rodzaju! — rzekł Julek z zapałem. — Widziałem projekt w Muzeum Kolejowem. Cudowny!

— Stanie on jako uzupełnienie tak zw. »linji średnicowej« — rzekł pan Ulamowski, który wszedł właśnie do pokoju i słyszał naszą rozmowę. — Widzieliście już ten tunel pod alejami Jerozolimskimi i nowy most kolejowy na Wiśle obok mostu Poniatowskiego?

— Naturalnie! — zawołał Jędrrek — jechaliśmy nim kilkakrotnie.

— Otóż to dopiero początek rozbudowy węzła warszawskiego, który ma być do tego zelektryfikowany. Bo ideałem kolei — to trakcja⁴ elektryczna, jak np. w Szwajcarji, na południu Francji lub na niektórych

⁴ Trakcja = tyle co popęd.

linjach włoskich. Ale na to trzeba mieć prąd elektryczny bardzo tani, wodny, t. zn. wytwarzany przez turbinę wodną. U nas, niestety, prawie wszystkie elektrownie używają do wytwarzania elektryczności paliwa węglowego, więc prąd jest stosunkowo drogi. Jest też w budowie kilka nowych linii, z których najważniejszą — nowe połączenie z Krakowem, oddano już do użytku. Poza tem kończą tak zwaną »magistralę węglową«, łączącą bezpośrednio nasze zagłębie węglowe z naszym portem Gdynią. Doniedawna bowiem wszystkie pociągi nad morze musiały iść przez obce terytorjum t. j. przez Gdańsk.

— A czy ty wiesz, kto to pierwszy wymyślił lokomotywę parową? — zapytał mnie Jędrak podstępnie.

— Oczywiście! — odparłem z dumą — Jerzy Stephenson, angielski mechanik.

— Tak, moi chłopcy — potwierdził pan Ułamowski — uruchomił on 1825 r. pierwszą linię kolejową w Anglii, sprowadzając tem samem całkowity przewrót w komunikacji! Lecz od tej pierwszej lokomotywy do dzisiejszej — dzieli nas całe stulecie udoskonaleń...

I oto przez tego Stephensona nastąpił na naszej kolei wypadek: tak byliśmy zajęci rozmową, że nie zauważyliśmy, iż nasza spirytusem pędzona maszyna zeszała z szyn i wylądowała z trzaskiem pod kanapą...



SPRAWIEDLIWOŚĆ.

I. JĘDREK ŚWIADKIEM.

Obu nam serca były trochę niespokojnie, gdyśmy wchodzili do »Pałacu Sprawiedliwości«, jak nazwał ojczyk ten piękny gmach Sądu Okręgowego przy ulicy Miodowej. Jest to właściwie dawny pałac Paca, bogatego niegdyś wielmoży z Litwy.

Jędrek zwolnił się ze szkoły po pierwszej godzinie. A ja wcale do gimnazjum nie poszedłem. Jakżeż bowiem mogłem opuścić brata-bliźniaka w tak ważnej chwili?

Jędrek był wezwany na świadka do sądu. Fakt ten stanowił sensację w szkole przez szereg dni. Nawet ci ze starszych klas przychodzili i oglądali papierek z sądu, który aż wybrudził się i pomiął, w tyłu był rękach.

Przed gmachem Sądu Okręgowego tłoczyło się dużo ludzi, lepiej i gorzej odzianych. Wchodzili i wychodzili jacyś jakby zaaferowani panowie z teczkami, policjanci ze służbowymi podpinkami pod brodą, publiczność.

Weszliśmy po kamiennych schodach na pierwsze piętro. Podszedł do nas woźny w granatowej bluzie

z orłami na guzikach, któremu Jędrak pokazał wezwanie.

— A kawaler co tu robi? — zapytał mnie surowo.



Podszedł do nas woźny...

— Ja, ja tak z bratem — jąkałem się czerwieniąc. — Czy nie można?

— Ależ można, można, nawet wolno na salę rozpraw wejść, jeśli takie życzenie...

— Nie, nie, ja razem z bratem!

— Braciszek musi iść, by się zgłosić do pana sekretarza... A potem do poczekalni dla świadków.

— Idź Kaziu — rzekł Jędrak mężnie — ja tu zaczekam, a ty się możesz przez ten czas przysłuchiwać rozprawie.

— A nie boisz się?

— Także! — odparł zuchowato. — Mnie to już nie pierw...

Ale się pomiarkował, że toby było łgarstwo, bo jeszcze nigdy za świadka w sądzie nie stawał. Ale Jędrak lubi koloryzować! Wyobrażam sobie, jak to on jutro będzie się pysznił przed kolegami tym swoim sądem! Już ja go dobrze znam. Przede mną nie może blagować...

Wobec tego, wszedłem do wielkiej sali. Nastrój panował tu uroczysty. Połowa sali oddzielona była drewnianą balustradą dla publiczności. Stały tu ławki, na których siedzieli rozmaici ludzie. Bo rozprawy sądowe są jawne.

Za przegrodzeniem stał przedewszystkiem długi stół na podwyższeniu, nakryty zielonem suknem. Na nim krzyż i po bokach dwie świece.

Za stołem siedzieli sędziowie: przewodniczący i dwaj asesorzy. Po lewej stronie w czerwonej todze, jak kat, siedział pan prokurator Rzeczypospolitej i miał przed sobą grubą księgę: kodeks karny.

Obok był stół dla protokolantów, zapisujących każde wymówione tu słowo. A po przeciwnej stronie — ława oskarżonych.

Siedział na niej pod strażą policjanta ów nieszczęsny szofer, który przejechał na śmierć tę panią. Jędrak był właśnie wtedy obok na chodniku i widział wszystko dokładnie. Dlatego go zapisali na świadka.

Obok oskarżonego stał jego adwokat, też w todze, i coś szeptem z nim rozmawiał.

Zająłem cichutko miejsce w pierwszej ławce za balustradą, aby wszystko dobrze widzieć i słyszeć. Właśnie

prokurator odczytywał dość monotonnym głosem akt oskarżenia, w którym opisany był cały wypadek. Sędziowie patrzyli w okno, za którem padał deszcz ze śniegiem. Dopiero gdy zabrzmiały ciężkie słowa: ...Żądam przykładnego ukarania obwinionego po myśli... (i tu wymienił jakiś paragraf) — wtedy drgnęli.

Wszystkie oczy skierowały się na oskarżonego, który głowę opuścił ku ziemi. Widzieliśmy przedtem, jak go karetka więzienna z zakratowanym okienkiem przywiozła z aresztu śledczego.

Sędziowie poczęli się ze sobą naradzać, wreszcie przewodniczący kazał wezwać Jędrka.

Gdy wszedł mój brat, rozległ się wokoło szept: — To główny świadek! Taki mały chłopiec? Czy on mógł widzieć wszystko dokładnie?

A równocześnie adwokat rodziny pani zabitej przez samochód, jako strony poszkodowanej, wstał i oświadczył, że popiera oskarżenie i że żąda odszkodowania w kwocie jednej złotówki. Zdziwiłem się, że tak mało. Ale mi ktoś wytłumaczył, że jest to tylko odszkodowanie symboliczne.

Jędrak stanął śmiało przed stołem sędziów. Poczęli go wypytywać, jak się nazywa, gdzie mieszka i inne takie rzeczy. Ktoś zboku powiedział, że to się nazywa ściąganie personaljów ze świadka. A gdy stwierdzili, że ukończył już 14 rok, poszeptali ze sobą i przewodniczący orzekł, że zostanie zaprzysiężony. Zapalili świece i kazali mu przysięgać na krucyfiks, że będzie mówił prawdę i nic tylko prawdę i całą prawdę. Przyczem przewodniczący pouczył go o skutkach fałszywego świadectwa i krzywoprzysięstwa.

Następnie musiał szczegółowo wszystko opowiedzieć, jak to było z tem przejechaniem.

Zadawali mu potem pytania sędziowie, prokurator i obrońca. Ten ostani zwłaszcza starał się Jędrka zbić z tropu.

Wreszcie zwolniono go, a potem zeznawali jeszcze inni świadkowie. Następnie przemawiali: prokurator i obrońca, i raz jeszcze tłumaczył się oskarżony, prosząc płaczliwym głosem o łagodny wymiar kary — poczem sąd udał się na naradę.

Po pół godzinie woźny znów zarządził ciszę na sali, wygłaszając sakramentalną formułkę:

— Sąd idzie! Proszę wstać!

Wszyscy na stojąco wysłuchali wyroku, który ogłosił przewodniczący we wspaniałej todze i łańcuchu złocistym z orłem na szyi:

— W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej skazuje się takiego to a takiego za to i za to, wedle takiego i takiego artykułu kodeksu karnego na jeden rok więzienia z zawieszeniem na trzy lata...

Jeżeli skazany nie był nigdy jeszcze przedtem karany, zostawia mu się czas do poprawy. O ile w ciągu tego okresu sprawować się będzie nienagannie, to mu darują i nie będzie musiał iść do więzienia. Gdyby jednak w międzyczasie popełnił nowe przestępstwo, następuje automatycznie natychmiastowe wykonanie wyroku i ma nową sprawę.

Jednak tak prokurator jak i obrońca zapowiedzieli apelację do wyższej instancji sądowej, czyli Sądu Apelacyjnego, wobec czego Jędrka czeka raz jeszcze przyjemność zeznawania w sądzie.

Do tego czasu oskarżony szofer został zwolniony z aresztu, który mu zaliczono do kary więzienia, jaką ma jeszcze odsiedzieć.

Wyszliśmy z tego sądu z kwaśnemi minami; czułem że Jędrkowi odeszła ochota pysznienia się swoim świadkostwem!

II. »SZARY DOM«.

Szary dom — to więzienie. Widać go z okien Leszkowych na Mokotowie.

Ogromna budowla, otoczona wysokim, czworokątnym murem — to cały zamknięty dla siebie świat. Nad murami wznoszą się wieżyczki strażnicze, skąd czuwają dzień i noc uzbrojeni wartownicy, by nikt z tego więzienia nie umknął.

»Szary dom« jest jakby bez okien. Ma wprawdzie otwory okienne, ale zasłonięte od zewnątrz pochyłą deską ochronną i mocną kratą.

Za temi kratami siedzą przestępcy, tacy sami ludzie, jak my, tylko nieszczęśliwi, bo występni. Skazani prawowitemi wyrokami sądów polskich na dłuższą lub krótszą karę, są wydzieleni ze społeczeństwa, aby nie mogli mu szkodzić.

— To cały smutny świat dla siebie, to nasze więzienie mokotowskie! — rzekła mama Leszka, patrząc z okien swego mieszkania na ten posępny budynek. — Siedzą przeważnie we wspólnych celach, czystych wprawdzie i higienicznych, ale beznadziejnie szarych.

Pani Sokólska bywa tam nieraz, bo należy do Patronatu Opieki nad Więźniem. Opowiada więc, jak to tam wygląda:

— Wszyscy mają krótko ostrzyżone głowy i strój więzienny na sobie. Rano wczas budzą ich do pracy. Pożywienie jest jednostajne i niewyszukane. Są tam warsztaty rozmaitego rodzaju, w których więźniowie



Wszyscy mają strój więzienny na sobie...

muszą pracować. Za to, gdy skończy się już ich kara, otrzymają zapracowany grosz na rozpoczęcie nowego, uczciwego życia.

Za nieposłuszeństwo lub w rocznicę zbrodni dla obostrzenia kary zakuwa się ich w kajdany.

Dowiadujemy się jeszcze z ust mamy Leszka, że chwila wyjścia na wolność jest może najbardziej tragiczna. Marzy o niej każdy więzień skrycie, licząc gorączkowo dni, miesiące a nieraz i lata, pozostałe jeszcze do odsiedzenia. W razie wzorowego sprawowania się,

następuje częściowe umorzenie kary. Także nastąpić to może w drodze łaski Pana Prezydenta, albo ogólnej amnestji. Przebywający dłużej za kratą przestępca traci kontakt ze światem i niebardzo wie, co począc z odzyskaną wolnością.

Pracę dla byłego więźnia znaleźć trudno, ciąży bowiem na nim piętno kryminalisty, choć sama ustawa zakazuje wypominać komukolwiek odpokutowane już przestępstwo. Ciągnie go więc ku sobie podziemny świat przestępczy. To mu się wydaje najłatwiejszem wyjściem z tej trudnej sytuacji. Często też douczył się wśród innych, bardziej wyrafinowanych zbrodniarzy, złych rzeczy i znów idzie kraść, rabować, zabijać. Nad byłym więźniem ciąży opiekuńcza dłoń policji, która śledzi, czy aby dany przestępca nie zamierza powrócić do złych skłonności.

Walczy z tem Patronat. Jest to instytucja ludzi dobrej woli, którzy opiekują się przestępcą w czasie odbywania kary, a zwłaszcza w chwili, gdy ją ukończy. Ułatwia mu ten okres przejściowy, starając się dla niego o pracę i interesując się dalszym jego losem.

Dawniej — więzienie miało tylko karać i odstraszać ludzi od popełniania przestępstw. Było ono często tylko okrutną zemstą społeczeństwa za złamanie świętych jego praw.

Dziś ma ono jeszcze inny cel: poprawę skazanego. Dlatego też segreguje¹ się skazańców według wieku, inteligencji, zajmowanego poprzednio stanowiska i rodzaju przestępstwa. Osobno zamyka się t. zw. »recydywistów« czyli niepoprawnych, wielokrotnie karanych.

¹ Segregować = dzielić.

Prowadzi się kursy dokształcające, odbywa z więźniami pogadanki, przez dobre słowo i odpowiednią lekturę stara się ich podnieść moralnie i oświecić.

Są w Polsce jeszcze inne więzienia, lżejsze i cięższe. Najcięższe to »Świętokrzyskie« w okolicy Kielc, gdzie przebywają zbrodniarze skazani na więzienie wieloletnie lub dożywotnie za ciężkie, krwawe zbrodnie.

Istnieją też osobne oddziały więzienne dla kobiet, jak np. w Fordonie koło Bydgoszczy.

Nieletnich przestępców sądzą specjalne sądy dla nieletnich i skazują ich na zamknięcie w domach poprawczych, gdzie ich uczą jakiegoś fachu i starają się wychować na pożytecznych jeszcze kiedyś obywateli.

Ale każde więzienie jest smutne!

Ojczyk mówi, że im więcej szkół i dobrobytu powszechnego, tem mniej będzie więzień i przestępców. Bo zbrodnia i kara — to ciężkie rany społeczne, które zagoją się wtedy, gdy zniknie zło i nędza na świecie!

III. »ŚWIĘTOŚĆ PRAW«.

W naszej świetlicy szkolnej mieliśmy onegdaj zebranie, na którym jeden ze starszych kolegów wygłosił referat p. t. »Świętość praw«.

Pilek, który umie stenografować, zanotował sobie wszystko, choć powiedział, że zakończenie było zbyt bombiaste. Jędrrek oświadczył krótko, że to wszystko bzdura, która go nic nie obchodzi. Od czasu tej sprawy w sądzie, ma wyraźną niechęć do wszystkich instytucji sądowych!

Mnie się to jednak podobało, więc sobie wiernie wszystko przepisałem ze stenogramu Veigla.

»Podstawą każdego ustroju państwowego jest praworządność. Istnieją ustawy, jasno określające prawa i obowiązki obywateli.

Nad świętością tych praw czuwają sądy. Ministerstwu Sprawiedliwości podlegają wszystkie więzienia, domy poprawcze i nadzór nad wymiarem sprawiedliwości.

Wszelkie naruszenia kodeksu karnego ściga państwowy sąd karny. Spory zaś pomiędzy obywatelami natury majątkowej rozstrzygają państwowe sądy cywilne w myśl kodeksu czyli zbioru ustaw cywilnych. Regulują one prawo własności i wszystko co się z tem łączy, a więc zobowiązania, posiadanie i spokojne użytkowanie tego prawa, spadkobranie, prawa do ziemi i do nieruchomości ziemskiej, prawa handlowe i wiele innych spraw.

Najniższą instancję sądową stanowią sądy grodzkie. Rozpatrują one małe przewinienia lub rozstrzygają spory, których przedmiotem są wartości stosunkowo niewielkie. Sądów tych jest stosunkowo najwięcej. Można je znaleźć prawie w każdym małym miasteczku, w wielkich miastach jest ich kilka, w Warszawie kilkanaście.

Drugą instancją są sądy okręgowe. Te sądzą wszystkie ważniejsze przestępstwa i zbrodnie i nakładają kary cięższe, do kary śmierci włącznie. W sprawach cywilnych rozstrzygają poważniejsze spory, wyłączone z pod kompetencji sądów grodzkich. Mieszczą się one w większych miastach.

Trzecią instancję stanowią sądy apelacyjne, których jest 8 na terenie całego państwa. Załatwiają one tylko sprawy apelacji czyli odwołań się stron lub prokuratora w drugiej instancji, jeśli chodzi o sądy okręgowe, w trzeciej — dla sądów grodzkich.

Nad tem wszystkiem istnieje jeszcze Sąd Najwyższy w Warszawie, który załatwia sprawy ostatecznie w razie kasacji czyli odwołania się od wyroku Sądu Apelacyjnego.

Wyroki Sądu Najwyższego są wiążącą podstawą do osądzania wszystkich innych podobnych spraw.

Poza tem istnieją jeszcze sądy pracy dla rozstrzygania sporów między pracodawcą a pracownikiem; sądy handlowe dla spraw wynikających ze stosunków handlowych i przemysłowych; Trybunał Kompetencyjny, który orzeka jedynie, czy dany sąd jest dla danej sprawy właściwy; wreszcie — Najwyższy Trybunał Administracyjny, który załatwia spory między władzami a obywatelem, skarżącym się na mylne zastosowanie prawa przez jakiś urząd administracji państwowej.

Wszyscy sędziowie są niezawisli. Sądzą oni jedynie na podstawie wydanych praw i ustaw oraz według swobodnej oceny własnego sumienia. Nowy polski kodeks karny, niedawno wprowadzony w życie na miejsce dawnych kodeksów austriackich, rosyjskich i pruskich, względnie niemieckich, pozostawia im pod tym względem dużą swobodę. Kodeks ten, opracowany przez Polską Komisję Kodyfikacyjną po latach wytężonej pracy, uznany został przez międzynarodowe autorytety prawnicze za jeden z najlepszych i najnowocześniejszych w świecie.

Sędziowie podlegają jedynie władzom sądowym. Nie można ich ani usuwać, ani przenosić bez ich zgody. Mianuje ich na wniosek ministra sprawiedliwości Prezydent Rzeczypospolitej.

Istnieje ponadto osobny Urząd Prokuratorski, podległy wprost ministrowi sprawiedliwości, który ściga z urzędu przewidziane kodeksem przestępstwa, prowadzi dochodzenia i oskarża obwinionych przed sądami karnymi.

Do obrony obwinionych powołani są adwokaci, którzy ukończywszy studia prawnicze złożyli przepisane egzaminy i są wciągnięci na listy obrończe sądów.

Interesów skarbu państwa broni Prokuratorja Generalna Rzeczypospolitej, która występuje w imieniu państwa we wszystkich sporach z obywatelami. Jej ocenie podlegają też z punktu widzenia korzyści dla skarbu wszelkie umowy, przez państwo zawierane.

Oto ten wspaniały gmach sprawiedliwości polskiej, który zbudowaliśmy na gruzach państw i ustaw zaborczych, jednocząc pod względem prawnym trzy zabory. Dźwiga się on z chaosu powojennego i zdżiczenia moralnego, spowodowanego tyloletnią rzezią światową.

U progu tego pałacu stoi bogini sprawiedliwości. W jednej dłoni dzierży miecz kary, w drugiej — wagę, na której odmierza dobre i złe uczynki każdego obywatela. Na oczach ma przepaskę, bo sprawiedliwość jest ślepa, nie widzi osoby tylko sprawę. Wszyscy bowiem wobec niej jesteśmy równi, czy możemy tego świata, czy chudopachołek.

Chłubi się nim nasze młode państwo. Bo ten symbol stoi na straży świętości praw, będących podstawą każdego cywilizowanego społeczeństwa!«

OPIEKA SPOŁECZNA.

I. »CHORA KASA«.

Niedaleko nas mieszka niejaka Teresa Kąkol. Jest to uboga, wyniszczona ciężką pracą kobieta, z całą gromadą bachorów.

Chodzi prac po domach i na posługi. Za dozorstwo w małej kamieniczce ma bezpłatne mieszkanie i nic więcej.

Jej mąż trudni się murarką. Ale dziś rzadko kiedy ma co do roboty. Przeważnie więc pije. W zimie — bo nie ma pracy, w lecie też — bo



„Kasyno w kuchni“.

czasem dostanie gdzieś zajęcie. I tak w kółko cały rok Boży. Potem wraca do domu i grzmoci żonę i dzieci.

Pani Kąkolowa zachodzi do naszej Justysi, no i wtedy jest »kasyno w kuchni« — jak to ojczyk nazywa.

Lubimy tam zaglądać popołudniu, gdy jest już wszystko pięknie pomyte i posprzątane i pachnie mydłem świeżo szorowana podłoga. Siadamy na stole pod oknem i wymachujemy zwisającymi nogami.

Justysia niby to na nas pomstuje, ale my się tem nie przejmujemy. Wiemy, co o tem sądzić. Przepada za nami i lubi sobie pogadać. Jest dumna z nas i chwali się w maglu i w sklepiku i gdzie tylko może. Słyszeliśmy nieraz, jak mówi o nas:

— Te moje paniczyki — to złoto! A co za serca mają miętkie, no, mówię wam do rany przyłóż! Zwłaszcza panicz Kaziczek. Ale zato paniczyk Jędrus — to głowę ma jak ksiądz, albo zgoła rabin. Wszystko wie, wszystko umie wytłumaczyć.

Muszę tu dodać, żeśmy nauczyli Justysię pisać, czytać i rachować. I nieraz jej pożyczamy nasze książki. Lubi zwłaszcza wszystkie bajki z obrazkami, tylko żeby były »straszne« i dobrze się kończyły.

— To tak przyjemnie — powiada — czytać o tych smokach albo i czarownicach, że aż mróz po krzyżach idzie.

Gdy przyszła do nas przed wielu laty, to był to głupi ćwok wsiowy. A dziś zrobiła się z niej warszawianka całą gębą!

Na łóżku Justysi, wysoko zasłanem poduchami, siedzi stara Teresa i wzdycha.

— Cóż to pani? — dopytujemy się, boć przecie to wzdychanie to na naszą intencję. Wiemy o tem dobrze.

— Chora jestem. Cosik mi się w płucach oberwało i tak kłuje, jakby nożem — skarży się biedaczka.

— A do »chorej kasy« czemuż to pani nie idzie? — wtrąca Justysia fachową uwagę, prasując nasze koszule.

— Iiii! — odpowiada zniechęcona i zgorzkniała — chodziłam ci po różnych doctorach, ale mi nic poradzić nie umieli.

— Bo to te kasowe doctory, to tak leczom, wiadomo, jak za darmo! — dorzuca Justysia zjadliwie, dmuchając w żelazko.

— Teraz już niema »Kasy Chorych«, tylko »Ubezpieczalnia Społeczna« — objaśnia Jędrak obie profesorskim tonem.

— Jak się zwa, tak się zwa! Tyle wim, że każdego pierwszego od nas, biedaków, składki ściągają, mojemu też zarobki obrywają, a pożytku z tego nie widać.

— Jakto nie widać? — wtrącam i ja swoje »trzy grosze«. — Przecież panią leczą za darmo i lekarstwa dają, jakie tylko trzeba. Czy pani mogłaby sobie pozwolić na prywatnego lekarza, któremu trzeba drogo za wizytę płacić?

— Prawda jest, leczyć leczą! — potwierdza zmieszana Kąkolowa.

— Pożytek tej »Ubezpieczalni« widzi się dopiero wtedy, gdy przyjdzie nieszczęście! — dodaje Jędrak filozoficzną uwagę.

— A Jadwinię paniną, kto zeszłej zimy wykurował, jak odrę miała? Przecież się maleństwo już dusiło! — bierze naszą stronę Justysia.

— Ale teraz więcej płacić każą! — upiera się sąsiadka, jeszcze nie całkiem przekonana.

— No tak — tłumaczy Jędrak — bo obecnie pani i jej rodzina ubezpieczona jest nie tylko od choroby, ale też i od bezrobocia i od wypadków przy pracy i na starość. Czytałem o tem wszyskiem w gazecie!

— Ja na ten przykład, jak przepracuję swoje lata — dodaje Justysia z nad deski do prasowania — i więcej robić nie będę mogła, dostanę na resztę życia zaopatrzenie miesięczne.

Mówiła jej bowiem o tem niedawno nasza mama.

— Justysia dostanie po ukończeniu 60 lat życia albo na wypadek niezdolności do pracy 20 zł miesięcznie.

— 20 zł? — dopytuje się dozorczyńni — to nie dużo, ale zawsze coś, stancję czyli ten dach nad głową opłacić z tego można.

— Właśnie! — potwierdza Justysia — a że mam uciulanych parę groszy na książeczce, zawsze będę miała co do gęby włożyć!

— Ubezpieczalnia Społeczna — wyjaśnia Jędrak — to jednak pożyteczna instytucja. Narzekają na nią wszyscy, ale ona dużo dobrego robi, jeszcze się kiedyś pani o tem przekona. Kto dawniej myślał o zdrowiu ubogich ludzi? O ich starości, niedołęstwie, wypadkach przy pracy?

A że nie wszystko jeszcze funkcjonuje należycie — to od tego są władze nadzorcze, które starają się uprościć zbyt urzędnicze załatwianie spraw i doprowadzić do tego, aby każdy potrzebujący otrzymał jak najszybciej pomoc. Sama zasada ustaw ubezpieczeniowych jest piękna i pożyteczna.

II. SIEROTY.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się o tragicznym wypadku męża Kąkolowej. Zatrudniony od paru tygodni przy budowie, spadł z rusztowania i pokaleczył się ciężko. Pokazało się, że był w stanie nietrzeźwym. Zabrali go zaraz do szpitala, leczyli przez kilkanaście dni, ale niewiele mu to pomogło, bo zmarł w połowie kwietnia.

Ubezpieczalnia wypłaciła żonie premję od wypadku, dzięki czemu było za co pochować. Ale biedna Kąkolowa tak się tem wszystkim strapiła, że aż się rozchorowała na dobre.

Lekarz z Ubezpieczalni stwierdził, że ma otwartą gruźlicę. Przyjechali więc po nią karetką ze szpitala.

Serca nam się krajały, gdy się ta biedna kobieta żegnała z dziećmi, łkając i zawodząc:

— Sieroty moje biedne, kto się wami zajmie? Kto zaopiekuje? Zmarniejecie chyba biedactwa bez matki!

Ale dobrzy sąsiedzi uspakajali chorą, że będą nad dzieciarnią czuwać. Jakoż dali znać do ochronki i zjawiła się siostrzyczka w białym kornecie na głowie, która troje młodszych zabrała do sierocińca. Anda i Stach są już starsi i jakoś prędzej sobie dadzą radę. Ona będzie do nas chodzić na obiady, a dla Stacha mamusia wyrobiła bony do kuchni obywatelskiej. Właścicielka kamieniczki, gdzie Kąkolowa była dozorczynią, kazała chorej powiedzieć, że jej dzieci z mieszkania nie wyrzuci, póki matka nie wyzdrowieje.

W niedzielę przed południem wzięła mamusia nas

i dwoje »Kąkoląt« (jak ich nazywa Justysia) i pojechaliśmy do szpitala.

W dużej i widnej chociaż bardzo natłoczonej sali leżała Kąkolowa na żelaznem łóżku pomiędzy innemi choremi. Pościel i na niej i na łóżku była czyściutka, choć już mocno sprana. Chora miała włosy gładko wtył uczesane. Siedziała wsparta na poduszkach.

Usiedliśmy obok niej; mamusia na jakimś kula-wem krzeselku, my czworo na sąsiedniem, pustem w tej chwili łóżku.

Mamusia włożyła wiązanek pachnących goździków do słoika z wodą na szafeczce obok łóżka. Kąkolowa odwracała co chwila głowę i wachała kwiaty z lubością.

A my położyliśmy na jej kołdrze drobne podarki: owoce, ciastka, słodką bułkę. Jej syn najstarszy przyniósł nawet tabliczkę czekolady.

Strasznie się nami Kąkolowa cieszyła. Po jej wychudłych policzkach spływały łzy. Miłosnem spojrzeniem obejmowała głowy swoich dzieci, głaskała je, to znów wybuchała dziękczynieniem dla mamusi i dla nas.

— Niechże się pani uspokoi! — perswadowała jej mama. — Wszystko będzie dobrze, wyzdrowieje pani i znów szczęście powróci do waszego domu.

Opowiedziała jej o pomyślnych nowinach, że Andę umieści u modniarki na praktyce, a Stacha zapisze do »Organizacji Młodzieży Pracującej« i że będzie chodził na naukę do szkoły rzemieślniczej.

— A tych troje młodszych jest u zakonnic i bardzo im tam dobrze, bo je wczoraj odwiedzałam. Kazały mamę mocno uściskać i życzyć prędkiego wyzdrowienia.

— Czem ja państwu wynagrodzę? Boże mój, Bo-

że! — powtarzała kobiecina, składając ręce, jak do modlitwy. A z piersi jej dobyło się westchnienie ulgi, iż los jej dzieci został zabezpieczony, przynajmniej narazie. Aż się przy tem zakaszła, biedaczka!

Po sali, jak dobre duchy, snuły się siostry miłosierdzia, zaglądając od łóżka do łóżka. Jedna z nich podała chorej jakieś lekarstwo na kaszel.

— Tyle wesela w jednym dniu! — szeptała Kąkolowa, łapiąc z trudem powietrze. — Siostrzyczko kochana, proszę patrzeć, co mi tutaj dobrzy państwo nanieśli! Jaką radosną mam dziś wizytę! I dzieciaczki moje najdroższe koło mnie...

— Niech pani tak dużo nie mówi! — przestrzegała siostra-pielęgniarka.

Dowiedzieliśmy się przytem, że za parę dni ma jechać pacjentka do Otwocka,¹ do sanatorium Ubezpieczalni, na dalszą kurację.

— A to wszystko za te składki miesięczne, na które pani Teresa tak narzekała kiedyś! — rzekł Jędrrek.

— Prawda, prawda, mój paniczku złoty! Niech się święcą te rządy polskie, które tak o biednych ludzi dbają! Wszystkim to będę powtarzać i tem gębę zamknę każdemu, ktoby na te ubezpieczalnie narzekał. Wiem ci ja, że to głowa i rozum tego tam, co to wisi na ścianie. Niedarmo mówią o nim, że jest ojcem polskiego narodu! — mówiła patrząc na przeciwległą ścianę, gdzie obok portretu Pana Prezydenta wisiał obraz przedstawiający Marszałka.

— Nietylko ojciec, ale nawet »dziadek ukochany!« — dodała mamusia, uśmiechając się do chorej.

¹ Otwock = miejscowość klimatyczna pod Warszawą.

Nie chcąc jednak dłużej jej męczyć, pożegnaliśmy biedaczkę, zapewniając, że dzieciakom krzywdy nie damy zrobić!

III. WSTAŻECZKA »VIRTUTI MILITARI«.

Na rogu jest kiosk z papierosami. Siedzi w nim niestary jeszcze mężczyzna, który mieszka naprzeciw nas.

Nieraz go spotykamy rano, idąc do szkoły. Zawsze kłaniamy mu się uprzejmie. Jest to bowiem inwalida wojenny!

— Szanujcie chłopcy — powtarza nam ojczyk — szlachetne kalectwo, spowodowane kulą wroga! Każda ułomność zasługuje na współczucie i poparcie. Ale ułomność inwalidów wojennych — to zaszczytne bohaterstwo!

Nasz znajomy z kiosku idąc — utyka. Podpiera się laską z gumą na końcu. Obcięli mu nogę w szpitalu w czasie wojny bolszewickiej. Na jej miejscu ma sztuczny aparat, czyli t. zw. »protezę«. Był wtedy młodziutkim ochotnikiem 21 p. p. »Dzieci Warszawskich«. To sławny pułk!

Kula bolszewicka pozbawiła go tej nogi. Stracił ją w obronie Ojczyzny. I dumny jest z tego. Nieraz przechodząc, rozmawiamy z nim.

— Mam za to coś cenniejszego, niż noga, cenniejszego, niż życie! — mówi wskazując na czarno-niebieską wstażeczkę w klapie marynarki. Jest to odznaka orderu wojskowego »virtuti militari«.



Virtuti
militari.

Ojczyk opowiadał nam, że to najwyższy i najzaszczytniejszy polski order wojskowy. Zdobił on piersi najlepszych Polaków. Pierwszy nosił ten krzyż na swej ułance książę Józef Poniatowski. Dostał go też i Kościuszko za bohaterski bój pod Dubienką. A dziś — zdobi on szary mundur strzelecki Komendanta.

Kawalerowie »virtuti militari« otrzymują ze skarbu państwa roczną pensję i mają rozmaite przywileje. Jest ich obecnie zaledwie kilka tysięcy, wybranych z pośród miliona żołnierzy, którzy walczyli o Polskę.

To niewiele! Widać, że nie tak łatwo było na ten wysoki order zasłużyć.

— Drugie tyle kolegów-kawalerów tego orderu ziemię gryzie oddawna — objaśnia nas inwalida. — Polegli na polu chwały. Otrzymać go mogą żołnierze za czyn wybitnego męstwa, połączony ze specjalnem narażeniem życia. Muszą oni dokonać czegoś więcej jeszcze ponad zwykły obowiązek żołnierski.

Jest jeszcze jedno takie wysokie odznaczenie: »krzyż niepodległości«. Nadają go za zbrojny udział w budowaniu Polski niepodległej, jeszcze przed jej powstaniem.

— A »krzyż walecznych?« — pytamy.

— To też odznaka za dzielność na froncie, ale w granicach dobrze spełnionego obowiązku żołnierskiego.

— Dużo też jest w Polsce inwalidów wojennych?

— Sporo, coś około 150 tysięcy, razem jednak z wdowami i sierotami. Ci wszyscy mają prawo do zaopatrzenia ze skarbu państwa. Nie jest to jednak tak wiele, jak np. we Francji, która ma półtora miliona ofiar wojny.

Oszło miła nas ta cyfra. Wyobraziliśmy sobie taki

olbrzymi pochód inwalidzki. Półtora miliona! Ależ to więcej, niż ludności w całej Warszawie. Biedna nasza sojuszniczka, ileż krwi wylała w obronie swych granic!

Dowiadujemy się jeszcze, iż inwalidzi wojenni, w myśl odpowiednich ustaw, poza rentą, mają prawo do bezpłatnego leczenia się na koszt skarbu; otrzymują protezy czyli sztuczne kończyny i aparaty z fabryk państwowych; wszystkie przedsiębiorstwa rządowe, samorządowe i prywatne obowiązane są w pierwszym rzędzie zatrudniać inwalidów.

Poza tem wielu z nich posiada sklepy tytoniowe, wódczane lub solne, nadane im przez monopole państwowe. Renta zaś zależna jest od stopnia niezdolności do pracy, stosunków rodzinnych, wysokości zarobków oraz miejsca zamieszkania.

— Jest to wielki ciężar dla naszego młodego państwa — mówi nasz znajomy z kiosku. — Na opiekę nad ofiarami wojny idą miliony. Ale to jest święty dług całego narodu. My, inwalidzi, umiemy to ocenić. I choć życie nasze nie jest zbyt rozkoszne, choć gorzko ciąży nam nieraz kalectwo, choć przykre jest fizyczne nasze upośledzenie — jednak gotowiśmy zawsze, kiedykolwiekby tylko zaszła potrzeba, stanąć do boju z każdym, ktoby się ośmielił naszą Ojczyznę zaatakować. Niechno tylko nasz Wódz rozkaże, a choć kulawi, potrafimy jeszcze karabin w garści utrzymać. Wszak w 1920 r. nie brakło takich, którzy choć inwalidzi z wojny światowej, poszli znów na ochotnika po nowe rany lub śmierć zaszczytną.

Gdyśmy to w domu opowiedzieli, rzekł nam ojczyk:

— Tacy oni już są, ci nasi chłopcy kochani, wychowani w twardej szkole wojennej Komendanta! Nie dziw więc, że na ich czele odnosił On zwycięstwa!!

IV. »KOCHAJ BLIŻNIEGO TWEGO«!

— Dobrym chrześcijaninem jest niekoniecznie taki, który odmawia pacierze i ściśle wypełnia przepisy Kościoła, ale przedewszystkiem ten, który w życie wciela boską naukę Chrystusa! Wśród wielu jego przykazań, najpiękniejszy może i najprostszy jest nakaz: »Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego!«

— Tak, kochańciu! — odpowiadamy matce, tuląc się do niej w czasie jednej pogadanki przedwieczornej w jej pokoju.

— Te święte słowa umieszczone są też w prawie harcerskiem, na które składaliśmy ślubowanie.

— Nauka Chrystusowa sprowadziła na ówczesny świat, gdy Syn Boży żył jeszcze i nauczał, istny przewrót. Bo ten świat pogański, rzymski, dzielny był i mądry, umiał wznosić wspaniałe pomniki w bronzie i marmurze, które podziwiamy do dziś, podbijał ludy i władał sprawnie wszystkimi prawie krajami. Ale obce mu były słodkie słowa miłosierdzia. Nie znał litości ani dla siebie, ani dla drugih. Pławił się we krwi i w pocie uciskanych i bezbronnych. Hasłem jego był okrzyk wojenny: »Vae victis! — Biada zwyciężonym!« Dopiero chrystjanizm nadał światu temu nowe prawa. Macie je wyryte obok kościoła Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, na gmachu warszawskiego Towarzystwa

Dobroczynności: »Res sacra miser! — Niedola jest rzeczą świętą!«

— Czytaliśmy to nieraz — rzekłem — nie zastanawiając się wcale nad znaczeniem tych słów.

— Otóż Polska, którą nie nadarmo zwano niegdyś »przedmurzem chrześcijaństwa«, po odzyskaniu niepodległego bytu w czyn wcieliła naukę Bożą, ustanawiając Ministerstwo Opieki Społecznej. Jak sama nazwa wskazuje, urząd ten ma za zadanie troszczenie się o wszelką niedolę w państwie naszym. Opiekuje się to ministerstwo przede wszystkim dziećmi i matką, biednymi, bezdomnymi, sierotami, dla których tworzy i utrzymuje sierocińce, ochronki, przytulki dla starców, domy dla kalek i upośledzonych. Dbą o kobietę samotną, pracującą, wyzyskiwaną...

— To piękne ministerstwo! — zauważył Jędrak.

— Bezwątpienia. Wydaje ono mądre ustawy, ukrócające nadużywanie pracy kobiet i dzieci. Opiekuje się inwalidami wojennymi i ofiarami wojny. Dbą o ludzkie warunki pracy, nadzorując wszystkie fabryki, kopalnie, warsztaty i przedsiębiorstwa przy pomocy całej armii inspektorów i inspektorek pracy, których zadaniem jest łagodzenie zatargów między pracodawcą a pracującym.

— To ci inspektorzy są w całej Polsce? — zapytałem.

— Naturalnie. Dbają oni o bezpieczeństwo i odpowiednie warunki zdrowotne przy pracy. Ministerstwo Opieki Społecznej wydaje na ten cel dużo pieniędzy. Utrzymuje stałych delegatów w Genewie przy międzynarodowym biurze pracy Ligi Narodów. Jest dalej władzą naczelną wszystkich ubezpie-

czalni społecznych, instytucyj dobroczynnych, fundacyj i towarzystw, zajmujących się opieką społeczną.

— Czy może to ministerstwo wszystkiemu podołać? — wyraziłem moje wątpliwości.

— W każdym urzędzie wojewódzkim i w każdym starostwie na prowincji jest referat opieki społecznej, który troszczy się o te sprawy na swoim odcinku.

— A bezrobocie, mamusiu? — dorzucił Jędrrek.

— Otóż i tej klęsce społecznej wydało to ministerstwo zażartą wojnę, wspólnie z Funduszem Pracy, ustanowionym niedawno przy Radzie Ministrów. Owocem tej współpracy są już dziś owe ochotnicze drużyny robocze; napełniły one cały nasz kraj radosnem szczęściem łopat i oskardów, któremi torujemy Polsce drogę do lepszej przyszłości.

— To będzie pożytek z tej pracy! — zawołał Jędrrek.

— Rzecz jasna: nowe drogi, mosty, linje kolejowe i inne prace, tak pilne i potrzebne.

— A więc, drogie »jedynaki« moje, nie zapominajcie o tem Chrystusowem przykazaniu: »Kochaj bliźniego twego...« W tych paru słowach ujęte macie całe zadanie opieki społecznej.

WIEŚ POLSKA.

I. WIOSENNA ORKA.

Jest wiosna, jest cudnie i jesteśmy znowu w Basiówce, gdzie spędzimy całe święta! Przyjechaliśmy już wczoraj a rodzice zjadą w Wielką Sobotę.

Chodzimy po polach i leśnych ścieżkach. Nic się właściwie tu nie zmieniło!

Po przywitaniu się z rodziną kowala, poszliśmy z Walusiem, uszczęśliwionym naszym przyjazdem, popatrzeć jak Antek orze.

Ich zagon leży tuż przy szosie. Antek, na bosaka i w samej tylko kamizelce, pogania długim batem starą kobyłę, zaprzęzoną do pług. Za koniem i Antkiem drepczą wytrwale zmoknięte wrony i z pod świecącego lemiesza wydziobują robaki z tłustego czarnoziemu.

— Szczęść Boże! — wołamy wesoło do Antka, patrząc na jego pracę.

— Panie Boże zapłać! — odpowiada nam również radośnie.

Gdy się znów ku nam przybliżył, przystanął przy miedzy i przywitał się z nami serdecznie. Wycierając pot

z opalonego już czoła, wypytywał nas, kiedyśmy przyjechali i na jak długo i co koło nas nowego?

On też jest w szkole w Warszawie, uczy się ślusarki i mechaniki. Teraz zjechał do domu, więc pomaga trochę w gospodarce.



...Poszliśmy popatrzeć jak Antek orze...

—Pogoda piękna! — powiada. — Ozimina już wschodzi, teraz czas jare siać.

I wyjaśnia nam, »głupim mieszczuchom«, że pewne gatunki zbóż sieje się w jesieni, po skończonych żniwach. Leży sobie piękne ziarno w pulchnej ziemi. Zaczisnie mu tam i ciepłutko, gdy je od wierzchu przysypie kołdra śniegowa, niby wata biała. A kiedy śniegi z pól spłyną, ziarno pęcznieje i włos zielony wypuszcza. Młode pędy z czarnych czeluści roli wyglądają na świat ciekawie i rosną, rosną ku słońcu, aż pełnym kłosem rozkwitną, złotym chlebowym kłosem! Inne znów

zboża, t. zw. »jare«, sieje się dopiero z wiosną. Wprzód jednak trzeba ziemię zorać i zbronować, aby spulchniała. Aby tem piękniejszy był urodzaj, dodaje się nawozu. Nawozy są różne; naturalny gnój z pod koni i bydła, i sztuczne, których dostarczają przedewszystkiem państwowe fabryki azotowe w Mościcach i w Chorzowie.

Z wiosną też okopuje się kartofle, sadi różne inne jarzyny, oporządza sady i pasieki. Roboty ma rolnik pełne ręce, ledwo słońce wiosenne zaświeci.

Z Antka gospodarz zawołany, choć się na rzemieślnika uczy.

— Jak skończę szkołę — powiada — toci taki tu warsztat mechaniczny wywałę, że ludzie ślepia wybałuszą!

Nad wszystko kocha Basiówkę i uważa, że gdzie indziej nie mógłby żyć.

— Miast, fabryk, warsztatów jeszcze w Polsce nie wiele, 80% ludności na roli siedzi! — tłumaczy nam. — Tylko, że naród ciemny i nie zna nowszych sposobów gospodarki. Na zachodzie, w Poznańskim, to umieją już prowadzić racjonalną uprawę i maszyny rolnicze mają i różnych zagranicznych doświadczeń próbują. Ale im dalej na wschód, tem bardziej pierwotna gospodarka. Jak dziad i ojciec uprawiali ziemię, tak też i syn, czy wnuk nic nie zmienia. Choć rząd nasz popiera i szkoły rolnicze i różne w gospodarstwie ulepszenia, naznacza instruktorów rolnych, przeprowadza meljoracje, czyli polepszenia gruntów, i komasację, czyli jednoczenie w jeden obszar rozrzuconych poletek — lud wciąż jeszcze bieduje na karłowatych gruntach. Tem bardziej teraz z tym kryzysem... Ceny płodów

rolnych spadły niepomieranie; by cośkolwiek w mieście kupić, trzeba wpierw sprzedać dużo, dużo zboża... I tak jest, niestety, na całym świecie. Czytałem, że w Argentynie pszenicę palą na polach, bo nie mają co z nią zrobić...

Jest z nami Felek, któregośmy z upoważnienia cioci-babci zaprosili na święta do Basiówki. Ojciec jego tak nam dziękował, że aż miał łzy w oczach!

Felek nie posiada się ze szczęścia, że jest na prawdziwej wsi, i zaczyna z Antkiem fachową rozmowę. Aż się dziwimy, skąd on, fabryczne dziecko wielkomiejskie, tyle się na ziemi rozumie?

— Cóż wy myślicie! — odpowiada nam zadowolony. — Czyż to niema w Warszawie książek o rolnictwie? Czytam różne broszury i gazety, słucham odczytów i przez radio łapię pogadanki rolnicze.

Opowiada nam dalej, jakie to obszerne i skomplikowane zagadnienie jest kultura rolna. Twierdzi, że należy nasze rolnictwo uprzemysłowić, zakładać sady i ogrody warzywne. Trzeba zwiększyć spożycie płodów rolnych, zwłaszcza rozmaitych jarzyn i owoców w zimie, które można mieć przy odpowiedniej hodowli. W ten sposób zarobki rolników się podniosą. A największe nieszczęście — powiada — to dzielenie ziemi przez chłopów pomiędzy dzieci, bo w ten sposób mnożą się małe i ubogie gospodarstwa, niezdolne do utrzymania rodziny!

Wtem zdala zabrzmiała trąbka sygnałowa i w tumanach kurzu nadszedł samochód. Jadący widocznie dostrzegł naszą małą gromadkę, rozmawiającą w rowie przydrożnym. Zatrzymał maszynę, wyskoczył z wozu.

Rzuciliśmy się ku niemu radośnie, był to bowiem pan Zygmunt.

— Dzień dobry panu staroście! — witał go Antek.

— Dzień dobry, dzień dobry wam wszystkim! Szukam was chłopcy — rzekł zwracając się do nas — po całej wsi. Ciotka Helena powiedziała, żeście pewnie poszli do kowala. Chcę was bowiem zaprosić na nasz ślub, który się odbędzie tu, w Basiówce, w drugi dzień świąt...

Zrobiliśmy mocno zdziwione miny, a Antek rzekł:

— To i mojej Marty wesele w tym dniu. Wychodzi za pana przodownika!

— Tak? — zawołał pan Zygmunt — doskonale się składa, dwa weseliska odbędą się naraz, aż się cała Basiówka zatrząsie, tak sobie pohulamy! No, bywajcie zdrowi, ja walę do Warszawy, bo mam tam jeszcze kilka spraw załatwić, a tu święta zapadają! Więc do widzenia w poniedziałek!

To mówiąc, uściskał nas, wskoczył do samochodu i odjechał.

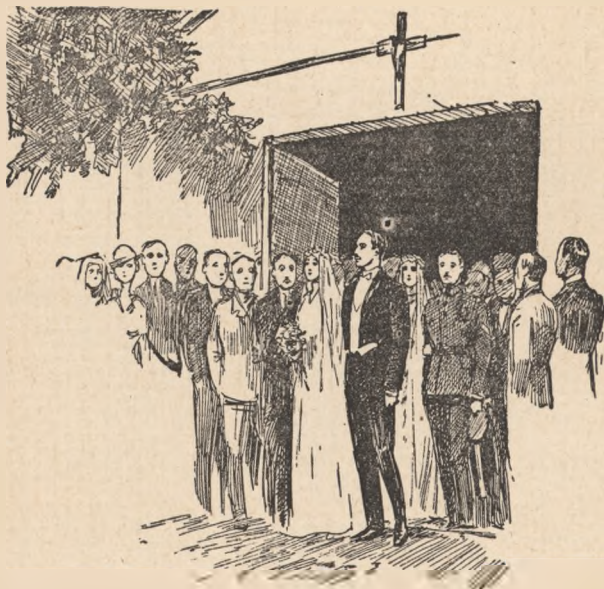
II. WESELE.

Nic Jasi to nie pomogło, że jest niby jakaś tam panna młoda i że to nie wypada, jak nam usiłowała ciocia wytłumaczyć.

Obleliśmy ją dokumentnie, jeszcze kiedy leżała w łóżku, raniutko. Cała konewka wody na to poszła. Bo i jakżeż mogło być inaczej? Trzeba święty obyczaj szanować, wszak to dziś »śmigus!« Zmarnować taką okazję dlatego, że ona doczekać się nie może tego swego ślubu?

A na podwórzu oblewali się pod studnią wiadrami parobcy i dziewczęta i nawet dostało się starej Agacie.

Nasza droga ciocia-babcia to się trochę na nas gniewała, niewiedomo za co.



...W kościółku wiejskim stanęły dwie pary...

— W takim uroczystym dniu mogliście dać sobie spokój! Zbyt szanujecie niemądre tradycje. O mały włos, a bylibyście Jasi ślubną suknię poleli.

Ale, jak Boga kocham, sukience nic się nie stało, bo wisiała wysoko.

O 10-tej rano w pachnącym od polnych kwiatów kościółku wiejskim stanęły przed ołtarzem dwie pary: pan Zygmunt z Jasią i pan przodownik w nowym, paradnym mundurze z Walusiową siostrą, kowalówną.

Zaroilo się od granatowych mundurów policyjnych kolegów i przyjaciół pana przodownika.

Pan Zygmunt był w czarnym stroju. Jego drużbowie trzymali w rękach świecące skopce, które się nazywają cylindry. Był pan wicewojewoda warszawski i wielu kolegów-urzędników. Nawet ojczyk trzymał w garści taki czarny komin.

A w ławkach i obok ławek tłoczyli się chłopci. Większość z nich już po miastowemu, tylko niektórzy jeszcze, zwłaszcza starsi, z mazurska. Banderja chłopska, na specjalne życzenie pana młodego, wystroiła się pięknie i kolorowo, w brązowe i białe sukmany, ze wstążkami barwnymi i różyczkami papierowymi u wysokich kapeluszy. Pasy szerokie, nabijane metalowymi guzami, portki pasiaste. Barwnie wygląda taki strój ludowy!

Siwy ksiądz proboszcz, widocznie wzruszony, miał piękną mowę o powinnościach małżeńskiego stanu i o starym, dobrym polskim obyczaju, jeszcze gdzieś niegdzie tylko po wsiach zachowanym.

Potem zamienili młodzi obrączki, organista huknął skocznie na organach i wszyscy hurmą wysypali się przed kościół.

Czekały tam dwa powozy, w siwki zaprzężone. W pierwszym pojechali Zygmuntowie, otoczeni mazurską banderją i plutonem strzelców, w drugim pan przodownik z Kasprzakówną, którym towarzyszyło kilkunastu konnych policjantów. Inni sadowili się do bryczek i wozów, gdzie kto mógł.

Cały orszak ruszył, trzaskając z biczów, okrężną drogą do »Domu Ludowego«. Tam bowiem miało się odbyć weselisko, bo u ciotki nie zmieściliby się wszyscy.

W świetlicy na dole zastawiono stoły jadłem i napitkiem. Państwa młodych witał uroczyście w progu starosta weselny, sam pan wójt gminy w sukmanie, podając chleb i sól na tacy. Składano młodym życzenia, muzyka grała »Niech żyją nam«, zdaje się trochę fałszywie, ale zato bardzo głośno.

Potem wszyscy zasiedli do biesiadnego stołu. I znów były mowy i toasty, pito dużo, z głów się kurzyło. W pewnej chwili wszyscy, zwłaszcza starsze kobiety, zaczęli krzyczeć:

— Gorzkie wino! Gorzkie wino!

Miało to znaczyć, że się młodzi mają pocałować. Jakoż i zrobili to ku ogólnemu zadowoleniu, choć i Jasia i Marteczka wstydziły się trochę.

A potem zabrali młode mężatki do sąsiedniej izby, gdzie się odbyły oczepiny. Wszystkie baby wiejskie stłoczyły się tam, szlochając zawzięcie, niewiadomo czego? Chłopaki ze wsi podglądali przez okna i dziurkę od klucza. Mamusia nawet miała oczy załzawione, jak gdyby Jasi niewiadomo jaka krzywda się działa, a to przecież jej wymysł to całe małżeństwo!

Te oczepiny — to taki stary zwyczaj ludowy. Obcinają dziewczynie warkocze, zdejmują wianek z głowy i nakładają na to miejsce czepiec.

Jasi nie mają co tam obcinać, bo odkąd ją pamiętamy, zawsze strzygła włosy krótko.

Tymczasem drużbowie chodzili z tacą po izbie i zbierali pieniądze dla młodej na nowe gospodarstwo. Na tacy pana Zygmunta zebrała się spora kupka, bo i on sam dodał banknot 50-złotowy. Potem wręczył wszystkie te pieniądze staremu wójtowi mówiąc, że

niech to będzie na Dom Ludowy, w którym swoją przyszłą poznał, bo na ich gospodarstwo to już państwo daje, płacąc mu pensję! Więc znów były wiwaty i oklaski całej wsi dla pana Zygmunta i jego żony!

Gdy wreszcie obie młode wróciły do gości, już bez welonów ślubnych, zagrała wiejska kapela obertasa od ucha i rozpoczęły się ochocze tany.

W pierwszej parze tańczył pan Zygmunt z Jasią, promieniejącą ze szczęścia, w drugiej pan przodownik z kowalówną, a potem reszta, stłoczona para przy parze.

Od siarczystego tańcowania drzazgi leciały z podłogi z pod chłopskich podkówek a bielone ściany Domu Ludowego aż się trzęsły.

Co raz ktoś z tańczących przystawał przed muzyką, rzucał pieniądz do basetli i przyśpiewywał ochoczo.

Aniśmy się wszyscy spostrzegli, jak dzień się przechylił ku zachodowi. Państwo młodzi dawno się wymknęli. Za nimi potrochu poszli goście z miasta. Zostali sami swoi, wsiowi. Więc tem śmieiej pili i tańczyli, a potem znów na odmianę tańczyli i pili. Dziewuchy rozgrzane wychodziły ochłodzić się przed dom, parobczaki poczęli się o nie spierać i brać do bicia. Ale jakoś bez zwyczajnych (jak nam mówiono) obeszło się awantur, ze względu na zjazd policjantów na wesele przodownika.

Wreszcie zapadł mrok, zapalono światła. Dom Ludowy rozgorzał blaskiem, trząsł się od krzyków, dygotał od tanów i muzyki. Nawet my dwaj hasaliśmy rozbawieni z dziewczynami. Tylko jeden Feluś stał cichutko w otwartym oknie i chłonał wonne zapachy, idące od świeżo zoranych pól.

Gdyśmy wreszcie, dość mając zabawy, zbliżyli się do niego i spytali, jak się czuje, on ścisnął nas za ręce i rzekł cichutko:

— Czujecie, jak ziemia pachnie i rozkwita? Cudna jest ta polska wieś i niema nic chyba nad nią piękniejszego!



W POLSKIM LESIE I NA POLSKIEJ RZECE.

I. WYPRAWA ROBINSONÓW.

Leżę na dnie łodzi i patrzę w błękit nieba. Jędrak siedzi u steru. Felek manipuluje coś koło żagla. Popycha nas lekki wiatr lecz płyniemy szybko, gdyż z prądem.

Narew cudna, połyskliwa, szeroko z wiosną rozlana, unosi nas na swym grzbiecie do Bugu i Wisły. Na lewo i prawo woda obija się z pluskiem o boki naszej łodzi. Rzeka szumi, rzeka śpiewa. A po obu brzegach rośnie ciemna ściana lasu.

A my płyniemy sobie wesoło. Słońce przypieka mocno i opala nas na czerwono. Wyglądamy też już wszyscy trochę jak »czerwonoskórzy«. Na sobie nie mamy nic, prócz majteczek kąpielowych, choć kąpać się zabronił nam nasz »kapitan«, to jest Leszek. Powiada, że się jeszcze poprzeziębiamy a potem będzie wszystko na niego! Jest cudownie! Jest bosko...

Łódź nasza nazywa się »Rybitwa«. To taki ptak, co ryby łowi! Tę nazwę wymyślił Waluś Kasprzak i wymalował ją na burcie. On też tę łódź wyszperał i oporządził na nasz przyjazd. Leszek przywiózł ze sobą

nazajutrz po świętach Wielkanocnych żagiel ze swego kajaka.

Ale taka łódź jak nasza, to lepsze, niż kajak. To coś, jakby prawdziwy statek korsarzy!¹ Ja chciałem nawet wywiesić na maszcie czarną flagę z trupią główką, aby to było całkiem tak, jak u morskich rozbójników. Czytałem o tem nieraz!

Ale Waluś się temu stanowczo sprzeciwił. Powiedział, że to grzech i obraża boska taki pogański sztandar wywieszać i jeszcze nas chłopci za to gdzie po drodze obijają, biorąc nas za jakichś djabełskich bezbożników. Rostrzygnął



Łódź nasza nazywa się „Rybitwa“.

»kapitan«. I wywiesiliśmy chorągiewkę biało-czerwoną, którą nam Agata uszyła ze starej poszewki.

Wyprawa obmyślona i przygotowana była szczegółowo na wiele dni naprzód. Broń mamy też ze sobą, a jakże. Dwa wspaniałe łuki, wiatrówkę Leszka i bel-

¹ Korsarze = rozbójnicy morscy z dawnych czasów, używali jako znaku swego czarnej flagi z trupią główką.

gijski flower-karabinek. Ten flower to właściwie Antosia, ale Waluś pożyczył go sobie bez pytania, bo i tak Antka już niema, wrócił do Warszawy. Mamy też co jeść i pić, oczywiście same harcerskie napoje: kawę, herbatę, mleko.

Rozmawiamy z »Albinosem« o tem, że szkoda, iż Adasia niema, mógłby wypróbować swe zdolności marynarskie. Tylko, że on pływać nie umie, więc byśmy go nie mogli wziąć! A my wszyscy jesteśmy harcerze wodni.

Ale Waluś, który siedzi okrakiem na dziobie z długą wędką na bambusie, psyka na nas:

— Cichajta tam! Bo się ryby nie chcą chytać...

— A jakie tu są ryby? — dopytujemy się.

— Okunie, leszcze, liny, szczupaki nawet się zdarzają...

Ale Walusiowi jakoś się nic nie zdarza, więc obiad będzie bez ryby!

Na rzece pusto. Bo jeszcze wczesna pora, jak nas Waluś informuje. Latem płyną tędy tratwy gęsto, ze zbożem i z drzewem aż do Gdańska.

Powoli zapada wieczór. Jest cichy i słodki. Niebo nad wierzchołkami drzew ciemnieje i pokrywa się gwiazdami.

Waluś, zniechęcony niepowodzeniem, odrzuca wędkę. Natomiast patrzy pilnie przed siebie. Komenderuje Jędrkiem sternikiem.

— Bo Narew — powiada — to djabelska rzeka. Nie mało się w niej ludzi potopiło. Gdyby się wam co przytrafiło, miałbym ja od waszej pani cioci! Ma ta rzeka swoje wiry i prądy i mielizny. Zwłaszcza tu, gdzie

jesteśmy, zara będzie szerokie rozlewisko, bo się z Bugiem łączy niedaleczko.

Zna rzekę, jak my Stare Miasto. Wychował się na niej od dziecka.

To też, gdy nam, wpatrującym się w ciemną i tajemniczą wodę, robi się trochę nieswojo, on spokojnie komenderuje Jędrkiem.

W pewnej chwili woła:

— Jest, jest, tera ino na prawo sterem!

Brzegi rozstępują się. Lasy nikną. Nic, tylko woda koło nas. Nagle dostrzegamy niewielką wysepkę, całą porośniętą zielenią.

Dobijamy do brzegu i wyskakujemy na ląd. »Rybitwę« przymocowujemy mocno do pnia olchowego, który wystaje z wody.

— Tu przenocujem! — mówi Waluś. — W lecieby nas komary zajadły na nic, ale teraz ich jeszcze niema.

Noc jest chłodna. Wdziewamy więc na siebie, co kto ma ciepłego. Rozpalamy na brzegu ognisko, choć nie idzie nam to tak łatwo, bo drzewo wilgotne.

Wreszcie płomień chwytą chrust, więc biorę się do gotowania; na kolację będzie rosół z kostki buljonowej z ryżem — o ile się ryż ugotuje!

Felek z Walkiem budują przez ten czas zgrabny szałas z gałęzi i nakrywają to wszystko żaglem z łodzi.

Jemy wreszcie ten ryż, choć trochę twardy; oczy nam się kleją do snu. »Kapitan« Leszek ustanawia kolejność wart. Każdy będzie czuwał po dwie godziny z karabinkiem.

Wreszcie układamy się w szałasie na kocach i zasypiamy z cudownem uczuciem Robinsonów na bezludnej wyspie.

II. »DUCH PUSZCZY«.

Pierwsza warta wypadła na Walusia. Jest on z nas najmłodszy, więc dostał najłżejszą. O 22-giej zluźował go Felek. O północy zbudziłem Jędrka, który znów o 2-giej nad ranem zbudził mnie.

Tak postanowił Leszek, który dla siebie przeznaczył wartę ostatnią, najcięższą.

Ciemność panowała nieprzenikniona, gdym z karabinkiem w rękę obchodzić zaczął nasze małe obozowisko. Zaciskałem usta, aby mi zęby nie szczękały. Gdyż mimo ciepłego swetra, dygotałem cały i spać mi się chciało okropnie.

Ponury wiatr szeleścił w zaroślach. Drzewa rozmawiały ze sobą tajemniczo: dęby, buki, jawory, brzozy, graby i jak tam one wszystkie się zwa! Do ich pni, niby ich dzieci malutkie, tuliły się krzewy. A od strony rzeki szumiała czarna i złowieszcza woda. Czasem tylko jakaś gwałtowniejsza fala z pluskiem trącała dno łodzi, »stojącej na kotwicy« w malutkiej zatoczce. Wtedy nasza »Rybitwa« szarpała łańcuch ze zgrzytem, jakby gniewna, że ją wstrzymują w biegu!

Biegłem ku niej przerażony, czy aby nam nie ucieka z falą? Musielibyśmy chyba wpław wydostawać się z tej wyspy, a Narew w tem miejscu taka szeroka! Ale nie, łódź znajdowała się na miejscu.

Zwolna wiatr ustał i cisza zapanowała niesamowita. Wszystko wokoło wyglądało inaczej, niż za dnia. Czu-

łem najwyraźniej, że mnie oblatuje podły strach. Musiałem panować nad sobą, by głośno nie krzyknąć na Jędrka. Chyba jeszcze nie zasnął na dobre? Ale nie zrobiłem tego. Onby mnie wyśmiał oczywiście i wszystkim to opowiedział, a wtedy — wtedy chyba spaliłbym się ze wstydu!

Ścisnąłem w garści mocniej karabinek i powiedziałem sobie, że jestem harcerzem. A harcerz i to jeszcze z drużyny Zawiszy Czarnego, nie może się bać!

To też obszedłszy raz jeszcze całe obozowisko, usiadłem przy tlejącem ognisku, by dopilnować go w myśl instrukcji »kapitana«.

Dorzuciłem drewniek i chrustu; ogień buchnął jasnym płomieniem, oświetlając fantastycznie las na wysepce i szeroko rozlaną rzekę. Potem sypnął z trzaskiem snopem iskier w granatowe niebo i znów przygasł. Zrobiło się oczywiście jeszcze ciemniej i groźniej.

Więc po harcersku ułożyłem przygotowane polanka w kształt gwiazdy, by paląc się powoli — nie pozwoliły ognisku zgasnąć.

Trzymając broń między nogami, oparłem się na rękę. Poprawiwszy się na niewygodnym pieńku, na którym siedziałem, począłem wpatrywać się w ciemności.

W pewnej chwili wydało mi się, iż krzaki poczynają poruszać się. Usłyszałem jakieś podejrżane stękania, szepty, trzaski w gęstwinie. Wyobraziłem sobie, że jestem traperem² w amerykańskim lesie dziewiczym i siedzę przy wigwamie mych pobratymców, a tam, z mroku, skrada się ku mnie tajemniczy »duch puszczy«, by mnie oskalpować...

² Traper = myśliwy.

Niedawno bowiem czytaliśmy z Jędrkiem cudowną powieść indjańską pod takim właśnie tytułem.

Zerwałem się z bronią gotową do strzału i zawołałem w ciemności:

— Kto tam? Stój, bo strzelam!

Ale nikt mi nie odpowiedział, cicho było wokoło, tylko woda pluskała u brzegu. Więc usiadłem znów, przetarłem oczy ręką, poprawiłem ogień. W jego rozjaśnionym na chwilę blasku ujrzałem wyraźnie, że tamto wszystko — to przywidzenie!

Aby odpędzić to nie-miłe uczucie, począłem myśleć o puszczy ota-

czającej nas. Przypomniałem sobie, że Polska jest jednym z najbogatszych w obszary leśne krajów Europy. Drzewo nasze spławiają licznymi potokami i rzekami ku dwom morzom: Wisłą i Niemnem ku Bałtykowi, Dniestrem i Czeremoszem ku Czarnemu. Stanowi ono ważny przedmiot naszego wywozu zagranicę, tak w stanie surowym, jak i obrobione. Przed samymi świętami odbył się u nas, w świetlicy szkolnej, odczyt na ten temat, ilustrowany bardzo ciekawym filmem krajoznawczym. Prelegent mówił, że nasze wody i lasy nie są dotąd należycie wyzyskane. Odpowiednio



...Z mroku skrada się tajemniczy „duch puszczy“...

rozwinięta hodowla ryb w stawach i rzekach, zbieranie i wywóz nieznanych gdzie indziej jagód, grzybów i ziół leczniczych po lasach — mogą się stać źródłem wielkiego dobrobytu dla ubogiej ludności wiejskiej. Poza tem rzeki nasze nie są dość spławne. Najważniejsza i najdłuższa z nich Wisła w okresie upałów wysycha i zwęża swe koryto. To też statki i berlinki kursujące od Sandomierza po ujście, nie mają zapewnionej stałej i regularnej komunikacji. Że trzeba lat pracy i wielkich kapitałów, by ta nasza Wisła dorównała pod względem spławności takiemu np. Dunajowi³ czy też Renowi.⁴ Mówił ten pan jeszcze, że wszystkie sprawy ziemi i lasów i wód i tego, co na nich rośnie, podlegają Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych i że z roku na rok widać energiczną wszędzie poprawę, choćby na takich błotach poleskich, które w najbliższych latach mają być częściowo osuszone, dostarczając setek hektarów doskonałej ziemi naszym bezrolnym chłopom!

Tak o tem wszystkim rozmyślając, uczułem się przeniesiony na słoneczne nurty wiślane. Leżałem wyciągnięty na potężnych masztach świerkowych, które płynęły z Karpat do Gdańska na budowę okrętów. Cała tratwa pachniała żywicą i słońcem. Związane drzewa powstały nagle i zaszumiały nade mną zielonym pióropuszem gałęzi. Z pośród mchem obrosłych pni wyłoniła się niespodzianie groźna postać z krwawym toporem w ręku i poczęła ścigać mnie po czarnych odmętach.

— Duch puszczy! — wrzasnąłem przeraźliwie, czując śmierć nad sobą.

³ Dunaj — potężna rzeka, płynąca przez Austrię, Węgry i Bałkany.

⁴ Ren — rzeka graniczna francusko-niemiecka.

— Idjoto! Nie drzyj się! Pobudzisz wszystkich! — usłyszałem koło siebie dobry, znajomy głos Leszka.

— Ładny z ciebie wartownik! No, obudź się śpiochu! — szarpał mnie za ramię kapitan.

Otworzyłem oczy z uczuciem ulgi, że tamto wszystko — to był jedynie koszmarny sen. Okazało się, że zasnąłem i zleciałem z pieńka na ziemię. Leszek, który śpi niezwykle czujnie, usłyszał hałas upadającego ciała i wyskoczył z szałas, by sprawdzić, co się stało.

Uświadomiłem sobie, że zasnąłem na warcie!

Zawstydzony i przerażony moją zbrodnią, wytrzeźwiałem natychmiast. Zerwałem się i stanąłem przed »Albinosem« z głową opuszczoną. Musiałem wyglądać żałośnie, z trawą i liśćmi we włosach, bo Leszek roześmiał się i rzekł:

— Kazik, nie przejmuj się! To się może każdemu przytrafić. Daj mi flower i idź spać. I tak się zbliża moja godzina.

W istocie, na niebie już dniało.

Bez słowa podałem koledze strzelbę, patrząc mu w oczy błagalnie.

— Śniło mi się — rzekłem nieśmiało — że ty jesteś »duch puszczy« i chcesz mi głowę tomahawkiem rozplatać...

— Nie mówmy już o tem. Dobranoc. Masz jeszcze dwie godziny spania. A o tym »duchu« — dodał Leszek, uśmiechając się pobłażliwie — nikomu nie powiem, nie bój się!

Uściskałem go z całych sił, ślubując w duchu dożgonną przyjaźń zacnemu przyjacielowi!



POLSKA SKRZYDLATA.

I. WARCZĄ MOTORY...

Święto narodowe 3-go maja! Od rana jesteśmy na ulicy. Nastrój radosny panuje w całym mieście. W wiosennym słońcu furkocą chorągwie biało-czerwone na domach prywatnych i na gmachach publicznych i w rękach setek młodzieży.

Na placu marszałka Piłsudskiego odbywa się wielka rewja: piechota, kawalerja, artylerja, radjotelegrafiści, samochody pancerne, czołgi. Odbiera ją sam Pan Prezydent z trybuny przybranej dwubarwnymi festonami.

A na niebie, na błękitnem, warczą motory...

Lecą eskadry bojowe, jedna za drugą. Zataczają szerokie koła nad ciżbą ludzką, stłoczoną głowa przy głowie i na placu i w sąsiednich ulicach, przez które przechodzi wojsko.

Leszek jest tak dumny i przejęty, jakby conajmniej on sam siedział tam, wysoko, przy sterze i dowodził eskadrą!

Biało-czerwone pola na płatach skrzydeł migają między srebrzystymi drutami bocznych sterów.

Pilek stoi obok z głową zadartą do góry.



ST. HANIKOWSKI
34.

PRZEGLĄD WOJSK NA PLACU J. PIŁSUDSKIEGO

— A ja jednak — mówi — nie bardzo rozumiem, jak się to takie coś w powietrzu trzymać może? Przecież to ciężar pieroński, widziałem taki samolot z bliska...

— Samoloty myśliwskie, takie na jedną osobę, to jeszcze nic! — dowodzi Felek. — Ale te ogromne, bo-



Lecą eskadry bojowe...

jowe, z trzema motorami, toż to olbrzymy! U ojca w fabryce robią dla nich motory...

— Taki ogrom żelaza, płótna, drzewa i nie zleci! — Pilek kręci głową z uznaniem.

— Pewnie, że nie zleci, chyba że się coś popsuje, skrzydło oberwie, albo motor stanie — tłumaczy Leszek. — Cały dowcip polega na tem, że są cięższe od powietrza i tylko śmigło przez szybki ruch obrotowy zgęszcza to powietrze pod samolotem i pcha go naprzód.

— To tak coś, jak z latawcem papierowym! — dodaje Felek.

— Właśnie na tej samej zasadzie — potwierdza Leszek. — Powietrze stawia opór, śmigło go przełamuje i trzyma samolot w górze. Dlatego jak motor odmówi posłuszeństwa — to koniec, leci się na łeb, na szyję!

— Dawniej ludzie myśleli, że w balonach leży przyszłość lotnictwa, a dziś grają one rolę podrzędną! — mówi Jędrak.

— A Zeppeliny? — pyta Pilek. — To przecież niemieckie balony!

— To właściwie sterowce, zaopatrzone w motor, który im nadaje dowolny kierunek i pozwala tym olbrzymim balonem sterować, jakby okrętem. Ale pomijając już ogromne koszty budowy i używania takiego powietrznego statku, jest on za duży i za mało zwrotny, podczas gdy samolot jest o wiele od niego zwinniejszy, może szybko wznosić się w górę i szybko spadać na przeciwnika, jak ptak drapieżny. Już w ostatniej wojnie okazał się on groźną i skuteczną bronią. A wojna przyszłości — będzie w znacznej mierze wojną powietrzną. Dlatego też i Polska, chcąc być w każdej chwili gotowa do obrony swych granic, musi iść z postępem zbrojeń sąsiadów i rozbudowywać lotnictwo.

— Ale czem właściwie walczy taki samolot? — dopytuje się Pilek.

— Każdy samolot wojskowy wyposażony jest w karabin maszynowy, który można połączyć z motorem; wtedy strzela on pomiędzy obrotami śmigła. Wiedziecie jak ono szalenie szybko się obraca, aż tworzy w powietrzu świetlne koło? Możecie więc sobie

wyobrazić, jak szybko strzela lotniczy karabin maszynowy.

— A te wielkie samoloty?

— To są maszyny bombowe. Mają one ze sobą zapas bomb, umieszczonych pod kadłubem. Wystarczy pilotowi nacisnąć pedał nogą, a bomba odrywa się od samolotu, leci nadół na nieprzyjaciela, wybucha i sieje zniszczenie.

— Co za spekulacja! — podziwiał Pilek.

— Lotnictwo doskonali się z roku na rok. Już powietrze nie przedstawia dla samolotów niebezpieczeństwa, a tylko jeszcze zetknięcie się z ziemią. Małe samoloty mogą dziś lądować gdziekolwiek bądź, byleby była jakaś równa łączka, ściernisko, albo leśna polana. Samoloty wojskowe spełniają rolę podwójną: rozpoznawczą i bojową. Lotnik rozpoznawczy na małej, zwinnej maszynie leci naprzód sam jeden, bada pozycje nieprzyjacielskie, robi zdjęcia fotograficzne i wraca szybko z meldunkiem.

— A ja widziałem w kinie bitwę powietrzną, to ich było dużo!

— Bo do boju wyruszają całe eskadry. Ot, tak jak teraz, patrzcie, lecą kluczem całym. Szereg eskadr razem tworzy pułk.

— A przecież są też i balony wojskowe!

— Są balony wolne i balony na uwięzi, skąd obserwuje się przeważnie działanie ognia artyleryjskiego. Balony wolne znów wykorzystują prądy powietrzne i lecą z wiatrem. Zapomocą wypuszczania gazu z jedwabnej kuli, która na sznurach unosi gondolę z lotnikami, i pozbywając się balastu przez wyrzucanie wor-

ków z piaskiem, można i balonem do pewnego stopnia kierować...

— To na takim balonie nasi dwaj lotnicy zdobyli pierwszą nagrodę na zawodach międzynarodowych w Kanadzie, a drugi raz w Polsce?

— Właśnie na takich; wiem, że za pierwszym razem był jeden kapitan i jeden porucznik i opadli gdzieś w głębi lasów kanadyjskich, skąd musieli przez całe dnie wędrować do miejsc bardziej zamieszkałych. A drugim razem poleciełi daleko w głąb Rosji. Zato zdobyli puchar Gordon-Bennetta!¹ Ale samolot, przynajmniej jak dotąd, ma stanowczo przewagę nad balonem i ja będę pilotem tylko na samolocie! — zakończył »Albinos« swe wywody.

W czasie całej naszej rozmowy obserwowaliśmy różne wyczyny lotnicze. Eskadry kluczyły nad miastem, zmieniając szyk i ugrupowanie, niby stado stalowych ptaków. Huk motorów to przycichał, to znów wzrastał, głuszac dźwięk srebrzystych trąb orkiestr wojskowych, grających radośnie na placu maszerującym oddziałom.

Patrzyliśmy z dumą na naszą wspaniałą armję skrzydlatą, która wciąż się rozrasta, choć tyle już kosztowała młodych ofiar.

Ale każde zwycięstwo okupuje się krwią i życiem najdzielniejszych!

II. LIGA OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ.

Mamy w klasie kółko Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej i naszą ambicją jest, aby II A zebrała najwięcej z całego gimnazjum!

¹ Puchar Gordon-Bennetta = najwyższa nagroda w zawodach międzynarodowych balonów wolnych, zdobyta w r. 1933 i 1934 przez Polaków.

To też nieraz, gdy dostaniemy od mamusi parę groszy na nasze wydatki, zamiast sobie coś kupić, wręczamy nasze miedziaki Leszkowi, który jest skarbnikiem naszego kółka klasowego. Z prawa i z urzędu musi się ta godność należeć! On nie wyobraża sobie nawet, żeby mógł zostać kiedyś czemś innym, niż jego »papuś«. Po maturze ma zamiar iść do podchorążówki lotniczej w Dęblinie, choć mama jego już dziś wzdycha na tę myśl, a to przecież jeszcze nie tak prędko!

— Teraz drzę o jednego — powiada — a potem umierać będę z niepokoju o was obu!

Ale Leszek, aczkolwiek bardzo kocha swoją matkę, wzrusza na to ramionami.

— Nie rozumiem — powiada — dlaczego mama się niepokoi! Będę latał zawsze ze spadochronem!

I objaśnia nas, że jest to rodzaj parasola, zwiniętego na plecach pilota, który się otwiera automatycznie za pociągnięciem sznurka. Gdy lotnik widzi, że coś się w maszynie zepsuło i nie ma już innego ratunku, wtedy wyskakuje z samolotu i przy pomocy spadochronu ląduje łagodnie i cało na ziemi.

Swoją drogą — to musi być straszna chwila taki skok w przepaść! A jeśli spadochron na czas się nie otworzy?

Leszek zwierzył mi się, że się całkiem o siebie nie obawia. Czasem może o ojca, o którym mówi z dumą:

— To najlepszy lotnik w całym wojsku polskim!

Ale w wojsku nie zamierza zostać na stałe. Chce przejść tylko gruntownie całe wykształcenie, a potem przenieść się do lotnictwa cywilnego. Oczywiście, w Lidze Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej będzie stale

pracował. Bo społeczeństwo nasze (choć się już wiele poprawiło) wciąż jeszcze za mało się temi ważnemi zagadnieniami interesuje.

Leszkowi marzą się różne nowe wynalazki i udoskonalenia. Buduje modele samolotów, zna silnik powietrznego ptaka napamięć. Zajmują go też sprawy obrony przed atakami gazowemi. Ma w domu nawet maskę. Wszyscyśmy ją pokolei przymierzali. Wygląda się w tem jak jakiś potwór z najstraszniejszej bajki. Widziałem siebie w lustrze!

— Gazy trujące, to potworna broń! — opowiada nam Leszek. — Chociaż ludzie, którzy się na tem nie znają, przesadzają to niebezpieczeństwo.

Rozczytuje się on w różnych książkach i pismach na ten temat.

— Wymyślili je i zastosowali po raz pierwszy Niemcy w wojnie światowej. Dziś cały świat je produkuje, wynajdując coraz to nowe kombinacje gazów. Więc też i my nie możemy pozostać wtyle. Inaczej moglibyśmy się stać masowemi ofiarami zbiorowego zatrucia. Bardziej jeszcze od wojska narażona będzie ludność, zwłaszcza po miastach. Nasza Liga rozwija szeroką propagandę, aby wszystkich przekonać o konieczności przygotowania społeczeństwa. Poza tem buduje szkoły pilotów cywilnych, lotniska sportowe w mniejszych miastach, gdzie niema lotnisk »Linij Lotniczych« ani wojskowych, popiera lotniczy ruch turystyczny, sport lotniczy i szybowcowy.

— Co to są właściwie te szybowce? — pytam.

— To takie samolociki bez motoru, z płótna i z drzewa, które przy sprzyjających warunkach atmosferycz-

nych mogą się utrzymać nawet dość długo w powietrzu.

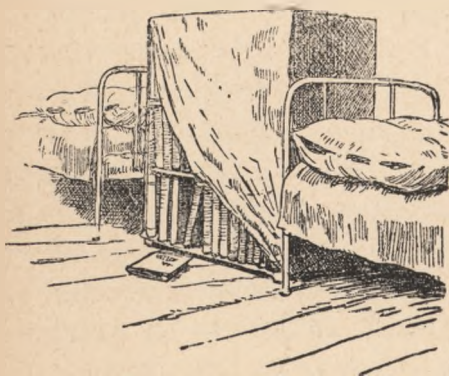
— Słuchaj »Albinos« — mówi Jędrak — z tym gazem to trochę jest granda! Bo przecież jak można się przeciw niemu bronić?

— Trzeba tylko znać sposoby, a wtedy można wyjść cało z tego interesu. To ma właśnie na celu nasza Liga, propagując maski gazowe i sprzęt ratowniczy, urządzając kursy i pokazy i organizując drużyny ratownicze i dnie nalotów gazowych w całym państwie. Naród tak wielki, jak nasz, powinien być uświadomiony i przygotowany na wszystko, by odeprzeć każdą napaść: na lądzie, na wodzie, czy też w powietrzu. A wtedy możemy gwizdać i na gazy wojenne nawet!

KULTURA I SZTUKA.

I. NASZA BIBLIOTECZKA.

Między moim łóżkiem a Jędrka stoi sobie szafka z ciemnego drzewa. Właściwie są to półki, zasłonięte zieloną firanką. To nasza biblioteczka.



Między moim łóżkiem a Jędrka
stoi nasza biblioteczka.

Obaj bardzo lubimy czytać i cieszymy się każdą nową książką. Bo to całkiem co innego czytać z własnej książki; przyjemniej, niż z pożyczanej. Nauczyliśmy się trochę introligatorki i każdą cenniejszą książkę oprawiamy sobie sami. Jędrak nawet dał zrobić taką owalną pieczętkę, którą przybija się czerwonym tuszem na pierwszej stronie: »Księgozbiór braci Wodzieckich«.

Dla odróżnienia, moje książki oprawiamy na granatowo, Jędrka na brunatno. Ale jedno i drugie są »nasze«.

Oczywiście, niezawsze mamy ochotę na czytanie. Ja np. całymi dniami czasem nie wezmę książki do ręki, bo poprostu nie mam nieraz kiedy: szkoła, harcerstwo, praca w świetlicy, »Straż Przednia« i tyle jeszcze innych spraw nas pochłania.

Naturalnie, jak jest ładnie na dworze, to mniej czytamy, jak plucha — to więcej. Gdy mi się jakaś książka bardzo podoba — to przepadło! Jak zacznę, to już muszę czytać tak długo, aż skończę...

Właściwie nasza biblioteczka jest niewielka. Trochę książek poważniejszych, jak »Prawem i lewem« Łozińskiego, W. Lipińskiego (historyczne), monografie znakomitych Polaków: Chodkiewicza, Żółkiewskiego, ks. Poniatowskiego, Marszałka też, trochę książek przyrodniczych, jak »Podróż dr. Wszędobyłskiego« i cudne opowiadania Dygasińskiego. Poza tem powieści i opowiadania: Żeromski, Rodziewiczówna, Sieroszewski, Gąsiorowski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Prus, Konopnicka z dawniejszych autorów. Z nowszych — Kossak-Szczucka, Kaden-Bandrowski (ach, jakie śliczne to »Młasto mojej matki!«), Parandowskiego »Dysk olimpijski«, »Nowele« Kossowskiego, Wasylewski, Weissner, Korczak, Ostrowska, Domańska i inni. Zresztą są wszyscy zapisani w katalogu w alfabetycznym porządku, przez Jędrka. Ja na to nie mam zdrowia!

Mamy też kilka ślicznych książek tłumaczonych: A więc ten »Duch puszczy« nieszczęsny, o którym już była mowa, »Prawo białego człowieka« Londona, powieści podróżnicze Curwooda, »Galernik« według Wiktora Hugo... Ale ja może najlepiej lubię »Serce« Amicisa, choć książeczka ta jest już mocno sfatygowana

i parę kartek nawet brakuje. Nic dziwnego, to jeszcze książka mamy z jej dzieciństwa.

Ojczyk nie bardzo lubi kupować książki obcych autorów. Powiada, że nasz rynek zalewa książka zagraniczna, nie zawsze wartościowa, i że trzeba z tem walczyć, bo to szkodzi i naszym pisarzom, żyjącym przeważnie w bardzo ciężkich warunkach, i naszej kulturze; zbyt mało zwracamy uwagi na pierwiastki rodzime. Poza tem jest przeciwny zbyt niemu powiększaniu naszej biblioteki.

— Przechowujcie tylko takie książki — powiada nam — do których lubicie wracać, jak do starych, dobrych znajomych. Inne, nawet piękne i ciekawe, niech idą w świat i przyniosą trochę radości i nauki tym, których na książki nie stać.

To też, w myśl tych zaleceń, dużo książek rozdaruwujemy. Wysyłamy nawet paczki zagranicę, zwłaszcza od czasu odczytu tego pana ze Związku Polaków Zagranicą. Niech rodacy na obczyźnie dostaną do ręki to polskie słowo drukowane! Zbiórka książek w naszej szkole udała się wtedy nadspodziewanie.

— Istnieje kultura materialna — tłumaczy nam ojczyk — którą mierzy się przedewszystkiem ilością zużytego przez ludność danego kraju mydła... Łączy się z tem potrzeba czystości, higjeny, dobrobytu i urządzeń cywilizacyjnych. Obok niej istnieje jeszcze inna kultura, wyższego gatunku: duchowa! Jej miernikiem jest słowo drukowane, głód książki. Obie te kultury nie stoją na zbyt wysokim, niestety, poziomie w naszym kraju. Tak, jak widzicie wspaniałe domy obok zapadniętych w ziemię ruder, podobnie też spotyka się u nas

ludzi wysoce kulturalnych i czułych na wszelkie piękno i nawet wymytych dokładnie, którzy ocierają się codziennie obojętnie o brudnego analfabetę, bez potrzeb, bez poczucia nawet swego fizycznego i duchowego upośledzenia. Oto są te rażące dysproporcje Polski dzisiejszej i braki jej kultury.

Te różnice wyrównać, podnieść doły naszego narodu ku górze, wytworzyć przeciętną średnią kulturalną — oto palące zadanie waszego pokolenia. Polska, która idzie, a której jesteście »strażą przednią«, musi odrobić stuletnie zaniedbania cywilizacyjne. Macie ku temu potężne, a rozliczne środki: książki, czasopisma, teatry, koncerty, kina, objazdowe wystawy malarskie a nade wszystko — radio, ten potężny środek propagandy kulturalnej. Tą bronią zdobędziecie polską duszę dla kultury jutra!

II. TEATR »LITHUANIA«.

Biblioteczka to jest nasza wspólna, ale teatr — tylko mój! Nazywa się »Lithuania«, na cześć mamusi, która, jak wiadomo, pochodzi z Litwy.

Wprawdzie Jędrak się ze mnie śmieje, że to głupia nazwa, ale mimoto ja jej nie zmienię. Zresztą — mój teatrzyk papierowy ma swoje tradycje, którym musi pozostać wierny!

Wogóle — Jędrak nic się na teatrze nie zna. Natomiast uwielbia kino, zwłaszcza filmy awanturnicze z cowbojami,¹ albo takie egzotyczne, jak było swego czasu »Marokko«. Kiedyś omal nie pobiliśmy się z tego powodu, bo mu powiedziałem, że te wszystkie filmy

¹ Cowboje (czyt. kauboje) = koniuchy na stepach Ameryki.

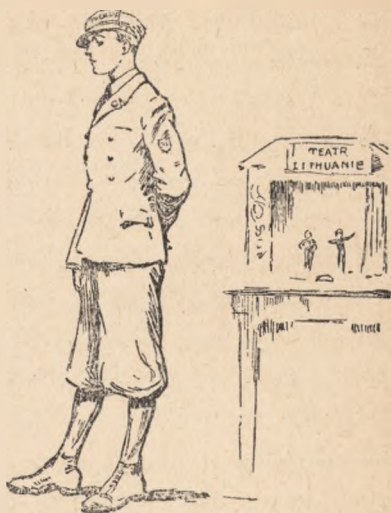
nibyto z Afryki czy z Azji, nigdy tamtych stron nie widziały a cały ich »egzotyizm« robiony jest w wytwórniach malowanemi dekoracjami.

— A jak ma być dekoracja, zamiast prawdziwego zdjęcia z natury, to ja już wolę mój teatr!

Jędrak się strasznie za-perzył i obraził mnie śmiertelnie. Rzucił mi mianowicie w twarz, że łżę jak świnia! Gdyby bodaj jak pies, ale nie — jak świnia! Zresztą on bardzo dobrze wie, że dżentelmen² nie łże nigdy...

Aż mnie ciarki przeszły i w pierwszej chwili chciałem rzucić w niego wazonikiem z kwiatami. Ale wazonik jest mamy, byłoby jej bardzo przykro, gdyby się stłukł na tym podłym łbie. Więc się opanowałem i tylko tak się na niego popatrzyłem, że aż zbladł. Nie gadałismy ze sobą całe popołudnie i wieczór też nie i nazajutrz rano także. Aż dopiero, jak na dużej pauzie opadła Jędrka gromada trzecioklasistów, tak musiałem mu przyjść z pomocą!

Zboksowaliśmy tych tchórzliwych »trzeciaków« przy



Jędrak zgodził się być bilerem...

² Dżentelmen (gentleman) = angielskie słowo na oznaczenie honorowego i szlachetnego człowieka.

tej okazji porządnie. Jędrrek był wzruszony. Podał mi rękę i rzekł:

— Jesteś byczy chłop. Nie przypuszczałem, że potrafisz zemścić się tak szlachetnie!

I dziś jest już »sztama« między nami. Zgodził się nawet być bileterem na wieczornem przedstawieniu. Przypiąłem mu na czapce szpilkami szyldzik z kartonu: »Teatr Lithuania«. Stał przy wejściu do naszego pokoju z urzędową miną i sprawdzał bilety. Bilety kosztują po dwa orzechy w pierwszym rzędzie, po jednym w drugim. Orzechów tych (laskowych) dostarcza Justysia. Potem każe sobie zwracać, bo mówi, że jej na tort nie wystarczą. Ale my wiemy, że to nieprawda, więc też wszystkie sumiennie zjadamy z Jędrkiem po przedstawieniu.

Z tej racji Justysia domaga się wolnego biletu. Jędrrek mi raportował:

— Panie dyrektorze! Panna Justyna Bączek prosi o darmowy bilet, bo powiada, że inaczej nie da orzechów na przyszły raz!

Cóż miałem zrobić? Ona »finansuje« nasz teatr, jak wyraziła się mamusia. Zresztą Justysia, nie czekając pozwolenia, rozsiadła się w pierwszym rzędzie i jeszcze tę grubą Helę z przeciwka przyprowadziła. Uratował sytuację Leszek, zaproszony przeze mnie na wieczór w charakterze »reżysera« do poruszania figurek, proponując, by im wydać bilety prasowe.

Napisałem więc na karteczce, wyrwanej z bloku: Łoża prasowa dla redakcji »Głosu Kuchennego« i poleciłem Jędrkowi dać to Justysi.

Przedstawienie się udało. Graliśmy »Jasia i Małgo-

się« w mojej przeróbce; choć to stary i ograny repertuar, ale mam gotowe dekoracje i figurki do tego, zresztą przygotowuję nową sztukę, bardzo piękną. Ale ta stara wszystkim się podobała, zwłaszcza domek z piernika. A gdy na końcu czarownicę wsadzają do pieca, Anda Kąkolówna, będąca też na przedstawieniu, aż klasnęła w ręce i krzyknęła głośno: »Dobrze jej tak!«

Lubię także kino, ale sto razy wolę teatr. To jest cudnie — siedzieć cichutko, patrzeć i słuchać, aż dech w piersiach zapiera ze wzruszenia. Zwłaszcza jak to jest taka sztuka wierszem, jak np. »Wesele« Wyspiańskiego, któreśmy niedawno widzieli w Teatrze Narodowym na popołudniówce.

Bo mnie upaja sam dźwięk melodyjny słowa, którego najpiękniejsze kino nie zastąpi!

Albo opera, taka »Halka« np.! Tylko, że to bardzo smutne, lecz i śpiewy i muzyka są cudne. A ja tak lubię muzykę!

To też nieraz chodzimy z mamusią na poranki symfoniczne do Filharmonji, tylko we dwójkę. Siedzę cichutko, zasłuchany, w pięknej, wielkiej sali, gdzie ze ścian patrzą na mnie portrety znakomitych polskich muzyków. Skrzypki zawodzą, harfa łka, wiolonczela płacze, to znów porykują grubo basy lub zabrzmia zwycięsko puzony. Mamusia mówi, że ten pan, który stoi na podwyższeniu tyłem do nas i macha pałeczką — to najważniejsza osoba w całej orkiestrze i nazywa się dyrygent. Wszyscy muzycy patrzą na niego uważnie i słuchają go.

Bo mamusia się na tem dobrze zna, sama gra ślicznie

na fortepianie, zwłaszcza Szopena. Gra z pamięci, w pokoju może być całkiem ciemno.

Strasznie lubię przykucnąć wtedy w rogu kanapy i słuchać tego grania. Mógłbym tak godzinami! Na sercu robi mi się jakoś dziwnie, ciepło, rzewnie i zdaje się, jakby mi skrzydła rosły u ramion. Chciałbym gdzieś lecieć, o coś walczyć, coś zdobywać! Marzą mi się jakieś bohaterские czyny i taki daleki jestem od szarej rzeczywistości...

Coś we mnie śpiewa w takt melodji, która dobywa się z pod miękkich palców mamusi i płynie ku mnie z nad kościanych klawiszy:

»Czemu sercu smutno?«

III. »MARASKINO«.

Kiedyś zwierzyłem się z tem mamusi. Przygarnęła mnie do siebie, ucałowała w czoło i rzekła:

— Jak to dobrze, moje dziecko, że masz duszę czułą i wrażliwą. Kto wie, może Bóg dotknął cię swym palcem i naznaczył stygmatem talentu? A to najcenniejszy dar nieba! Im później to się objawia, tem jest człowiek dojrzały. A tak zwane »cudowne dzieci« rzadko kiedy ziszczają nadzieje, jakie wzbudzały w dzieciństwie. Czy chciałbyś może uczyć się muzyki?

Kiwnąłem głową i przytuliłem się do »kochańci« jeszcze mocniej.

— Pomówię o tem z ojcem. Od jesieni mógłbyś spróbować swych zdolności w tym kierunku. Tak jak każdy inteligentny człowiek umie czytać i pisać, tak też powinien posiadać prymitywne bodaj wiadomości

z muzyki i plastyki. Filozofja, literatura piękna, muzyka, śpiew, taniec, nauka rysunków i perspektywy oraz ćwiczenia fizyczne — to były podstawowe przedmioty gimnazjów starogreckich. Nazwę tych szkół wzięliśmy dziś dla naszych zakładów średnich ogólnokształcących. Nic dziwnego, iż tak do życia przygotowani młodzieńcy ateńscy podnieśli umysłowość i sztukę starodawnej Hellady na nieosiągalne wyżyny. I choć minęło od owych czasów parę tysięcy lat — wciąż jeszcze opieramy nasze' dzisiejsze pojęcia o pięknie na tych arcywzorach starożytnych, które przez Rzym przysły do nas z zachodu.

— Mów dalej mamusiu, to piękne! — szepnąłem.

— To dążenie, ta tęsknota za pięknem tkwi podświadomie w duszy każdego człowieka, dzięki czemu przez wieki stworzyliśmy to, co nazywamy dorobkiem kulturalnym narodu!

— O tak i ja to też w sobie czuję!

— Widzisz kochanie. I czy to będzie naiwna w poмысле pisanka wielkanocna, wykonana przez dziewczęta wiejskie na skorupce od jajka, albo barwny haft na koszuli chłopskiej, czy też wspaniała rzeźba z marmuru albo obraz wielkiego malarza, spotkany na wystawie sztuki — i tu i tam przejawia się odwieczna potrzeba piękna. Szukamy go wciąż wokół siebie, dążymy do czegoś lepszego, wyższego!

— Przeczuwałem to! — rzekłem w uniesieniu. — Ale nigdy nie umiałem tego tak określić.

— Naród nasz w tym ogólnoludzkim pochodzie kulturalnym zajmuje poczesne miejsce. Nasi poeci, malarze, rzeźbiarze, muzycy, nasi wielcy aktorzy i śpiewa-

cy podtrzymywali ducha narodu w czasach politycznej niewoli i świadczyli przed światem, że »jeszcze Polska nie zginęła!«

Tem niemniej stoją przed nami zadania niezmiernie doniosłe: utrzymania duszy polskiej, jej kultury, sztuki i nauki na przodującym poziomie w wielkiej rodzinie ludów świata. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ma nawet specjalną na to komórkę: Departament Sztuki. Początkowo mieliśmy nawet osobne Ministerstwo Kultury i Sztuki, dziś zniesione ze względów oszczędnościowych. Mimo to państwo na każdym kroku wspiera uczonych, artystów i wszystkich twórców w tej dziedzinie. Służą temu celowi uniwersytety i biblioteki publiczne, muzea i zbiory sztuki, konserwatoria muzyczne i akademje sztuk pięknych w Krakowie i w Warszawie, Polska Akademia Umiejętności w Krakowie, Polska Akademia Literatury w Warszawie, teatry subwencjonowane przez państwo, wreszcie liczne nagrody państwowe i poszczególnych miast dla najwybitniejszych uczonych, muzyków, plastyków i pisarzy. Dziś artysta polski otoczony jest troskliwą opieką własnego państwa. Czyś zrozumiał mnie, mój synu?

— Tak jest! — odparłem, choć może to i owo było dla mnie jeszcze za trudne do pojęcia. I tuląc się do jej kolan spytałem:

— Powiedz, czy chciałabyś, abym został artystą?

— To szczęście ogromne — odparła mamusia, ale zarazem i ból i męka i wieczna walka ze samym sobą. Zresztą — przyszłość pokaże, co z ciebie jeszcze wyrośnie. No, puść mnie już, trzeba zająć się kolacją!

To mówiąc, przekreśliła światło i nastrój szarej godziny pierzchł bezpowrotnie.

Ale tak mi tem wszystkiem nabiła głowę, że tegoż jeszcze wieczora zabrałem się do pisania dawno planowanego dramatu w 5 aktach, wierszem. Miała to być historia bardzo wzruszająca, krwawa i bohaterska. Tytuł wymyśliłem wspaniały! (Tak mi się przynajmniej zdawało!): »Maraskino«. To prawie jak Rinaldo-Rinaldini...³



Tytuł dramatu wymyśliłem wspaniały: „Maraskino“.

Przed zaśnięciem, leżąc już w łóżku, powtarzałem półgłosem: »Maraskino, Maraskino«; oczy miałem przy tem przymknięte i lubowałem się samym dźwiękiem tego słowa. To jest właśnie śliczna nazwa dla mego bohatera! — myślałem sobie, ciesząc się, że nikt nie zna mojej tajemnicy.

Ale niestety, okazało się zaraz, w jakim jestem błędzie! Bo właśnie wszedł ojczyk do naszego pokoju i zapytał mnie, co znaczy ten wyraz.

Nim zdążyłem odpowiedzieć — wyręczył mnie Jędrek, który potajemnie przeczytał cały pierwszy akt w moim bruljonie:

— To tytuł jego dramatu, tatusiu! On pisze, jak zwarjowany, od kilku dni. Dostał szału poetyckiego, stan ostry, gada sam do siebie, wytrzymać już z nim nie można! — tak to mój brat pastwił się nade mną.

³ Rinaldo-Rinaldini = rozbójnik włoski, wsławiony wielu fantastycznymi opowiadaniem.

Wściekły byłem na Jędrka, że mi podstępnie wydarł tajemnicę. Ale speszyłem się jeszcze więcej, gdy mi ojczyk wyjaśnił, śmiejąc się, że »maraschino« — to taki słodki likier włoski, bardzo aromatyczny, i że muszę zmienić imię mego bohatera.

Skąd ja u licha miałem to wiedzieć? Przecież wogóle, jako harcerz, alkoholu nie używam, chyba czasem w czekoladkach, a i to, jak nie wiem! Ale zaciąłem się i przezwawszy mój dramat »Gambrino«, piszę dalej.

A choć mi Jędrak dokucza, że powinienem posłać ten utwór do Akademji Literatury, a napewno dostanę nagrodę państwową, to jednak doprowadzę dzieło moje do końca i wystawię w moim teatrze. Będzie to połączone z kosztami i kłopotami, bo trzeba będzie wymalować nowe dekoracje i figurki, ale trochę dopożyczę z zespołu »Zbójców«,⁴ który dostałem niedawno.

Jędrak mi dogaduje, że Justysi napewno się to będzie podobało bardzo, więc poparcie prasy (tego mianowicie »Głosu Kuchennego«) mam zapewnione.

Ale ja wiem, że jemu się to też podoba, a tylko tak mówi, żeby mi dokuczyć.

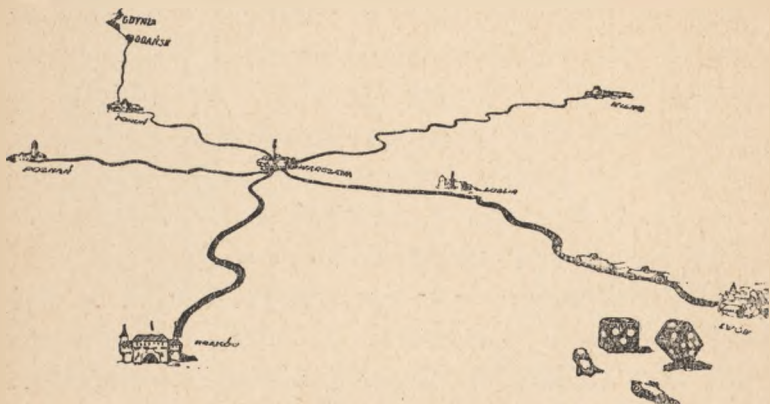
IV. »MIASTA POLSKIE«.

Mamy taką grę, która się nazywa »Miasta polskie«. Na dużej tekturce wymalowana jest mapa Polski, po której podróżuje się małutkimi samochodzikami. Jest ich sześć, każdy w innym kolorze, z numerem porządkowym, wymalowanym na przodzie.

⁴ „Zbójcy“ = dramat jednego z największych pisarzy romantycznych Fryderyka Schillera.

Wyjeżdża się z Warszawy. Wygrywa ten, kto najszybciej do niej powróci. Rzuca się dwie kostki i posuwa się samochodzik o sumę oczek.

Trasa »raidu« prowadzi najprzód do Lublina. Jest on uwidoczniony na planie gry obrazkiem, przedsta-



Mamy taką grę, która się nazywa „Miasta polskie“.

wiającym starożytną bramę »Krakowską«. Napis obok głosi, że

„miasto słynne unją Polski z Litwą, zawartą z inicjatywy ostatniego Jagiellona Zygmunta Augusta w 1569 r. Kwitnące za czasów przedzaborczych, podupadło pod rządami moskiewskimi, dziś dźwiga się znów, dzięki troskliwej opiece rządu. Siedziba urzędu wojewódzkiego i uniwersytetu katolickiego, ośrodek regionalny Podlasia i Chełmszczyzny“.

Potem przez Rejowiec i Kowel dojeżdża się do stolicy Wołynia, do Łucka nad Styrem, które zdobi obrazek starożytnego zamku. Szosy wołyńskie (tak mówi informacja) doskonałe, wszystkie zbudowane już za rządów polskich, więc się szybko dojeżdża do Krzemieńca.

Tu taki napis:

„Ulubione miasto królowej Bony⁵; resztki jej zamku widnieją na okolicznem wzgórzu; uroczco położone te „Ateny Wołyńskie“ chlubią się słynnem Liceum Krzemienieckiem, założonem przed stu laty zgórą przez Czackiego.⁶ Naczelnik Józef Piłsudski, po oswobodzeniu Wołynia, dekretem państwowym wskrzesił ten słynny zakład naukowy, przywracając mu liczne majątki fundacyjne, skonfiskowane niegdyś przez Rosjan“.

W Tarnopolu musi się siedzieć dłużej, wskutek „pęknięcia resoru“. Mapka mówi o tej stolicy województwa, że

„odznacza się czystością, odbudowane z gruzów wojennych za rządów polskich, pełne wspomnień historycznych z czasów wojen z Tatarami, Turkami i Kozakami, ważny węzeł kolejowy na południowym wschodzie“.

Jeśli się nie ma szczęścia w grze, to trzeba zboczyć aż do Stanisławowa (jak podaje załączony tekst)

„stolicy wschodniego Podkarpacia i stolicy województwa o rozwiniętym przemyśle, licznych szkołach, położonej malowniczo nad brzegiem Bystrzycy“.

Ale można też jechać wprost do Lwowa, jeśli się wyrzuci co najmniej 6 oczek. To miasto zdobi w planie gry krzyż »virtuti militari« i widoczek kopca Unji Lubelskiej. W informacjach podano:

„Bardzo przyjemne miasto, gdzie automobilista rad zatrzyma się kilka dni, zwiedzając ciekawe świątynie trzech obrządków, zwłaszcza starą katedrę ormiańską, liczne muzea i zabytki oraz

⁵ Królowa Bona, Włoszka z pochodzenia, żona Zygmunta Starego, matka ostatniego Jagiellona, Zygmunta Augusta, popierała sztuki piękne, kazała wznosić wiele cennych budowli w stylu włoskiego odrodzenia (ur. 1494 † 1558).

⁶ Tadeusz Czacki, uczony patriota, autor prac naukowych twórca Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie i Liceum w Krzemieńcu, ur. 1765 † 1813.

Ossolineum, siedlisko nauki i sztuki. Słynne z bohaterskiej obrony, dawna stolica królestwa Galicji i Lodomerji za rządów austriackich, przeszło ćwierć miliona mieszkańców“.

Ze Lwowa prowadzi trasa podkarpackim szlakiem na wschód. Po drodze — centrum przemysłu naftowego: Borysław i Drohobycz, oraz liczne uzdrowiska: Truskawiec, Rymanów, Iwonicz, Krynica, Muszyna, Żegiestów, Rabka, Szczawnica. Jeśli się wyrzuci odpowiednią ilość oczek, to się dobija do skalnej ściany Tatr — Zakopanego.

Stamtąd jest trudny zjazd przez Obidową Górę, gdzie, jak się ma pecha w grze, to trzeba tkwić przez trzy kolejki. A potem — piękny Kraków z widoczkiem Wawelu nad niebieską linią Wisły, o którym informuje nas mapka:

„Dawna stolica królów polskich, kolebka wielkości narodu, miasto stu kościołów, bezcenne zabytki architektury i sztuki, otoczone uroczymi plantami na miejscu zburzonych murów fortecznych. W 1914 r. wyruszył stąd Józef Piłsudski na czele swych strzelców na bój o Polskę“.

Następny etap — to Śląsk.

„Katowice — informuje napis — siedziba województwa i autonomicznych władz śląskich, centrum ciężkiego przemysłu, odzyskane po krwawych powstaniach dla Polski po 600-letniej niewoli niemieckiej“.

Z Katowic wali się pod cudownym jasnogórskim kościołem w Częstochowie przez słynny w dziejach Polski Piotrków Trybunalski do Łodzi, ozdobionej na mapce fabrycznymi kominami.

„Drugie co do wielkości miasto Polski — głosi napis — pół miliona mieszkańców, największy ośrodek przemysłu tkackiego,

celowo zaniedbany przez rząd carski, przybiera obecnie powoli bardziej kulturalny wygląd“.

Z Łodzi wiedzie droga do Poznania, o którym informuje mapka, że

„jest stolicą Wielkopolski, rozbudowany na sposób zachodni, cenne zabytki sztuki i kultury, wysoko postawiony handel i rzemiosło, siedziba prymasa Polski, wojewody, posiada uniwersytet w dawnym pałacu cesarza niemieckiego, 27 grudnia 1918 r. zrzucił jarzmo pruskie“.

A potem nad jeziorem Gopłem, przez łany wielkopolskie, »Kaszubską Szwajcarję« górzystą i zalesioną (wszystko to plastycznie wymalowane na mapce) do-bija się nad Bałtyk, gdzie w Gdyni jest napis, mówiący o niedawnem stworzeniu portu i szybkim rozwoju tego najmłodszego miasta polskiego. Potem Gdańsk, z napisem: »Miasto niegdyś nasze«! Tam można się narazić na nieprzyjemności w grze, jeśli się nie wyrzuci od razu co najmniej 12 oczek; rzuca się tu dwa razy i liczy sumę oczek, ze względu na wyższą walutę gdańską. Oznacza to wtedy, że się nie ma papierów w porządku, co powoduje wycofanie z gry.

Z Gdańska jedzie się w górę Wisły do Torunia, gdzie obok widoczku pięknej fary, jest napis:

„Stolica województwa pomorskiego, piękne zabytki architektury, ratusz i stare spichrze nad Wisłą, miejsce urodzenia Kopernika,⁷ słynie z wyrobu pierników“.

Z Torunia przez Działdowo, Grajewo, Grodno nad malowniczym Niemnem, dojeżdża się do Wilna.

Tu wymalowana jest piękna rzeka Wilja i kaplica

⁷ Mikołaj Kopernik, znakomity astronom polski ur. 1473 † 1543.

z cudownym obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej.
Napis głosi:

„Stolica historyczna Wielkiego Księstwa Litewskiego, wy-
darta bohaterstwem żołnierzy i genjuszem Wodza z rąk wroga,
ojczyzna Mickiewicza i wielu innych znakomitych Polaków,
powrócona macierzy po wiekowem męczeństwie, uroczu poło-
żone miasto zabytków sztuki barokowej, szybko zaciera ślady
barbarzyńskiej rusyfikacji. Siedziba sławnego Uniwersytetu Ste-
fana Batorego, metropolii łacińskiej, województwa, rozwija
przemysł i sztukę ludową“.

Z Wilna skok do Lidy i droga powrotna przez pu-
szczę Białowieską, gdzie w razie spotkania z żubrem
(wyrzucenie 3 oczek) następuje katastrofa i wycofanie
samochodu z gry.

Przez Białystok »siedzibę województwa (podaje uwa-
ga) w starym zabytkowym pałacu Branickich, centrum
fabryk sukienniczych« następuje powrót do Warszawy,
gdzie jest meta.

Wymalowana nad szeroko rozlaną Wisłą, ozdobiona
herbem miejskim — syreną — i kolumną Zygmunta,
ma taki napis:

„Stolica państwa, blisko 1,300.000 mieszkańców, połączona
3 mostami z przedmieściem Pragę, siedziba Prezydenta R. P.
na Zamku Królewskim i wodza narodu marszałka Piłsudskiego
w historycznym pałacu Belwederskim oraz najwyższych władz
państwowych, szkół akademickich, centrali banków, firm, przed-
siębiorstw i t. p., rozrasta się niebywale szybko. Od uzyskania
niepodległości zbudowano tu większą ilość gmachów, niż to
uczynili Rosjanie w czasie 100-lecia panowania. Wiele cennych
zabytków architektury barokowej, zwłaszcza z czasów ostat-
niego króla Stanisława Augusta. Piękne aleje, parki, pomniki
zdobią miasto, na peryferjach liczne fabryki, ożywione tempo

życia pod każdym względem. Ważny węzeł kolejowy w Europie, dworzec i urządzenia stacyjne w przebudowie. Świetne teatry, kina, wystawy obrazów, koncerty, lokale rozrywkowe, wygodne, komfortowe hotele i znane z dobrej kuchni restauracje — pozwolą zwycięskiemu automobiliście szybko zapomnieć o trudach męczącej, choć pełnej wrażeń podróży“.

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

Znakomity powieściopisarz, ur. 1860; 1878 uwięziony za spraww polityczne i zesłany na Syberję, spędził tam 15 lat na wygnaniu.

W r. 1902 wyjechał do Japonji na studia.

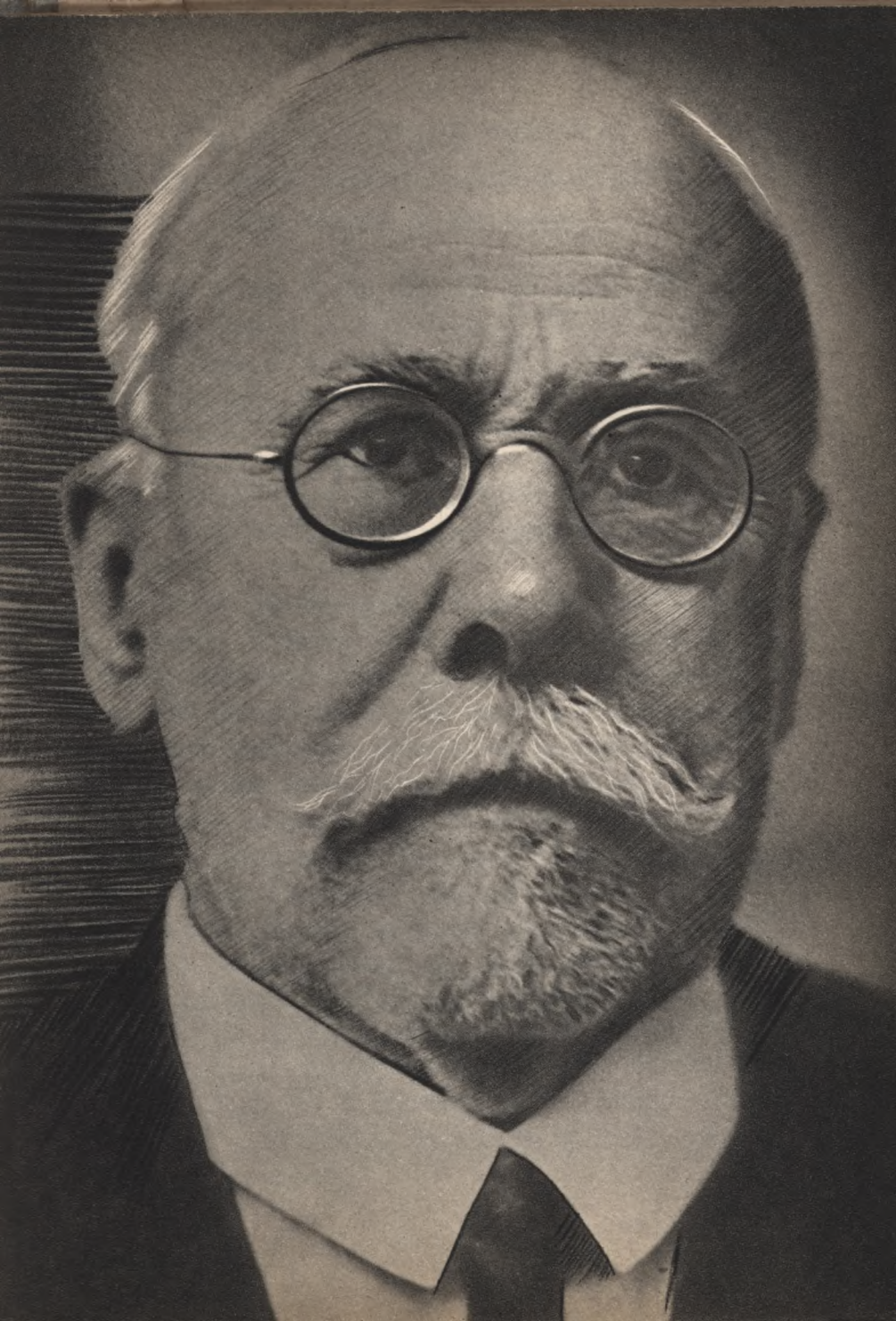
Brał udział w ruchu rewolucyjnym 1905 r.

Z wybuchem wojny światowej wstępuje do Legjonów, do 1 pułku ułanów Beliny. Odbywa wraz z nim całą kampanję wojenną.

W r. 1933 zostaje mianowany członkiem Polskiej Akademji Literatury i wybrany jej prezesem.

Napisał szereg prac. M. i.: „Dwanaście lat w kraju Jakutów“, „Na kresach lasów“, „Risztau“, „Latorośle“ (dla młodzieży), „Powieści chińskie“, „Ol-Soni-Kisań“, „Zamorski diabeł“, „Beniowski“, „Ocean“, „Pan Twardowski“, monografię „O Józefie Piłsudskim“.

W r. 1922 rozpoczęto wydawać zbiorowe wydawnictwo jego pism.



EPIZOD Z DZIECINSTWA WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

GDY MIAŁEM CZTERY LATA...

Miałem 4 lata w ów ponury rok klęski 1864. Powstanie styczniowe, po 18 miesiącach śmiertelnych zmagañ z wrogiem, dogorywało. Nie było prawie rodziny polskiej, któraby kogoś nie opłakiwała. I mój ojciec także za współdziałanie z powstańcami siedział w carskiem więzieniu w cytadeli!

Niedosyć na tem! By nas zniszczyć, przysłano do majątku rodziców na postój karny pułk piechoty i sotnię kozaków.

Pamiętam dobrze ognie płonące na dziedzińcu naszego dworu, żołnierzy uwijających się wszędzie, ryk bydła wypędzanego z obór na rzeź, krzyki służby bitej nahajkami, płacz kobiet... W lamusie naszej gorzelni, wśród wielkich beczek, pełnych spirytusu, brodzili po kostki w wódce żołdaci i kozacy, napełniając z otwartych kranów manierki i nie zakręcając kurków nawet kiedy nie brali płynu... Spirytus lał się strugami na brudną ziemię i mieszał z błotem.

W samym dworze usadowił się sztab: kilkunastu oficerów z pułkownikiem na czele. Pułkownik siwy, wysoki mężczyzna kazał mnie przyprowadzać do siebie, dawał cukierki, sadzał na kolana i gadał, że ma daleko, w Rosji takiego samego synka... Matka bardzo niechętnie patrzyła na te karesy, lecz co mogła zrobić. Przychodził »deńszczyk«,¹ brał mnie na ręce i niósł do

¹ Deńszczyk = ordynans.

pulkownika. Skończyło się to w dość niezwykły sposób. Była jakaś uczta, stół został zastawiony butelkami, naszego rozumie się, wina i jadłem przyrządzonem przez naszego kucharza... Paliły się jasno świece w kandelabrach. W pewnej chwili »deńszczyk« wniósł mnie do pokoju i posadził na kolanach pułkownika. Ten pieścił mnie, gładził po włosach, częstował ciastkami, wreszcie powiedział:

— Zaśpiewałbyś nam co chłopcze!...

Oficerowie siedzący kołem też wołali:

— Niech śpiewa!...

Zrobiono miejsce na stole wśród szklanek i butelek, postawiono mnie tam i kazano śpiewać, co najlepiej lubię. Wtedy pamiętam jak dziś, bo zostałem za to surowo skarcony przez matkę, zaśpiewałem najczęściej śpiewaną przeze mnie i siostry piosenkę:

*»Kto powiedział, że Moskale,
Są dziś braćmi nas, Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów...«*

Zapanowała cisza. Któryś z oficerów zapytał:

— Któż to cię tej piosenki nauczył?...

Wtedy odpowiedziałem dumnie:

— Mamusia!

Ale natychmiast inny oficer, Polak z pochodzenia, jak się dowiedziałem potem, zgarnął mnie ze stołu i odniósł do matki z przerażeniem wyglądającej z sąsiedniego pokoju.

Taki był mój pierwszy popis polityczny.

Wacław Sieroszewski.



ROBOTY PUBLICZNE.

I. »JUNACY«.

Wczoraj byliśmy na przystani czerniakowskiej, aby pożegnać partję »Junaków«, udających się statkiem w górę rzeki na roboty przy regulacji Wisły. Poszliśmy tam z delegacją naszej szkoły.

Ten »bataljon pracy«, jak go nazywają, zebrany na wybrzeżu, wyglądał tak pięknie, że aż się dusza radowała!

Drelichowe mundury, szare berety, wszyscy ubrani jednakowo, jak żołnierze.

Żegnano ich uroczyście. Przemawiał jakiś pan w czarnym tużurku, zdaje się minister.

— Chłopcy! — mówił — nosicie dumne miano »Junaków«, które mieści w sobie zespolone pojęcie młodości, urody i siły. Okażcie się tej nazwy godnymi!

Czeka ich praca twarda, pomyślałem, ale zgłosili się dobrowolnie i każdy w ciągu pierwszych dwóch tygodni może się rozmyślić i wycofać. Ale przypuszczam, patrząc na te śmiałe i pełne zapału twarze, że niewielu chyba znajdzie się takich, którzy zdezerte-
rują!

Mówię to Leszkowi, który stoi obok mnie. On jest tego samego zdania. Bo cóż ich lepszego czeka? Wałęsanie się po mieście bez celu, w te piękne dni czerwcowe z pustym żołądkiem i pustą kieszenią? A tam, w obozie, dostaną godziwy zarobek i spełnią pożyteczną dla kraju



...Nosicie dumne miano „Junaków“...

pracę wśród kolegów i rówieśników, w warunkach przyjemnych i zdrowych. Mówił nam profesor Demczak, że obozy ich pięknie są urządzone, po pracy mogą używać kąpieli, sportów, zabawy na świeżem powietrzu. Mają zapewniony dach nad głową, smaczną strawę z kotła i żołd.

— Sądzę — kończył swe przemówienie minister — że ocenicie wysiłek rządu, który stwarza wam korzystne warunki pracy w tak ciężkiej pod względem finansowym sytuacji państwa, i doniosłość robót, jakie macie wykonać. Ślad ich trwały zostanie na długie lata. Ten rząd, który podjął ideę uruchomienia szeregu robót publicznych, ma na czele dawnych żołnierzy marszałka Piłsudskiego, którzy dawali przykład swem życiem, jak służyć należy Ojczyźnie.

Równocześnie rozległy się okrzyki, zagrała orkiestra

i drużyna »Junaków« wsiadła na statek, czekający pod parą przy brzegu.

Szczękneły i opadły liny żelazne, statek odbił od przystani i mącąc kołami wodę wiślaną, ruszył w górę rzeki.

Jeszcze z brzegu na pokład i z pokładu na brzeg padały słowa pożegnania. Aż wreszcie skończyła się cała ceremonia.

Wracając, rozmawialiśmy o tych obozach pracy, rozsianych po całej Polsce. Leszek uważał to za pomysł znakomity, iż zamiast płacić w nieskończoność zapomogi bezrobotnym, zabrano się do wielkiego dzieła wykonania szeregu najpilniejszych robót w kraju.

— Skończyła się już darmocho — dorzucił Jędrek — teraz za każde świadczenie państwa trzeba płacić, czem kto może. A więc ci, co mają zajęcie i dochody — pieniędzmi, a ci, co ich nie mają — pracą. Nawet jak rozdają z wiosną biednym rolnikom ziarno na zasiew z magazynów państwowych, to muszą oni odpracować równowartość tego przy naprawie dróg i mostów w swojej wsi.

W domu czekała nas niespodzianka: przyjechała ciotka Helena z Basiówki, przywożąc Jasię z Pułtuska.

Jasia przytyła, spoważniała (ale niebardzo), jeszcze więcej zakochana w swoim panu Zygmuncie, niż przed ślubem. Ciągłe tylko o nim mówi:

— A Zygmus to powiedział, a Zygmus tamto zrobił!

— Aż obrzydliwość słuchać! — mruknął Jędrek, który nie lubi cackania się.

I jak to spoufaliła się z tym naszym panem Zygmuntem? Mybyśmy nigdy tak nie śmieli!

II. »CIĄGLE NAPRZÓD«.

Co za spotkanie!

Szliśmy sobie szosą grójecką rześkim rankiem. Po prostu — no poprostu uciekliśmy ze szkoły zaraz po pierwszej lekcji. Pomysł dał Jędrzek. Oświadczył krótko i węzłowato, że ani chwili dłużej w tej dusznej »budzie« (tak nazwał szkołę) nie wysiedzi.

— Idziesz? — spytał mnie obcesowo.

— Naturalnie! — odparłem bez chwili namysłu, bo ja bym za nim i w ogień poszedł!

Ale o dziwo! Dał się namówić nawet Leszek »z wzorowych najwzorowszy«, jak go czasem przezywamy. Bardzośmy się tem ucieszyli, bo bez niego byłoby smutno.

Udało się nam przekraść przez bramę, strzeżoną pilnie przez »cerbera« — woźnego.

Książki zostawiliśmy w znajomym sklepiku. A potem hop, do tramwaju i jazda za miasto!

Stojąc na tylnym pomoście, obliczaliśmy szanse naszej eskapady. Wyda się, czy się nie wyda? Druga godzina religja, ksiądz nie zauważy! Potem przyroda, rysunki i... matematyka! To najgorsze, bo Demczak zna nas wszystkich nawylot i wzrokowo pamięta, gdzie który siedzi.

— No, będzie co ma być! — pocieszaliśmy się. Na dworze było tak cudnie, że poprostu nie mogliśmy się zdobyć na to, aby się martwić na zapas.

Gdy nas wreszcie owionął zapach podmiejskich pól, oszaleliśmy zupełnie! Jak cielaki na pastwisku bieглиśmy przed siebie, zrywali zapylone kwiaty przydrożne, a Ję-



FUNDUSZ PRACY BUDUJE DROGI

ST. HAYKOWSKI
35.

drek zaprodukował się nawet chodzeniem na rękach.

Czuliśmy się weseli, swobodni i tak szczęśliwi, jak rzadko!

Szliśmy łąką wzdłuż szosy. W pewnem miejscu widniała tablica z napisem: »Robota finansowana z Funduszu Pracy«.

— Co to jest? — spytałem.

— To specjalna instytucja, która zbiera od wszystkich obywateli specjalny podatek — 1% od sum płaconych ubezpieczalniom. Koncentruje¹ ona wszystkie kredyty państwowe z budżetów różnych ministerstw i za to przeprowadza szereg robót publicznych, koniecznych dla kraju, dając pracę dziesiątkom tysięcy bezrobotnych! — tłumaczył nam Leszek. — Wznoszą domki robotnicze, gmachy użyteczności publicznej, jak: szpitale, szkoły i inne; budują drogi, mosty, linje kolejowe; regulują rzeki i potoki górskie, rok rocznie sprawiające spustoszenie w czasie powodzi. Pod jej też opieką są te obozy drużyn roboczych, do których wysła się ochotniczą młodzież niezatrudnioną t. zw. »Junków«, jak to widzieliśmy przed kilku dniami w porcie czerniakowskim, pamiętacie?

Tymczasem na szosie wrzała praca: setki robotników zwijało się żwawo, tworząc z rozpaczliwej drogi, na której auta łamały resory, piękną, gładką i nowoczesną szosę asfaltową. Maszyna parowa do ubijania kamieni jeździła sapiąc tam i nazad. Jej ogromne koła, niezwykle ciężkie i szerokie, ugniatały równiutko warstwy szutru, dowożonego taczkami przez robotników. Dozorcy doglądali

¹ Koncentrować = gromadzić.

roboty, klnąc niewprawnych nowicjuszy. Bo wielu z nich brało się do takiej pracy po raz pierwszy, niektórzy, sądząc po resztkach lepszego ubrania i inteligentnych twarzach, to pewnie zredukowani pracownicy umysłowi, studenci, urzędnicy.

Minęliśmy wreszcie ten odcinek drogi i natknęliśmy się z kolei na grupę inżynierów i geometrów, przeprowadzających przy pomocy specjalnych aparatów pomiary potrzebne do dalszych robót. Gościniec był wytrasowany tyczkami na dużej przestrzeni. Doły i kałuże mówiły zbyt wyraźnie o naglącej potrzebie naprawy.

— Polska słynie ze złych dróg! — zauważył smutno Leszek. — Miejmy nadzieję, że ten stan rzeczy szybko się poprawi przy tak energicznym wysiłku.

A dalej, na horyzoncie, ostro odcinał się świeży nasyp niedawno ukończonej linii kolejowej Warszawa-Radom.

Nagle ktoś krzyknął na nas zgóry:

— Hallo, chłopaki, a gdzie to tak śpieszycie?

Przystanęliśmy i zadarli głowy. Na żelaznem rusztowaniu elektrycznego transformatora siedział jakiś młody robociarz w niebieskiej bluzie i baskijce na głowie i coś tam majstrował koło przewodów.

— Nie poznajecie mnie? — rozległ się znów ten sam znajomy głos.

— Ależ to Czesiek Wewiórkowski! — zawołał Leszek. — Jak mamę kocham...

I wszyscy podbiegliśmy do słupa, opatrzonego tablicą ostrzegawczą z trupią czaszką:

»Prąd wysokiego napięcia. Dotknięcie grozi śmiercią!«

Przystanęliśmy przerażeni. Ale Cześ zgóry już wołał znów:

— Czekaście, zaraz złączę, to pogadamy.

W istocie, w kilku susach zeskoczył i porwał nas w swe mocne objęcia. Patrzyliśmy na niego ze zdumieniem. Zmienił się nie do poznania przez tych kilka miesięcy. Wyrósł, zmężniał, wzrok dawniej przybity, iskrzył mu się radością i pewnością siebie. Nawet głos mu zgrubiał!

— Odmieniło mnie, co? A to wszystko zawdzięczam temu zacnemu Demczakowi i wam!

Zdjął izolacyjne rękawice, chroniące go od porażenia prądem, i mówił dalej:

— Gorąco w tem pracować, ale zato bezpiecznie! Bo jakby prąd człowieka nie daj Boże złapał, to kaput! To tam w górze ma tysiące wolt² napięcia. Ale wy się na tem i tak pewnie nie rozumiecie? — dodał z wyższością, rad, że może nam czemś zaimponować.

— Strasznie się cieszymy, żeś sobie jakoś dał radę! — mówił Leszek.

— Cobym sobie nie miał dać? A wy pewnie drapnęliście ze szkoły? I ja to dawniej uprawiałem nieraz, teraz nie mógłbym sobie już na to pozwolić! Moją zasadą jest hasło: »Ciągle naprzód!«

— »Ciągle naprzód!« — ładne hasło! — zauważył Leszek.

— Jak widzicie, pracuję w fachu, który lubię: zostałem elektromonterem. Ukończyłem kurs wieczorny i dostałem pracę. Narazie praktykuję, mam teraz własne, uczciwie zarobione pieniądze i nie muszę »forsy« buchać z cudzych płaszczy! — roześmiał się swobodnie. — Zresztą łatwiej być uczciwym, jak człowiek ma co

² Wolta = jednostka, którą się mierzy energię elektryczną.

do gęby włożyć. Ale ja wam nigdy nie zapomnę waszej poczytności, zacni z was byli koledzy.

— Mieszkam teraz w Pruszkowie — opowiadał nam dalej. — Tam taniej i przyjemniej. Wynająłem mamie domek z ogródkiem, gdzie się Adaś bawi, jak wróci ze szkoły. Bardzo nam wszystkim dobrze. Mama wyzdrowiała i pomaga mi praniem bielizny. A wasz rower mam ciągle jeszcze!

W istocie, oparty o kupę kamieni, stał nasz podarek. Pogawędziliśmy jeszcze chwilę. Czesiek kazał nam pięknie pozdrowić wszystkich kolegów i wiele serdeczności przesłał przez nas naszemu wychowawcy.

Potem pożegnał nas, żałując, że niestety praca czeka na niego i dłużej z nami gawędzić nie może, wsiadł na rower i pomknął dalej sprawdzać przewody elektrowni, w której pracuje.

Staliśmy zawstydzeni trochę, że nas przyłapał na »wagarach«. Nawet słoneczko nam jakoś przybladło, gdyśmy pomyśleli, że cały kraj wraz z wiosną podwoił tempo swej pracy, a my jedni w roboczy dzień — próżnujemy!

— Ciągłe naprzód! — mruknął Leszek. — Wszędzie wre i kipi praca. Roboty publiczne, państwowe, samorządowe, prywatne — są w pełnym toku. Miljony ludzi przerabia miliony złotych. Wznoszą się nowe gmachy, nowe mosty, nowe drogi i koleje. A my?

— No tak — potwierdziłem — zamiast siedzieć w tej chwili w klasie i uczyć się...

— Co jest naszym obowiązkiem narazie... — dorzucił Leszek.

— Leniuchujemy! — dodałem.

— To nie w porządku! — przyznał nam Jędrzek rację.

Bez dalszej dyskusji zawróciliśmy do Warszawy. Wyciągając nogi, zdążyliśmy jeszcze na ostatnią godzinę i weszliśmy do klasy razem z profesorem.



...A wy pewnie drapnęliście ze szkoły...

Demczak spojrział zdziwiony na nasze zakurzone obuwie, ale nic nie powiedział. Po lekcji poszliśmy do niego i przyznaliśmy się do wszystkiego, opowiadając o spotkaniu z Cześkiem.

Ucieszył się tą wiadomością i rzekł:

— No, dzięki Bogu, instynkt mnie nie zawiódł. Uratowaliśmy jednego dzielnego człowieka. A wy —

waszym powrotem i przyznaniem się do tej eskapady zmazaliście część winy. Tylko trzeba było buciki sobie wyczyścić, gdyż inaczej... kompromitujecie system zamiętania w naszej szkole. Gdy was zobaczą wychodzących z gimnazjum z książkami pod pachą, gotowi ludzie pomyśleć, że w klasach taki kurz panuje...

Spuściliśmy głowy zawstydzeni.

— Cóż mogę jeszcze dodać do tego? Chyba to jedno: pamiętajcie o słowach waszego dawnego kolegi: »Ciągle naprzód!« Dobrze?

— Będziemy pamiętać, panie profesorze! — krzyknęliśmy wszyscy naraz.



„NIE DAMY ZIEMI...”

I. »W ZDROWEM CIELE...«

Jest lekcja łaciny. Jedna z ostatnich w tym roku szkolnym.

W powietrzu jest tak parno, że niema czem oddychać, chyba będzie burza. Okna do połowy przysłonięte roletami. A z poza rolet wpada do klasy upajający zapach bzów, kwitnących w sąsiednim ogrodzie.

Na katedrze nasz łacinnik »Strusie Jajo« wyciera z potu łysinkę kraciatą chustką. Jemu też gorąco!

— To niedobrze, Jaryma, to bardzo niedobrze, że ty nie wiesz dotąd, jak jest »genetivus« od »hortus«! I to w drugim roku nauki łaciny. Ale ty nie uczyłeś się widać cały ten rok szkolny i oto są tego skutki! Nieczuja, nie podpowiadaj!

— Ja nie podpowiadam, panie profesorze! — zrywa się Adaś wystraszony. Pewnie znów marzył o swej marynarce wojennej!

— No, to powiedz mi, jak jest »genetivus« od słówka »hortus«? Ale przedewszystkiem musimy sprawdzić, czy ty wiesz, co to znaczy po polsku?

— Ogród, panie profesorze! — brzmi odpowiedź.

I naraz wszystkie nasze rozgrzane głowy zwracają się ku oknom, za którymi kwitnie właśnie ten wymarzony »hortus«.

— Więc, jak jest ten drugi przypadek? Odmieniaj...

Adaś milczy; nie żeby nie wiedział, bo to dobry uczeń, ale poprostu nie chce mu się myśleć, nie chce się odpowiadać. Komu by się to chciało na taki upał?

— Siadaj! — woła poirytowany profesor i poczyną

wywoływać jednego po drugim. Wreszcie przychodzi na nas ta niemiła chwila.

— Wodziecki!

Wstajemy obaj.

— Nie ty, ten starszy! — woła nauczyciel.

— Kiedy my oba bliźniaki! — odpowiada Jędrrek przekornie.

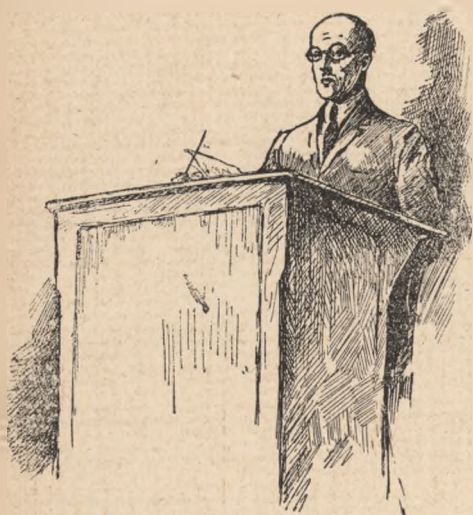
— Siadajcie obaj, pewnie i tak nie wiecie!

Klasa wybucha śmiechem.

Byczo jest! — myślą sobie chłopaki — przecież jakiś kawał!

Nie będziemy odpowiadać, za gorąco!

Nasz łacinnik, poci się jeszcze więcej.



Na katedrze nasz łacinnik...

Wywołuje Leszka, jako najlepszego ucznia:

— Sokolski, powiedz tej gromadzie nieuków, jak jest drugi przypadek od słowa »hortus«!

Ale o dziwo! Leszek jest solidarny i milczy jakby go zatkąło.

— Co to znaczy? — gniewa się profesor. — Sparaliżowało was? Ty też nie odpowiadasz? Całą klasę zapiszę do dziennika! A to wszystko przez te idjotyczne sporty! Piłkę kopać, nosy sobie rozbijać, po Wiśle kozły fikać — umiecie! Ale nad książką fałdów przysiedzieć — to wam nie w smak!

W klasie cisza śmiertelna, jakby makiem zasiał. Czujemy, że może być niedobrze. Ten łacinnik, to profesor starej daty; z tych czasów, kiedy to nauczyciele patrzyli na sport i ćwiczenia fizyczne, jak na przestępstwo. Opowiadał nam ojczyk, jak dwójce brał za granie w piłkę, albo w palanta.

Dzięki Bogu, dziś jest inaczej. Gimnastyka i wychowanie fizyczne to teraz przedmioty obowiązkowe. Władze szkolne idą nam na rękę i popierają sporty. Mamy swój hufiec szkolny przysposobienia wojskowego, drużynę harcerską i własne kluby sportowe.

Tymczasem profesor każe czytać tekst łaciński. Lecz wszyscy myślami są poza szkołą, na boisku. Niebawem mają się odbyć zawody międzyklubowe. Jędrak jest zapalonym piłkarzem. Ja za tem nie przepadam.

Wolę lekkoatletykę. To jest piękny sport. Czytaliśmy niedawno książkę p. t. »Dysk olimpijski«. Jakie wspaniałe musiały być te igrzyska olimpijskie u starożytnych Greków! Występowali nago, ciała namaszczaoli oliwą i ćwiczyli wiele miesięcy naprzód przed każdymi

zawodami, które były wielkiem świętem dla całego świata antycznego.

Dziś staramy się ich naśladować i osiągnąć to precyzyjne piękno w ruchach gibkiego ciała, jak oni. Wznowiono nawet igrzyska olimpijskie, gdzie o laur zwycięzcy walczą wszystkie narody współczesnego świata...

Ja stoję do biegów przez płotki i ćwiczę się w rzucaniu oszczepem. Lech jest majstrem od rzutu dyskiem. Julek natomiast najwyżej skacze o tyczce. Robi to tak lekko, że prawie nie widać wysiłku. Zaś Felek i Jędrrek pokazowo walczą na pięści.

Poza tem uprawiamy z zapalem sporty wodne: pływanie, żeglarstwo i wioślarstwo.

Ja uczę się teraz pływać »crawlem«¹ i ćwiczę skoki z wysokiej trampoliny.² Trzeba przytem mieć się na baczności, żeby nie runąć na brzuch, bo można się nawet i zabić. Pilek imponuje nurkowaniem. Nikt tak długo jak on pod wodą nie wytrzyma! Poza tem, choć krótkowidz, świetnie strzela z łuku. Tylko, że on zawsze tak jakoś śmiesznie wygląda. Biedny Pilek Bąk, on temu nie winien, ale już tak jest i cóż na to poradzić?

Gdy człowiek się znajdzie na bieżni w majteczkach ćwiczebnych i białej koszulce sportowej — to się czuje zupełnie inaczej!

Choć, kto wie? Może trochę przesadzamy w tych sportach? Dawniej było za mało, dziś za dużo...

Ale mamusia np. lubi, jak my ćwiczymy pod gołym niebem, bo mówi, że zdobywamy w ten sposób kapitał

¹ Crawl = (czytaj: kraul) specjalny system szybkiego i niemęczącego pływania.

² Trampolina = elastyczna odskocznia.

zdrowia na całe życie i z dumą patrzy na nas na zawodach z trybuny.

A nadewszystko ceni harcerstwo. Uważa, że ono w równej mierze wyrabia i ducha i ciało, a zwłaszcza kształci i wychowuje charaktery.

— Tych nam najwięcej w Polsce brak! — powtarza nam zawsze!

Dzwonek przerywa mi te rozmyślenia. Profesor wychodzi zły!

Natychmiast rozpoczynamy naradę wojenną. Co robić, aby nie było kramu z tej całej awantury?

Wreszcie zapada decyzja udać się pod niezawodną opiekę naszego drogiego wychowawcy.

Ale oto on właśnie staje w otwartych drzwiach. Wie już o wszystkim, bo »Strusie Jajo« spotkał go w korytarzu i poskarżył się na nas.

Tłumaczymy mu, jak to było z tym nieszczęsnym »genetivus« od »hortus«.

— Panie profesorze! — zapewnia Leszek imieniem całej klasy. — Prostu nie mogliśmy odpowiadać z powodu upału, ale naprawdę świadomej zmowy nie było w tem ani trochę!

Kończy się to wszystko szczęśliwie: specjalnie wybranej delegacji udaje się przebłagać »łacinika«, nie bez serdecznej pomocy profesora Demczaka, który na następnej godzinie ma do nas surową przemowę, zakończoną słowami:

— Trzeba umieć w życiu zawsze zachować we wszystkim równowagę i unikać skrajności. Sport, hasanie po zielonej trawce — piękna rzecz. Ale dobrze też coś mieć w głowie. A na to trzeba się uczyć, czy-

tać, nie zaniedbywać kultury psychicznej. Pamiętajcie o mądrej zasadzie: »W zdrowem ciele — zdrowy duch!«

II. »STRZELEC«.

W niedzielę pojechaliśmy autobusem do Pułtusk na telefoniczne zaproszenie Jasi. I ona i jej mąż cieszyli się nami, jakby własnymi dziećmi. Nie przypuszczałem, że nas aż tak lubią!

Były na naszą cześć i truskawki i czereśnie i lody waniljowe i kurczęta z mizerją. A Jasia i pan Zygmunt śmieli się i gadali z nami bez przerwy.

To nas trochę pogodziło z jej zamążpójściem, które w zasadzie niebardzo przypadło nam do smaku. Nicśmy jej nie mówili, bo nas o radę wcale nie pytała, zresztą i takby się na nic to nie przydało.

Przyjemnie było widzieć, że są ze sobą szczęśliwi. Tak dokazywali przy stole razem z nami, jakby byli co najmniej naszymi rówieśnikami.

Ale prócz chęci zobaczenia nas i pokazania nam swego gospodarstwa, chciał się jeszcze pan Zygmunt pochwalić przed nami swoim pułtuskim »Strzelcem«, którego jest prezesem.

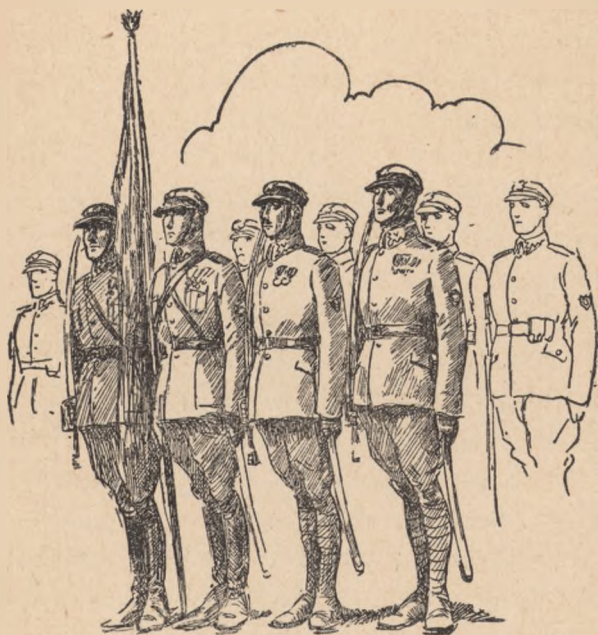
Przed obiadem odbyło się uroczyste poświęcenie chorągwi, ufundowanej przez komitet obywatelski, przy licznym udziale publiczności.

Przed kościołem na placu zebrało się całe miasteczko i liczni przyjezdni z bliższej i dalszej okolicy.

Pan Zygmunt przemawiał z zapalem i tak wszystkich rozgrzał, jak to on tylko umie!

— Jesteście spadkobiercami tych strzelców z przed

wielkiej wojny jeszcze — mówił — których przewidy-
jący genjusz komendanta Piłsudskiego powołał na zie-
miach byłego zaboru austriackiego, jako przyszłą kadre
Legjonów i wojska polskiego. Z tym samym orłem



...Uroczyste poświęcenie chorągwi...

na czapce rozpoczęli ojcowie wasi szaleńczy (jak się wówczas zdawało) bój o Polskę!

Dalej mówił o samej organizacji strzeleckiej, jak to wskrzeszona w państwie polskiem bujnie się rozrosła, pokrywając cały kraj siecią swych placówek, że niema dziś takiego miasteczka, a nawet większej wsi, gdzieby nie ćwiczyły oddziały »Strzelca«. Jest dziś blisko dwa-

kroć sto tysięcy armji rezerwowej, gotowej na każdy zew Wodza!

— Obywatele! — brzmiał donośny głos pana Zygmunta na rynku pułtuskim. — Zbyt drogo niegdyś zapłaciliśmy za naszą polityczną krótkowzroczność, która kazała nam ufać, że źli sąsiedzi nie złakomią się na bezbronną Rzeczpospolitą z końca XVIII wieku, abyśmy mogli pozwolić sobie na usypianie na laurach Ojczyzny. Samo wojsko stałe nie wystarczy, gdy nadejdzie dzień próby.

Cały naród musi być gotowy w każdej chwili do obrony najcenniejszego skarbu Polaka: Niepodległości Odrodzonego Państwa!

To były mocne słowa! A wiemy obaj dobrze z Jędrkiem, że poza niemi kryje się siła, której nieraz nam obcy zazdroszczą. Zwie się ona: przysposobienie wojskowe kraju. Mamy dziś hufce szkolne, kompanje przysposobienia wojskowego kolejarzy, pocztowców, służby leśnej, »Związku Rezerwistów« i różne inne. Nawet kobiety nie pozostają w tyle i tworzą żeńskie drużyny wojskowe. Lecz na czoło tych wszystkich organizacyj, pracujących dla przysposobienia wojskowego kraju na wypadek wojny, wysuwa się »Strzelec« swoją organizacją, karnością i wyćwiczeniem. Jest to ruch masowy, który obejmuje wszystkich: i robotników fabrycznych i młodzież rzemieślniczą i chłopów.

— Powierzając ten świeżo poświęcony sztandar naszemu młodemu dłoniom — kończył przemowę prezes do swych wpatrzonych w niego chłopaków — wznosząc okrzyk na cześć naszego najwyższego opiekuna, który

tę samą czapkę strzelecką, co i wy, nosi po dziś dzień: marszałek Józef Piłsudski niech nam żyje!

Z kilkuset piersi wydarł się gromki okrzyk i trzykrotnem echem odbił się o drewniane domki miasteczka. Szeregi sprężyły się, złamały na głos komendy w regularne czwórki i rozpoczęła się defilada w takt marszu »I brygady«.

Potem na błoniach odbyły się zawody sportowe. Uroczystość zakończył wesoły festyn w parku.

Senne zazwyczaj miasteczko drżało od okrzyków, wiwatów i śpiewów do późnego wieczora.

Gdyśmy po całodziennym wizycie u Zygmuntów ładowali się do autobusu, by wracać do Warszawy, ostatnie grupki strzeleckie rozchodziły się po domach, zmieszane z niedzielnym tłumem mieszkańców. W powietrzu dźwięczały jeszcze skoczne piosenki leguńskie, zrodzone w bohaterskich latach walk o niepodległość!

III. »IDĄ NASI...«

W drodze powrotnej mieliśmy przygodę: pod Serockiem, gdzie Bug wpada do Narwi, kicha nam nawaliła. Dobrze, że się obeszło bez wypadku, bo autobus, jak zwykle w niedzielę wieczór, był przeładowany. Trzeba było przystanąć pod lasem i naprawiać.

Wszyscy pasażerowie wyładowali się z dusznego pudła i rozleźli po szosie.

Noc była jasna, księżycowa. Z mokrych łąk dochodziło melodyjne rechotanie żab. Nagle ktoś zawołał: — Wojsko idzie!

W istocie, ciszę nocy letniej zmaćcił tętent koni, tupot setek nóg, skrzyp wozów i turkot dział.

Z za zakrętu wyłoniło się wojsko. Ale nie były to te wyelegantowane pułki z placu rewji! Twarze i buty, szare od kurzu, drelichy ochronnego koloru na grzbie-
tach, wszystko zlewało się poniekąd z otaczającą nocą.

Szli w szyku bojowym na nocne ćwiczenia. Na przedzie szperacze: trzech jeźdźców, pilnie przepatrujących okolicę. Przekłusowali obok z furkotem chorągiewek.

— Szwoleżery! — zawołał Jędrek z zachwytem.

Na lewo i prawo, wśród dojrzewających zbóż i leśnemi dróżkami snuły się ubezpieczenia boczne. Oczy wpatrzone w poświatę miesiąca, broń gotowa do strzału.

Wreszcie nadciągnęła straż przednia, poprzedzona łącznikami.

Człapali jeźdźcy trójkami, za nimi karabiny maszynowe na dwukonnych biedkach, z hałasem przetoczyła się nawet baterja konna. Był tam też pluton pionierów, by naprawiać uszkodzenia drogi, czynione przez nieprzyjaciela, pluton łączności (telefonistów) i samochody pancerne.

I znowu pojedynczy jeźdźcy łącznikowi poprzedzali siłę główną.

Całą szerokość drogi zawałyły szeregi jeźdźców, maszerujące sprawnie, szwadron za szwadronem. Poznawaliśmy po naszywkach i barwach proporczyków pułki strzelców konnych i ułanów.

Omam serca nie wyskoczyły ku nim, tak się nam ta jazda podobiała! Staliśmy z boku gościńca, wpatrzeni w migające zady końskie, szable, lance, karabiny maszynowe, wozy amunicyjne i kuchnie polowe. Szli i szli i końca nie było widać!

Za nimi, w dużym odstępie maszerowała piechota. Szli groźni, w hełmach stalowych na głowach, karabiny zwieszone u szyi lub na ramionach, ciężkie tornistry na plecach. Wzniecali podkutymi buciorami taki kurz na szosie, że migali w tumanach białego pyłu, jak jakieś zjawy nocne.

Za nimi toczyły się z turkotem tabory.

Gdy przeszli wreszcie i zniknęli w tumanach kurzu, z za zakrętu wyłoniły się nowe oddziały: artylerja! Działa dudniły głucho na nierównej drodze. Kanonierzy, jadący na przodkach, z karabinkami na piersiach, podskakiwali na wybojach, ale trzymali się ostro. Tęgie, krępe konie napinały postronki, popędzane krótkimi batogami koniowodnych. Po bokach cwałowali konno podoficerowie. A paszcze dział, zwieszone ku ziemi, jakby węszyły ślad wroga.

— To »polówki!«³ — zauważył Jędrzek nie mniej odemnie przejęty.

Za nimi ziemia dudniła jeszcze mocniej: przetaczały się działa artylerji ciężkiej; grube, pękate, o tak pewnym sobie wyglądzie, jakby wiedziały, że przed ich piorunowym ogniem nic się nie osto!

A potem znów piechota, jako osłona dział. Całe dwa bataljony z dowódcami na koniach.

Wreszcie ukazała się jeszcze raz kawalerja i reszta artylerji konnej w czworograniastych czapkach z czarnymi otokami: dywizjon im. generała Bema z Warszawy — znamy go dobrze.

— To jest broń! — rzekł z uznaniem nasz szofer,

³ „Polówki“ = działa lekkie.

który przerwawszy zakładanie nowego koła, gapił się, tak jak i my, na przechodzące oddziały. — Zajeżdżają galopem na pozycję, odprzodkowują działa i strzelają, jak djabyły: bęc! bęc! bęc! I gnają dalej, na złamanie karku, razem z kawalerją. Ja wiem, co taki ogień tych



...Szli na nocne ćwiczenia...

lekkich armatek znaczy w czasie szarży! Sam służyłem w tej broni w czasie wojny bolszewickiej!

A pejsaci obywatele pułtuscy, stłoczeni u drzwiczek unieruchomionego samochodu, cmokali z uznaniem wargami, taka siła i potęga biła od naszego wojska.

— Nasi! — szeptałem z rozczeniem, patrząc w dal zakrytą tumanami kurzu, za ostatnim jeźdźcem i ostatnim koniem.

Obu nas rozpierała radosna дума, że oto oni, ci nasi żołnierze, tacy są sprawni i wyekwipowani we

wszystko, czego wojna nowoczesna wymaga! Niechby no ktoś ośmielił się targnąć na całość naszych granic, a wtedy przemówią dobitnie niezwyciężonym argumentem swych lanc, karabinów, dział, samochodów pancernych i czołgów, pociągów pancernych i samolotów, całym wreszcie sprzętem technicznym, na tak wysoko postawionym poziomie!

Za wojskiem (myśleliśmy) stoi cały naród, przysposobiony wojskowo, kierowany sprawnie jedną wolą i jedną myślą. A są tego miliony z dziarskim »Strzelcem« na czele!

W stolicy państwa, u wylotu alei Ujazdowskich, chodzi w noc ciemną po pokojach w Belwederze i czuwa On — twórca tych pułków, bataljonów, szwadronów, baterij, twórca całej tej wielkości i potęgi państwa, »Dziadek« ukochany!

IV. »PLON NIESIEMY, PLON!«

Świadectwa mamy już w kieszeni, a rok szkolny za sobą.

Nasze nie wypadły zbyt świetnie. Ale naogół można wytrzymać. Przeszliśmy do następnej klasy, a to najważniejsze. Wielu z pośród naszych kolegów wyszło gorzej!

Nawet ojczyk niebardzo się na nas srożył; przeczytał cenzurki i rzekł:

— No, mogłyby być lepsze, panowie trzecioklasiści!

I nagle, ta szkoła, taka już uprzykrzona w ostatnich skwarnych dniach, wydała nam się miła i bliska. Zamknął się jeden rozdział za nami — miniony rok szkol-

ny. A przed nami otwiera się perspektywa wolności, wakacyj, wyjazdu na wieś, do obozów letnich, w góry czy też nad morze... A potem — nowy rok szkolny od jesieni. I tu kres naszego rozmyślania o przyszłości. Dalej już w rozważaniach nie wybiegamy, przynajmniej narazie!

A dziś na stadjonie w Łazienkach, gdzie odbywają się co rok zawody hipiczne, urządzono nam piękną uroczystość pod patronatem pani marszałkowej Piłsudskiej: pożegnanie ze szkołą!

Na obszernem boisku zebrało się tysiące młodzieży. Trybuny obsiadły nasze mamy i ojcowie, bracia, siostry, kuzyni, rozmaici inni krewni i liczni znajomi.

Nie ręczę za ścisłość, ale rodzonych ciotek moglibyśmy pewnie naliczyć tam co najmniej z pół tuzina!

— »Bo rodzina, bądźcie pewni, także ludzie, chociaż krewni!« — powtarzał złośliwie Jędrak.

Z łoży prezydjalnej, pięknie ubranej festonami z zieleni i chorągiewkami narodowymi, przemówił pan kurator okręgu szkolnego, życząc nam wszystkim jak najmielszych wakacyj!

Potem były jeszcze inne przemówienia: delegata zarządu »Straży Przedniej« i jednego z maturzystów, który dziękował wychowawcom i nauczycielom za ich całoroczny trud, którego celem wychować nowe pokolenie Polaków, straż przednią Polski mocarstwowej. Oczekują od nas tego samego przynajmniej wysiłku, jaki włożyło poprzednie pokolenie w sprawę odzyskania i ugruntowania niepodległości. Nasz starszy kolega zapewniał zebranych, że nie zawiedziemy nadziei, jakie w nas pokłada społeczeństwo!

Każde słówko słyszeliśmy wyraźnie, bo ustawione na placu ogromne megafony⁴ ustokrotniały siłę głosu. Więc też wszyscy poczęliśmy bić brawo. Rozległy się wiwaty na cześć Rzeczypospolitej, Pana Prezydenta i pana marszałka Piłsudskiego, a z wszystkich tręb orkiestry naraz zerwał się hymn: »Jeszcze Polska nie zginęła!«, którego wysłuchaliśmy stojąc na baczność...

Plac przed trybunami opróżniono i rozpoczęła się druga część widowiska.

Więc najprzód przy skocznych dźwiękach wiejskiej kapeli wpadło na środek 12 par hożych Mazowszanek i dziarskich Mazurów, którzy na ustawionem z desek podwyższeniu odtanńczyli pięknego mazura. Byli to koledzy i koleżanki pochodzący z Mazowsza.

Po nich, trzaskając z bicia, wjechało na wozach »krakowskie wesele«, przebrani koledzy z Krakowskiego. Zeskoczyli z wozów: pan młody i panna młoda i goście weselni, z piórkami pawimi u krakusek, i odtanńczyli ognistego krakowiaka. Po nich znów zjawili się Łowiczanie w barwnych, pasiastych strojach i zatańczyli oberka.

Następnie »zbójnickiego« pokazali nam górale z ciupagami (koledzy z Podhala), »kołomyjkę« Huculi z Żabiego.

Za nimi ciągnął orszak górników śląskich, Wielkopolan, Pomorzan, Kurpiów, Białorusinów, Wołyniaków i Podolan. Wreszcie, tańcząc wesołą »poleczkę« przy akompaniamencie harmonji, zjawili się ulicznicy lwowscy.

⁴ Megafon = aparat do wzmacniania głosu,

Tak oto sprezentowała się nam cała Polska ze wszystkimi swemi ziemiami i odmianami. Zebrało się tyle luda, że wypełnili cały środek ogromnego stadjonu.



„Plon niesiemy, plon“...

Pomięszali się ze sobą, wszystkie barwne kostjumy ludowe zlały się w jedną masę i tworząc zbitą gromadę, podsunęli się do loży prezydalnej. Pięknym, na cztery głosy rozdzielonym chórem zaśpiewali w takt starego poloneza:

*»Piękna nasza Polska cała!
Piękna, żyzna i wspaniała!...«*

Ze środka tej kolorowej gromady wynurzyła się przodownica, przybrana w strój wiejski, ze wstążkami

i wianuszkiem na czole, dźwigając olbrzymi wieniec z ziół, zbóż, traw i kwiatów całej Polski. Wśród nich szeleściły kartki papieru — podpisy delegatów każdej ze szkół osobno. I ten symboliczny, dożynkowy wieniec, jako owoc pracy całego roku szkolnego młodzieży polskiej, wręczyła pani marszałkowej Aleksandrze Piłsudskiej, siedzącej na przodzie łoży wraz z córkami. Wielka opiekunka dzieci i młodzieży, zwłaszcza tych najbiedniejszych, bezdomnych, dla których stworzyła, niby ciepłe gniazdka rodzinne, osiedla i ochrony pod nazwą »Nasz Dom«, przyjęła ze wzruszeniem ten skromny dar szkół polskich o rozwianych biało-czerwonych wstęgach.

A chór dożynkowy zaśpiewał pieśń żeńców:

»Plon niesiemy plon, w gospodarza dom!«

Wieniec był od nas wszystkich! Wiernych, oddanych dzieci polskich!

— To od ciebie także i ode mnie! — szepnąłem, ściskając Jędrka za rękę.

I czułem się dumny z tego, ja — mały Piłsudczyk!



SPIS USTĘPÓW.

	Str.
Drogi Mały Piłsudczyku...	8

ROZDZIAŁ 1. POLSKA W NIEWOLI.

I. Ciocia-babcia	12
II. Szkarlatyna	14
III. Podróż	15
IV. Basiówka	18
V. Tajemniczy rękopis	20
VI. Pan Zygmunt	25
VII. Gawęda wieczorna	28
VIII. Rok 1863	29
Epizod z dzieciństwa marszałka Józefa Piłsudskiego.	
Wojowniczy „Ziuk“	37

ROZDZIAŁ 2. PRZED ŚWITANIEM.

I. Kazanie	40
II. Dom Ludowy	44
III. Stary kowal	47
IV. Znów w tej samej bibliotece	51
Epizod z młodości marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej.	
Rozsypane naboje	55

ROZDZIAŁ 3. WIELKA WOJNA.

I. Granat na polu	60
II. W starej kuźni	66
III. Urzędowa wizyta	69
IV. Wspomnienia wojenne pana przodownika	72
V. „Żałosny gwizd lokomotyw...“	79
VI. W obcej służbie	84
VII. Żołnierskim krokiem do Polski	87

ROZDZIAŁ 4. WÓDZ I JEGO LEGJONY

I. Wyblakłe fotografie	93
II. Cienie przeszłości	96
III. Pierwsza kadrowa	100
IV. Niespodziewany gość	104
V. Szlakiem Legjonów	107

VI. Widmo Magdeburga	112
VII. Powrót do miasta	115

ROZDZIAŁ 5. ZMARTWYCHWSTANIE.

I. Huszt	117
II. Służba i śmierć bezimienna...	123
III. Powrót Więźnia	128
IV. Na stacji granicznej	134
V. Traktat wersalski	138

ROZDZIAŁ 6. GEOGRAFICZNY ZARYS POLSKI

I. Mapka z plasteliny	144
II. Lekcja geografji	149

ROZDZIAŁ 7. WOJNY POLSKIE.

I. Cmentarz obrońców Lwowa	159
II. Męczeńskie Wilno	165
III. Powstanie wielkopolskie	170
IV. Na polach Radzymina	175
V. Pompiljusz Bąk	182
VI. Zabawa w Śląsk	185

ROZDZIAŁ 8. NACZELNIK I PREZYDENCI

I. Z hołdem do Belwederu	192
II. Złe lata partyjnictwa	195
III. Gość	200
IV. Lekcja o konstytucji	205
Epizod z życia Walerego Sławka. W roku rewolucji 1906	209

ROZDZIAŁ 9. IGNACY MOŚCICKI I JEGO DZIEŁO.

I. Patrzę przez okno	214
II. Sławny na cały świat	216
Epizod z życia prezydenta Ignacego Mościckiego. Ze wspomnień szkolnych.	221

ROZDZIAŁ 10. POLSKA GOSPODARCZA

I. Wigilja św. Andrzeja	225
II. Zmartwienie mamusi	229
III. Tranzakcja pieniężna	232
IV. Nasz pierwszy weksel	235

V. „Pewność — zaufanie“	237
VI. Aron Pomeranc	241
VII. Złodziej	243
VIII. „Czarna nędza“	246
IX. Mały snob	250
X. „Za rządów pana Kryzysa...“	252

ROZDZIAŁ 11. NA STRAŻY GRANIC.

I. Wycieczka na kresy	256
II. Korpus Ochrony Pogranicza	260
III. Żołnierska wigilja	262
IV. Straż Graniczna.	265

ROZDZIAŁ 12. W PAŁACU BRÜHLA.

I. „Wuj z łysiną“	270
II. Polskie placówki zagraniczne	272
III. Polacy zagranicą	275
IV. Zebranie hufca szkolnego	278

ROZDZIAŁ 13. POLSKA RZĄDEM STOI.

I. Zaręczyny Jasi	281
II. Nasza gmina	285
III. „Porzundek zaś ale być musi!“	287

ROZDZIAŁ 14. W POLSKIEJ SZKOLE.

I. Nasza klasa.	292
II. Szkoła zaborców	296
Epizod z młodości Aleksandra Prystora. Zbrodnia	
15-to latka	301

ROZDZIAŁ 15. PRZEMYSŁ I HANDEL.

I. Ojciec Felka	305
II. Przemysł wojenny	309
III. Karjera Pilka	311
IV. „Handel daleki“	315
V. Szewc Gaudenty	319

ROZDZIAŁ 16. NASZE MORZE I FLOTA.

I. Gdynia	322
II. Na pokładzie „Ursusa“	326

ROZDZIAŁ 17. KOMUNIKACJA.		Str.
I. Od dyliżansu do samolotu		331
II. Świat przybliżony		335
III. Polskie Koleje Państwowe		341
ROZDZIAŁ 18. SPRAWIEDLIWOŚĆ.		
I. Jędrak świadkiem		346
II. „Szary dom”		351
III. „Świętość praw”		354
ROZDZIAŁ 19. OPIEKA SPOŁECZNA.		
I. „Chora kasa”		358
II. Sieroty		362
III. Wstążeczka „virtuti militari”		365
IV. „Kochaj bliźniego twego”!		368
ROZDZIAŁ 20. WIEŚ POLSKA.		
I. Wiosenna orka		371
II. Wesele		375
ROZDZIAŁ 21. W POLSKIM LESIE I NA POLSKIEJ RZECIE.		
I. Wyprawa Robinsonów		381
II. „Duch puszczy”		385
ROZDZIAŁ 22. POLSKA SKRZYDLATA.		
I. Warczą motory		390
II. Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej		394
ROZDZIAŁ 23. KULTURA I SZTUKA.		
I. Nasza biblioteczka		398
II. Teatr „Lithuania”		401
III. „Maraskino”		405
IV. „Miasta polskie”		409
Epizod z dzieciństwa Wacława Sieroszewskiego. Gdy miałem cztery lata		417
ROZDZIAŁ 24. ROBOTY PUBLICZNE.		
I. „Junacy”		419
II. „Ciągłe naprzód”!		422
ROZDZIAŁ 25. „NIE DAMY ZIEMI...”		
I. „W zdrowem ciele...”		429
II. „Strzelec”		434
III. „Idą nasi...”		437
IV. „Plon niesiemy, plon”!		441

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313595



000-313595-00-0

